Scott Carney

ŚMIERĆ NA DIAMENTOWEJ GÓRZE

AMERYKAŃSKA DROGA DO OŚWIECENIA

Christie McNally z włosami zwisającymi w tłustych, splątanych strąkach przyglądała się znużonymi piwnymi oczami dolinie, gdzie znajdował się ośrodek medytacyjny. Żółte światła latarek nie pojawiały się na tym terenie od co najmniej tygodnia, ale to nie znaczyło, że pogoń za nią i jej mężem się skończyła. Miesiąc wcześniej wyznawcy kłaniali się jej do stóp i składali girlandy kwiatów na jej tronie. Teraz strażnicy patrolowali granice ośrodka, czujni na jej wszelkie próby odzyskania kontroli nad uczniami.



SERIA AMERYKAŃSKA

Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*
Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*
Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*
Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*
Johnny Cash *Cash. Autobiografia*
Allen Ginsberg *Listy*
Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*
William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*
Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia*.
Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary
Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*
S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni.Wzlot i upadek Komanczów*
David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*
Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*
Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*
Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*
Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z wężami w południowych Appalachach*
Rick Bragg *Jerry'ego Lee Lewisa opowieść o własnym życiu*

SCOTT CARNEY

ŚMIERĆ NA DIAMENTOWEJ GÓRZE

Amerykańska droga do oświecenia

Przełożyła Dominika Cieśla-Szymańska



Wołowiec 2016

Tytuł oryginału angielskiego *A Death on Diamond Mountain: A True Story of Obsession, Madness, and the Path to Enlightenment*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by The New York Times / East News

Redakcja Anna Brynkus-Weber

Konsultacja tybetologiczna Ewa Gajewska

Korekta Bernadeta Stępień / d2d.pl, Ewa Czernatowicz / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-287-5

Spis treści

Dla moich sióstr Laury i Allison

Umysł jest wszystkim; jak o sobie myślisz, takim się staniesz.

popularny cytat mylnie przypisywany Buddzie

Wszechświat składa się nie z atomów, lecz z opowieści.

Muriel Rukeyser

Od autora

Z jak wielką determinacją powinno się dążyć do poznania własnej duszy?

Zmagałem się z tym pytaniem przez większość ostatniej dekady, po wydarzeniu, za którego sprawą zrozumiałem, że intensywna medytacja może wywołać nieoczekiwane skutki. Między 1998 a 2006 rokiem przez mniej więcej trzy lata pałętałem się po Indiach, Tybecie, Nepalu, najpierw jako student w ramach programu zagranicznego, poznając folklor hinduski i tybetański, a potem mieszkając w hostelach dla backpackerów na plażach Goi i w górskich dolinach Katmandu. Później przerwałem studia doktoranckie z dziedziny antropologii, żeby poprowadzić program zagraniczny dla amerykańskich studentów, reklamowany w błyszczących folderach chwytliwym hasłem „Indie: od Brahmy do Buddy”. Cieszyłem się, że mogę być przewodnikiem młodych ludzi podczas ich podróży po nieznanym kraju.

Główną atrakcję programu stanowiło dziesięciodniowe odosobnienie w ośrodku medytacyjnym w miasteczku Bodh Gaja, miejscu, gdzie prawie trzy tysiące lat temu Budda osiągnął oświecenie, siedząc pod drzewem figowym. Odbyliśmy kurs wprowadzający zwany po tybetańsku *lamrim*[1], by dowiedzieć się więcej na temat karmicznego cyklu śmierci i ponownych narodzin i by wytworzyć w sobie postawę współczucia dla wszelkich żyjących istot. Jak nam powiedziano, może to być droga do osiągnięcia szczęścia w tym życiu – i być może oświecenia w następnym.

Zacząłem studiować buddyzm tybetański podczas swojej pierwszej podróży do Azji i dzięki temu znalazłem własne odpowiedzi na niektóre z najważniejszych życiowych pytań. Nacisk, jaki kładzie się w nim na śmiertelność, pomógł mi zrozumieć, że niezależnie od tego, co miałoby się z nami stać po śmierci, nasz czas

na ziemi jest cenny. Buddyści otwarcie rozważają kwestię śmierci i nauczają, że choć każde życie kończy się tragedią, sposób, w jaki wykorzystamy dany nam czas, nie musi być pozbawiony znaczenia. Każda chwila ma wartość, a medytacja to jeden ze sposobów, by uchwycić ulotność życia.

Na pierwsze siedem dni pobytu w ośrodku medytacyjnym składały się głównie ćwiczenia oddechowe i wykłady na temat tybetańskiej wizji świata. Ósmego dnia zrobiło się ponuro. Szwajcarsko-niemiecka mniszka, która była naszą instruktorką, poleciła nam, byśmy wyobrazili sobie, że jesteśmy rozkładającymi się trupami i że ciała wszystkich znanych nam ludzi to worki ludzkiego gówna. Ćwiczenie to, mające pomóc uczniom wytworzyć narzędzia psychiczne, które będą mogli wykorzystać w obliczu ostatecznej własnej śmierci, może się wydawać radykalne, ale medytacja tybetańska niekiedy posuwa się jeszcze dalej: praktyka zwana *czöd* polega na medytacji nad prawdziwymi rozkładającymi się zwłokami na cmentarzu.

Gdy skończyliśmy medytacje, rozmawiałem z jedną ze swoich studentek – błyskotliwą dwudziestojednoletnią ślicznotką z południa Stanów Emily O’Conner (nie podaję prawdziwych danych) – o jej wrażeniach[2]. Powiedziała, że było to najbardziej poruszające doświadczenie w jej życiu i że „może byłoby lepiej, gdybyśmy więcej milczeli”.

Tego wieczoru, podczas gdy inni studenci rozmawiali wesoło w sali do medytacji, Emily wspięła się na dach jednego z dormitoriów, owinęła sobie twarz szalem *khadi* i skoczyła. Jeden ze studentów, który właśnie szedł spać, znalazł ją leżącą twarzą w dół na chodniku. Według raportu koronera zginęła na skutek upadku.

Byłem odpowiedzialny za sprowadzenie jej ciała do Ameryki. W pewnym momencie podczas wszystkich procedur indyjska policja dała mi jej dziennik. Ósmego dnia pobytu w ośrodku zanotowała ozdobnym, starannym charakterem pisma: „Kluczem jest kontemplacja własnej śmierci”. A potem, kilka akapitów dalej: „Boję się, że uzyskam tę świadomość i zwariuję”. Jedne z ostatnich słów,

jakie napisała tak samo pewną ręką, brzmiały: „Jestem bodhisattwą” – oświeconą istotą, którą Tybetańczycy pragną się stać. Wierzyła, że jest na drodze do transcendencji.

To, że Emily, moja studentka, postanowiła odebrać sobie życie, można wyjaśnić na wiele sposobów. Może źle zrozumiała pojęcie oświecenia. Może miała zaburzenia psychiczne, które ujawniły się akurat podczas intensywnej medytacji. Wiedziałem tylko, że uznała się za bodhisattwę i że kontynuuje swą podróż w innym królestwie. Jednak ja, tu, na ziemi, obawiałem się, że oświecenie może nie być tym wszystkim, co obiecuje.

To doświadczenie zmieniło moje życie i przyczyniło się do tego, że zostałem dziennikarzem śledczym. Jak opisałem w książce *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci*, moja walka o to, by za pomocą lodu i płynu do balsamowania uchronić jej ciało przed nieuchronnym rozkładem, uświadomiła mi, jak cienka granica oddziela zwłoki od ciała żywego człowieka. Bez tej tajemniczej ożywiającej siły, przez niektórych nazywanej duszą, nasze ciała są niewiele więcej niż mięsem. Poza kontekstem życia to mięso jest w oczach świata swego rodzaju towarem. Przez następne pięć czy sześć lat podążałem za tym faktem do jego logicznych konsekwencji. Zostałem dziennikarzem i zająłem się badaniem rozwijającego się nielegalnego rynku zwłok i narządów.

Ale nawet podróżując śladem przestępców przez wiele krajów, często wracałem do pytania o to, dlaczego moja studentka odebrała sobie życie. Było mi bardzo trudno zrozumieć, w jaki sposób technika, która ma zmieniać nas w ludzi pełnych współczucia, mogła wywołać tak tragiczne skutki.

Gdy zginął Ian Thorson, który również praktykował medytację, tym razem w górach Arizony, zacząłem podejrzewać, że te transformacyjne techniki kryją w sobie jakąś tajemnicę. Śmierć Thorsona i śmierć Emily stanowiły bez wątpienia rzadkie przypadki – może nawet mieszczące się w średniej samobójstw i morderstw w danej populacji. Ale łączyło je osobliwe podobieństwo.

Czy w naukach buddyjskich jest coś, co doprowadza niektórych ludzi do szaleństwa? Czy milczenie może być szkodliwe? Czy w samym podejściu ludzi Zachodu do wschodniej duchowości jest coś, co czyni nas szczególnie podatnymi na wzniosłe oczekiwania? Być może podążanie za czymś większym niż my sami, jeśli stracimy nad tym kontrolę, popycha niektórych poza ostateczną granicę.

Zacząłem swoje śledztwo, podejrzewając, że odkryję ciemną stronę medytacji i jogi, dotychczas skrywaną przed światem. Może ludzie zaangażowani w nauki Wschodu chętniej składają negatywne wydarzenia na karb jednostki, a nie technik. Okazało się, że do pewnego stopnia tak właśnie jest. Ale odkryłem coś jeszcze dziwniejszego. Może zamiast myśleć o praktykach duchowych jako o czymś, co samo w sobie jest dobre albo złe, lepiej byłoby zastanowić się nad ich potencjalną siłą.

Cokolwiek wyzwala się w sali medytacyjnej, miejscu modlitwy czy studiu jogi, jest z pewnością bardzo osobiste, fizyczne, psychologiczne, jest też efektem wielkich procesów historycznych. Zawiera w sobie również element transcendentny, zasadniczy dla naszego człowieczeństwa.

Prolog

Jaskinia

Christie McNally, z włosami zwisającymi w tłustych splątanych strąkach, przyglądała się znużonymi piwnymi oczami dolinie, gdzie znajdował się ośrodek medytacyjny. Żółte światła latarek nie pojawiały się na tym terenie od co najmniej tygodnia, ale to nie znaczyło, że pogoń za nią i jej mężem się skończyła. Miesiąc wcześniej wyznawcy kłaniali się jej do stóp i składali girlandy kwiatów na jej tronie. Teraz strażnicy patrolowali granice ośrodka, czujni na jej wszelkie próby odzyskania kontroli nad uczniami. Jej białe szaty, od dawna brudne, były zapakowane w jeden ze szczelnych plastikowych pojemników ukrytych poniżej w jaskini, gdzie teraz mieszkali.

Gdzieś tam wciąż było kilku jej lojalnych uczniów. Napisała do nich wiadomość dziecinnym, okrągłym pismem. Jej walka stanowiła kolejny ważny moment w burzliwej historii tego miejsca. Ona i jej mąż Ian Thorson zostali wygnani ze swojego małego raju i zaszczuci, tak że zaczęli „mieć to straszne poczucie, że są zwierzyną łowną jak dzikie króliki albo jak kiedyś Apacze". Trafne porównanie. Sto pięćdziesiąt lat wcześniej Indianie uzbrojeni w strzelby i kradzioną amunicję obozowali na pobliskim grzbiecie górskim. Przyglądali się, jak w dolinie żołnierze Unii napełniają manierki w strumieniu Bear Spring, i czekali na najlepszy moment do ataku. Gdy żołnierze zaspokoili pragnienie, ściany kanionu rozbrzmiały echem strzelb Apaczów. Dwie kule trafiły w cel. Szeregowcy wykrwawili się w kilka minut, ich błękitne mundury zabarwiły się fioletem, a ziemia spijała ich krew równie chciwie jak wodę z upuszczonych manierek. Porucznik przeżył i opisał ich śmierć w raporcie, który przedstawił dowódcy w forcie Bowie, budowli o niskich murach z suszonej na słońcu cegły, znajdującym się kilkaset metrów dalej.

Te zabójstwa były tylko kolejnym incydentem w brutalnej walce, która szczególnie nasiliła się przez siedemdziesiąt pięć lat barbarzyństwa, zwanych przez zwycięzców wojnami indiańskimi. Pozostałości tej walki były jeszcze widoczne w dolinie w 2008 roku, kiedy McNally pomagała zbierać pieniądze, by kupić ten teren, nazwany później Diamond Mountain – Diamentową Górą. Bear Spring zamulił się i przestał płynąć na kilka miesięcy przed przybyciem buddystów. Niektórzy z miejscowych uważali, że to znak.

Kiedy McNally i Thorson przenieśli się do jaskini, uznali to miejsce za duchową pustelnię, co wpisywało się w tradycję wielkich himalajskich mistrzów. Ich plan był równie elegancki, jak ryzykowny: będą mieszkać w jaskini, aż osiągną oświecenie. Nie spodziewali się, że może się to skończyć ich śmiercią.

Ian Thorson był wtedy chudy. Zbyt chudy. Rany od noża na bokach i ramionach zagoiły się, ale teraz na czole miał świeże skaleczenie. Od jakiegoś czasu majaczył; w przypływie frustracji uderzył się w głowę kawałkiem twardego plastiku. To nie była jego wina, że cała sytuacja przestała mieć sens. Jego żona martwiła się, że pokaleczy się jeszcze bardziej. Ale zarazem był tak bliski wielkości.

McNally wiedziała, że kiedy Ian spojrzy na nią z materaca, który zaciągnęli do jaskini, nie zobaczy twarzy prostolinijnej dziewczyny wychowanej na przedmieściach Los Angeles, owocu romansu jej ojca z sekretarką. Nie zobaczyłby też sylwetki kobiety, z którą pomagał budować Uniwersytet Diamond Mountain, mający się stać dużym ośrodkiem medytacji buddyjskiej. Ani kobiety, z którą przez niezliczone godziny doskonalił skomplikowane pozycje jogi dla par i wykorzystując nawzajem swój ciężar, układał ciała w niemożliwe z pozoru konfiguracje. Z pewnością nie widział żony swego pierwszego guru i nauczyciela duchowego gesze Michaela Roacha, który wciąż trawiony zazdrością, nie mógł się pogodzić z ich kontrowersyjnym rozstaniem. Kiedy spoglądał w ciemniejący otwór jaskini, widział anioła z czystego białego światła. Christie McNally była jego kochanką i nauczycielką, oświeconą istotą, która zyskała

bezpośredni wgląd w naturę pustki oraz która go poślubiła i przeniosła jego udręczoną duszę od podstawowego zrozumienia świata na próg transformacji.

Była też jedyną nadzieją, że wyjdzie stąd żywy.

Nawet gdyby zdołał ustać na nogach, przy wzroście metr osiemdziesiąt trzy ledwo mógłby się wyprostować w tej jaskini. W ciągu dnia przez szczelinę na górze sączyła się strużka światła. Jaskinia była zastawiona wszystkim, co niezbędne, żeby przetrwać dłuższy okres. Były tam worki ryżu basmati, sprzęt i ubrania potrzebne zimą, latarki i słoje przypraw. Na haku wbitym w skałę wisiał niewielki instrument rytualny. Brzmiał jak jamajski blaszany bębenek i pomagał im wejść w stan medytacji. Mieli butlę gazową, wilgotne chustki higieniczne dla dzieci, taśmę klejącą, tybetańskie kadzidełka, filtr oraz ciężkie, czarne plastikowe worki pełne gratów. Nie mieli tylko tego, czego potrzebowali najbardziej: wody.

Niegościnne góry Chiricahua w południowo-wschodniej Arizonie obfitują w jadowite węże, pumy, kolczaste kaktusy, często zdarzają się tam lawiny skalne. Każde wyjście z jaskini było straszliwym wysiłkiem, wyczerpującym do utraty tchu. Od kiedy przybyli tam przed miesiącem, temperatura na zboczu góry zmieniała się co chwilę. Jednego dnia było tak gorąco, że topiły się podeszwy ich butów trekkingowych, a następnego dnia burza śnieżna pokrywała głazy, juki i karłowate dęby warstewką lodu. Gorące wiatry znad pustyni wysysały ostatnie resztki wilgoci.

Choć chłód dał im się we znaki, niedawną zamieć uznali za błogosławieństwo. Mogła ich ocalić przed odwodnieniem. Kiedy Thorson jeszcze miał trochę siły, zrobił z brezentu rynnę, by odprowadzać wodę z roztopionego lodu do pustej od dawna beczki. Pili z tego zaimprowizowanego zbiornika stojącego w jaskini, brudnego i pełnego gałązek.

Po niedługim czasie Ian poczuł się źle. Miał skurcze jelit, dygotał od gorączki. Wciągnął na siebie trzy swetry i wpełzł pod koc, żeby pokonać chorobę, ale to nie wystarczyło. Jego twarz, przedtem biała jak prześcieradło, teraz zrobiła się ciemnosina.

Mieli trzy rzeczy, które mogły powstrzymać chorobę. Przede wszystkim oczywiście moc modlitwy. Wcześniej wyryli na głazie tybetańskie słowa, żeby uświęcić to miejsce i oczyścić swoją duchową ścieżkę. Sylaby *om ah hung*, choć same w sobie pozbawione sensu, budziły w nich poczucie głębokiej więzi z ich guru, która według świętych tekstów miała odnowić ciała, mowę i umysły, a także zrównoważyć w ciele ośrodki energii zwane czakrami. Oprócz tych sylab mieli też książkę na temat Kali, hinduskiej bogini zniszczenia. Na okładce bogini z nagim torsem, odziana w spódnicę z odrąbanych kończyn, przyciskała do siebie obciętą głowę wroga. Kali to zajadła obrończyni swoich wyznawców, ale wiadomo, że każe sobie płacić krwią. Poza tymi dewocjonaliami była jeszcze jedna możliwość, ostatnia deska ratunku, na wypadek gdyby wszystko zawiodło: pomarańczowy plastikowy Satellite Personal Tracker, czyli SPOT, radiolatarnia, która mogła wysłać dwa ustawione wcześniej sygnały alarmowe. Gdyby Christie nacisnęła guzik z napisem „POMOC”, ich namiary GPS za pośrednictwem satelity geostacjonarnego dotarłyby do urządzeń odbiorczych znajomych i rodziny. Drugi guzik na urządzeniu, oznaczony „SOS”, wysyłał sygnał do miejscowego biura szeryfa.

Christie głaskała włosy Iana i myślała o tym, że choroba również może być lekcją. Czy wróci z progu życia i śmierci bogatszy o jakiś głęboki wgląd? Czy też ta podróż go zabije? Może w jego chorobie kryło się coś więcej. Było całkiem prawdopodobne, że rzucił na niego klątwę ktoś władający czarną magią. Przyjrzała się temu, co miała do dyspozycji. Mantra ochronna. Bogini Kali. Radiolatarnia ratunkowa.

Była to próba wiary, poniekąd konsekwencja tego, że ponad dekadę wcześniej jej nauczyciel Michael Roach wybrał ją sobie na partnerkę seksualną, a potem na żonę. Roach nie był pierwszym białym człowiekiem, który pojechał do Indii i wrócił, twierdząc, że osiągnął oświecenie, ale odegrał tę rolę lepiej niż ktokolwiek przedtem. Roach nadał Christie tybetański tytuł lamy i od tego czasu setki uczniów kłaniały się jej do stóp. Stała się dla nich żywą boginią

– rodzajem prorokini nowej odmiany buddyzmu, która dopiero zaczynała zyskiwać popularność w Stanach.

Teraz, gdy uciekli z ośrodka, lama Christie McNally musiała zdecydować, czy spróbuje uleczyć Thorsona swoją boską mocą, czy też odda to w ręce kogoś z zewnątrz, kto nigdy nie zrozumie, że droga do oświecenia nie zawsze jest prosta. Ani bezpieczna.

Gdy palec lamy Christie zawisł nad przyciskiem alarmu, stawką było coś więcej niż życie lub śmierć jej i męża. Stawką były ich dusze.

CZĘŚĆ I

Oświecone umysły

Pierwszy bodhisattwa

Przypowieść buddyjska

Dwa i pół tysiąca lat temu na spalonych słońcem równinach Indii pewien człowiek, który później będzie znany jako Budda, stanął przed wyborem. Miał trzydzieści pięć lat i przez ostatnie sześć spotykał się z najmędrszymi ludźmi w kraju, na próżno szukając najwyższej prawdy. Teraz siedział pod figowcem ze skrzyżowanymi nogami i z jedną ręką opartą na kolanach. Czubkiem palca odcisnął niewyraźny kształt na piaszczystej ziemi. Poświęciwszy niemal całe życie na medytację, głodówki i pielgrzymki do szacownych duchowych mistrzów, osiągnął coś, czego nie osiągnął przed nim nikt inny.

To był moment oświecenia.

Jeszcze przed sekundą nie znał odpowiedzi na wielkie pytania egzystencjalne. Dlaczego dobrzy ludzie umierają? Dlaczego na świecie jest pełno słabości i chorób? Dlaczego istnieje cierpienie? Ale świadomość, którą właśnie zyskał, ukazała mu ład wszechświata.

Teraz rozumiał, że wszelkie działania, kiedykolwiek dokonane, są ze sobą związane w niekończącym się łańcuchu przyczyn i skutków. Każda żyjąca istota odradza się w nieskończoność. Dobre uczynki w poprzednich wcieleniach oznaczają szczęście w obecnym. Złe uczynki mogą przynieść nieszczęście. Ten cykl akcji i reakcji mógł się powtarzać wielokrotnie, przez wiele żywotów, zanim się skończył. Takie było prawo karmy. Ono określało całą przyszłość i przeszłość.

Hindusi wiedzieli już coś o karmie. Ale była dla nich czymś innym: służyła do uzasadniania hierarchicznego systemu kastowego. Dobre uczynki w tym życiu mogły oznaczać lepsze życie w kolejnym wcieleniu. Ludzie u władzy wykorzystywali więc swoją wysoką pozycję jako uzasadnienie bliskości Boga. Ludzie stojący niżej w hierarchii zasłużyli na swój los. Budda dostrzegł w tym jednak głębszy wymiar. Człowiek mógł oczyścić swoją karmę i pewnego dnia

całkowicie wyrwać się z jej więzów. Stworzony przez niego ruch odrzucał system kastowy zbudowany przez jego poprzedników i wskazywał nowy kierunek.

Ta wiedza oznaczała władzę. Budda miał przed sobą różne drogi.

Był sposób, aby wydostać się z więzów karmy. Teraz, gdy posiadł ostateczną wiedzę na temat skutków i przyczyn, mógł się wyrwać z wiecznego kręgu ponownych narodzin i wejść w nirwanę. Gdyby to zrobił, zwyczajnie by zniknął, jego ciało po prostu by się roztopiło. Według najwyższej prawdy ten świat nie istniał naprawdę. Ludziom, których by zostawił, wydawałoby się, że opuścił go na zawsze i wkroczył do raju, gdzie wszelkie uczynki zależą tylko od niego. Stałby się jednością ze wszechświatem. To była przyjemna myśl, stanowiłoby to nagrodę za całe życie wysiłków i skupienia.

Ale było też inne wyjście. Mógł postanowić, że będzie żył w świecie i prowadził inne dusze ku oświeceniu. Lecz jeśli zostanie, nigdy nie przejdzie przez wrota nirwany, dopóki wszystkie inne żyjące istoty nie zostaną oświecone. To mogło zająć całą wieczność.

Nikt nie wie, ile czasu zabrało mu podjęcie tej decyzji. Ale Tybetańczycy wierzą, że został na ziemi. Jego świadomość uczyniła go buddą, istotą oświeconą, ale za sprawą swego wyboru stał się też bodhisattwą; tym słowem określano ludzi, którzy postanowili zostać. Od tego czasu było już wielu innych bodhisattwów i buddów. Byli też tacy, którzy osiągali podobną świadomość i zamiast zostać, przekraczali próg nirwany. Wszyscy zawdzięczają to wyborowi, jakiego dokonał Budda.

Kiedy skończył medytować, wstał i ruszył do miejsca, gdzie miał wygłosić pierwszą naukę przed gromadą zaciekawionych ascetów. Miejsce, które opuścił, zaczęto nazywać Bodh Gaja, co znaczy w hindi „tam, gdzie poszedł Budda”. Następnie zaczął objaśniać prawo karmy. A jego nauki miały dać początek jednej z najstarszych religii świata.

1

Oświecanie Ameryki

> Kiedy żelazny ptak wzleci w niebo, konie pobiegną na kołach, a Tybetańczycy zostaną rozrzuceni jak mrówki po świecie, dharma przybędzie do kraju czerwonego człowieka.
>
> słowa często błędnie przypisywane Padmasambhawie, VIII wiek

Większość z tego, co wiemy o życiu Buddy, istniała najpierw w postaci ustnej tradycji przekazywanej uczniom przez mistrzów. Dopiero czterysta lat po jego śmierci, w I wieku przed naszą erą, mnisi na Sri Lance po raz pierwszy spisali zebrane nauki Buddy na liściach palmowych. Ten wczesny kanon zapisany w niemal zapomnianym obecnie języku palijskim jest ezoteryczny, ale to najlepszy obraz życia Buddy i jego czasów, jaki mamy. Opowieści te, uwiecznione przez mnichów w celu zjednoczenia buddyzmu, mówią nam co nieco o życiu Buddy, ale też o samych opowiadaczach. Później, gdy te teksty zaczęły kształtować polityczny i kulturalny krajobraz Azji, buddyzm niósł ze sobą wiedzę gromadzoną przez stulecia. Każda epoka miała własną odmianę buddyzmu, każdy władca, uczony, cesarz i skryba dodawał do niego swoją perspektywę i interpretację starożytnej mądrości. Podobnie jest z buddyzmem współcześnie.

W pierwszych relacjach z Tybetu pisanych przez ludzi Zachodu pojawiały się przypuszczenia, że ceglaste szaty mnichów to pozostałość zaginionego odłamu chrześcijaństwa. W 1507 roku Martin Waldseemüller narysował mapę świata z chrześcijańskim krzyżem umieszczonym na Wyżynie Tybetańskiej. Było to jedno z pierwszych odniesień do mitycznego himalajskiego królestwa Shangri-La, jak mniemał Vespucci, siedziby Księdza Jana, chrześcijańskiego króla, rzekomo będącego potomkiem jednego z

trzech królów, którzy witali Dzieciątko. Kiedy w XIX wieku buddyzm dotarł do Ameryki, stało się to za pośrednictwem brytyjskich i rosyjskich kolonialistów, którzy przysyłali na Zachód osobliwe teksty i wizerunki bóstw unoszących się nad płatkami lotosu. W owym czasie Ameryka wciąż jeszcze nie podniosła się po kataklizmie, jakim była wojna secesyjna. Masakra na niespotykaną dotychczas skalę nadwątliła u wielu wiarę w Boga i zachwiała protestantyzmem. W całym kraju popularność zyskiwały nowe ruchy religijne. Szejkersi i mormoni założyli swoje ośrodki na północnym wschodzie i zachodzie. Ewangelikanie głosili nadejście apokalipsy. Popularność zyskiwały towarzystwa okultystyczne. Buddyzm i hinduizm były kolejnym dodatkiem do tego religijnego tygla. Pierwsi amerykańscy buddyści, oddaleni od pierwotnego źródła tej religii, wypełniali luki w wiedzy założeniami chrześcijańskimi. Podobnie jak w przypadku wielu innych religii pojawiających się na gruncie nowej kultury skutkiem był miszmasz idei.

Teraz, w XXI wieku, gdy ta wymiana kulturowa ma już kilkaset lat, maty do jogi, poduszki do medytacji oraz koraliki modlitewne stały się typowymi elementami amerykańskiej duchowości. Swobodnie żonglując pojęciami, myślimy o nirwanie jako o niebie, a o bodhisattwach jako o rodzaju aniołów. W ten sposób łączymy dwie bardzo różne historie i tradycje religijne. To pomieszanie pojęć prowadzi do niebezpiecznych wniosków: buddyzm naucza, że nirwanę można osiągnąć w ciągu jednego życia, a niektórym ludziom wychowanym na ideach chrześcijańskich, z zapałem wchodzącym w świat idei buddyjskich, może się wydawać, że niebo da się odnaleźć już na ziemi. Żaden inny rejon Azji nie jest osnuty tak romantycznym mitem jak niegdyś zakazane królestwo Tybetu.

Na podatnym na krótkotrwałe mody Zachodzie, który z zazdrością spogląda na wszystko, co tybetańskie, ale zarazem niemal ignoruje prawdziwe praktyki duchowe Wyżyny Tybetańskiej, produkuje się filmy, tworzy ośrodki medytacji, organizuje charytatywne koncerty rockowe, wydaje bestsellery od trudnych tekstów filozoficznych po poradniki psychologiczne i zawierające wskazówki, jak

„zbuddyzować” biznes. Można odnieść wrażenie, że niemal każdy próbował kiedyś jakiejś praktyki duchowej wywodzącej się z Azji, albo w formie kursu jogi, albo medytacji, albo powtarzając sylabę *om*, by się uspokoić. Obecnie w Stanach Zjednoczonych i Europie istnieje co najmniej tysiąc osiemset ośrodków buddyzmu tybetańskiego. Około osiemnastu milionów ludzi w Ameryce Północnej ćwiczy jakąś odmianę jogi w ośrodkach sportowych, prywatnych studiach i miejscach publicznych.

Dla wielu ludzi Wschód stanowi antidotum na zachodnią anomię, holistyczną przeciwwagę dla naszego chaotycznego życia. Wkładamy więc obcisły dres, zwijamy matę do jogi i uderzamy w poduszkę do medytacji tego samego dnia, kiedy wykłócaliśmy się o rachunek za komórkę z kimś z *call center* w Indiach. Wciąż szukamy azjatyckiej mądrości, by się skupić, odstresować i zyskać czas na zastanowienie się nad tym, o co chodzi w życiu. Wierzymy, że nauki, z których czerpiemy, są autentyczne i że stanowią klucz do jakiejś ukrytej prawdy.

Zapominamy jednak, że techniki, które praktykujemy współcześnie w przegrzanych albo klimatyzowanych salach do jogi, narodziły się w obcym kraju w epoce feudalnej, w której nowoczesny człowiek nie odnalazłby niczego znajomego. Pochodzą z czasów, kiedy księstwa prowadziły ze sobą wojny o drobne sprawy honorowe, o polityce społecznej decydowali kapłani, a wysłanie ośmiolatka na całe życie do klasztoru uważano za coś zupełnie zwyczajnego. Ludziom wychowanym w otoczeniu głównie chrześcijańskim pozornie łatwo drwić ze skandali związanych z molestowaniem i liturgicznej hipokryzji Kościoła, ale dużo trudniej dostrzec te same wady w tradycji, z którą nie są tak dobrze zaznajomieni. Wiele osób tylko mętnie zdaje sobie sprawę z długiej historii groteskowych świętych mężów i fałszywych guru, których filozofie, wyśmiane w Indiach, znalazły poklask w Ameryce i Europie.

Mimo to Wschód wydaje się proponować coś, czego brakuje na Zachodzie: metody łączące ćwiczenia fizyczne z poszukiwaniami

duchowymi. Joga, medytacja, oddychanie przez czakry i mantrowanie to potężne techniki fizyczne i umysłowe, które mogą mieć głęboki wpływ na zdrowie i samopoczucie. Same w sobie nie są ani dobre, ani złe, ale podobnie jak lek, który przepisany przez lekarza może uratować czyjeś życie, mogą również wyrządzić wielkie szkody. Tradycje, z którymi stykamy się na Zachodzie, pochodzą z obszaru całej Azji, z wielu tysiącleci, a my przyjmujemy je tak, jak gdyby były spójną całością, mieszając elementy hinduizmu, buddyzmu, konfucjanizmu i wszelkich innych wyraźnie odległych „religii Wschodu". Sposób, w jaki składamy te elementy w nową całość, więcej mówi o współczesnej Ameryce niż o ich pierwotnym źródle.

Żadne inne pojęcie wywodzące się z Azji nie przykuwa naszej uwagi tak jak „oświecenie". Angielskie słowo oznaczające „oświecenie" wywodzi się z czasów wielkiego rozkwitu intelektualnego, kiedy Europejczycy zabobonom i religii przeciwstawili racjonalność i naukę. Stało się to możliwe dzięki temu, że greccy i rzymscy uczeni okresu Odrodzenia odkryli starożytne teksty w archiwach Bizancjum. Renesans na nowo stworzył Europę, Oświecenie nadało jej szlif. Uczeni w Europie tłumaczyli zapomniane dzieła i odnajdywali wiedzę uważaną za zaginioną. Owi badacze tekstów odkryli obfitość dzieł literackich, a także zapomniane technologie takie jak cement czy optyka. Rezultatem była rewolucja techniczna i społeczna. Słowo „oświecenie" w sanskrycie – *bodhi* – implikuje prawdziwą wiedzę na temat świata. Pojęcie to, obecne zarówno w hinduizmie, jak i w buddyzmie, skupia się na radykalnej przemianie własnej jaźni, nie na aspiracji, by przeobrazić cały kontynent. Jednak słowo, którego używamy po angielsku, niesie ze sobą możliwość odrodzenia.

W Tybecie i Indiach *bodhi* to ideał, do którego można dążyć, ale raczej nigdy się go nie osiąga. To rodzaj doskonalenia duszy, umysłu i ciała, w którym każde działanie jest precyzyjne i znaczące. Dla Tybetańczyków najważniejszy jest sam proces. Z nieznanych powodów Amerykanie szukają spokoju wewnętrznego, jakby to była

rywalizacja sportowa. Na Zachodzie oświecenie jest celem, a nagrodą jest niebo albo stanie się bodhisattwą.

Dla tych, którzy nie znają tego terminu: w buddyzmie tybetańskim „bodhisattwa” oznacza istotę oświeconą, która zrozumiała prawdziwe znaczenie egzystencji tak głęboko, że mogłaby opuścić poziom eteryczny i przejść w nirwanę. W ten sposób istota uzyskuje niemal nieskończoną władzę nad światem materialnym. Bodhisattwa postanawia jednak zostać na świecie i pomóc wszystkim czującym istotom osiągnąć tę samą świadomość[3].

Nic dziwnego, że ludzie Zachodu często podejmują medytację ze zbyt wielkimi oczekiwaniami. Już od dzieciństwa nasiąkamy opowieściami o superbohaterach i Jedi, którzy dokonują wielkich czynów dzięki wrodzonym szczególnym cechom i intensywnemu treningowi. Słyszymy historie o lewitujących joginach, mocy czakr, tai-chi i twardych jak stal mnichach z Shaolin i myślimy sobie po cichu, że rzeczywiście wszystko jest możliwe.

Niektóre z tych opowieści są przynajmniej do pewnego stopnia oparte na faktach. Sama historia Dalajlamy była gotowym scenariuszem filmu. W 1933 roku Trzynasty Dalajlama zmarł w Lhasie i władzę przejął regent, którego najważniejszym zadaniem było przeczesywanie kraju w poszukiwaniu nowego wcielenia właśnie zmarłego przywódcy. Po proroczym śnie mnisi znaleźli w odległej prowincji Amdo chłopca o nazwisku Tenzin Gjaco. Pokazali mu tacę, na której – dla zmylenia wśród mnóstwa innych przedmiotów – były też przedmioty należące wcześniej do Dalajlamy. Ku ich radości chłopiec wybrał okulary swego poprzednika, wołając głośno:

– To moje! To moje!

Szybko zabrano go do Lhasy, po czym wychowano jako mnicha buddyjskiego i uznano za duchowego przywódcę kraju. Historię tę plastycznie przedstawiają nominowany do Oscara film *Kundun* oraz *Siedem lat w Tybecie* z Bradem Pittem, temat ten pojawia się także często w mniej ambitnych filmach.

Od niemal stu lat dorastamy, natykając się prawie nieustannie na wykorzystywane w kulturze masowej idee będące duchową własnością Tybetu. Hollywood zarabia na wszystkim, co tybetańskie, od czasu, kiedy Frank Capra nakręcił w 1937 roku adaptację powieści *Zaginiony horyzont*. W filmie kilku odważnych lotników z czasów I wojny światowej rozbija się w pobliżu mitycznej doliny Shangri-La. Jej mieszkańcy nigdy się nie starzeją i chronią zaginione tajemnice starożytnej cywilizacji. W innych powieściach sama wizyta w Lhasie albo w jakimś niedostępnym klasztorze może w niewyjaśniony sposób wyposażyć bohatera w niezwykłe moce. Kiedy profesor Moriarty zabił Sherlocka Holmesa w kulminacyjnym pojedynku, Arthur Conan Doyle w następnej książce przywrócił go do życia, wyjaśniając, że Holmes tylko na kilka lat udał się do Lhasy i Tybetu. A dzięki tej podróży jeszcze rozwinął swoje i tak już nadzwyczajne zdolności dedukcji. W 1986 roku po sukcesie *Gliniarza z Beverly Hills* Eddie Murphy, chroniąc oświeconego chłopca przed demonicznymi siłami ciemności, w filmie *Złote dziecko* zawędrował z Los Angeles aż do Katmandu. Kiedy Christopher Nolan na nowo zaczął eksploatować postać Batmana, w pierwszym filmie *Batman: Początek* wysłał Bruce'a Wayne'a na tybetański lodowiec. Młody superbohater po drodze do klasztoru na szczycie góry, gdzie mnisi mają uczyć go sztuk walki, znajduje magiczny błękitny lotos.

Za sprawą wysiłków George'a Lucasa Tybet wpłynął nawet na nasze postrzeganie przestrzeni kosmicznej – Ewoki w *Powrocie Jedi* mówią po tybetańsku, tylko w przyspieszonym tempie, a filozofia i sposób zachowania Yody są wzorowane na Dalajlamie. Luke Skywalker to chyba najbardziej archetypowy bohater, jaki kiedykolwiek powstał w Hollywood. Wychowany na farmie przyszły Jedi nie ma pojęcia, że jest jednym z ostatnich przekaźników mocy, jakie zostały we wszechświecie. Dzięki treningom z rozmaitymi samotnikami w długich szatach staje się mistrzem własnego przeznaczenia i wyzwolicielem miliardów dusz. Prawie dwadzieścia lat później Keanu Reeves na nowo zajął miejsce wybrańca w kinowym hicie *Matrix*, inspirowanym po części światopoglądem

buddyjskim. Grany przez niego Neo dowiaduje się, że świat, który widzi, to tylko iluzja generowana przez komputer, podczas gdy rzeczywistość to postapokaliptyczny koszmar, ale dzięki odrobinie koncentracji może zmieniać prawa fizyki, opanować kung-fu, a także, oczywiście, ocalić świat. Ta rola wynikała poniekąd z logiki Hollywood; sześć lat wcześniej Reeves zagrał oświeconego w filmie *Mały Budda*.

Religie Wschodu wydają się składać dwie całkowicie sprzeczne ze sobą obietnice. Zgodnie z pierwszą możemy ukoić nasz gorączkowy indywidualizm dzięki codziennym praktykom medytacyjnym, uważności i kontemplacji. Według drugiej obietnicy, kultywując bezinteresowność, możemy zyskać nowe zdolności, a zatem wzbogacić swoją indywidualność.

To dlatego, w przeciwieństwie do wielu religii Zachodu, filozofia na Wschodzie często jest powiązana z rygorystycznymi praktykami fizycznymi i duchowymi, które mają precyzyjnie kształtować naszą jaźń. Choć w różnych tradycjach daje się pierwszeństwo jednemu aspektowi czy technice, joga, medytacja, qigong, sztuki walki i wiele innych praktyk przyjęły się na świecie nie tylko dlatego, że są egzotyczne, ale także dlatego, że są skuteczne. Praktykujący nie trwonią czasu na bezcelowe poszukiwania duchowe, oni naprawdę przechodzą przemianę. Niezliczone weryfikowane badania pokazują, że regularna medytacja daje wiele różnorodnych pozytywnych efektów. Ludzie cierpiący na zaburzenia uwagi odnajdują skupienie, zobojętniali – empatię, a większość osób choć przez krótki czas ćwiczących jogę stwierdza przypływ energii i ogólną poprawę samopoczucia. Rygorystycznie prowadzone badania naukowe wskazujące na związek między stanem układu krążenia a medytacją prowadzono już w latach osiemdziesiątych. Nawet rząd Stanów Zjednoczonych dostrzegł te dobroczynne skutki – jogi i medytacji uczy się w więzieniach, by obniżyć poziom przemocy wśród osadzonych. W wielu programach ubezpieczenia zdrowotnego uwzględnia się wydatki na akupunkturę i reiki.

Ten trend jest tak wszechobecny, że na techniki związane z uważnością (*mindfulness*) można się natknąć nawet w korporacyjnych salach konferencyjnych. Kierownictwo wyższego szczebla w Dolinie Krzemowej głosi zalety medytacji kierowanej, która ma pomóc ich podwładnym rozwiązywać spory i stawać się lepszymi menedżerami. Uważni pracownicy lepiej wykorzystują swój czas i deklarują ogólnie większe zadowolenie z pracy. Techniki te pomagają się skupić na chwili bieżącej i pozbyć natłoku zbędnych myśli. Ćwiczenia fizyczne poprawiają siłę i poczucie równowagi – a więc same korzyści.

Obietnica oświecenia to jednak wielki skok naprzód nawet w stosunku do tych zalet. Nie chodzi tu o stopniowe doskonalenie. Oświecenie dokonuje się w jednej chwili, osoby przed tym doświadczeniem i po nim dzieli wyraźna granica. Jakby przeobrażony łaską Boga oświecony nagle uświadamia sobie prawdziwą naturę rzeczywistości, a ta wiedza już na zawsze umieszcza go na wyższym poziomie zrozumienia. Świat doczesny to iluzja. Według różnych tradycji po uzyskaniu tej pierwszej świadomości człowiek dążący ku oświeceniu doświadcza różnych zjawisk, zdarzeń, które prowadzą go do stanu ostatecznego – nieważne, czy nazwiemy go stanem buddy, nirwaną, mokszą, czy jakimś innym stanem transcendencji. Cokolwiek to jest, oświecenie to także doświadczenie. To rodzaj wiedzy mającej głęboko osobisty charakter, która nie poddaje się żadnej weryfikacji zewnętrznej. Sama możliwość takiej transformacji wymaga wiary. Opiera się ona naukowej weryfikacji i podważa samo pojęcie świata materialnego.

Jeśli założymy, że to możliwe, sam stan oświecenia stawia nas przed interesującym problemem. Co człowiek ma zrobić z czasem, jaki pozostał mu na ziemi, skoro uzyskał już najwyższą wiedzę na temat natury rzeczywistości? Czcigodni guru, którzy nauczają, że status i władza nie mają znaczenia, nadal muszą tkwić w doczesnym świecie. Gromadzą wyznawców, budują ośrodki i dzielą się swą wiedzą z wyniosłych tronów. Czy to hipokryzja, kiedy oświecenie

przyczynia się do powielania znanych już hierarchii? W jaki sposób budda ma pozostać w świecie, nie będąc jego częścią?

Nie ustajemy jednak w dążeniu do duchowego sedna, ponieważ często mamy poczucie, że przegapiliśmy jakąś istotną część siebie samych. Można żyć zgodnie z oczekiwaniami społeczeństwa, mieć żonę czy męża, wychowywać dziecko albo dwoje, pracować czterdzieści godzin tygodniowo plus nadgodziny, odkładać na emeryturę tylko po to, by u kresu swych dni odkryć, że nie udało nam się spożytkować danych nam lat w żaden sensowny sposób. Nie ma prostej recepty na szczęście, a choć większość z nas jest trybikami wielkiej machiny przemysłowego globalnego kapitalizmu, niektórzy nadal w bezsenną noc spoglądają w gwiazdy, zastanawiając się, po co to wszystko.

Ludzkość zapewne od zawsze rozmyślała o rzeczach większych od siebie samej. Kim jestem? I jaki jest sens życia? To być może najbardziej fundamentalne pytania, jakie możemy zadać. Oświecenie obiecuje, że uzyskamy na nie odpowiedź dzięki mistycznym doświadczeniom i samopoznaniu. Podręczniki duchowości, tworzone i spisywane w dziesiątkach różnych tradycji, proponują określone praktyki, które mają ukształtować ciało i umysł, tak by stały się narzędziami transformacji. Programy szkoleniowe przybierają wiele form i mogą się skupiać na radykalnej ascezie albo fizycznych rygorach, które wydają się absurdalne. Albo wręcz groźne.

To tak, jakby radykalne metody mogły przeobrazić kogoś od stóp do głów. Tymczasem okazuje się, że kontekstem zawsze jest życie. Niezależnie od tego, jak rygorystyczna byłaby dana technika, każdy zaczyna duchowe poszukiwania z własnego punktu w czasie i przestrzeni. Jeśli każda indywidualna droga jest inna, co to oznacza dla natury transcendencji?

Ludzie Zachodu, a być może zwłaszcza Amerykanie, mają skomplikowany stosunek do zagrożenia. Nasi bohaterowie to przedsiębiorcy i podróżnicy gotowi zaryzykować wszystko. Uwielbiamy historie takie jak ta o biznesmenie, który wydaje ostatnie sto dolarów na garnitur, żeby móc przedstawić wspaniały pomysł

mający zapewnić mu bogatego inwestora. Podziwiamy alpinistę, który kładzie swoje życie na szali, by wspiąć się na dotychczas niezdobyty szczyt. Kiedy jednak ryzykanci ponoszą porażkę, z mądrymi minami kiwamy głowami nad ich pychą. Porażka, a nawet śmierć, niekoniecznie jest dobrą miarą czyichś dążeń.

Ian Thorson tylko przez krótki czas był znany w kręgach buddystów, i to głównie ze względu na niezwykłe okoliczności śmierci, a nie za sprawą swoich działań za życia. Z pewnego punktu widzenia jego desperackie dążenie do oświecenia można uznać za oczywisty przypadek szaleństwa. Ale w cieniach jaskini, gdzie zmarł, można znaleźć tropy szczególnych powodów, dla których Amerykanie zaadaptowali wschodni mistycyzm do własnych celów. Co ważniejsze, poświęcenie się Thorsona rodzi pytanie: jak wiele można zaryzykować, by zerknąć za zasłonę boskości?

2

Pudło

> Jestem klaunem.
>
> Siedzę naprzeciw swojego rozmówcy. Obaj mamy na sobie garnitury.
>
> Zerka najpierw na włosy, które spadają mi na oczy, a potem na mój życiorys.
>
> Uśmiecham się z nadzieją, chwilę wcześniej umyłem zęby.
>
> Pytam: „Czy macie jakieś wolne miejsca dla gwiazdorów rocka?”.
>
> Ian Thorson, *Klaun*

Kay Thorson to dziarska i ruchliwa sześćdziesięciolatka o ogniście rudych włosach. Wciąż mieszka w dwupoziomowym mieszkaniu na wysepce między Manhattanem a Queens znanej jako Roosevelt Island. Jeśli nie ma się samochodu, do miasta można się stąd dostać z jedynej stacji metra linii F albo kolejką linową sunącą nad East River do Midtown. Podobnie jak wszystkie wyspy Roosevelt Island to osobny świat – tutaj akurat panuje atmosfera miasteczka, które miało być kurortem narciarskim, ale rozwinęło się zbyt szybko. Zanim New York State Development Corporation postanowiła założyć tu osiedle mieszkaniowe, było to peryferyjne śmietnisko miejskich projektów. Na wysepce, zwanej do 1971 roku Welfare Island, umieszczano więźniów, wariatów i chorych na ospę wietrzną, jest tu także samotny kościół i okazała gotycka latarnia. Bar Trellis, jedyny godny uwagi lokal gastronomiczny, wciąż sprzedaje jedne z najtańszych burgerów i frytek z patatów w mieście. Mieszkańcy twierdzą, że mają tu najlepszy widok w Nowym Jorku, bo niemal każdy może zobaczyć z okien rzekę. Właśnie tutaj dorastał Ian – w mieście, ale zarazem poza nim.

Kay Thorson siada przy stole kuchennym, na którym stoją metrowe lilie w szklanych wazonach. Za jej plecami widać półki

pełne abstrakcyjnych nowoczesnych rzeźb, popularnych w latach osiemdziesiątych. Rzeźby są z gliny, marmuru, drewna i metalu. Większość jest pomalowana na biało, z dodatkiem bladych kolorów, które wypełniają płaszczyzny i podkreślają krawędzie. Trudno je interpretować, ale wyglądają, jakby czuły się nieswojo, jakby miały ochotę zmienić się w coś innego. Ostatnio Kay ma twórczy okres i jeździ do warsztatu dziewięćdziesiąt kilometrów w górę rzeki Hudson. Swoje skromne środki wydaje na materiały takie jak rzadkie drewno i marmur. W innych okolicznościach Ian być może także byłby artystą.

Minął już niemal rok od jego śmierci, a Kay wciąż nie przestała szukać odpowiedzi. Choć wyprowadził się ponad dziesięć lat temu, z półek nadal wystają jego papiery i taśmy wideo, świadectwa poszukiwań czegoś, co wyjaśniłoby pociąg jej syna do spraw duchowych.

Gdy Ian dorastał, w domu nie mówiło się za dużo o religii. Ale kiedy zaczynam dopytywać, Kay mruczy coś o tym, że należała do Kościoła episkopalnego, i zmienia temat. To oczywiście niezupełnie prawda. Rodzina Thorsonów dawno temu zorientowała się, że są ludzie, którym przeszkadza obecność Żydów. W 1938 roku Ruth Karplus była na wakacjach w Pradze, kiedy naziści sięgnęli na południe i wschód w swoim morderczym dążeniu do powiększania terytorium i czystości rasowej. Jej kuzyni zginęli w Treblince, a Ruth dotarła do Nowego Jorku na pokładzie amerykańskiego statku towarowego. Ruth, podobnie jak jej córka, miała ognistorude włosy i głębokie piwne oczy o nieodpartym uroku. Po niedługim czasie wyszła za wybitnego chirurga. Z Austrii przywiozła miłość do nart i zrobiła karierę jako projektantka odzieży zimowej – sprowadziła do Stanów jeden z pierwszych elastycznych materiałów na stroje sportowe. Rodzina uwielbiała sport i Kay w dzieciństwie nie tylko jeździła na nartach, ale też surfowała u wybrzeży Long Island, a później w Kalifornii. Więc choć żydowska historia ich rodziny stanowiła zamkniętą część przeszłości, odnaleźli więź z otaczającym ich światem poprzez przyrodę.

– Ważna była dla nas woda – mówi Kay, biorąc do ręki ciężki plik zdjęć, i przegląda wyblakłe fotografie z dawnych rodzinnych wakacji.

Na zdjęciach Ian uśmiecha się szeroko, ma kręcone czarne włosy, jest umięśniony i postawny. Na jednym jako nastolatek stoi obok młodszej siostry Alexandry. Oboje są w kostiumach kąpielowych, trzymają deski surfingowe.

Rodzeństwo chodziło do słynnej Trinity School założonej w 1709 roku, najstarszej placówki edukacyjnej tego rodzaju w mieście. John McEnroe, Humphrey Bogart, Oliver Stone i Truman Capote – wszyscy byli uczniami Trinity, podobnie jak nieskończone legiony dzieci plutokratów z Wall Street. Absolwenci tej szkoły, już pobłogosławieni zamożnością i kapitałem społecznym, idą zwykle na jedną z uczelni Ivy League, a potem lądują na wysoko płatnych posadach, dzięki którym stać ich, by własne dzieci również posłać do Trinity, co w 2013 roku kosztowało trzydzieści dziewięć tysięcy dolarów za rok.

Nauczyciel Iana Bill Zavatsky, poeta, dziennikarz, a później zdobywca stypendium Guggenheima, chciał wykształcić w swoich uczniach instynkt pisarski i oceniał ich na podstawie samej objętości pisanych przez nich prac – po prostu licząc kartki.

Nawyk pisania pozostał Ianowi na całe życie. Od tego czasu zawsze miał w ręku długopis i zapełniał niezliczone strony refleksjami na temat świata. Pisał na serwetkach i w notesach, pisał też mnóstwo listów do krewnych, przyjaciół i licznych dziewczyn. Posługiwał się przy tym angielskim, hiszpańskim, francuskim i niemieckim – wszystkie te języki znał w pewnym stopniu. Niekiedy, gdy podejmował jakieś drażliwe kwestie, nagle zmieniał język, jakby chciał utrudnić zadanie swojemu biografowi. Zachowały się jego wypracowania i niezliczone wiersze, nagrania wideo i trzyipółcalowe dyskietki. Skrupulatnie przechowywał wszelkie kwity i dokumentował detale swojego życia z myślą o tym, że kiedyś napisze książkę. Zanim na dobre opuścił Roosevelt Island, dał pudło papierów i pamiątek matce, polecając, by wyrzuciła to wszystko na śmietnik. Praca całego życia nic już dla niego nie znaczyła, ale wiele

mówi to, że sam nie wyniósł tego archiwum do śmieci. Charakter jego pisma zmienił się przez lata od schludnych liter stawianych przez licealistę do niemal nieczytelnych bazgrołów. Tak jakby w pisaniu chodziło mu już nie tyle o komunikowanie, ile o wewnętrzne zmagania.

Pudło stało na półce wśród podobnych pudeł pełnych papierów, rachunków i szkiców już po tym, jak Ian wspiął się na żwirowe zbocze góry w Arizonie i zamieszkał w jaskini. Kilka miesięcy później Kay zdjęła pudło z półki i wyłożyła jego zawartość na biurko. Uzbrojona w nożyczki, zaczęła ciąć dokumenty, które jej się nie podobały – wycinała nazwiska i adresy e-mailowe, bolesne wspomnienia i niechcianych ludzi. Poświęciła na to wiele godzin, a może nawet dni, ale papierów było więcej, niż mogła przejrzeć. Archiwum, które pozostało, jest więc niekompletne. Niektóre dokumenty są komicznie podziurawione wycięciami w kształcie litery L, bo usuwała z nich nazwiska swojego byłego męża albo niezwykle kłopotliwej byłej dziewczyny Iana, ale te nazwiska i dotyczące ich szczegóły przetrwały cudem w następnych dokumentach. Kay wyczyściła dysk twardy ze zgromadzonych przez dziesięć lat e-maili od syna, wydawała się szczególnie czujna na wszelkie wzmianki o narkotykach lub seksie. Zwłaszcza w dokumentach z wczesnego okresu bardzo dużo pisał o jednym i drugim. Dopiero po kilku miesiącach od naszego spotkania Kay zdołała dostrzec w tym pudle to, czym było: obraz przeobrażeń psychiki Iana, gdy z ambitnego młodego człowieka zmieniał się w kogoś coraz bardziej pochłoniętego niezmordowanymi poszukiwaniami duchowymi. Dopiero wtedy pozwoliła mi wejść do swojego życia i zacząć badać to archiwum. Przez następne półtora roku byliśmy w niemal nieustannym kontakcie.

Kay popycha pudło w moją stronę i proponuje, byśmy razem przejrzeli jego zawartość.

– jestem ci potrzebna – mówi. – Nikt inny nie umie odczytać jego pisma.

Nie była to do końca prawda. Zapiski z dni, kiedy Ian czuł się dobrze, czyta się bez trudu, jednak dużo częściej odszyfrowywanie jego bazgrołów jest jak lektura w obcym języku. Przeglądanie materiałów Iana to dla Kay sposób, by zrozumieć decyzje syna i odnaleźć ład w chaosie, który po sobie zostawił.

Dokument, który lepiej niż wszystkie inne może wyjaśnić pociąg Iana do medytacji, to jeden z najstarszych tekstów w archiwum, z czasów, gdy miał zaledwie jedenaście lat. To rodzaj dyplomu, opatrzone numerem zaświadczenie, że ukończył cztery kursy Silva Mind Control [kontroli umysłu według Silvy], techniki medytacyjnej, która wyrosła z połączenia metod psychologicznych z lat czterdziestych oraz hipnozy, a w końcu stała się elementem duchowości New Age z lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Później nazwano ją Silva Life System i metodą Silvy, może po to, by brzmiało mniej złowrogo. Metoda Silvy, której celem jest zyskanie kontroli nad własnym ciałem i umysłem, łączy wizualizacje z gestami i ćwiczeniami umysłowymi. Silva radzi swoim uczniom, by codziennie medytowali. Trening służy temu, by umysł pokonał swoje słabości i osiągnął konkretne cele, podważając związki przyczynowo-skutkowe. Zgodnie ze światopoglądem Silvy problemy w świecie nie wynikają z czynników zewnętrznych, ale z indywidualnego postrzegania.

Silva naucza, że jeśli zdołasz zwizualizować swoje problemy w inny sposób, będziesz w stanie je pokonać. By schudnąć, wizualizujesz sobie szczuplejszą wersję samego siebie i wyświetlasz ten obraz na ekranie umysłu. By uśmierzyć ból głowy, postanawiasz, że zniknie, po czym odliczasz od tyłu, cały czas wyobrażając sobie, że ból opuszcza twoje ciało. Jeśli dzieci boją się potworów pod łóżkiem, zgodnie z tą metodą mogą je pokonać, wyobrażając sobie, jak wielkie potwory kurczą się, aż stają się tak małe, że mieszczą się w dłoni. Kto by się bał malutkiego straszydła? Według kolejnej techniki zwanej metodą trzech palców uczeń powinien złączyć palce środkowy, wskazujący i kciuk, gdy podejmuje jakiś zamiar i wizualizuje sobie określony cel.

Ten rytualny gest ma stworzyć most między umysłem a ciałem. W Indiach podobne symboliczne gesty nazywa się mudrami. Według nauk Silvy na wyższych poziomach możliwe stają się podróże astralne oraz uzdrawianie chorych na odległość. Jose Silva, twórca metody, twierdzi, że są to te same techniki, dzięki którym Jezus mógł chodzić po wodzie i leczyć nakładaniem rąk. Podobnie jak w przypadku wielu innych samozwańczych świętych mężów historia Silvy świadczy zarówno o jego przedsiębiorczości, jak i o otwartości na nieznane. Urodził się w 1914 roku w Laredo w Teksasie, w rodzinie meksykańskich imigrantów. Nie zdobył żadnego wykształcenia, ale w młodości pracował jako uczeń w zakładzie naprawy urządzeń elektrycznych. Lubił majsterkować i wymyślać nowe urządzenia. W końcu jego firma się rozrosła, a on przeniósł swoje zamiłowanie do eksperymentów na religię, psychologię i parapsychologię, po drodze tworząc autorską metodę. Po jakimś czasie zaczął przypisywać swoje powodzenie wielkim możliwościom własnego umysłu. Z ogromnym przekonaniem głosił, że ktokolwiek, kto zacznie myśleć w odpowiedni sposób, może rozwinąć w sobie nadzwyczajne zdolności i odnieść sukces w biznesie, miłości i życiu.

Materiały z kursu Silvy nie przetrwały czystki przeprowadzonej przez matkę Iana, ocalała za to malowanka, którą w ramach tego samego kursu kolorowała wiele lat później siostra Iana Alexandra. Plamy żółci, różu i czerwieni starannie wypełniają blade rysunkowe sylwetki z pastelowymi aureolami energii wokół głów.

Trudno powiedzieć, co Ian sądził o tym kursie. To, co być może napisał, przepadło, ale owo wczesne doświadczenie mogło stworzyć grunt pod późniejsze ezoteryczne decyzje. Po śmierci Iana Kay wyrzuciła jego kolorowankę.

– Nie mogłam na nią patrzeć. Niedobrze mi się robiło – mówi. – Tylko jedno mi się w tym podobało. Silva miał świetną metodę pomagającą w razie problemów ze snem. Wciąż ją stosuję – dodaje później i opowiada, jak skupia się na swoich palcach i wtedy zaczyna czuć się senna.

Kiedy Ian był w szkole średniej, mimo szczupłej budowy nabrał mięśni dzięki pływaniu na desce z wiosłem przez wzburzone fale wybrzeża stanu Nowy Jork. Miał szerokie ramiona, niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu i słabość do czarno-białych półbutów zwanych Oksfordami, które wydawały się bardziej pasować do poprzedniej epoki. Dzięki swojej urodzie łatwo zyskiwał sympatię dziewcząt w Trinity. Pod względem fizycznym był idealny, z wyjątkiem wzroku – jako krótkowidz musiał wybierać między okularami a soczewkami kontaktowymi, a wada stopniowo się powiększała. Nie pociągały go nauki ścisłe, interesował się raczej literaturą; w gazetce szkolnej drukował wiersze wychwalające matkę naturę.

Był związany z rodziną, systematycznie odwiedzał babcię, która mieszkała w objętym kontrolą czynszów mieszkaniu przy Park Avenue z drugim mężem Hansem. Oboje regularnie do niego pisali, u nich też mógł się schronić, kiedy nie wytrzymywał z rodzicami. Gagi, jak nazywano matkę Kay, poświęcała mu mnóstwo uwagi, słuchała jego wierszy i zachęcała do podróży, by zobaczył jak najwięcej świata. Z tekstów z okresu szkoły średniej wyłania się mniej wyidealizowane ja, być może typowa osobowość ukształtowana przez zróżnicowane wpływy nowojorskiego tygla. W jednym z dzienników tego okresu pisze: „Niektórzy z moich kolegów z miasta wolą sprzedawać narkotyki zamiast Big Maców".

Ojciec chrzestny Iana, Jan van Beusekom, miał w Genewie niewielkie gospodarstwo, dokąd rodzina czasem jeździła latem. Jan pracował jako zarządca kolonialny dla Holendrów w Indonezji – nadzorował warunki, w jakich pracowali w fabryce lokalni robotnicy, Ian tak pisał o jego pracy w koloniach: „Zachodni przedsiębiorcy, silniejsi ekonomicznie, nie napotykali żadnego oporu ze strony biedniejszych miejscowych". W przekonaniu Iana Jan był barierą na drodze szalejącego kapitalizmu. Był człowiekiem czynu i postacią ojcowską. Od niego Ian nauczył się mówić płynnie po francusku i podziwiał go jako wzór moralny, kogoś, od kogo przejął pogląd, że „troska o innych to troska o samego siebie". Po jakimś czasie przejął

też jego bardzo krytyczne opinie na temat amerykańskiego imperializmu i dyplomatycznej agresji. W liście, w którym Ian – co rzadkie – zastanawia się nad swą przyszłą karierą, pisze, że za przykładem Jana poświęci się sprawiedliwości społecznej.

Jan całkowicie różnił się od Toma, ojca Iana. Relacje między nim a Ianem były napięte, tak jak często bywają między ojcami a synami. Listy, które wymieniali, nierzadko dość sztywne, wypełniały instrukcje, Ian prosił ojca, żeby przesłał mu ten czy inny urzędowy formularz, a w zamian dostawał radę dotyczącą jakiegoś przedsięwzięcia, które akurat pomogłoby mu w karierze. Nigdy nie wspominano o jednej sprawie: o tym, jak koszty szkoły, a potem studiów dwojga dzieci odcisnęły się na rodzinnych finansach. Chociaż Tom był prawnikiem, najwyraźniej skłaniał się ku różnym pomysłom na szybkie wzbogacenie się, żeby jakoś związać koniec z końcem. W pudle z dokumentami znajdowała się jego bogata korespondencja z firmą Laughlin Associates specjalizującą się w tworzeniu rajów podatkowych i firm, których pozwanie do sądu jest prawie niemożliwe. Tom sądził, że taka ochrona mu się przyda, jeśli pomysły, które zamierzał urzeczywistnić, nie wypalą.

Ianowi, uczniowi jednego z najlepszych prywatnych liceów w kraju, nie było trudno dostać się na Uniwersytet Stanforda, gdzie uczęszczał na intensywne kursy sztuk pięknych i literatury. Na pierwszym roku wstąpił do bractwa Taxi, najlepiej znanego wśród studentów z imprezy w stylu *Opowieści z tysiąca i jednej nocy*, której uczestnicy przebierali się w powiewne jedwabne piżamy niczym w średniowiecznym haremie. Saulowi Kato, współlokatorowi Iana na drugim roku, nie poszczęściło się w losowaniu mieszkań i obu zesłano do najgorszej kwatery w budynku, z jedną sypialnią.

– Ian lubił ciemne miejsca i zgodził się spać w garderobie – opowiada Kato.

Taki układ pozwalał na pewien stopień prywatności podczas nocnych randek, z czego obaj korzystali.

Podczas gdy większość studentów Stanfordu nosiła zapięte pod szyję koszule i przygotowywała się do kariery godnej boomu Doliny

Krzemowej końca lat dziewięćdziesiątych, Ian zachowywał się, jakby należał do bohemy. Jeździł po kampusie na rolkach, przecinając ścieżki rowerowe i wjeżdżając do ceglanych budynków wykładowych. Podobnie jak wielu innych studentów eksperymentował z narkotykami, zwłaszcza halucynogennymi – grzybami i lsd – a także z marihuaną. Kobiety lgnęły do niego, a on wdawał się w liczne dłuższe i krótsze związki. Być może podobała im się mistyczna strona jego osobowości.

– Ian zawsze był poszukiwaczem – mówi Kato, wspominając, że Thorson szukał na równi tego, co nowe i co duchowe, chociaż na tamtym etapie nie było w tym jeszcze systematyczności.

Na pierwszym roku studiów Thorson poznał Ceren Osman (nazwisko zmienione), ciemnooką Turczynkę, która szybko zawładnęła jego sercem. Byli ze sobą kilka miesięcy, kiedy pewnego wieczoru znalazła go zupełnie samego w sali komputerowej, zgarbionego nad ekranem, który rzucał białą poświatę na jego twarz. Czcionka była tak duża, że mogła przeczytać to, co pisał, z drugiego końca pomieszczenia.

– Wtedy właśnie powiedział mi, jak dużą ma wadę wzroku – wspominała.

Nie chciał, żeby ludzie wiedzieli, jak poważne są jego problemy ze wzrokiem, więc siadał do pracy, kiedy wszyscy spali. Wstydził się tej słabości i próbował ją ukryć. Ponieważ czuł się przytłoczony przez ciężkie okulary, niekiedy próbował radzić sobie bez nich i poruszał się po kampusie niemal na oślep. Czasem skutki były komiczne, kiedy mrużył oczy, próbując rozpoznać punkty orientacyjne po drodze, wpadał na kubły na śmieci i inne przeszkody. Być może lubił surfing między innymi dlatego, że w morzu duże kształty przemieszczały się w przewidywalny sposób i rzadko zdarzały się twarde przeszkody.

– Najszczęśliwszy był wśród przyrody, kiedy jeździł na nartach albo surfował, kiedy rozpoznawał sylwetkę fali albo szlak, ale nie musiał się martwić o szczegóły – wspomina Osman.

Jego wrażliwość sprawiła, że zaczęła się zastanawiać nad własnymi wartościami.

– Jest takie tureckie powiedzenie: „Kocham cię tak, że mógłbym cię zabić”. Tak naprawdę wciąż nie wiem, co znaczy&– mówiła, kiedy udało mi się do niej dodzwonić. – Ale kiedv powiedziałam tak do Iana, był wstrząśnięty i zaczął płakać.

Pytał, dlaczego chciałaby go zabić. Sama myśl o przemocy, zwłaszcza ze strony kogoś, kogo kochał, zmroziła jego duszę. Osman długo go potem tuliła i postanowiła, że już nigdy tak nie powie.

– Ian w ogóle był bardzo wrażliwy na przemoc. Jeśli widział coś takiego, nawet w filmie, odwracał się i był nieszczęśliwy.

Jak to często bywa ze studenckimi miłościami, Ian i Ceren w końcu się rozstali, ale starali się nie tracić kontaktu. Obiecała mu, że jeśli kiedykolwiek odwiedzi Turcję, jej rodzina z radością go ugości.

– On czegoś szukał, i to było w nim na długo, zanim zajął się medytacją, jogą i tego typu sprawami – wspomina inny członek bractwa Mike Oristian, który razem z Ianem jeździł samochodem ich kumpla Jamiego nad pobliską Half Moon Bay, gdzie cała trójka surfowała przed zajęciami. – Był dobrym surferem. Nikt by się tego nie spodziewał po gościu, który mieszkał i chodził do liceum w Nowym Jorku.

Wszyscy trzej uwielbiali tacos z rybą, zimne piwo, idealne fale i kobiety.

„Dobra energia i dobre czasy mogły nakręcić każdego, ale chyba już wtedy wiedzieliśmy, że Ian zawsze będzie miał inne podejście do sprawy, że nie będzie tańczył, jak mu zagrają, jakkolwiek banalnie to brzmi”, napisał mi w e-mailu.

Na zajęciach z kreatywnego pisania Ian lubił przekraczać granice stosowności. Nie jest jasne, czy był doświadczonym hedonistą, czy tylko idealizował takie przeżycia jako atrybut młodości. Seksualność była tabu, ale była też podniecająca. We fragmencie prozy zatytułowanym *White Lines* [Białe linie], opublikowanym w kwartalniku uniwersyteckim, opisywał prostytutkę, która wciąga kokainę z pękniętego lustra przez zwinięty banknot stumarkowy. Gdy

jego bohater Rilario już wystarczająco się naćpał, „[...] wszedł na nią. Rozłożyła nogi. Doszedł. Patrzyła na padający na sufit blask światła lampy odbitego w oczyszczonym odłamku lustra. Stoczył się z niej. Westchnęła z ulgą”. Opowiadanie kończy się w przygnębiającym grzęzawisku zmarnowanej niewinności. Do tego tematu wracał wielokrotnie.

Przygotowując pracę dyplomową poświęconą komparatystyce, Ian zwrócił się do wybitnego wykładowcy i teoretyka literatury Hansa Ulricha Gumbrechta, by był jego mentorem, chociaż nigdy nie chodził na żadne jego zajęcia. Zgodnie z wytycznymi wydziału praca miała być „pracą doktorską w miniaturze”; z początku Gumbrecht zastanawiał się, czy pracować z nieznanym sobie studentem. Ian jednak odznaczał się wdziękiem i kiedy zapukał do drzwi profesora, wyjaśnił, że chce badać związki między odurzeniem a duchowością w literaturze XIX wieku.

Przez ten rok Ian zyskał sobie uznanie Gumbrechta, wykazał się dużą zdolnością do przyswajania złożonych idei i przelewania ich na papier. Przeprowadzał ryzykowne eksperymenty pisarskie, przekraczając granicę między bezosobowym stylem akademickim a prowokacyjnymi obrazami, które miały podważać opinie czytelnika. Mierzył się z Nietzschem, Freudem i Baudelaire’em. Czerpiąc z ich tekstów, dowodził, że Europejczycy XIX wieku próbowali pojąć boską energię na dwa sposoby. Na początku przez teatralne seanse, podczas których hipnotyzerzy zdumiewali publiczność iluzjami i salonowymi sztuczkami. Kiedy widzowie patrzyli na niemożliwe do wyjaśnienia iluzje, hipnotyzerzy sugerowali, że to skutek działania tajemniczych sił.

Jednak gdy rozmaite pokazy zostały zdemaskowane jako oszustwo, filozofowie i sztukmistrze zajrzeli w głąb i zaczęli eksperymentować z opiatami, alkoholem i halucynogenami, których stosowanie stało się wówczas po raz pierwszy czymś powszechnym. Substancje chemiczne otwierały drzwi do nowych doznań dających niektórym poczucie bliskości Boga, Ian porównywał dziewiętnastowieczne szaleństwo na punkcie substancji odurzających

z rewolucją hippisowską lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Jego zdaniem w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy pisał swoją pracę, narkotyki już straciły swój blask dla poszukiwaczy duchowych.

Zgodnie z główną tezą jego pracy dowody na boskość wahają się między dwoma biegunami: zjawiskami zewnętrznymi, których nie da się łatwo wyjaśnić – w każdym razie nie jest w stanie zrobić tego publiczność seansu – i doświadczeniami wewnętrznymi, uzyskiwanymi dzięki substancjom odurzającym. W obu przypadkach spirytyści próbowali stworzyć warunki sprzyjające doznaniom mistycznym. Widać w tej pracy napięcie, jakie tworzą własne przekorne pragnienia Iana, by upajać się przekraczaniem tabu.

Pisze: „Niezależnie od tego, czy moje spostrzeżenia na temat odurzania się w XX wieku są trafne, gdybym wspomniał, że przed napisaniem tej pracy wciągnąłem trzy ścieżki kokainy, czytelnik niewątpliwie co najmniej pokręciłby głową. Granica między trzeźwością a odurzeniem w XX wieku jest nakreślona nieusuwalnym atramentem”.

Praca ta wywarła na Gumbrechcie wystarczające wrażenie, by ją zaliczyć; opatrzył ją jedynie kilkoma uwagami dotyczącymi ogólnej spójności. W swoich komentarzach profesor zastanawiał się nad tym, jak będzie wyglądała przyszłość Iana. „To bardzo inteligentny młody człowiek, który dzięki swoim uzdolnieniom może zajść niesłychanie daleko. Ale może też nigdy nie odnaleźć swego miejsca w »prawdziwym życiu«”.

Z tą przestrogą Ian wyruszył w świat, który wydawał się idealnym miejscem dla świeżo upieczonego absolwenta Stanfordu. Latem 1995 roku inwestorzy kapitału wysokiego ryzyka kręcili się po uczelni, mając nadzieję nawiązać kontakty z przyszłymi twórcami pomysłów wartych miliardy dolarów. Wykładowcy namawiali studentów, by zakładali własne firmy. Sergey Brin i Larry Page właśnie zaczęli studia doktoranckie, a ich badania nad algorytmami wyszukiwania miały ich doprowadzić do założenia firmy Google.

Współlokator Iana Saul Kato, który studiował fizykę, dałsię skusić łatwymi pieniędzmi. Zaledwie dwa lata po dyplomie założył firmę zajmującą się grafiką komputerową i podobnie jak inni obrazoburcy ze Stanfordu, mieszkał i pracował w wynajętym magazynie, zanim przeniósł się do eleganckiego biura. W ciągu kilku lat zrobił błyskawiczną karierę, zakładając, a potem sprzedając kolejne start-upy. Po drodze zatrudniał znajomych z bractwa Taxi, by pomóc im w karierze. Inni koledzy wpadli w mgławicowy, ale intratny świat konsultingu. Lądowali na posadach w wartych miliardy dolarów firmach takich jak Oracle i Accenture, na tyle zasobnych, by zatrudniać studentów jedynie na podstawie dyplomu z odpowiedniej uczelni.

W pewnym momencie przed ukończeniem studiów wydawało się, że Ian też może mieć dryg do biznesu. Na ostatnim roku zamówił hurtem kilkaset koszulek i metodą sitodruku ozdobił je nadrukami. Miały przyciągnąć uwagę studentów drugiego roku, popijających piwo z plastikowych kubków na wszelkich zaimprowizowanych imprezach bractwa. W ciągu kilku miesięcy zgarnął ponad dwa tysiące dolarów. Jednak podczas gdy jego koledzy zapewne wykorzystaliby ten sukces i zainwestowali zyski, weszli w branżę techniczną i it, by wreszcie uzyskać niezależność finansową, Ian miał inne plany. Za te pieniądze kupił bilet w jedną stronę do Europy. To był kapitał początkowy jego podróży po świecie. Stamtąd zamierzał podążać dalej na wschód.

Przed wyjazdem spędził kilka tygodni w Montauk u swojej rodziny. Dom przy plaży był piętrowy, z dwuspadowym dachem, z nielicznymi oknami i prostym rozkładem pokojów. Rodzina Thorsonów trzymała tam kolekcję desek surfingowych, swoim kombi o częściowo drewnianej karoserii mogła stamtąd szybko dojechać na plażę, Ian wysłał rodzicom entuzjastyczny telegram, w którym informował o swojej wyprawie. Przedzierał się przez labirynt wiz, pozwoleń i szczepień, które miały być mu potrzebne przy przekraczaniu kolejnych granic. W liście do babci dziękował jej za hojny prezent z okazji dyplomu i kreślił plany podróży przez Europę,

Rosję, Turcję, Indie, Indonezję, Japonię i Stany od Kalifornii do Nowego Jorku. Kay pamięta, jaki był podekscytowany przed tą wielką wyprawą.

– Żeby pojechać w tę podróż, oszczędzał to, co zarobił, dostał też trochę od rodziny, niedużo, ze sto dolarów. Odkładał to, co dostawał na urodziny i tak dalej. Postanowił, że będzie pracował, i rzeczywiście zatrudniał się tu i tam, dokładał się do kwatery i do wyżywienia, pisząc albo tłumacząc przez pół roku w jednym miejscu, jeśli udało mu się znaleźć takie zajęcie – opowiada, wspominając, ile było w nim optymizmu.

Podobnie jak wielu podróżników przed nim Ian miał nadzieję odnaleźć, a może i przeobrazić siebie w obcych krajach. Z rodziną kontaktował się tylko listownie albo wysyłał faksy. W archiwum są dziesiątki jego listów z tej wyprawy dookoła świata; większość rozpoczynają podziękowania za nieustanne finansowe wsparcie od bliskich. Czasem prosi w nich o pomoc przy pokonaniu takiej czy innej biurokratycznej przeszkody. Listy przychodziły opatrzone zniszczonymi znaczkami w niezwykłych walutach – z Bułgarii i Petersburga, Irlandii i ze Stambułu, z Genewy i Maroka, Transylwanii i Sofii, gdzie mieszkała jego była dziewczyna.

Podczas pobytu w Karpatach trafił na zrujnowany klasztor, gdzie miał nadzieję znaleźć łaskę wśród ludzi szczerze oddanych Bogu. Chodząc po mieście, w anglojęzycznej księgarni w dziale podróżniczym natrafił na zniszczony egzemplarz książki podróżniczki, teozofki i mistyczki Alexandry David-Néel. W połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku chińskie władze zwykle nie zezwalały cudzoziemcom na wjazd do Tybetu, ponieważ prowadziły wtedy brutalną kampanię, próbując zdławić wszystko, co tybetańskie. Opowieści David-Néel, której w przebraniu pielgrzyma udało się w 1916 roku przedostać do Tybetu, zafascynowały Iana. W czasie swojego pobytu spotkała mnichów mieszkających w odległych jaskiniach w Himalajach, opowiadała też o tym, jak przeszła magiczne inicjacje podczas tajemnych ceremonii spowitych kłębami dymu. Przekraczała granice w epoce, kiedy kobiety zwykle nie miały

takich możliwości, i pokonywała wszelkie przeszkody. W najwyższych górach na ziemi odnalazła coś wyjątkowego.

Ian ślęczał nad jej książką w ciemnych klasztornych izbach i próbował umieścić to, o czym czytał, w chrześcijańskim kontekście. Surowa reguła, w jakiej żyli mnisi, była odpychającym zestawem bezmyślnych rytuałów, podczas gdy odkrycia David-Néel wydawały się pierwotne i czyste. Mnisi modlili się, a potem pracowali przy utrzymaniu klasztoru, jedli, po czym znów się modlili. Co w tym było zabawnego? Niekończąca się monotonna praca w żaden sposób nie pobudzała jego duszy, Ian wykręcał się od udziału w wieczornych mszach. Nie zdawał sobie sprawy, że jego nieobecność oburzy mnichów. Szeptali, że niepokój Iana może być znakiem głębszych problemów duchowych, jeden z braci zastanawiał się otwarcie, czy Thorson nie jest opętany przez diabła. „Obiecali, że obudzą mnie o północy na specjalną mszę, która miała mi pomóc rozwiązać problemy z opętaniem”, pisał w liście do rodziny. Czu jąc się nieswojo jako naznaczony diabelskim piętnem, spakował plecak i w nocy odszedł z klasztoru zaśnieżoną drogą.

Klasztor znajdował się w Transylwanii, gdzie ludzie wierzyli, że nocami po drogach włóczą się wilki, niedźwiedzie i złe duchy, dlatego też nieustannie oglądał się za siebie. W końcu trafił na inny klasztor, którego przeor nie słyszał o jego duchowych dolegliwościach, więc pozwolił mu się tam zatrzymać. Mimo tej gościnności to był koniec jego flirtu z chrześcijaństwem. Jak pisał w swoim liście, to doświadczenie nauczyło go „bać się fanatyzmu i podchodzić do religii sceptyczniej i ostrożniej”.

Nadal podążał na wschód. Ponury etap jego podróży nastąpił kilka miesięcy później, kiedy wsiadł do pociągu, który miał go zawieźć do Tadżykistanu. Z Samarkandy w Uzbekistanie – jednego z najstarszych stale zamieszkanych miast na ziemi – miał zamiar jechać dalej przez kontynent. Byłe republiki radzieckie nie podniosły się jeszcze po walkach o władzę, pokłosiu zimnej wojny. Konflikty etniczne i zbrojne rozbrzmiewały w powietrzu odgłosem strzałów, na zwykłym posterunku milicjant wymusił od niego pieniądze. Myśląc o

dalszej drodze przez Azję, po raz pierwszy poczuł dreszcz własnej śmiertelności.

W następnym mieście spotkał małego Tadżyka, który próbował porozumieć się z nim gestami, Ian zastanawiał się, dlaczego chłopiec jest sam, i zapytał, gdzie jest jego rodzina. Dziecko przesunęło palcem po gardle i pokazało podskakiwanie karabinu maszynowego. Ian napisał do Jana, że to był „powszechny gest oznaczający, że kogoś zabito z broni maszynowej". Trudno mu było pojąć tak bezsensowną przemoc, a trauma tego dziecka odcisnęła się mocno na jego psychice. „Nie mogę powiedzieć, że mnie to nie dotknęło. Podważyło to moją wiarę w naturę ludzką. Nigdy nie myślałem, że ten chłopiec z Nowego Jorku będzie kiedykolwiek czuł się nieustannie tak zagrożony".

Te spotkania sprawiły, że przemyślał swoje plany – pierwotnie zamierzał przejść przez górskie przełęcze Afganistanu, państwa pod kontrolą talibów. Zawrócił jednak i kupił bilety na lot z Taszkentu. Wiele godzin później uzbecki samolot pasażerski wylądował w New Delhi, na rozpalonej słońcem równinie Gangesu. Pustynia Thar rozciąga się tam na setki kilometrów na południe i zachód od stolicy Indii, na obszarze byłego księstwa Radżasthanu, i wysysa ostatnie resztki wilgoci z atmosfery. Rozgrzane prądy powietrza tworzą ogromne piaskowe wydmy, które zasypują wyschniętą ziemię i zakrywają miasto nieprzeniknionymi chmurami pyłu. Mieszkańcy Delhi nazywają te cykliczne wichury *loo* i zamykają przed nimi drzwi. Niektórzy twierdzą, że *loo* przynosi złe wieści.

By uciec przed upałem, Ian pojechał na północny wschód, do podnóża Himalajów. Książka David-Néel sprawiła, że był ciekaw tybetańskich nauk, słyszał też, że Dalajlama ma przewodniczyć ważnemu zgromadzeniu w małym przyklasztornym miasteczku Tabo. Kupił więc bilet na poobijany autobus i ruszył tam nierównymi, krętymi górskimi drogami.

Klasztor mnichów buddyjskich w Tabo jest otynkowany na biało i funkcjonuje nieprzerwanie od niemal tysiąca lat. Dalajlama postanowił uczcić rocznicę jego założenia, przewodnicząc ceremonii

inicjacji Kalaczakry dla dwudziestu tysięcy wyznawców buddyzmu tybetańskiego. Jego słowa miały prowadzić ich w medytacjach w następnych latach. W największym skrócie Kalaczakra to nauka o naturze czasu. Wyznawcy buddyzmu tybetańskiego wierzą, że ruchy planet są zsynchronizowane ze stałym wznoszeniem się i opadaniem ludzkiego oddechu i dobowym rytmem ciała. Dzięki inicjacji wyznawcy mogą wyczuć ruchy ciał niebieskich i poczuć jedność ze wszechświatem. Dalajlama nauczał, że praktykując Kalaczakrę, można przyspieszyć własną drogę ku oświeceniu i ostatecznie ku osiągnięciu stanu buddy, Ian usiadł w tłumie innych uczestnikowi słuchał, jak Jego Świątobliwość naucza o kole czasu. Wykład był po tybetańsku, ale mógł słuchać tłumaczenia na żywo w radio.

To doświadczenie poruszyło w nim jakąś strunę i po raz pierwszy w liście do swojego ojca chrzestnego wspomniał o zainteresowaniu buddyzmem. Przebywanie w obecności tak świątobliwego męża mimo znużenia podróżą napełniło go nową energią. Kiedy krążył w tłumie podobnych do niego duchowych poszukiwaczy, jego uwagę zwrócił trzynastoletni chłopiec w bordowych szatach mnicha. Dziecko siedziało na balkonie, a mieszkańcy wioski, ubrani w powiewne pasiaste spódnice, zanosili mu po stromych schodach jedwabne szale ceremonialne, po czym padali przed nim na twarz. Pragnęli otrzymać jego błogosławieństwo, a kiedy chłopiec dotknął ich głów, odchodzili, nie patrząc na niego, Ian zagadnął chłopca z iście nowojorskim tupetem. Zapytał, dlaczego tylu ludzi mu się kłania. Chłopiec spojrzał na niego z niezwykłą godnością i odparł:

– Jestem *rinpocze*.

„*Rinpocze*” oznacza po tybetańsku czcigodnego nauczyciela, a w tym przypadku był to znak, że chłopiec jest reinkarnacją szacownego mędrca, który w poprzednim życiu pełnił funkcję opa ta klasztoru.

Ian odpowiedział mu jakby w zwolnionym tempie. Zapytał, gdzie może znaleźć nauczyciela, a chłopiec odparł bez wahania:

– W Tybecie.

Pewność siebie, z jaką mówiło to dziecko, wytrąciła go z równowagi. Ze zdumienia aż otworzył usta. Być może to była droga.

W liście do ojca chrzestnego Ian napisał, że mimo tego doświadczenia wciąż nie traci rozsądku. „Nie martw się – pisał. – Amerykański indywidualizm to wielka przeszkoda, gdy chodzi o wstąpienie do klasztoru. Poznałem mnichów w wielu krajach Europy, a słyszałem tylko o kilku mnichach amerykańskich. Buddyzm tybetański jest inspirujący, podobno to nie religia, bo wiara nie jest konieczna. To metoda treningu umysłu, której celem jest osiągnięcie wielkiego szczęścia”.

W taki czy inny sposób Ian medytował już od dzieciństwa. Teraz, pod wpływem słów chłopca, porzucił plany dalszej podróży i postanowił powędrować w głąb Himalajów. W tamtym czasie jedynym sposobem, by dostać się do niegdyś zamkniętego królestwa, było zdobycie wizy turystycznej do Chin, a chińska ambasada w Indiach była bardzo czujna, jeśli chodzi o działaczy na rzecz wolności Tybetu, i bardzo niechętnie wydawała wizy cudzoziemcom. Chińczycy, odkąd przejęli Tybet w 1951 roku, obawiali się, że nawet zdjęcia zdetronizowanego przywódcy mogą wzmocnić ruch oporu wobec ich władzy. Chiński rząd systematycznie eliminował przywódców religijnych w Tybecie, a na ich miejsce przysyłał własnych mnichów, lojalnych wobec Pekinu. Władze miały zwyczaj aresztować zagranicznych aktywistów za to, że przekazują Tybetańczykom zdjęcia Dalajlamy.

Mimo to Thorson stwierdził, że najłatwiej dostanie się tam drogą lądową, co oznaczało najpierw podróż do Nepalu, a potem przejście stamtąd chwiejnym mostem przez granicę. Po krótkim postoju w Dharamsali wsiadł do poobijanego zielono-białego autobusu, który zawiózł go do przygranicznego miasteczka Sonali.

Jadąc przez odludne górskie przełęcze, mijali po drodze rdzewiejące szkielety podobnych autobusów, które zjechały z szosy i spadły w przepaść. Inne pojazdy, z wgniecionymi maskami, wryły się głęboko w tarasowe poletka uprawne[4].

Autobus Iana zatrzymał się na krótko w Sonali. Nędzny przystanek to właściwie tylko posterunek graniczny między Nepalem a Indiami. Kierowcy starają się tu spędzić jak najmniej czasu,

wyładowując towary i przepakowując je do pojazdów, którym wolno się poruszać po drogach drugiego kraju. Znudzeni celnicy siedzący w swoich biurach wielkości budki telefonicznej nadzorują ten bałagan i stemplują paszporty nielicznych turystów, Ian wsiadł tam do drugiego autobusu do Katmandu, co oznaczało jeszcze dziesięć godzin jazdy.

Gdy znalazł się już na miejscu, choć wyczerpany podróżą, bardzo chciał dostać pieczątkę zezwalającą na wjazd do Tybetu. Poszedł do tybetańskiej części miasta zwanej Boudhanath. Tamtejsza przykryta kopułą stupa z ogromną iglicą z brązu stanowi serce buddyzmu w Katmandu. Znalazł kwaterę niedaleko klasztoru Kopan, który był jedną z nielicznych buddyjskich placówek założonych po to, by zagraniczni turyści mogli poznać podstawy wiary. Tutaj zarówno ludzie z Zachodu, jak i Tybetańczycy w tradycyjnych szatach siadają na codzienne medytacje i praktykę drogi środka.

Przez wiele lat Kopan był siedzibą Fundacji na rzecz Zachowania Tradycji Mahajany (Foundation for the Preservation of the Mahayana Tradition, FPMT), największej organizacji buddystów tybetańskich poza Tybetem i Indiami. Została założona przez dwóch wybitnych lamów Thubtena Jesze i Zopę Rinpoczego, a dzięki coraz większej liczbie uczniów z Zachodu mogła rozpowszechniać oddziaływanie klasztoru w Stanach Zjednoczonych i Europie.

Ian, który pragnął dowiedzieć się więcej na temat filozofii tybetańskiej, zapisał się na dziesięciodniowy kurs medytacji prowadzony przez jednego z tych uczniów z Zachodu. Kurs nazywał się po tybetańsku *lamrim*, czyli „kroki na drodze do oświecenia”; w różnych wersjach nauk tych udzielano od czasów średniowiecza. Jak twierdzą niektórzy, podstawowe nauki *lamrim* na temat ulotności rzeczy, współczucia, praktyk rytualnych oraz etapów śmierci są dość głębokie, by ludzie o czystej karmie natychmiast osiągnęli stan buddy.

Strony różowych zeszytów ćwiczeń Iana zapełniają kolejne odkrycia. Nauczyciel polecił mu, by zastanowił się nad swoimi pięcioma zmysłami: wzrokiem, słuchem, smakiem, dotykiem i powonieniem. Są one naszym jedynym oknem na świat zewnętrzny i

barierą między naszym umysłem a rzeczywistością. Skąd wiemy, że nie dają nam fałszywego obrazu?

Budda rozpoczął zgłębianie ostatecznej rzeczywistości z punktu podobnego do stwierdzenia Kartezjusza: *„Cogito ergo sum”* – „Myślę, więc jestem”. Dotarł jednak dalej niż Kartezjusz, podważył bowiem samą naturę myślenia. By zrozumieć, co istnieje poza naszymi pięcioma zmysłami, Budda poleca swym uczniom, by najpierw pojęli sam umysł. A narzędziem do tego jest medytacja.

Wszyscy buddyści są zgodni, że jedyną stałą w tym świecie jest zmiana, a zmiana nieuchronnie prowadzi do cierpienia. Młodzi się starzeją, miłość przygasa, zdrowych dopadają choroby. Przyczyną tych wszystkich zmian jest karma, każdy człowiek staje przed nieuchronnością śmierci.

Jedynym sposobem, by zakończyć cierpienie, jest wyjście z cyklu śmierci i ponownych narodzin. To znaczy wejście w nirwanę. Buddyzm tybetański od innych tradycji buddyjskich – takich jak japoński buddyzm zen czy tradycja therawady ze Sri Lanki – odróżnia to, że choć celem Tybetańczyków jest oświecenie, nie chcą oni osiągnąć nirwany. Zamiast tego chcą się przeobrazić w bod hisattwów. Bodhisattwowie nie wykraczają poza cykl karmiczny, ale wybierają egzystencję na styku istnienia i nieistnienia po to, by pomagać wszystkim czującym istotom. Kiedy każdy komar, lis, człowiek, półbóg, bóg, demon, istota pozaziemska, ślimak i konik morski osiągną ten sam stan doskonałej świadomości, wszystkie stworzenia i bodhisattwowie wkroczą razem w nirwanę.

Ian Thorson siedział na posadzce klasztoru przed złotym posągiem tysiącramiennego bóstwa Awalokiteśwary i zmagał się z naturą ulotności. Jedna szczególnie mocna medytacja skupiała się na nieuchronności jego własnej śmierci. Nie chciał przejść przez życie bez refleksji nad jego końcem, więc przyciskając niebieski długopis Bic mocniej do papieru, stwierdził: „Umrę”. To zdanie zajmuje całą górę strony. Rozważania nad śmiercią powinny być impulsem do działania. Kiedy skończy życie, co utraci? Czy może stworzyć coś

bardziej znaczącego niż on sam? Jak najlepiej wykorzystać ten cenny moment życia na ziemi?

„Nigdy nie byłem w stanie utrzymać dłużej jakiejś dyscypliny poza okresami, kiedy jestem przygnębiony, kiedy odbijam się od dna albo próbuję osiągnąć jakiś cel. Ale potem znów wracam do bezczynności. Nie mogę nawet się zmusić, żeby pisać codziennie", martwił się. W obliczu tego, co uważał za brak dyscypliny, surowa reguła Kopan była furtką do nowego podejścia do życia.

Może dzięki codziennym medytacjom mógłby wrócić do Stanów z poczuciem sensu. A mimo to, jak pisał, konieczność zaakceptowania „reinkarnacji i innych związanych z nią idei powstrzymuje mnie przed zanurzeniem się w tym całkowicie. Wolę literaturę niż religię, a moim ostatnim momentem oświecenia byli *Bracia Karamazow* Dostojewskiego".

Ten kurs wcale nie wzbudził w nim entuzjazmu do religii tybetańskiej. Ale wciąż był pełen ciekawości i znów chciał szukać nauczyciela w Tybecie. Zaczął od złożenia w ambasadzie chińskiej podania o pozwolenie na wjazd i był szczęśliwy, kiedy je uzyskał.

Na przeszkodzie tym planom stanęła dyzenteria, której dostał na skutek zepsutego jedzenia. Nękany skurczami jelit, przez wiele dni wstawał z łóżka tylko do latryny. Zamiast wziąć antybiotyk, poszedł do tybetańskiego lekarza, który dał mu swoje lekarstwo – brązowe ziołowe kulki i świętą magię – które miało zrównoważyć żywioły w jego ciele i przywrócić mu zdrowie. Po niedługim czasie stanął na nogach i mógł wsiąść do autobusu w kierunku granicy.

„Wypytywałem podróżników, czytałem książki, przerysowywałem mapy. Byłem gotów do drogi. Dokąd? Nie byłem pewien, ale do Tybetu, a potem się zobaczy", pisał do Jana.

Znów zarzucił plecak i stał się jednym z wędrowców. Przesiadał się do kolejnych coraz mniejszych autobusów, ale tym razem kierował się na północ od Katmandu. Na miejscu dolin porośniętych gęstą dżunglą pojawiły się tarasowe wzgórza, gdy autobus przejeżdżał przez górskie potoki i mijał skaliste grzbiety, jadąc przez zielone podnóże gór. Wreszcie znalazł się w cieniu Everestu, gdzie

chwiejny most oddzielał Nepal od niegdyś zakazanego królestwa. Samotny chiński żołnierz w zielonym mundurze polowym, uzbrojony w podróbkę kałasznikowa, zerknął na jego paszport i gestem pozwolił mu przekroczyć granicę.

Tej nocy spał w śpiworze pod burozieloną plandeką, wcześniej spoglądał w gwiazdy. „Leżałem tak i może płakałem, a może nie, przed zaśnięciem obracając w głowie tylko tę jedną cudowną myśl: »No proszę, jestem w Tybecie«”.

Co dziwne, z następnych czterech miesięcy jego podróży nie ma żadnych zapisków. W pudle z notatkami jest kilka rysowanych odręcznie map, są też nabazgrane nazwy klasztorów, pensjonatów i dane dotyczące czasu podróży. Tak jakby pustka krajobrazu wymazała z niego chęć zapisywania wrażeń. Ale wygląda na to, że większość tej wyprawy odbył pieszo, wspinając się na strome zbocza, gdzie znajdował odległe jaskinie i wioski. Co jakiś czas spotykał podróżników z Hiszpanii albo Szwajcarii i pił gęstą herbatę z masłem. Nie pisał w tym czasie do domu, ale dotarł co najmniej do Lhasy.

Kiedy znów przeszedł przez granicę Nepalu, był gotów poświęcić się drodze buddyzmu. Pojechał znów do Indii, chciał odwiedzić Bodh Gaję, miejsce, gdzie dwa i pół tysiąca lat temu Budda osiągnął oświecenie w cieniu drzewa figowego. Pisał do babki, że to „konieczny przystanek na szlaku dharmy”.

Stamtąd pojechał do Sera Mey, tybetańskiego klasztoru w indyjskim stanie Karnataka. Zapisał się na kolejny kurs filozofii buddyjskiej, ale angielskie tłumaczenia tekstów wciąż były marne, więc zmagał się z tymi samymi pojęciami, z którymi zetknął się w Kopan. Przeor klasztoru Dżampa Czogjal[5], gdy dowiedział się, że Ian jest Amerykaninem, poradził mu, że jeśli chce kontynuować studia po powrocie do domu, niedaleko Nowego Jorku jest klasztor w małym miasteczku Howell w New Jersey, gdzie może znajdzie przewodnika. Czogjal dał Ianowi dwie mosiężne figurki Buddy i sto pudełek kadzidła, które miał tam dostarczyć. W ośrodku zwanym Rashi Gempil Ling Tempie działał amerykański nauczyciel, który

zyskał renomę dzięki przełożeniu ezoterycznego buddyzmu na prostą angielszczyznę: gesze Michael Roach.

3

Osobliwa prehistoria Michaela Roacha

> Najwybitniejsi ludzie biznesu mają głęboką wewnętrzną potrzebę – pragną tego tak samo jak my, być może nawet mocniej – prawdziwego życia duchowego. Widzieli prawdopodobnie większy kawał świata niż większość z nas; wiedzą dobrze, co on może im dać, a czego nie. Wymagają logiki w sprawach ducha; domagają się, żeby metody i rezultaty były przejrzyste, tak zrozumiałe jak sformułowania dowolnej umowy handlowej.
>
> Michael Roach, *Diamentowe ostrze. Buddyjskie recepty na osiągnięcie sukcesu w biznesie i w życiu osobistym*

W latach pięćdziesiątych miasto Phoenix w Arizonie było jednym z dobrze zapowiadających się ośrodków przemysłowych amerykańskiej gospodarki. Jest położone na północnym skraju pustyni Sonora, nad której piaskami wznoszą się liczące kilkadziesiąt metrów skaliste stożki wulkaniczne. Na pustkowiach rosną tylko potężne słupy kaktusów saguaro. Właśnie tam ojciec Michaela Roacha przeniósł się wraz z rodziną z Los Angeles w 1958 roku, by pracować przy budowie domów stawianych wzdłuż przecinających się pod kątem prostym ulic, które dziś zdają się ciągnąć w nieskończoność przez pustynię.

Z pozoru mogło się wydawać, że rodzina Roachów doskonale urzeczywistnia amerykański sen. Matka uczyła w miejscowej szkole podstawowej i pilnowała edukacji swoich czterech synów. Michael i jego bracia, urodzeni w Kalifornii, uwielbiali wodę, ale żeby dostać się nad ocean, trzeba było jechać na zachodnie wybrzeże z deskami surfingowymi na dachu samochodu. Wydawali się typową rodziną z klasy średniej z aspiracjami, ale okazało się, że ta idylla nie potrwała dłużej niż do momentu, gdy Roach skończył szóstą klasę. Oboje rodzice pili, a ich burzliwy związek zakończył się w czasie, kiedy rozwód wciąż stanowił tabu. Być może próbując odnaleźć ład wśród

chaosu życia rodzinnego, Michael skupił się na życiu wewnętrznym i próbował osiągnąć perfekcję we wszystkim. Z pewnością był wyjątkowym dzieckiem.

Jako chłopiec o pulchnej, szczerej twarzy służył do mszy w miejscowym kościele episkopalnym. Dzięki roli akolity autorytatywnego pastora poznał przeobrażającą moc rytuału, podobny efekt miało wstąpienie do skautów, a dokładnie do ekskluzywnego Zakonu Strzały. Przez tę organizację skautowską założoną w 1915 roku przeszły miliony Amerykanów. Zwraca ona szczególną uwagę na samodzielność oraz samotne zmagania z dziką przyrodą. Sekretne ceremonie skautów czerpią obficie z symboliki indiańskiej. Kiedy Roach zdobył stopień orła, jego drużynowi ubrani w pióropusze, z wymalowanymi twarzami – co nawiązywało do strojów indiańskich – ogłosili jego imię przed całym zgromadzeniem. Inni potencjalni kandydaci zostali odrzuceni.

To był zaszczyt, ale by naprawdę zostać przyjętym, musiał przejść rytuał zwany próbą. Ślubował, że przez dwadzieścia cztery godziny będzie milczał, jadł bardzo niewiele i wykonywał symboliczne prace w obozie. W czasie tego rytuału chłopcy, którzy już przez niego przeszli, związali go sznurem i kazali mu złożyć przyrzeczenie. Potem strzelał z łuku, rozpalał święty ogień i przez całą noc rozmyślał samotnie nad swoją rolą w świecie. Nie było w tym nic strasznego, ale inni skauci mówili, że w samotności człowieka często ogarnia strach. Po przejściu tego rytuału chłopcy czu ją, że stanowią część czegoś większego niż oni sami. Niektórzy mówią, że coś się w nich zmieniło. Zakaz rozmawiania o próbie z kimkolwiek, kto sam jej nie przeszedł, wytworzył dystans między Roachem a innymi skautami. Znakiem tego zaszczytu była odznaka honorowa przypięta do szarfy na piersi.

Dzięki wynikom testów i rekomendacjom nauczycieli Roach jako jeden z dwóch uczniów z Arizony otrzymał tamtego roku Presidential Scholars Medallion, nagrodę przyznawaną najlepszym uczniom ostatnich klas szkół średnich. Pojechał do Waszyngtonu, by w Białym Domu osobiście odebrać zrobiony ze złota i brązu medal z rąk

Richarda Nixona. Stąd już tylko krok dzielił go od stypendium na Uniwersytecie Princeton, dyplomu z religioznawstwa i dalszej edukacji w Episcopal Divinity School w Cambridge w Massachusetts, co rozważał.

Jednak gdy był na pierwszym roku studiów, okazało się, że jego matka umiera na raka piersi. Ta wiadomość radykalnie zmieniła jego priorytety. Nieuchronna strata skłoniła go do szukania odpowiedzi, wziął więc roczny urlop i poleciał do Indii szukać sensu. Sam później przyznawał, że podjął decyzję pod wpływem impulsu. Semestr wcześniej na Uniwersytecie Princeton poszedł na kurs japońskiej średniowiecznej poezji buddyjskiej i sądził, że odnajdzie nadzieję w miejscu narodzin tej religii. Nie miał żadnego planu, chciał po prostu uciec na jakiś czas.

Najwyraźniej jednak podczas kursu umknęło mu, że buddyzm w dużej mierze zanikł w Indiach jakieś tysiąc lat przed jego przybyciem. Począwszy od Heftalitów zwanych też Białymi Hunami w VI wieku aż do prześladowań ze strony władców muzułmańskich w XIV wieku kolejne inwazje i podboje zmiotły z powierzchni ziemi niegdyś kwitnące buddyjskie społeczności w północnych Indiach. Buddyzm przetrwał gdzie indziej tylko za sprawą średniowiecznych i starożytnych świętych, którzy rozpowszechnili go w Azji Wschodniej, gdzie się zakorzenił.

Podróż Roacha byłaby klapą, gdyby nie pewien historyczny przypadek. W 1950 roku Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza wtargnęła do Tybetu i uwięziła lub zabiła tysiące mnichów. Klasztory ostrzeliwano z czołgów i tylko nieliczni bojownicy ruchu oporu przeciwstawiali się tej rzezi przez kilka lat. Najwybitniejsi tybetańscy intelektualiści i uczeni, w tym Dalajlama, uciekli na południe i zachód do Indii i Nepalu. Rząd indyjski przyjął tybetańskich uchodźców, a kiedy Roach przyjechał do Indii, wciąż próbowali się odnaleźć w swoim nowym kraju, gdzie mieli odtąd mieszkać na stałe.

Tybetańczycy stanowili jedyną większą społeczność buddystów w Indiach. Praktykowali buddyzm mahajany, który różni się od średniowiecznego indyjskiego buddyzmu. Tybetańczycy kładą nacisk

na nauki tantryczne, czyli tajemne, które w innych tradycjach buddyjskich traktuje się z pogardą jako magię. Niemniej Roach, zapalony do studiowania buddyzmu, znalazł wioskę u podnóża Himalajów, niedaleko dawnej kolonialnej placówki Dehradun, gdzie uchodźcy z Tybetu założyli filię klasztoru Sakja na wygnaniu.

Przez kilka miesięcy uczył się tam podstaw tybetańskiego i studiował klasyczną muzykę hinduską. Kiedy w 1973 roku wrócił do Princeton, porzucił plany zostania kapłanem. Zamiast tego skupił się na gromadzeniu funduszy na ponowną podróż do Indii. Gdy udało mu się zebrać pieniądze, pojechał do Dharamsali, miejscowości letniskowej w Himalajach, gdzie miał siedzibę Tybetański Rząd na Uchodźstwie, i tam zaczął bardziej formalne studia. Ponieważ miał poczucie, że buddyjskie nauki o nietrwałości mogą pomóc jego umierającej matce, namówił ją, by samolotem, a potem autobusem dotarła do siedziby Dalajlamy i poddała się leczeniu u tybetańskiego lekarza. Przyjechała, brała przepisane przez niego pigułki i napary i razem z synem studiowali tybetańską filozofię śmierci i umierania. Wróciła do domu i w kwietniu 1975 roku zmarła w Michigan.

Ta strata zdruzgotała rodzinę Roachów. Młodszy brat John zniknął na jakiś czas i przez rok surfował na wielkich falach u wybrzeży Hawajów. Okazało się, że w pewnym sensie była to wyprawa pożegnalna. Na koniec odebrał sobie życie. Na wyjątkowym nagraniu, w którym Michael Roach wypowiada się na ten temat, próbuje wyjaśnić stan swojego brata i to, jak śmierć matki rozbiła ich rodzinę, parafrazując słowa Johna: „»Jestem u szczytu, mogę surfować na Hawajach«, powiedział łamiącym się głosem. A potem się zastrzelił”. Michael Roach wspomina też, że mniej więcej w tym czasie „przyczynił się do aborcji”, prawdopodobnie swojej dziewczyny ze studiów. Świat był pełen śmierci.

Te doświadczenia były przytłaczające, ale dzięki różnym mistrzom tybetańskim Roach zrozumiał, że śmierć w jego rodzinie nie była kosmicznym błędem spowodowanym przez uszkodzone fragmenty DNA czy depresję; zrodziła się z eonów zgromadzonej karmy. Żarliwy buddysta może wyjść z cyklu śmierci i narodzin, jeśli

zyska doskonałe zrozumienie karmy. Człowiek oświecony będzie wiedział z całą pewnością, które uczynki w tym życiu dadzą dobre rezultaty w następnym, a bodhisattwa ukoi cierpienie całego świata tylko dzięki swojej wiedzy. Oświecenie usuwało szarą strefę pomiędzy dobrem a złem. Gdyby Michael Roach był oświecony, mógłby pomóc swojej rodzinie i ukoić jej cierpienie w tym życiu i w następnym.

Ludzie Zachodu przyjeżdżali do Tybetu i do Indii i wracali w mnisich szatach na długo, zanim dotarł tam Roach, ale do lat siedemdziesiątych niewielu z nich spędziło dłuższy czas na formalnych studiach w klasztorze. A jeszcze mniej złożyło śluby mnisie, które potwierdzałyby ich przynależność do społeczności. Roach mógł się wyróżniać jako jeden z pierwszych. W tym czasie Dalajlama nie miał jeszcze statusu globalnej supergwiazdy, więc było łatwiej spotkać się z nim osobiście. Podczas pobytu w Dharamsali Roach poprosił więc Jego Świątobliwość o radę. Tybetański papież doradził mu, by studiował w Ameryce i bypojechał do znanego nauczyciela, który nazywał się Khen Rinpocze Gesze Lobsang Tharczin (był także znany jako Khen Rinpocze wśród ludzi niemogących sobie poradzić z długim ciągiem tytułów). Uczony mnich objął kierownictwo maleńkiego ośrodka dharmy w Howell w New Jersey z zamiarem rozpowszechniania buddyzmu tybetańskiego w Ameryce. Dalajlama ostrzegł Roacha, że jego przyszły nauczyciel będzie się domagał absolutnej kontroli nad jego życiem. Ale w zamian Roach może się stać jednym z najbardziej uznanych na Zachodzie nauczycieli buddyzmu tybetańskiego.

Kilka miesięcy później Michael Roach, ściskając w ręku książeczkę bankową z kilkoma tysiącami dolarów oszczędności, wszedł do gabinetu Khena Rinpoczego w Rashi Gempil Ling Tempie w Howell. Pokłonił się nisko człowiekowi, którego pragnął być uczniem. Zaoferował swoje oddanie, oszczędności całego życia oraz talerz tybetańskich pierożków zwanych momo, które przygotowywał przez całe rano. Drżał z obawy, że mistrz może go odrzucić.

Zaofiarował nauczycielowi wszystko, co miał, by ten zgodził się zostać jego lamą[6].

Tytuł „lama” oznacza po tybetańsku dosłownie nauczyciela, w sanskrycie jego odpowiednikiem jest słowo „guru”. Lama jest nie tylko nauczycielem na poziomie intelektualnym, ale także przewodnikiem i mentorem. Według Tybetańczyków wybór lamy to jedna z najważniejszych decyzji w życiu.

Rinpocze zbliżał się do sześćdziesiątki, nosił okulary w grubych rogowych oprawkach i miał ogoloną głowę. Szaty skrywały muskularne ciało, swoją kondycję zawdzięczał tysiącom pokłonów przed bóstwami, zwłaszcza przed diamentową boginią Wadżrajoginią. Khen Rinpocze wziął książeczkę bankową Roacha i surowo zmarszczył brwi, poczym gestem najwyższej odrazy rzucił ją Roa chowi w twarz. Odrzekł, że nie chce pieniędzy. Potrzebuje ucznia.

Klasztor był nowy i wciąż ledwo wiązał koniec z końcem. Khen Rinpocze nie mógł zaproponować Michaelowi Roachowi, by tam zamieszkał, sam musiał znaleźć sobie kwaterę. W zamian za naukę Roach zgodził się zostać osobistym asystentem Rinpoczego, zająć się praniem, wożeniem go na wykłady, parzeniem niezliczonych kubków herbaty i prowadzeniem rachunków. Rinpocze polecił Roachowi wejść w rygorystycznie przestrzegany rytm medytacji, co po niedługim czasie przyniosło rezultaty.

Rok później, w 1976 roku, gdy medytował nad pustką, doświadczył czegoś, co trwale zmieniło jego postrzeganie rzeczywistości.

Często opowiada tę historię na wykładach. Najczęstsza wersja jest taka, że gdy przygotowywał dzbanek herbaty dla swojego nauczyciela, zapadł w stan głębokiej medytacji, w której czas przestał mieć znaczenie. Było to najgłębsze doświadczenie w jego życiu, moment, który określił wszystkie następne.

Niemal czterdzieści lat później, w nagraniu dostępnym teraz na YouTubie, tak opisuje to przeżycie:

> Gdy widzisz ten przedmiot, nie zauważasz żadnego innego przedmiotu. To oznacza, że nie jesteś też świadomy samego siebie [...] jest tylko ostateczna rzeczywistość, a ty się w niej znajdujesz. Nie jesteś w stanie postrzegać niczego innego. Nie możesz nawet pomyśleć sobie, że ci się udało. Nie ma myśli [...] nie jesteś w stanie określić, ile czasu minęło. To doświadczenie zmieniło twoją wewnętrzną istotę na zawsze.

Kiedy ten stan ustąpił, Roach spojrzał na zegarek i stwierdził, że minęło dwadzieścia minut. Może herbata się wygotowała i zalała kuchenkę. Ale wizja nie zniknęła. Zanim zdążył się ruszyć, poczuł, że z jego serca wydobywa się promień czystego, jasnego światła. Wydawało mu się, że ten strumień jest mocny jak słup telefoniczny i że dotyka każdego aspektu wszechświata. Potem nagle w jego głowie zaczęły się pojawiać obrazy. Zobaczył twarze milionów istot.

> Widzisz twarze wszystkich istot żyjących na ziemi, nie tylko ludzi: zwierząt, owadów, ptaków, robaków, wielorybów. Widzisz je wszystkie w tym samym momencie, ale osobno. Istoty wszystkich światów. W tym samym czasie. I kochasz je wszystkie równocześnie.

Kiedy ta seria wizji się urwała, zobaczył, że stoi ponad całą planetą, jakby leciał nad nią na satelicie. Poczuł, że obok niego jest idealna kobieta. Wyraźnie wyczuwał jej świadomość i razem zdali sobie sprawę, że są odpowiedzialni za oświecenie wszystkich żywych istot tam, w dole. Chociaż wydarzyło się to wiele lat temu, opowiadanie o tej onirycznej wizji wciąż wyciska mu łzy z oczu. Po tym doświadczeniu już tylko kilka kroków dzieliło go od oświecenia.

Sceptyk z zewnątrz zapewne nie wie, jak ma traktować taką wizję. Ludzie o podejściu naukowym odrzucają niezweryfikowane dane. Ale to, czy była to halucynacja podobna do odlotu po LSD, czy też głęboki wgląd duchowy, chyba nie jest istotne. Wizja ta dała Roachowi cel. Uznał, że nauki Khena Rinpoczego o pustce otwierają drzwi do głębszego zrozumienia. W końcu to dla niego przygotowywał herbatę. Więc kiedy w 1981 roku starszy przeor zlecił mu nowe zadanie, Roach był gotów zrobić wszystko.

Gdy mnisi i arystokraci całymi tysiącami uciekli z Tybetu po wkroczeniu chińskiej armii, zabrali do Indii i Nepalu niewiele poza

tym, co mieli na grzbiecie, i poza nielicznymi religijnymi tekstami, które udało im się przemycić. Wielkie instytucje, które budowali przez tysiąc lat, legły w gruzach, więc przez pierwsze dekady na wygnaniu ich jedynym celem było odtworzenie w nowej ojczyźnie czegoś na podobieństwo ich ginącej kultury. Udało im się to dzięki hojnym datkom społeczności międzynarodowej i gromadzeniu środków przez wiernych. W całych Indiach powstały setki klasztorów. Jednak administrowanie tymi nowymi instytucjami nadal było wyzwaniem. Okazało się, że mnisi nie mają zapału do zarządzania pieniędzmi. W ich księgach rachunkowych panował chaos, a niektórzy przywódcy beztrosko zaciągali długi, nie zamierzając ich kiedykolwiek uregulować.

Świątynia Rashi Gempil Ling była, formalnie rzecz biorąc, filią niegdyś potężnego, obecnie zubożałego klasztoru Sera Mey. Khen Rinpocze miał nadzieję, że pieniądze od amerykańskich wiernych zapewnią mu stały strumień przychodów i pomogą utrzymać główną placówkę w Indiach. Często prosił o datki, by zachować porządek w rachunkach klasztoru, jak na tego rodzaju instytucję kwoty zdawały się niewielkie – tu trzydzieści tysięcy dolarów, tam dziesięć tysięcy – ale w warunkach indyjskich były to spore pieniądze.

Kiedy Michael Roach służył swojemu nauczycielowi, dowiódł, że potrafi prowadzić rachunki świątyni. Khen Rinpocze uznał, że może da się powiązać zamiłowanie jego ucznia do diamentów z przedsiębiorczością, która tak łatwo przychodziła Amerykanom.

Poprosił Roacha, aby pojechał do Nowego Jorku i znalazł sposób, by zatrudnić się w branży diamentów. Wszystko, co zarobi, będzie wysyłał do klasztoru, by było za co wyżywić mnichów i zbudować nowe pomieszczenia. Roach mógł uznać to za jedną z lekcji dharmy.

Z początku nie chciał porzucać nauki w świątyni, ale jego mistrz nalegał. Kilka tygodni później wsiadł więc do pociągu, który z sielskiego Howell w New Jersey zawiózł go w sam środek miejskiego kotła, na Penn Station na Manhattanie. Stamtąd było już niedaleko do dzielnicy diamentów na Czterdziestej Siódmej Ulicy.

Mieszkali tam głównie ortodoksyjni żydzi, chodzący pospiesznie w szerokich czarnych kapeluszach, z tałesami u pasa. W owym czasie (i do pewnego stopnia jest tak nadal) dzielnica ta była najważniejszym punktem obrotu diamentami w Ameryce. Kamienie szlachetne przybywały tu w zabezpieczonych paczkach z Tel Awiwu, Brukseli i odległych Indii. Większość mniejszych kamieni była już wcześniej cięta i szlifowana, by uzyskać jak najwyższą wartość, ale wyspecjalizowani szlifierze diamentów w Nowym Jorku wciąż zajmowali się większymi kamieniami, których obróbka wymagała odpowiednich umiejętności. Nie mając pojęcia, jak się wkręcić do tej branży, Roach pukał do różnych przypadkowych warsztatów, ale wszędzie uprzejmie mu odmawiano. Przemysł diamentowy był hermetycznie zamknięty dla osób z zewnątrz. Większość ortodoksyjnych żydów ufała tylko członkom własnej społeczności, jeśli chodzi o zajmowanie się drogocennymi kamieniami, a Roach, perorujący o teologii buddyjskiej, wydawał się za dużym ryzykiem. Próbując znaleźć jakieś dojście, zapisał się na kurs w Gemological Institute of America, gdzie poznał Ofera Azrielanta, izraelskiego dokumentalistę, którego filmy dotychczas nie miały szczęścia trafić do kin.

By jakoś przeżyć, Azrielant, kiedy jeszcze mieszkał w Izraelu, założył ze swoim bratem małą firmę produkującą tanią biżuterię, zwaną Andin International. Ponieważ nie mogli się dogadać, brat wpadł na pomysł, że będzie wysyłał kamienie statkiem do Ofera w Nowym Jorku. Założą filię na Manhattanie, co zapewni im bezpieczną odległość od siebie i być może stworzy nowe szanse na biznes. Ofer handlował dotąd sztucznymi kamieniami i nie wiedział za dużo o diamentach. Poszedł na kurs, żeby się nauczyć, jak oceniać wartościowsze kamienie. Kiedy Michael Roach zobaczył nieszczęsnego byłego artystę przyglądającego się kamieniom w sali, gdzie odbywał się kurs, wyczuł szansę dla siebie i zapytał o pracę.

– Myślałem, że żartuje – wspominał Azrielant w rozmowie telefonicznej. Mówił z silnym izraelskim akcentem, melodia jego zdań wahała się gdzieś między Brooklynem a Tel Awiwem.

Roach nie powiedział mu, że jest buddystą, wytłumaczył tylko, że chce pracować przy diamentach i jest gotów zacząć od najprostszych zadań, a potem piąć się w górę.

Azrielant wiedział, że robi dobry interes, zatrudniając obytego w świecie absolwenta Princeton, dla którego większą motywacją była symbolika niż pieniądze. Roach okazał się dobrym pracownikiem i szybko awansował. Ponieważ był już w Indiach, Azrielant powierzył mu pozyskiwanie surowców dla firmy i wysłał do Bombaju, a stamtąd do małego zatłoczonego ośrodka przemysłowego Surat w stanie Gudźarat. W tym sennym miasteczku młody mnich negocjował w imieniu swojej firmy transakcje o wartości milionów dolarów.

Rynek diamentów był w owym czasie podzielony: jeden był przeznaczony dla wymagających bogatych klientów, gdzie pierścionki i naszyjniki mogły kosztować od tysięcy do dziesiątków tysięcy dolarów, a drugi był rynkiem śmieci, jak nazywał to Azrielant, okruchów tak tanich, że miały niewiele większą wartość niż sztuczna biżuteria, którą produkowali z bratem. Geniusz firmy Andin International polegał na tym, że znalazła dla siebie niszę, rynek dla biżuterii z diamentami w cenie około dwustu dolarów za sztukę. Azrielant osadzał od dziesięciu do piętnastu brylancików, które były tańsze niż jeden duży kamień, w czternastokaratowym złocie i po niedługim czasie ich biżuteria zaczęła się sprzedawać jak ciepłe bułeczki. W roku, kiedy Roach zatrudnił się w firmie, uzyskiwała ona przychód w wysokości miliona dolarów. Przychody podwoiły się w 1982 roku i znów w 1983 roku, i rosły aż do 1989 roku, kiedy Andin przynosiła sto milionów dolarów rocznie. W niektórych latach dochód brutto wynosił nawet dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów. A większość diamentów sprzedawanych przez firmę na jakimś etapie przechodziła przez ręce Roacha.

Chociaż Roach ani Azrielant zapewne nie byli tego świadomi, najlepsze lata firmy Andin zbiegły się z rozwojem straszliwego handlu kamieniami szlachetnymi pochodzącymi z krajów afrykańskich, gdzie toczyły się konflikty zbrojne. Tamtejsi przywódcy za surowe diamenty kupowali broń z zimnej wojny, dzięki

której prowadzili brutalne kampanie przeciwko niewinnym ludziom. Filmy takie jak *Krwawy diament* i niezliczone artykuły prasowe pokazują, że broń ta posłużyła do zniewolenia całych populacji bezbronnych obywateli po to, by wydobywać więcej kamieni i kupować więcej broni.

W Angoli, Kongu, Sierra Leone, Rodezji, RPA i Liberii pieniądze z handlu diamentami przyczyniły się pośrednio do ludobójstwa, w którym zginęło od dwóch i pół miliona do pięciu milionów ludzi. Handlarze bronią tacy jak Wiktor But przyjmowali zapłatę w afrykańskich diamentach, po czym sprzedawali je kupcom w Izraelu, Londynie, Brukseli i Indiach. Podczas gdy wiele z tych diamentów trafiło w końcu w ręce szlifierzy w Brukseli i Tel Awiwie, mnóstwo kamieni niższej klasy zostało przerzuconych do Indii. Michael Roach, główny odpowiedzialny za zakup diamentów w Andin International, wybrał Surat w Gudźaracie jako swoje podstawowe źródło surowca. To właśnie miasto Surat, gdzie znajdują się tysiące szlifierni mniej wartościowych kamieni, odegrało zasadniczą rolę w handlu krwawymi diamentami[7]. Roach zaczął często tam jeździć i wybierał z tysięcy kamieni te najlepsze i w najlepszej cenie. Jako ktoś zainteresowany jedynie symboliką diamentów najprawdopodobniej nie zastanawiał się nad ich pochodzeniem.

Kiedy nie był w podróży, nadal studiował w Howell pod kierunkiem swojego nauczyciela – brał podwójną dniówkę, a potem jechał trzy godziny z Nowego Jorku. By uświęcić swoje oddanie dharmie, złożył śluby mnisie, ogolił głowę i włożył bordowe szaty szkoły gelugpów[8]. Pod nimi nosił czerwoną koszulę bez rękawów z wysokim kołnierzykiem. Jaskrawoniebieski ścieg wzdłuż skraju wskazywał na jego więź z duchową tradycją klasztoru Sera Mey, którego mnisi zostali wygnani z Tybetu i odbudowali klasztor w Indiach. W tych szatach wyraźnie odróżniał się od zwykłych ludzi, wyróżniało go także tybetańskie imię, które przyjął przy tej okazji – Lobsang Czydzin.

Najtrudniejsza decyzja, gdy ktoś chce zostać mnichem buddyjskim, nie jest natury zewnętrznej. By zostać wyświęconym na

nowicjusza, trzeba też złożyć śluby moralnego postępowania. W czterech najważniejszych ślubowaniach składanych od czasów Buddy kandydat przyrzeka powstrzymać się od seksu, nie kraść, nie zabijać i nie kłamać. Istnieje jeszcze dwieście czterdzieści osiem innych ślubów dotyczących działania w świecie, z których wiele wydaje się przestarzałych we współczesnym Kontekście (na przykład przyrzeczenie, by nigdy nie kłaść miseczki na datki na pochyłym zboczu, albo właściwy sposób wykonania pudełka na igły). Złamanie głównych ślubów równa się jednak grzechom śmiertelnym w chrześcijaństwie i może skazać mnicha na niekorzystne ponowne narodziny. Roach złożył te śluby podczas poważnej ceremonii, tak samo jak niezliczeni mnisi przed nim.

Bycie zarazem mnichem i biznesmenem wymaga niemal nadludzkiej dyscypliny. W Andin pensja Roacha rosła szybko, aż osiągnęła wysokość około dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie, ale Roach powiedział Azrielantowi, żeby wypłacał mu tylko trzydzieści tysięcy rocznie. Resztę pieniędzy przekazywał jako datek swojemu klasztorowi i przeznaczał na liczne działania charytatywne. Dla mnichów w Howell i w Indiach pieniądze te były niczym manna z nieba. Kiedy na farmie Sera Mey nie udał się zbiór kukurydzy, mnisi zwrócili się do Khena Rinpoczego o pomoc. Michael Roach rozwiązał problem jednym podpisem. Udało mu się także mocniej powiązać Sera Mey z nowojorską branżą diamentową.

Ponieważ firma Andin rozwijała się intensywnie z roku na rok, pojawiła się stała potrzeba dostarczania oszlifowanych kamieni. Roach otworzył więc na terenie Sera Mey mały warsztat, by mnisi mieli własną firmę zajmującą się cięciem i szlifowaniem. W ten sposób Tybetańczycy mogli posmakować tej samej magii, którą przywoływał Roach. Ludzie Roacha przesyłali surowe kamienie do Sera Mey, a mnisi odsyłali je oszlifowane. Zyski były wystarczające, by klasztor mógł funkcjonować przez jakiś czas. Ale z niejasnych przyczyn po kilku latach ten układ przestał działać. Niemniej wszyscy wiedzieli, że Roach ma niewyczerpane zasoby energii i

nieustannie eksperymentuje z czymś nowym. W końcu udało mu się zrealizować inne projekty.

Jednymi z jego najbardziej zapamiętanych i cenionych przedsięwzięć, zarówno przez naukowców, jak i przez mnichów, były działania na rzecz zachowania tybetańskich tekstów. Od czasu rewolucji kulturalnej dziesiątki tysięcy komentarzy pisanych przez tybetańskich uczonych mogły zostać utracone na zawsze. Chińczycy palili książki tylko nieco mniej skutecznie niż naziści. W samym Tybecie zostało ich niewiele; w tamtym okresie główne zbiory drukowanych dzieł tybetańskich znajdowały się poza granicami Chin, w bibliotekach klasztornych w Mongolii i Petersburgu. Co najmniej sześćset pięćdziesiąt tysięcy nieoprawionych dzieł owiniętych w jedwabny brokat butwiało na półkach archiwów. Roach podczas studiów usłyszał o cyfrowych skanerach i sądził, że dałoby się fizycznie zeskanować wszystkie książki w tych bibliotekach i zachować je na wieczność na płytach CD i dyskach twardych. Dzięki wsparciu Hewletta-Packarda stworzył Asian Classics Input Project (ACIP) i zatrudnił niewielką grupę mnichów, którzy mieli obsługiwać skanery i żmudnie wprowadzać stronę po stronie do centralnej bazy danych.

Naukowcy poparli ten projekt i nadal jest to jedno z najważniejszych nowoczesnych archiwów myśli buddyjskiej. Archiwum dało Roachowi wyjątkowy dostęp do najdalszych zakątków literatury tybetańskiej – w cyfrowym strumieniu niejasne teksty zapomnianych mędrców mieszają się z bardziej kanonicznymi dziełami.

Finansowa i społeczna pozycja Roacha zagwarantowała mu awans również w hierarchii w Howell. Wydawało się to także potwierdzeniem jego statusu wybrańca. Nie tylko twierdził, że podczas medytacji doświadczył urzeczywistnień, o których większość buddystów jedynie czytała w starożytnych tekstach, ale też, jak się zdawało, czynił dobro w świecie. Chociaż był jednym z wielu uczniów z Zachodu, którzy złożyli śluby w Howell, bez wątpienia stał się kimś ogromnie cennym dla sprawy.

Odnosił takie sukcesy, że inni uczniowie przymykali oko na jego skłonność do przedstawiania własnej opinii na temat starożytnych tekstów. Problem pojawił się w 1995 roku, kiedy doszło do sporu, w którym zakwestionowano pewne działania Roacha. Wspólnie z nauczycielem wydał wtedy własnym sumptem książkę zatytułowaną *Preparing for Tantra* [Przygotowanie do tantry], która była tłumaczeniem klasycznego tekstu autorstwa średniowiecznego świętego Congkhapy. Dzieło dotyczyło przestrzegania tan trycznych ślubów, konieczności przyjmowania bez dyskusji słów nauczyciela czy lamy oraz idei, że tantra to najszybsza i najlepsza droga, by osiągnąć oświecenie.

To nie jakość tłumaczenia dokonanego przez Roacha zdenerwowała innych uczniów – przesłanie książki było zasadniczo akceptowane w kręgach buddyjskich. Uwagę jego przełożonych zwróciła okładka. Widnieje na niej zdjęcie ozdobnego tybetańskiego posągu w haftowanym drogimi kamieniami brokacie i złotej koronie. Na pierwszy rzut oka typowy pozłacany tybetański obrazek, nie zgadza się tylko jedna rzecz: twarz. Na zdjęcie rzeźby przedstawiającej boginię Wadżrajoginię nałożona jest fotografia młodej kobiety. W czasach przed Photoshopem musiało to wymagać wiele zachodu, jednemu z mnichów w Howell nie spodobała się ta ingerencja – dlaczego Roach zmienia tradycyjny wizerunek bóstwa? Roach odrzucił ten sprzeciw i stwierdził, że miał prawo zrobić taką okładkę, jaką chciał. Ale nie mógł powstrzymać plotek, że zdjęcie przedstawia dziewczynę, z którą spotykał się w liceum. Gdyby okazało się to prawdą, byłoby to zdecydowanie wbrew tybetańskiej ortodoksji. Mnisi ślubują celibat, a kochanka to nie to samo co nauczycielka dharmy.

Nie ma żadnych relacji na temat tego, co Khen Rinpocze sądził o tej okładce – zmarł w 2004 roku. Ale w ogólnym rozrachunku było to zaledwie drobne naruszenie zasad w porównaniu z ogromnymi zasługami Roacha dla społeczności.

Książka ta stanowiła rodzaj dysertacji. Khen Rinpocze nadał Michaelowi Roachowi tytuł gesze, będący odpowiednikiem doktora

nauk w buddyzmie tybetańskim. Był pierwszym Amerykaninem i drugim na świecie człowiekiem z Zachodu, który otrzymał ten tytuł. Formalnie rzecz biorąc, stawiało go to jako nauczyciela na równi z Khenem Rinpoczem i Dalajlamą. Niektórzy w klasztorze drwili z tego, ponieważ ich zdaniem ten tytuł nie był w pełni zasłużony – Roach spędził tyle czasu na zdobywaniu pieniędzy, że jego wykształcenie wydawało się niewystarczające. W normalnych okolicznościach gesze poświęcają niemal dwanaście lat na zawzięte debaty na temat zasad buddyjskich z innymi mnichami w klasztorze – co było zupełnie niemożliwe przy jego nieustannych dojazdach do Nowego Jorku, podróżach zagranicznych i licznych przedsięwzięciach biznesowych. Dla Roacha zrobiono wyjątek. Mimo to gesze Michael Roach zyskał szacunek ortodoksyjnego duchowieństwa, zdobył fundusze na remonty podupadających tybetańskich klasztorów i przyczynił się do ocalenia wielu cennych tekstów. Po niedługim czasie założył też Asian Classics Institute (ACI), organizację mającą propagować buddyzm tybetański w szerszych kręgach. Wydawało się, że nie może uczynić niczego złego.

4

Akolita

> Joga może zabić albo okaleczyć – albo uratować ci życie i sprawić, że poczujesz się jak bóg. To spory rozrzut. W porównaniu z nią większość innych sportów czy ćwiczeń wydaje się dziecięcą zabawą.
>
> William J. Broad, *The Science of Yoga* [Nauka jogi]

Three Jewels [Trzy Klejnoty], księgarnia i ośrodek upowszechniania buddyzmu, powstało w momencie sprzyjającym buddyzmowi w Ameryce. Był 26 czerwca 1996 roku, trzy tygodnie wcześniej ponad sto tysięcy ludzi zebrało się w parku Golden Gate w San Francisco, by posłuchać zespołów: Beastie Boys, Red Hot Chili Peppers i Rage Against the Machine podczas pierwszego koncertu na rzecz wolnego Tybetu. Wykonawcy popisywali się, wywrzaskując gniewne teksty pod olbrzymią czerwono-niebiesko-żółtą tybetańską flagą. Godło wygnanego narodu przedstawia dwa groźne śnieżne lwy o zielonych grzywach oparte o czerwono-niebieski symbol *yin* i *yang*. Wielu z młodych uczestników koncertu zobaczyło to godło pierwszy raz w życiu. Mityczne stworzenia demonstrowały swój opór wobec opresji falującemu przed nimi morzu ludzi.

Powagę sytuacji podkreślały dobitne i niepodważalne dane wyświetlane na wielkich monitorach. Od 1951 roku, kiedy to chińskie czołgi wjechały do Lhasy, zginęło ponad milion Tybetańczyków. Zdziesiątkowane tybetańskie duchowieństwo zapełniało mające złą sławę więzienia. Na skutek okupacji z niezliczonych klasztorów zostały tylko gruzy, a kultura tybetańska jest na krawędzi wyniszczenia. Wybitny specjalista od Tybetu i profesor Uniwersytetu Columbia Robert Thurman błagał publiczność, by włączyła się do działań przeciwko ludobójstwu. Starszy mnich o nazwisku Palden Gjaco opowiadał o swoich przeżyciach w chińskim

obozie. Jego oprawcy żądali, by wyparł się Dalajlamy, i wpychali mu do gardła elektryczną pałkę. Na skutek porażenia prądem wypadły mu wszystkie zęby.

Gjaco wyjaśnił jednak, że dzięki naukom religijnym nadal potrafi współczuć tym, którzy go więzili, i rozumie, że oni także cierpią. W trakcie tego pokazu świętości niektórzy uczestnicy trzymali w górze zapalone jednorazowe zapalniczki niczym zaimprowizowane świece modlitewne, dopóki nie poparzyli sobie kciuków.

Później, gdy rytm muzyki przyspieszył, Billy Corgan ze Smashing Pumpkins wrzeszczał:

– Powiedz mi, że jestem wybrańcem!

Rozszalałe nastolatki skakały, zderzały się ze sobą i padały na ziemię na terenie koncertu o powierzchni dzielnicy. MTV transmitowała imprezę na żywo, a tłum kłębił się w blasku reflektorów kamer. Ogólnie rzecz biorąc, obrazy brutalnie traktowanych mnichów w połączeniu z dobrym starym rockiem skłoniły jednak pewną grupę amerykańskiej młodzieży do protestu przeciw prześladowaniom, do których dochodziło na drugim końcu świata.

Tybet zrobił się modny. Ludzie byli skłonni popierać Tybetańczyków za sprawą oczywistej analogii do Holokaustu dokonanego przez nazistów. Intrygowała ich także niezwykła religia. Skąd w Gjaco tyle współczucia dla prześladowców? Dlaczego Tybetańczycy są tacy wyjątkowi?

Michael Roach doskonale się nadawał do odpowiadania na te pytania, ale najpierw potrzebował miejsca do zgromadzeń. East Village na Manhattanie było idealną lokalizacją dla ośrodka dharmy. Położona w pobliżu Uniwersytetu Nowojorskiego oraz dawnej dzielnicy beatników kwitnie dzięki własnej ekscentryczności. To rodzaj kulturowego i duchowego inkubatora, w którym nowy ruch religijny może liczyć na wyznawców. W latach sześćdziesiątych Międzynarodowe Towarzystwo Świadomości Kryszny (ISKCON), znane raczej jako Hare Kryszna, wynajęło tam lokal od strony ulicy. Niewielki hinduistyczny ruch szybko stał się wszechobecny.

Wyznawcy z ogolonymi głowami, w białych albo różowych szatach wyśpiewywali imię swojego boga na lotniskach i w parkach w całym kraju. Rozprowadzali miliony kopii traktatu etycznego *Bhagawadgita* a rozdawanie darmowych porcji hinduskiego jedzenia wykorzystywali do głoszenia idei wewnętrznego spokoju. W ciągu pięćdziesięciu lat ruch Hare Kryszna rozrósł się do ponad czterystu ośrodków dharmy, małych lokali, budynków oraz społeczności rozrzuconych po całym świecie. Być może centrum Three jewels udałoby się osiągnąć to samo.

Pierwszym zwolennikom Roacha nie przeszkadzało, że lokal jest nędzny. W przyszłości miała tu być księgarnia z książkami na temat duchowości oraz miały się odbywać kursy jogi i medytacji, ale tymczasem Roach nauczał tu o buddyjskim pojęciu pustki. W rosnącym gąszczu założonych przez niego organizacji Three Jewels było furtką do Asian Classics Institute, pod którego egidą nauczał buddyjskiej dharmy[9]. Uczniowie Roacha zaczęli oblepiać miasto ulotkami i docierać do nauczycieli jogi i kursów medytacji. Swojego mistrza zachwalali jako tybetańskiego mnicha, który zbił fortunę na handlu diamentami, a teraz jest gotów otworzyć przed każdym drogę do wewnętrznego spokoju, miłości oraz sukcesu finansowego. Wykłady były darmowe. Roach stale posługiwał się tytułem gesze, co wyróżniało go spośród innych nauczycieli i przyciągało ludzi z całego Manhattanu. Lokal szybko zapełnił się słuchaczami.

Pierwszego wieczoru w dusznym wnętrzu tłoczyły się zaciekawione nastolatki i dwudziestolatki. Oprócz zupełnie nowych osób były też znajome twarze ludzi, którzy słuchali wykładów Roacha w New Jersey i w publicznych parkach wokół Manhattanu. Starsi uczniowie pouczali nowych, że aby wyrazić szacunek dla świętego miejsca, powinni zdjąć obuwie przed wejściem. Stojak na buty przy drzwiach szybko okazał się za mały. Sterta sandałów, skarpetek i tenisówek wylewała się na podłogę. Dalajlama na zdjęciu wiszącym na ścianie uśmiechał się dobrotliwie nad tym stosem. Wydawało się, że zerka w bok, na scenę, z której niedługo miał przemawiać Michael Roach. W pomieszczeniu było słychać pełen

oczekiwania gwar, napięcie rosło. Zebrani wiercili się na brązowych poduszkach do medytacji, niektórzy trzymali w rękach kwiaty. Oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność.

Gwar ucichł, kiedy pomocnik Roacha otworzył drzwi księgarni i zrobił przejście dla gesze, który wszedł z ulicy. Ubrany w czerwone szaty szedł zgarbiony, ze złożonymi dłońmi. Włosy miał krótko ostrzyżone, nieco dłuższe po bokach. Nie była to ogolona czaszka mnicha. Roach roztaczał raczej atmosferę biznesowej rzeczowości. Zebrani szybko rozstąpili się, by mógł przejść do sceny. Na każdym kroku ktoś podawał mu czerwony, biały albo żółty goździk. Roach uśmiechał się i kiwał głową. Co jakiś czas nachylał się i szeptał komuś do ucha jakiś sekret albo żart. Niektórzy byli zachwyceni taką bliskością człowieka, którego uważali za świętego, uśmiechali się oczarowani, gdy ich mijał i przechodził do następnego wyznawcy. Kiedy zebrał już cały pęk kwiatów, oddał je dwóm idącym za nim kobietom. W innym kontekście mogłyby być siostrami, obie miały długie kasztanowe włosy opadające na plecy i uśmiechały się miło. I jak to często bywa z siostrami, uwagę zwracano głównie na jedną z nich. Więcej spojrzeń skupiała na sobie Christie McNally niż Bahleda. Kobiety były czujne na każdy ruch gesze. Gdy wszedł na scenę, przystroiły kwiatami wizerunek Buddy, a także zdjęcia nauczycieli samego Roacha z Indii i New Jersey.

Roach usiadł uroczyście, układając fałdy szat na kolanach. Był to rutynowy gest, który obserwował u mnichów, coś, co robili zupełnie machinalnie. Gdy wygładził fałdy czerwonego materiału, uczniowie, którzy byli na takim spotkaniu już wcześniej, złożyli dłonie nad głowami, pokłonili się, po czym padli na kolana i wyciągnęli się niemal płasko na ziemi. Był to wyraz szacunku równie stary jak sam buddyzm. Ci, którzy widzieli mądrość w jego naukach, okazywali mu w ten sposób swoje oddanie.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Roach dał znak rozpoczęcia wykładu, składając dłonie w mudrę – to rodzaj zrytualizowanego układu palców, który niewtajemniczonym może przypominać sygnały używane przez członków gangów. Istnieją

dziesiątki, jeśli nie setki mudr, a ta miała symbolizować ofiarę składaną boskiej mądrości.

Mudra ta ma imitować buddyjską mapę świata w ten sam sposób, w jaki mieszkańcy Michigan i Wisconsin za pomocą rąk przedstawiają topografię swoich stanów. Roach i uczniowie, którzy to potrafili, spletli palce, krzyżując je ze sobą, co miało symbolizować cztery kontynenty, zgodnie z tybetańską średniowieczną wizją świata. Wyprostowane palce serdeczne pośrodku oznaczają górę Meru. W tybetańskiej kosmologii góra Meru zajmuje takie samo miejsce jak Olimp w mitologii greckiej, jest siedzibą bogów. Kilka osób zaczęło recytować po tybetańsku. Uczniów, którzy przyszli po raz pierwszy, łatwo było rozpoznać po tym, jak biedzili się ze skomplikowanymi gestami i modlitwami. Taki rytuał odbywał się na każdym spotkaniu grupy. Dopiero po jego zakończeniu Michael Roach odchrząknął i zaczął przemawiać.

Jego głos wznosił się i opadał, gdy robił znaczące pauzy albo nagle, dla emfazy, mówił wyższym tonem. Nie zawsze łatwo było się zorientować, dokąd zmierza jego wywód, wśród filozoficznych dygresji, odniesień do popkultury oraz środowiskowych żartów na temat buddyjskich mistrzów. Ponieważ było to jedno z pierwszych spotkań w nowym ośrodku dharmy, chciał być pewien, że publiczność pojmie najbardziej podstawowe pojęcie związane z jego wiarą. Do tego wykładu potrzebował pomocy naukowej. Sięgnął do żółtej kamizelki, którą nosił pod szatą, i wyciągnął długopis, po czym przytrzymał go między palcem wskazującym i środkowym.

– Tylko tyle wam potrzeba, by zrozumieć pustkę – powiedział. Był to wypróbowany chwyt, który wykorzystywał w klasztorze w Howell i doskonalił podczas wykładów w mieście przed oficjalnym otwarciem Three Jewels. – Tu nie ma długopisu – zaczął prowokacyjnie. – Jest patyk. Fioletowy i zaokrąglony. Ale to, na co teraz patrzycie, to nie jest długopis. To jest Długopis.

Połowa publiczności uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Druga połowa patrzyła tępo. Roach postanowił pomóc im pytaniem.

– Dla was to jest długopis. A czym ten przedmiot byłby dla psa? – Uniósł brew. – Pies nie umie pisać. Nie obchodzą go długopisy. Dla psa to jest zabawka, którą można pogryźć.

Kiedy przedmiot w jego ręku przeobraził się z długopisu w psią zabawkę, więcej osób się uśmiechnęło.

– Dla was to jest długopis, dla psa zabawka, ale jakim sposobem może być jednym i drugim? Idea Długopisu nie wypływa z niego samego. Ta wiedza musi pochodzić skądinąd. Pochodzi od was.

Pojęcie pustki stanowi jeden z filarów buddyzmu tybetańskiego. Roach wyjaśnił, że długopis sam w sobie jest pozbawiony wartości czy znaczenia. Wiedza o tym, czym jest, zaczyna się w pierwotnej papce umysłu.

Dalej nastąpił wywód filozoficzny na temat natury rzeczywistości. Z problemem tym zmagali się już Platon, Arystoteles, a potem przez wieki niezliczeni myśliciele, uczeni i mistycy. Tybetańczycy rozważali go od tysiącleci. Kartezjusz uważał, że wspólnym mianownikiem ludzkiego doświadczenia jest myśl, a ponieważ myśl jest niepodważalnie realna, zatem umysł, w którym powstała, także musi być realny. A więc również świat musi być realny.

Platon z kolei był zdania, że wszelkie obiekty to tylko cienie podstawowego typu idealnego. Wszystkie drzewa to niedoskonałe kopie idealnego drzewa, a my rozpoznajemy drzewo jako drzewo za sprawą jego „drzewiastości”. To samo dotyczy psów i ich „psowatości” czy nawet filiżanek i ich „filiżankowatości”. Zdaniem Platona te idealne formy były obiektami nie wyobrażonymi, tylko realnymi, unoszącymi się w eterycznym królestwie empirycznym istniejącym poza ludzkimi zdolnościami postrzegania.

Roach oparł swoją wersję buddyzmu tybetańskiego na platońskiej koncepcji rzeczywistości, ale posunął się krok dalej. Być może świata realnego w ogóle nie ma. Nie możemy sprawdzić, czy to, czego doświadczamy, rzeczywiście istnieje. Samo doświadczanie jest wątpliwe. Każde wrażenie, smak, dotyk, uczucie musi najpierw przekroczyć barierę naszej skóry, krwi i neuronów. Wszystko przechodzi przez filtr naszego ciała, więc na głębokim poziomie jak

możemy stwierdzić, czy sama koncepcja ciała również nie jest wytworem naszego umysłu?

Wszystko, co, jak sądzimy, poznaliśmy – od najmniejszego atomu i preonu aż po planety i systemy słoneczne składające się na niebo, a nawet kora mózgowa przetwarzająca informacje – może być jedynie hologramem jeszcze głębszej rzeczywistości. Ostatecznie co właściwie wiemy o świecie poza naszym umysłem?

Gdy ta myśl dotarła do zebranych, Roach przedstawił następną koncepcję. Być może, jeśli zmienisz swój umysł, świat zmieni się wraz z nim.

Wymachując fioletową plastikową rurką wypełnioną tuszem, uniósł ją w powietrze.

– Kiedy pojmiecie różnicę między długopisem a Długopisem, będziecie zdolni całkowicie się przeobrazić. Możecie się stać aniołami.

Tak po prostu.

Ian Thorson wrócił z Azji, lecz nie na anielskich skrzydłach, tylko samolotem rejsowym. Ostatnim przystankiem w jego podróży była Indonezja, gdzie poznał starszego surfera, również absolwenta Stanfordu. Po niemal dwóch latach wędrówki chętniej mówił o swojej rozwijającej się duchowości i był ciekaw nowych sposobów patrzenia na świat. Podczas jednej z wypraw znalazł świętą krowę, ponieważ miał nadzieję, że pomoże mu na jego problemy ze wzrokiem. Klęknął przed nią, modlił się i pozwolił, by polizała jego oczy. Niestety to nie pomogło; później w rozmowie z przyjacielem Mikiem Oristianem przyznał: „przeszedłem daleką drogę tylko po to, żeby poczuć się tak, jakby ktoś tarł mi powieki papierem ściernym”.

Jego podróż dookoła świata zakończyła się lotem do Nowego Jorku, czyli miasta, z którego wyruszył. Ale był zdecydowany znaleźć coś, co wskazałoby mu drogę lepiej niż święta krowa – chciał znaleźć nauczyciela buddyzmu, by kontynuować nauki rozpoczęte w Indiach i Tybecie.

Na dnie plecaka wiózł prezenty, które dostał w Sera Mey wraz z poleceniem, by dostarczył je do świątyni w Howell. Okazało się, że nie musi jechać aż tam, by znaleźć furtkę do dalszego rozwoju duchowego – wystarczyło przejechać kawałek metrem. Michael Roach właśnie założył ośrodek Three Jewels, a po Nowym Jorku rozniosła się wieść, że ten człowiek naprawdę rozumie, co to jest pustka. Choć przez ostatni rok Ian gorączkowo notował i pisał liczne listy do rodziny i przyjaciół, w archiwum nie ma śladów po jego pierwszych spotkaniach z Roachem. Być może był tak pochłonięty nowymi ideami, że nie miał czasu ich przetwarzać. Najwyraźniej jednak, kiedy w końcu usłyszał wykład Roacha o prawie karmy, wszystko zaczęło mu się układać w głowie tak jak nigdy wcześniej, podczas medytacji w Nepalu i Indiach.

Ian zamieszkał w tym samym pokoju, który zajmował, gdy chodził do liceum, znów spał na krótkim, wąskim tapczanie. Powrót do rodziców podkreślał różnicę między postępami jego kariery a sukcesami kolegów z Trinity i Stanfordu. Był teraz obyty w święcie, ale nie dokonał niczego specjalnego. W pierwszym okresie po jego podróży dookoła świata ludzie z Three Jewels rozumieli go dużo lepiej niż jego rodzice na Roosevelt Island.

Wciąż trwał boom na nowe technologie i jego koledzy ze studiów zarabiali miliony, tworząc firmy i sprzedając je inwestorom, Ian pocieszał się, że żaden z nich nie przeobrazi się w anioła. To Michael Roach obiecywał klucz do nieba.

Większość buddystów uważa, że medytacja to najgłębszy akt, jaki może podjąć człowiek, by zrozumieć samego siebie i świat wokół. Chociaż natura rzeczywistości podlega dyskusji, niepodważalnym wspólnym mianownikiem ludzkiej egzystencji jest to, że wszystkich krępują ograniczenia własnego umysłu. Medytacja stanowi zasadniczo narzędzie jego badania.

Trudno wyjaśnić to doświadczenie komuś, kto nigdy nie próbował medytować. Najprostsza medytacja polega na skupieniu się na własnym oddechu. Możesz spróbować, jeśli chcesz. Poczuj, jak powietrze wpływa do twoich płuc i z nich wypływa, i spróbuj uciszyć

wewnętrzną paplaninę umysłu. Spróbuj usunąć z głowy wszelkie myśli albo pozwól im błądzić, wychodząc od skupienia się na oddechu. Większość ludzi jest wstrząśnięta tym, jak niesłychanie trudno jest nie myśleć o niczym. Wyłączenie tego wewnętrznego monologu wydaje się niemal niemożliwe. Kiedy to się udaje, nauczyciele polecają, aby medytujący spróbował spojrzeć z zewnątrz na własne myśli. Powinien uważnie obserwować swój umysł, produkujący jedną myśl za drugą. Czasem, zamiast skupiać się na oddychaniu, można się skoncentrować na jednej sylabie takiej jak *om*. Za każdym razem, kiedy pojawia się nowa myśl, należy się skupić na dźwięku i obserwować, jak myśli pojawiają się i znikają.

W takiej izolacji trudno jest uniknąć poczucia dziwności swojego umysłu. Na ścianach widać osobliwe odblaski światła, czujesz bicie własnego serca albo przed oczami pojawiają ci się kolorowe wiry. Jeśli wytrwałym ćwiczeniem osiągnie się wprawę w medytacji, pomaga ona oddzielić świat, który przyjmujemy za coś oczywistego, od świata, który nieświadomie projektujemy. Może to być ogromnie relaksujące i prowadzić do głębokich wglądów. W miejskim zamęcie Nowego Jorku medytacja może uspokoić chaos albo przynajmniej częściowo utrzymać go z dala. To zaskakująco trudne zadanie, ale Ianowi szło świetnie.

Już po kilku dniach od jego powrotu matka wiedziała, że jej syn się zmienia. Wstawał o świcie i zamiast zjeść śniadanie, wypijał tylko filiżankę herbaty. Potem siadał samotnie na podłodze w swoim pokoju w pozycji lotosu, kręcone czarne włosy opadały mu kaskadą na ramiona i plecy.

Siedział tak po sześć godzin bez przerwy, a po południu albo wieczorem wychodził na spotkanie w Three Jewels. Jego umysł się zmieniał, a on czuł, że to zmiana na lepsze. Kay uważała jednak, że powinien więcej jeść, a po dwóch latach w podróży zacząć się rozglądać za pracą.

Kilka miesięcy po pierwszych zajęciach napisał w liście do swojego ojca chrzestnego Jana o tym, że Roach daje mu narzędzia,

dzięki którym będzie mógł gruntownie przebudować swój światopogląd.

> Zakochałem się w tych zajęciach, które czasem odzwierciedlają to, co dzieje się w moim umyśle, i pomagają go ulepszyć. Jestem prawie przekonany, że gdziekolwiek się znajdę, nic nie da mi szczęścia, dopóki nie będę miał głowy na karku. A na tym kursie mają śrubokręty, piłki do metalu, śruby, nakrętki i piły taśmowe i mają wprawę w przykręcaniu głów. Tak naprawdę chodzi o logikę, medytację i filozofię.

Michael Roach wykładał nieustannie. Na wykładzie inauguracyjnym w księgarni dopiero się rozkręcał. Choć powiedział, że świat sam w sobie nie ma znaczenia, praktykujący medytację nie mogli nie zauważyć, że w ich umysłach buzują wciąż nowe myśli, które pojawiają się i rozwiewają same z siebie. Skąd one się biorą? By to wyjaśnić, Roach sięgnął po przykład używany przez Buddę, zaczerpnięty ze świata przyrody. Podobnie jak rośliny wyrastają z maleńkich nasionek, tak rodzą się ludzkie działania. W swojej książce *The Karma of Love* [Karma miłości] Roach tak pisze o tych nasionach:

> W naszym umyśle są nasiona, karmiczne ziarna. Spoczywają głęboko w naszej podświadomości, głęboko w umyśle, a kiedy nadejdzie pora, pękają tak samo jak nasiono drzewa. Trzymam przed waszymi twarzami czarny patyk i w jednej mikrosekundzie karmiczne nasiono otwiera się i wydaje świetlisty obraz długopisu – tak szybko, że nigdy w życiu nie zauważylibyście, że to się dzieje – a wtedy widzicie długopis.

Każde postrzeganie zależy od karmicznego ziarna i każde działanie podjęte przez człowieka zasiewa nowe ziarna, które otworzą się w późniejszym czasie. Rozsiewanie i otwieranie się karmicznych ziaren to paliwo, dzięki któremu kosmos nieustannie się kręci niczym chomik w kołowrotku. Jedno działanie rodzi kolejne.

Według Roacha świat fizyczny nie istnieje w taki sposób, jak wyobraża to sobie większość ludzi. To, czego doświadczamy w życiu, to skumulowany skutek wszystkich naszych wcześniejszych działań połączonych z naszymi bieżącymi zamiarami. Zdaniem Roacha karma to jedna z sił działających we wszechświecie,

podobnie jak magnetyzm. Jednak w przeciwieństwie do zjawisk przyrody karma tkwi w świadomości żyjących istot.

Teraźniejsze dobre uczynki rodzą dobre skutki w przyszłości. Złe uczynki oznaczają złe skutki. Więc jeśli porzuci cię ukochana i złamie ci serce, być może stało się to z takiej karmicznej przyczyny, że w swoim poprzednim życiu skrzywdziłeś jakieś zwierzę. Karmiczne ziarna krzywdy wyrządzonej zwierzęciu leżą uśpione, dopóki z jakiegoś powodu nie padną na podatny grunt. Tymczasem jeśli w poprzednim życiu pomogłeś komuś dostać pracę, to ziarno mogło dojrzeć i wydać udaną karierę w obecnym życiu. Celem buddyzmu jest jednak całkowite wyeliminowanie karmy: oczyszczenie rachunku ze wszystkich karmicznych ziaren, tak aby żadne działanie nie było zdeterminowane przeszłością. Oświecenie oznacza wolność od karmy. Usunięcie tych ziaren to wyzwolenie z więzów wcześniejszych uczynków. Człowiek może się stać czystą esencją, a jego umysł będzie wtedy równie czysty i twardy jak nieskazitelny diament.

Budda nauczał, że istnieją dwie drogi do oświecenia: jedna jest powolna i bezpieczna, druga szybka i ryzykowna. Pierwsza jest zwana sutrą i jest to system otwartych nauk dostępnych dla wszystkich. Sutry uczą, jak radzić sobie z karmicznymi ziarnami, prowadząc życie świadome i pełne współczucia. Skupiają się na etyce i określają sposób, w jaki powinno funkcjonować społeczeństwo. Podążający drogą sutr powoli usuwają się ze świata i starają zostawić jak najmniejszy ślad na tym, co ich otacza. Usiłując być dobrą istotą i podejmując niespieszne, pełne sensu, świadome działania, człowiek – a raczej jego umysł – powinien być zdolny wyeliminować całą swoją karmę i osiągnąć stan buddy. Jedyny problem polega na tym, że ów proces jest boleśnie powolny, jak nauczał Budda, wyeliminowanie karmy tylko poprzez świadome działania wymagałoby tysięcy, a nawet milionów kolejnych żywotów.

Druga droga zwana tantrą, co oznacza tajemnicę, jest uważana za tak zdradliwą, że wolno nią podążać tylko uczniom, którzy opanowali nauki sutry. W tantrze człowiek łączy się bezpośrednio z boską

energią, by spalić karmiczne nasiona. Podczas gdy podążający drogą sutr starają się powściągnąć namiętności, ci idący drogą tantry podsycają ich płomienie, próbując pojąć, że nawet ekstremalne stany emocjonalne są także z natury puste. Tybetańczycy nauczają, że energia, jaką wyzwalają praktyki tantryczne, jest tak potężna, że oddany wyznawca powinien osiągnąć oświecenie w ciągu jednego życia.

Podczas gdy sutry skupiają się na kształtowaniu człowieka przystosowanego do życia w społeczeństwie, tantra to droga bardziej indywidualna. Tantrycy spoglądają we własne wnętrze i zmieniają swoje umysły, zamiast działać w świecie.

Kiedy Ian zjawił się w księgarni, Michael Roach nauczał sutr. jednak na horyzoncie jawiła się obietnica tantry. Jak powiedział im Roach, pełen kurs sutry zająłby siedem lat, ale kiedy opanują jego nauki i oddadzą się w jego ręce jako swojemu mistrzowi, niebiosa będą w zasięgu ręki.

Ściany księgarni zastawiono kolorowymi posążkami i wizerunkami tybetańskich bóstw. Niektóre z nich, spowite pomarańczowymi płomieniami, trzymały odcięte głowy wrogów, inne uśmiechały się tajemniczo, spuszczając wzrok, jeden z obrazów przedstawiał kobietę o pełnych piersiach, przystrojoną w naszyjnik z ludzkich czaszek. Bogini delikatnie opierała włócznię na ramieniu i unosiła do ust konchę pełną nektaru, jej troje oczu spoglądało złowrogo w górę, a nagie wargi waginy były otwarte i zapraszające. Była to Wadżrajogini, bogini, której Michael Roach zawdzięczał oświecenie.

Wizerunki te zwane thankami pomagają w medytacji i są uważane przez Tybetańczyków za emanacje samych bóstw. Wyglądają groźnie albo dobrotliwie, a dla niewtajemniczonych są niczym niezrozumiałe dzieła sztuki. By pojąć mudry i symbolikę każdego z wizerunków, uczniowie muszą pobierać indywidualne lekcje z guru. Muszą też obiecać, że nie wyjawią sekretnych znaczeń ludziom, którzy nie przeszli tantrycznej inicjacji, bo inaczej ryzykują tysiące lat udręki podczas straszliwych kolejnych żywotów.

Ian był ciekaw, w jaki sposób symboliczny krajobraz i niezrozumiałe gesty bóstwa mogą otworzyć tajemny świat znaczeń, a Roach wydawał się właśnie tym, kogo szukał. Ten amerykański mnich był charyzmatyczny i umiał wyjaśniać ezoteryczne pojęcia, rzucając żarcikami. Ian, który pragnął zrozumieć więcej, został stałym bywalcem ośrodka i był gotów poświęcić grupie tyle czasu, ile tylko możliwe. Być może przyczynił się do tego również fakt, że ośrodek niczym magnes przyciągał atrakcyjne kobiety.

W Three Jewels kontakt fizyczny był czymś oczywistym. Pełne życia młode kobiety przytulały go na powitanie, a wykłady Roacha na temat seksualności rozbudziły jego zainteresowanie. Któregoś dnia po mniej więcej miesiącu uczęszczania na zajęcia w ośrodku, siedząc na ponurym peronie, zaczął pisać list na laptopie. Był adresowany do jego przyjaciółki LaShaun Williams w Baltimore. Poznali się podczas studiów na Stanfordzie, a teraz LaShaun studiowała psychologię. Oboje interesowała ezoteryczna strona ludzkiego umysłu.

> Są takie dwie dziewczyny, które stale się obok mnie kręcą. Jedna to próba dla mojej cierpliwości, druga – dla pożądania. To dość niesamowite, ale czuję, jakbym po bardzo długim czasie wreszcie nie był samotny. Nie przywykłem do tego uczucia. W każdym razie mieliśmy bardzo długie zajęcia na temat wartości celibatu, w których braliśmy udział ja i zainteresowana mną pani. To dość trudne, ale w pełni mnie przekonuje. Chodzi o to, że jeśli człowiek nauczy się przekierowywać całą energię zużywaną na seks na jakieś intensywne ćwiczenia mające na celu przemianę, seks w ogóle nie przyjdzie mu do głowy. Będzie się wydawał dużo mniej zabawny od tego, czym się zajmuje. Ale tymczasem, zanim zdążysz przejść szkolenie, kto wie, prawda?

Po kilku tygodniach Ian spędzał większość czasu z dwiema najbliższymi asystentkami Roacha: Christie McNally i Mercedes Bahledą. Obie spijały każde słowo z ust gesze i promieniowały swobodną miłością i życzliwością, co było konieczne, by zwerbować nowych członków. Obie miały burzliwą przeszłość.

Bahleda dorastała w sielskiej wiosce Hamburg na przedmieściach Buffalo w stanie Nowy Jork. Jej matka, samotnie wychowująca dwie

córki, uczyła plastyki w szkole katolickiej. W 1977 roku, kiedy Mercedes była małą dziewczynką, szesnastoletni bandyta włamał się do ich domu i zatłukł matkę łomem. Gdy rankiem razem z siostrą zeszły na dół, zobaczyły jej zakrwawione ciało. Zbrodnia nie miała wyraźnego motywu.

Z początku podejrzewano Jamesa, ojca Bahledy, a śledztwo spowodowało zupełny rozpad już i tak kruchej rodziny. Dopiero siedemnaście lat później aresztowano pod zarzutem podpalenia innego mężczyznę, który przypadkiem przyznał się do tamtego morderstwa.

Bahleda zupełnie się zmieniła. Obie z siostrą były przez lata pod opieką psychologa, ale nic nie mogło wyjaśnić istnienia na świecie takiego zła ani tego, dlaczego odebrano im matkę w tak okrutny sposób. Szukała wytłumaczenia, a w naukach Roacha było coś kojącego, co dawało jej poczucie ładu. Coś, co jej matka zrobiła w przeszłości – może w poprzednim życiu – było zapowiedzią jej tragicznej śmierci. Karmą Mercedes było znaleźć jej zwłoki i dorastać w rozbitej rodzinie.

Teraz, gdy była w Three Jewels, wyglądało na to, że pogodziła się ze śmiercią. Wyjaśnienia Roacha pomogły ukoić ból i dały siłę, by zapanować nad stratą, udręką jej dzieciństwa. Medytacja pozwoliła jej usunąć złe karmiczne ziarna i zasiać nowe. To było coś, co mogła zrobić. Coś konkretnego. Kojąca okazała się świadomość, że wszechświat jest pusty. Tak samo jak cierpienie jej matki. I jak sama Mercedes.

Twarz Bahledy, zwykle o surowym wyrazie, okalała kaskada kasztanowych loków. Była zmienna i kapryśna, nie zawsze przewidywalna i rozsądna. A kiedy Ian zaczął spędzać całe dnie w Three Jewels, jej zachowanie budziło w nim niepokój. Pracowali jednak razem: zamieszczali darmowe ogłoszenia w lokalnych gazetach i rozlepiali ulotki reklamujące następne wykłady Roacha. Czasem jechali do jego mieszkania na Roosevelt Island, żeby medytować – ale zawsze siadali z dala od siebie, żeby uniknąć

wszelkiego kontaktu fizycznego. Niekiedy jednak to się nie udawało, zdaniem Kay raczej z inicjatywy Mercedes niż Iana[10].

Christie McNally wzbudzała w nim inne uczucia, podobnie jak w wielu ludziach, którzy znaleźli się w jej orbicie.

Rok wcześniej McNally uzyskała dyplom Uniwersytetu Nowojorskiego, gdzie studiowała fotografię, zamierzała bowiem zostać fotoreporterką. Trochę chłopczyca, miała długie, proste kasztanowe włosy i ujmujący kokieteryjny uśmiech. Zajmowała maleńkie mieszkanko na Trzynastej Ulicy ze współlokatorką i kotem o imieniu Max. Podobnie jak większość ludzi urodzonych w latach dziewięćdziesiątych, miała poczucie, że przegapiła najważniejsze ruchy kulturowe swoich czasów. Kolorowy idealizm lat sześćdziesiątych przeszedł w rozczarowaną epokę grunge. Zamiast optymizmu i powiewnych tkanin były flanelowe koszule i płytki cynizm.

Przez całe studia miała kolejnych chłopaków. Większość z nich należała do niewielkiej grupy znajomych, którzy najwyraźniej wymieniali się między sobą partnerami, zamiast szukać kogoś na zewnątrz. Ostatni był Ara Babajian, perkusista w kolejnych kapelach, którym prawie się udało.

Christie i Arę wiele łączyło. Oboje lubili baseball i podobnie jak niemal wszyscy w East Village eksperymentowali z marihuaną. Ona pracowała dorywczo w studiu fotograficznym, doskonaląc swoje umiejętności, ale Babajian wiedział, że nie byłaby zadowolona z typowej pracy na etacie.

Spotykali się niemal rok, potem jednak McNally postanowiła po raz pierwszy pojechać do Indii i Nepalu. Studiowała jogę i sądziła, że będzie ciekawie zobaczyć nowe miejsca. Po niedługim czasie dotarła do klasztoru Kopan, mniej więcej rok wcześniej niż Ian. Miała tylko dwadzieścia dwa lata i tamtejsze nauki oraz medytacje nad naturą pustki wywarły na nią głęboki wpływ. Podobnie jak Ian wróciła do Ameryki, znalazła nauczyciela i dowiedziała się, że Michael Roach zaczął prowadzić otwarte wykłady dla niewielkiej grupki uczniów w parku Tompkins Square.

– Rozmawiali o buddyzmie, a potem przynosiła to do domu – opowiadał Babajian.

Kiedy ta filozofia zaczęła się kłócić z jego własną drogą rozwoju jako muzyka, rozstali się.

Kilka miesięcy później Roach otworzył Three Jewels. McNally okazała się jego najlepszą uczennicą. Kiedy Babajian znów ją zobaczył, szło za nią pięć osób.

– Miała za sobą cały chórek – opowiadał, wciąż zdumiony, mimo że minęło dwadzieścia lat. – Zadałem jej pytanie, a oni odpowiedzieli za nią.

Po chwili cała grupa zniknęła. Babajian nie spotkał jej nigdy więcej.

McNally studiowała u Roacha mniej więcej dziewięć miesięcy, zanim w Three Jewels pojawił się Ian. Miała dość czasu, by zastanowić się nad najważniejszą decyzją w swoim życiu. Czy poprosić Roacha, żeby stał się dla niej kimś więcej niż nauczycielem? Czy będzie jej rdzennym lamą?

Decyzja ta wiąże się z rodzajem małżeństwa duchowego oraz absolutnym zaufaniem do swojego guru i posłuszeństwem wobec niego. W wywiadzie dla magazynu dla buddystów tak opisała tę decyzję:

> Wybór lamy to bardzo poważna sprawa. Trzeba być przekonanym, że twój mistrz jest absolutnie bez skazy, i być gotowym zaryzykować dla niego życie, oddać mu całe życie, wszystko. No więc wahałam się i zastanawiałam przez jakiś rok [...]. Chodzi mi o to, że czuję do tego powołanie i że potrzebuję guru, ale nie chciałam działać pochopnie. Ale kiedy tylko podjęłam decyzję i zapytałam, czy zgodzi się być moim guru, wszystko zaczęło się toczyć w błyskawicznym tempie [...]. [Zobaczyłam, że] mój lama dokonuje cudów. Wchodziłam w bardzo interesujące stany medytacyjne, zupełnie spontanicznie. Na przykład siedziałam w pokoju i znienacka widziałam każdego, kto tam był, jako świętą boską istotę.

W buddyzmie tybetańskim wybranie sobie guru implikuje rodzaj nieusuwalnej więzi między nauczycielem a uczniem, której nie da się zerwać żadnym czynem dostępnym człowiekowi. Śluby

posłuszeństwa działają na płaszczyźnie duchowej i tworzą więź, która trwa przez wszystkie kolejne narodziny. Pociąga za sobą całkowite poddanie się woli innego człowieka i pełne zaufanie, że dostarczy on narzędzi, które pomogą ci w rozwoju duchowym. W momencie złożenia ślubów McNally zrezygnowała z kontroli nad własnym życiem.

Paul Hackett wiedział, że w ośrodku Three Jewels dzieje się coś dziwnego, kiedy tylko wszedł i od progu zobaczył stos butów pod zdjęciem Dalajlamy. Był początkującym naukowcem, pisał pracę magisterską z bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Maryland, studiował średniowieczne rękopisy i biegle władał językiem tybetańskim. Przez siedem lat studiował buddyzm tybetański i chciał wreszcie zdecydować, czy w wieku trzydziestu lat powinien ogolić głowę i złożyć śluby mnisie, czy może poznać jakąś kobietę i założyć rodzinę. Kilka lat wcześniej zakończył długoletni stabilny związek na rzecz studiów buddyjskich.

Hackett, młodszy od Roacha o ponad dziesięć lat, studiował język tybetański w klasztorach w Charlottesville w Wirginii i Atlancie. Podobnie jak większość wyznawców buddyzmu tybetańskiego, mógł prześledzić swój duchowy rodowód poprzez kolejnych nauczycieli aż do samego Buddy. Ta naukowa genealogia oznaczała, że jest jakby spokrewniony z Roachem, są kimś w rodzaju kuzynów w dharmie. Jego lama gesze Dżampel Thardo medytował razem z lamą Roacha Khenem Rinpoczem. Thardo wraz z Rinpoczem pomogli ufundować klasztor w New Jersey.

Hackett podziwiał Roacha. Uczeni tacy jak on pokładali wielkie nadzieje w Asian Classics Input Project. Digitalizacja tekstów mogła zrewolucjonizować badania nad rękopisami tybetańskimi. Wiele kanonicznych tekstów przetrwało tylko w postaci kopii wysyłanych jako prezenty do mongolskich władców w okresie, gdy Tybet miał potężną armię.

Kiedy podczas II wojny światowej ZSRR przejął władzę nad Mongolią, rosyjscy naukowcy zebrali wszystkie teksty, jakie tylko

zdołali zgromadzić, i wysłali tysiące rękopisów do Petersburga. To cud, że w ogóle jakieś przetrwały. Ale przez to zainteresowani nimi uczeni z całego świata mieli do nich utrudniony dostęp. Badacze skomplikowanymi kanałami oficjalnymi musieli się starać o zgodę na wysłanie kulturowych skarbów za granicę. Rosyjska biurokracja była powolna i nie zawsze przychylna cudzoziemcom. Często łatwiej było po prostu wsiąść do samolotu i odwiedzić archiwa osobiście. Ale mimo to do wielu ksiąg nikt nie zaglądał od stuleci i część zbutwiała w jedwabnych okładkach. Niektóre z religijnych skarbów zniszczyły insekty, a inne rozsypywały się z powodu niewłaściwej konserwacji.

Latem 1997 roku Hackett jeździł tam i z powrotem po wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych w wyblakłym od słońca garbusie, ledwo mieszcząc kolana pod kierownicą. Jeździł z Charlottesville, gdzie mieszkał ze swoim siedemdziesięcioletnim lamą w domu pełnym innych magistrantów. Brał różne prace dorywcze i próbował zarabiać na projektach naukowych. Kiedy przyjechał do Nowego Jorku, dyrektor techniczny ACIP Bob Chilton poprosił go o konsultację w sprawie szczególnie uciążliwego problemu z bazą danych. Sprowadzenie Hacketta do Three Jewels byłoby sukcesem dla grupy Roacha.

Hackett wysłuchał kilku wykładów, obserwując z przyjemnością, jak Roach przekłada złożone tybetańskie pojęcia na prostą angielszczyznę. Był to haust świeżego powietrza w porównaniu z klasztornym formalizmem, który wielu lamów przywoziło ze sobą z Azji. Zamierzał spotkać się z Roachem sam na sam i porozmawiać z nim o dharmie.

Jakiś czas później tego samego lata poszedł do pokojów Roacha i zauważył, że oprócz kilku książek jest tam praktycznie pusto. Dużo większym zaskoczeniem była kobieta śpiąca w łóżku gesze. Dwie inne leżały na podłodze. Hackett omal się nie zakrztusił. Wyżsi rangą nauczyciele w klasztorach nigdy nie zbliżali się tak do uczniów, nie mówiąc o uczennicach. Hackett, który dobrze znał dyscyplinujący ton tybetańskich lamów, zaczął krzyczeć na kobiety, żeby natychmiast wyszły. Roach z pewnością byłby wzburzony, widząc

kobietę w swoim łóżku – ostatecznie złożył przecież śluby czystości. Roach usłyszał zamieszanie i wyszedł, żeby uspokoić Hacketta:

– Nie, nie, Paul, wszystko w porządku. Pozwoliłem jej tu spać.

Hackett opuścił pomieszczenie, czując niesmak, ale nie wiedział dlaczego, dopóki kilka tygodni później znów nie odwiedził księgarni Three jewels. Chciał zdjąć buty, ale wtedy jego wzrok spoczął na zdjęciu Dalajlamy. W Azji pokazanie komuś podeszew stóp to oznaka lekceważenia. Byłoby nie do pomyślenia wystawianie ich w stronę nauczyciela, nie mówiąc już o stercie butów pod jego zdjęciem. Poczuł, jak wzbiera w nim gniew, i pomyślał o ostatniej wizycie Dalajlamy w Nowym Jorku i o tym, że ludzie z ACI przyjęli to z dziwnie małym entuzjazmem. Uczniowie ze świątyni zaczęli się spierać i jeden z nich rzucił:

– Ty wciąż uważasz, że jego Świątobliwość jest lepszym nauczycielem niż gesze Michael.

Te słowa odebrały Hackettowi mowę. Oczywiście, że uważał Dalajlamę za bardziej kompetentnego nauczyciela niż Roach. A dyskredytowanie jego Świątobliwości – ten tytuł jest zarezerwowany dla Dalajlamy – ocierało się o bluźnierstwo.

Hackett zaczął wykopywać buty spod portretu. Odwrócił się plecami do Roacha, który siedział z przodu sali, i trzykrotnie padł na twarz przed Dalajlamą, po czym wyszedł z księgarni Three jewels i już nigdy tam nie wrócił.

Ta scena nie wzbudziła większego poruszenia wśród najbardziej oddanych zwolenników Roacha, ale rozdźwięk pomiędzy nim a ortodoksyjną tradycją tybetańską wciąż się pogłębiał. Hackett uważał, że Roach być może tworzy własną religię.

Ponieważ prowadzone po angielsku wykłady Roacha były bardzo przystępne, jego uczniowie często mieli poczucie, że nie muszą już szukać innego spojrzenia na buddyzm. Odizolowani w ten sposób, nie byli w stanie pojąć toczących się na wyższym poziomie sporów między tybetańskimi teologiami, Ian był zachwycony wykładami, a napięty harmonogram wyjazdów Roacha był dla niego pretekstem, by znów zacząć podróżować. Pomagał przy tworzeniu broszur

potrzebnych do pozyskiwania funduszy na projekt digitalizacji manuskryptów. Ślęczał przy komputerze razem z czarnoskórą kobietą z Karaibów, która złożyła śluby mnisie i zmieniła imię na Ani Pelma. W październiku zapisał się na trzytygodniowy wyjazd z Roachem do ośrodka medytacyjnego w Redding w Connecticut, zwanego Godstow.

Była to pierwsza oficjalna, intensywna sesja pod bezpośrednim nadzorem Roacha. Ian pożyczył pieniądze od rodziców, by móc tam pojechać. Kilka miesięcy później znów zadzwonił do rodziny i pożyczył od babci pieniądze na wyjazd do Mongolii. Roach chciał wykładać przed liczną publicznością w Ułan Bator, w pobliżu archiwum, gdzie dokonywano digitalizacji tekstów. Telewizja mongolska miała transmitować to wydarzenie, tak by mogli je obejrzeć nieliczni mieszkańcy mający dostęp do telewizora, Ian miał spróbować swoich sił jako dokumentalista i taszczył małą kamerę wideo, by zarejestrować występ Roacha.

Z konieczności podróżował tanimi środkami transportu wraz z Bahledą, McNally i kilkoma osobami z rosnącej świty Roacha. Gdy już dotarli na miejsce, surowy krajobraz Mongolii przypomniał mu skaliste szczyty i kamieniste doliny Tybetu, którymi wędrował rok wcześniej. Było tam pusto i pięknie, i prawie nie było dróg. Większość ludzi poza miastem wciąż jeździła konno. Po mieście Ian poruszał się busami, odpowiadał za bagaże całej grupy. W filmie, który nakręcił, obraz jest chwiejny, a dźwięk zagłuszany przez świszczący wiatr, jak żartował w liście do jana, czasem czuł, że raczej zawadza, niż pomaga.

Roach wykładał na temat *Sutry Diamentowej*, traktatu, w którym porównywano oświecenie do czystości i siły diamentu. Księgę tę Roach studiował w Indiach jako dwudziestolatek i uważał, że to właśnie dzięki niej wkroczył na drogę oświecenia. Tekst opisuje świat w kategoriach relatywistycznych.

Listy Iana do rodziny przybrały bardziej osobisty ton. Życie było ulotne i krótkie, a jan był stary i chory, jego śmierć to tylko kwestia czasu, Ian objaśniał mu wizję umierania według Tybetańczyków.

Postrzegał Jana jako rodzaj boskiej istoty, która zstąpiła na ziemię, by pomóc mu jak najlepiej wykorzystać swoje życie. Pisał:

> Mam nadzieję, że w przebłyskach pamięci przypominasz sobie swoją łagodną zdolność do dobroci, którą miałem szczęście obserwować od zalążka do młodej sadzonki. Czasem zastanawiam się, dlaczego moje życie zostało pobłogosławione ludźmi takimi jak ty, którzy strzegą mnie białymi anielskimi palcami. Buddyści powiedzieliby, że musiałem zrobić coś dobrego w przeszłości. Coś niezmiernie dobrego, mój Janie, coś niezmiernie słodkiego.

Ian chciał być przy łożu śmierci swojego ojca chrzestnego, ale z powodu częstych wyjazdów byłoby mu trudno dotrzeć do Szwajcarii, gdzie mieszkał Jan.

Siedząc u wejścia do mongolskiego klasztoru, zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zostać mnichem, by jak najlepiej wykorzystać krótki czas, jaki został mu dany.

Mógł złożyć śluby, przybrać nowe imię i zostać oddanym uczniem Michaela Roacha. Mógł uznać Roacha za swojego lamę serca tak jak Christie i poświęcić się poszukiwaniu wewnętrznej prawdy[11]. Być może jako mnich zyskałby poczucie kierunku, którego bardzo mu brakowało w życiu.

W swoich listach zaczął rozważać problem istnienia zła w świecie. Jeśli długopis nie istnieje sam przez się (albo, jak mówił Michael Roach, „ze swojej strony”), w takim razie nic nie istnieje – przynajmniej w ostatecznym sensie. A jednak wokół siebie wszędzie widział śmierć. Tybetańczycy ginęli z rąk chińskich żołnierzy. Podczas jego własnych podróży po świecie zatrzymywała go policja. W Izraelu i na Bliskim Wschodzie zanosiło się na wojnę. Czy źródłem tych wszystkich rzeczy był po prostu własny umysł? Dlaczego je postrzega, skoro nie istnieją? Wykłady, których słuchał, zmieniły jego postrzeganie świata. A on medytował nad nimi codziennie, nabierając przekonania, że to prawda.

Problem zła analizował w liście do LaShaun, koleżanki ze studiów: „Jestem odpowiedzialny za mnóstwo zła. Każde morderstwo dziecka, o którym słyszę w telewizji – to ja jestem

sprawcą ich wszystkich. Postrzeganie czegoś złego bierze się ze śladu, jaki pozostawił zły uczynek z przeszłości”.

Te sprzeczne z intuicją myśli były trudne do przyjęcia. LaShaun, choć wychowana w chrześcijańskiej rodzinie, studiowała medytację w ośrodkach na zachodnim wybrzeżu i twierdziła, że ona także doświadczała niezwykłych urzeczywistnień. Ogromnego znaczenia nabrały dla niej zbiegi okoliczności. Nic nie było przypadkowe. Zawsze był jakiś wzór, synchroniczność wisiała w powietrzu. Ona również zastanawiała się nad tym, czy nie zostać mniszką. Podobnie jak Ian, zmagała się z koncepcją wszechświata, w którym jedyną istotną rzeczą jest postrzeganie. Ale mimo to list Iana wydał jej się dziwny. Chciała lepiej zrozumieć jego myśli. Być może to była droga do szaleństwa i niepoczytalności, a nie do transcendentnej wiedzy.

„Czy słusznie sądzę, że dalszy postęp w duchowych studiach i praktykach oznacza odejście od fizycznej rzeczywistości? Już samo to pytanie wydaje mi się absurdalne i nonsensowne, ale być może odpowiedź też byłaby paradoksalna. Dla mnie odpowiedź mogłaby być prosta: powinnam zachowywać się stosownie do rzeczywistości, w której znajduję się w danej chwili”, napisała do niego.

Pytanie to towarzyszyło Ianowi podczas medytacji. Bardzo pragnął postrzegać każdą chwilę jako powiązaną z innymi i świętą. Medytacje dawały mu poczucie szczęścia, ale nie zawsze udawało mu się zachować ten stan na długo. Wciąż kłócił się z rodzicami i nieustannie miał problem z tym, żeby zarobić na życie.

W październiku 1999 roku pisał do LaShaun, że nie rezygnuje z więzi ze światem. Dzięki medytacjom ma szansę zbliżyć się do najwyższego mechanizmu napędzającego wszechświat. Jego długa odpowiedź, na żółtym papierze zeszytowym, brzmiała tak:

> Nasz teraźniejszy świat składa się ze śladów zasianych w przeszłości, które teraz rozkwitły. Kiedy więdną, mamy poczucie przemijania. Kiedy jedziemy samochodem, za oknem migają drzewa; podobnie jest z tymi śladami, które znikają jeden za drugim. Wygląda to jak ruch. Dlaczego miłe chwile przemijają? Bo nie wiemy, jak są zrobione. Gdybym zrozumiał, jak je robić, mógłbym zbudować maszynę do produkcji chwil i po prostu ją uruchomić: chwila trwająca w nieskończoność? Nie sądzę, żeby moje nauki duchowe

> odsuwały mnie od tego, co fizyczne. Może wręcz mnie do tego zbliżają. Kolory są jaskrawsze, smaki wyraźniejsze. To wszystko są rezultaty dobrej medytacji. Dzięki niej człowiek czuje się lżejszy, ciało młodnieje, a w końcu zmienia się w ciało anioła. Moje bezpośrednie doświadczenie tylko potwierdza sam początek tego procesu, ale widzę logicznie, że to się dzieje. Myśli, idee, światopogląd, wszystko jest bezpośrednio związane z ciałem fizycznym. Gniew sprawia, że mięśnie się napinają, a oddech przyspiesza, więc logiczne, że mniej gniewu oznacza mniej napięcia, a ostatecznie ciało złożone ze światła.

Życie było dla niego projekcją własnego umysłu. Podróże po Azji, przynależność do bractwa i przypadkowe spotkanie z Roachem i Christie McNally – wszystko to była karma, która miała swoje źródło w poprzednich wcieleniach. Teraz, kiedy zaczynał rozumieć, jak naprawdę działa rzeczywistość, co mógł zrobić, żeby jego umysł stał się lepszym miejscem? Czy mógł zmienić własne projekcje, a w konsekwencji świat? Czy mógł odnaleźć wolną wolę?

Tego problemu nie można rozwiązać za pomocą logiki. To była kwestia uczuć i doświadczeń. A klucz, jak nauczał Michael Roach, znajdował się w jego własnym umyśle. Samodyscyplina miała otworzyć przed nim drzwi do prawdy.

5

Programowanie

Wspomnicie moje słowa. Kiedyś prawie nikt w Ameryce nie składał ślubowań bodhisattwy. Będą robić z wami wywiady o tym, jak było kiedyś. Wspomnicie moje słowa, docenicie to później. To już się dokonało, choć jeszcze tego nie widzicie. Historia pokaże, że wy byliście u początków.

Michael Roach, 2 lutego 2000 roku, podczas ceremonii inicjacyjnej ślubowań bodhisattwy Iana Thorsona

Dążenie do wyzbycia się ego to duchowy paradoks, jako że dąży do tego właśnie ego, ponieważ uważa, że pozbycie się ego będzie dla niego lepsze.

Joel Kramer, Diana Alstad, *The Passionate Mind Revisited* [Nowe spojrzenie na żarliwy umysł]

Kay Thorson pocięła pomidory na plasterki i ukroiła prostokątne pajdy ciężkiego chleba. Włożyła do wrzątku dwa jajka i nastawiła minutnik, żeby żółtka nie ugotowały się na twardo. Sześć minut później wyłowiła jajka łyżką cedzakową i delikatnie postawiła je na białych ceramicznych podstawkach. Metalową łyżeczką ostukała czubek jednego z nich, a potem zdjęła brązową skorupkę. Z płynnego wnętrza uniosła się para. Po drugiej stronie stołu jajko dla Iana stało nietknięte, a ona zastanawiała się, czy dziś przyjdzie na śniadanie i zje coś więcej niż kawałek tostu z masłem i garstkę płatków.

Martwiła się, że od czasu powrotu z Mongolii jej syn zachowuje się inaczej. Ze swojego pokoju wychodził dopiero po południu. Większość czasu spędzał za zamkniętymi drzwiami, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na okrągłej poduszce do medytacji, tyłem do okna. Gdyby wyjrzał, zobaczyłby kościół episkopalny z czerwonej cegły, jeden z nielicznych charakterystycznych budynków na Roosevelt Island. Długą drewnianą półkę pod parapetem wypełniały rozmaite materiały z wykładów buddyjskich i kopie listów, które

zebrał przy okazji zajęć w Three Jewels. Papiery wysypywały się na podłogę i leżały pod jego tapczanem.

Jednak otoczenie mało go obchodziło, jego uwaga była skierowana do wewnątrz. Jedną piętę miał ułożoną w stronę pępka, kolano leżało płasko na podłodze. Siedział w doskonałej pozycji pełnego lotosu, pozie do medytacji, która zdaniem hinduistów i buddystów idealnie sprzyja docieraniu do najwyższej prawdy. Oczy drgały mu pod powiekami, kiedy skupiał się na wyobrażeniu Wadżrajogini, bogini dakiń.

„Om Wadżrajogini hum phat swaha”, mówił, wypuszczając powietrze z płuc. Podobnie jak większość mantr, te słowa to raczej zestaw dźwięków niż logiczne zdanie. Nie jest to dokładnie tybetański ani sanskryt. Zdaniem niektórych słowa te wywodzą się jeszcze z neolitu. *„Om”* to gardłowy dźwięk wszechświata, szum w tle zapoczątkowany Wielkim Wybuchem. *„Wadżrajogini”* to pozdrowienie bogini jej imieniem, a *„hum”* przywołuje prawdę pustki. Kulminacją mantry jest słowo *„phat”* wymawiane na pełnym wydechu, prawie jak krzyk. Nie tłumaczy się go, może tylko jako dźwięk przypominający świst bicza. *„Phat”* nadaje mantrze moc i wprowadza skupienie. Wreszcie, po krótkiej pauzie, intonacja opada w słowie *„swaha"*, które może znaczyć „niech się stanie”. Może też oznaczać spalanie się czegoś na popiół w ogniu, Ian recytował te wznoszące się i opadające sylaby w nieskończoność. Usuwały codzienny gwar jego umysłu. Kiedy tylko myśli gdzieś odbiegały, przyłapywał się na tym i znów skupiał na mantrze.

Mantra pomogła mu poczuć subtelne energie wiążące jego fizyczne ciało z poziomem eterycznym. Przez tysiące lat buddyści, hinduiści i chińscy akupunkturzyści tworzyli mapę ciała subtelnego, które istnieje równolegle z bezwładną materią ciała. Podczas gdy ciało fizyczne składa się z naczyń krwionośnych, mięśni, komórek i nerwów, ciało subtelne ma własną anatomię. Nieustannie przepływające w nim prądy energii zwane *lung*, czyli wiatrami, przemieszczają się w nim podobnymi do rzek kanałami zwanymi *nadi*. Koliste wiry nazywane czakrami sprawiają, że energia krąży

wzdłuż kręgosłupa. Wędruje po precyzyjnej trasie od organów płciowych aż do potylicy. W chwili śmierci ciało energetyczne zrywa więzi z ciałem fizycznym i przenosi się do sfery boskiej. W miarę jak wizje Iana stawały się coraz doskonalsze, zaczął odczuwać ten przepływ energii niczym elektryczny dreszcz przez swoje ciało i umysł.

Podczas gdy chirurg może operować ciało fizyczne za pomocą skalpela i szwów, medytujący używają symboli, by określić i zmieniać więź między subtelnymi energiami ciała a umysłem. Wadżrajogini jest zarazem boginią i symbolem. Jeśli pomyśli się o niej jako o narzędziu, może ciąć umysł podatny na formowanie równie łatwo, jak nóż przecina skórę. To nie była medytacja mająca przynieść rozluźnienie i spokój. To było coś dużo mocniejszego. To była tantra.

Ian podczas medytacji miał przed sobą małą thankę z wizerunkiem bogini Wadżrajogini. Roach nauczał, że najszybciej można osiągnąć oświecenie właśnie dzięki jej pomocy. A dokładniej: aby uzyskać jej błogosławieństwo podczas medytacji, Ian musiał się nią stać. Zdawał sobie sprawę, że słabo się nadaje do oświecenia. Bogini za to była doskonała. Więc jeśli uda mu się zwizualizować ją idealnie w umyśle, a potem wyobrazić sobie siebie w jej ciele, będzie gotów do głębokiej transformacji. Pierwszym krokiem była rezygnacja z samego siebie. Błagał boginię o schronienie i proponował jej w zamian swoich pięć zmysłów. Składał w ofierze wzrok, powonienie, smak, dotyk i słuch, mając nadzieję, że oczyści je i pozwoli mu dostrzec ostateczną rzeczywistość.

Dzięki wielomiesięcznym ćwiczeniom był w stanie przywołać obraz bogini w swoim umyśle z łatwością mistrza szachowego, który odtwarza partię, czytając jej zapis w gazecie. Wizje pojawiały się niczym sen na jawie. Wadżrajogini stała przed nim w ciele szesnastolatki, ozdobiona lśniącym naszyjnikiem z obciętych głów. Głowy te symbolizowały jego ignorancję. Krwawiła z waginy, ale była także wyraźnie podniecona. Jej oczy jarzyły się czerwienią, a z kłów kapała krew.

Wadżrajogini karmi się przemocą i śmiercią. Choć jej wygląd może przerażać, celem jest dobro. Pożera negatywne emocje i myśli, niszcząc je w ten sposób na zawsze. W wizji Iana cztery dakinie, podobne do elfów służki bogini obdarzone mniejszymi mocami, były na każde jej skinienie. Zabijają dla niej i oczyszczają świat z ignorancji.

Kiedy wizja bogini w jego umyśle stała się wyraźna jak kryształ, Ian rozpoczął równocześnie inne wizualizacje. Podzielił swój umysł podobnie jak komputer wykonujący jednocześnie różne zadania. Wyobrażał sobie, że pośrodku jego serca jest mała tybetańska litera. Była to „*va*”, litera sanskryckiego alfabetu, rdzeń imienia Wadżrajogini. Wytryskiwały z niej szkarłatne promienie, które znikały poza jego polem widzenia, obejmując cały wszechświat. Promienie te były czystą miłością. Litera wibrowała energią. Zabierał całą swoją radość i całe szczęście i wysyłał je w świat.

Roach obiecywał, że tego rodzaju praktyki przyspieszą transformację Iana w anioła złożonego z czystego białego światła. Ale teraz miał przed sobą najtrudniejsze zadanie: pełną transformację.

Spojrzał na kończyny bogini i wyobraził sobie, że to jego własne ręce i nogi. Z kącika ust spływała mu krew. Poczuł ciężar jędrnych piersi, z dodatkowych stawów wyrastały mu ręce, których nie czuł nigdy wcześniej. Symbol jej imienia płonął jasno w jego sercu. Po chwili na szyi miał ciężkie korale z głów i wiedział, że są to jednocześnie pokonane ziarna jego własnej ignorancji. Było to bolesne i rozkoszne zarazem, i czasami niezupełnie krystalicznie czyste. W końcu transformacja się dokonała. Przez chwilę był boginią. Miał przed sobą jeszcze jedno zadanie. Musiał oddać wszechświatu wszelkie zalety, które zgromadził w ciągu swojego życia.

Z wnętrza nowego ciała spojrzał na jedną ze swoich czterech rąk i zobaczył doskonale ostry nóż rzeźnicki. Zagięte ostrze miało własną energię i moc. To było narzędzie, za pomocą którego rozprawi się ze swoim ciałem. Może skrzywił się, nim zabrał się do dzieła. Odrąbał

sobie ręce. Odrąbał stopy i wyciął serce. Oprawiwszy własne ciało, złożył mięso w ofierze dakiniom, swoim żarłocznym służkom.

Zlizały krew rozdwojonymi językami, ale zostało jeszcze sporo mięsa. Zaprosił więc do swej wizji demony i im także pozwolił ucztować. Przybyły jeden po drugim, a ślina kapała z ich odrażających paszcz. Smakowały kończyn i ścięgien, Ian pozwolił im jeść do woli.

Gdzie on sam był w tamtej chwili, trudno określić. Był ofiarą. Był boginią. Był dakiniami i demonami. Był mężczyzną siedzącym w skupieniu na poduszce. Tak właśnie ostatecznie rozpłynęło się jego ego.

Kiedy demony się nasyciły, Ian powoli wrócił do świata. Warstwy rzeczywistości i fantazji opadły i gdy otworzył oczy, zobaczył białe ściany swojego pokoju. Znów był na Roosevelt Island, po drugiej stronie rzeki niż Manhattan i w odległości półgodziny jazdy kolejką od następnych nauk swojego guru. Napięte ramiona bogini zniknęły, miał tylko własne patykowate kończyny. Stracił muskuły, od kiedy przestał się regularnie odżywiać. Skóra zwisała mu na kościach, miał wystające kolana, a żebra było widać z drugiego końca pokoju. Uśmiechnął się do swojego wychudłego ciała. Był coraz lżejszy i bliższy tego, by stać się aniołem.

Kay próbowała podsłuchiwać pod drzwiami i słyszała trwające w nieskończoność recytacje, Ian wstał, kiedy tylko spomiędzy nowojorskich drapaczy chmur niczym spośród pionowych żaluzji błysnęły pierwsze promienie słońca. Teraz było już południe, a on nic nie jadł przez cały dzień. Jajko, które ugotowała mu na śniadanie, dawno ostygło.

Kay nie podobał się ten nowy Ian. Odzywał się do niej dopiero po południu i tylko wtedy, gdy wychodził. Jeśli zapukała do niego przed ustaloną godziną, był zły. Kiedyś podczas sprzątania chciała wynieść stary telewizor z salonu do jednego z pokojów na górze.

Było rano, ale sprzęt był za ciężki, żeby zdołała go sama udźwignąć. Zapukała więc do syna, prosząc, żeby jej pomógł.

Pukanie do drzwi zaburzyło ulotny wizerunek, który utrzymywał w umyśle. Bogini zniknęła, słyszał tylko prośby matki. Wyraz skupienia na jego twarzy zmienił się w grymas.

– Nie przeszkadzaj mi, chyba żeby się paliło! – wrzasnął.

Kontrast między tą reakcją a celem Iana, którym miało być współczucie dla wszystkich żyjących istot, sprawiał, że Kay trudno było uszanować jego praktyki. Coś tu było nie tak; martwiła się, że im bardziej Ian angażuje się w nauki Roacha, tym bardziej ona traci go jako syna.

W sierpniu Roach przedstawił swoim uczniom w Nowym Jorku różową broszurę zatytułowaną *The Book: Make Your Dreams Come True* [Księga. Spełnij swoje marzenia]. „Księga" ta, licząca zaledwie trzydzieści stron, jest być może najważniejszym dokumentem przeznaczonym dla jego uczniów, ponieważ opisuje program codziennych działań mających prowadzić do oświecenia.

Zawiera ona listę stu czterdziestu siedmiu ślubowań, podzielonych na różne kategorie, nazwane na przykład: „śluby schronienia", „śluby wolności", „śluby bodhisattwy", „główne upadki", „czarne i białe uczynki", „pięć ślubowań osoby świeckiej". Same ślubowania pochodzą z kanonu buddyjskiego. Wynalazkiem Roacha był system moralnej księgowości, dzięki któremu jego wyznawcy mogli kontrolować swój rozwój duchowy.

Według wskazówek zawartych w broszurze, aby otrzymać nauki tantryczne, wyznawcy Roacha muszą przez dwa lata sześć razy dziennie sprawdzać, czy przestrzegają swoich ślubów, przerywając co kilka godzin, by się upewnić, że nie popełniają karmicznej gafy. Zasady obejmowały wszelkie występki, od oczywistych takich jak cudzołóstwo i morderstwo do bardziej ezoterycznych, nieprzeniknionych i zdumiewających karmicznych przewinień takich jak „odrzucenie najwyższej dharmy przez lekceważenie zbiorów pism na sposób samozwańczych buddów"[12].

Co jakiś czas przez cały dzień uczniowie zaznaczali w książeczce plus albo minus, by odnotować, czy przestrzegali kodeksu, czy też

zboczyli na manowce. Dzięki temu systemowi mieli być stale obecni i uważni.

Kiedy Ian w końcu wyszedł z pokoju i zaczął jeździć do Three Jewels, nie ruszał się bez „Księgi”. Stare egzemplarze broszury stały się rejestrem jego karmicznych grzechów. Kay weszła do pokoju syna i przeglądając porzucone książki, zastanawiała się nad setkami nabazgranych w nich znaczków. Każdy z nich dotyczył jakiegoś karmicznego ziarna. Z punktu widzenia Kay ta moralna buchalteria przelała czarę.

– Roach zapanował nad umysłem mojego syna. Był tu nieustannie obecny – powiedziała. To stało się dla niej bodźcem do działania.

Roach, który zawładnął myślami Iana, był tymczasem zajęty poważniejszymi sprawami. Od czasu, kiedy założył Three Jewels w Nowym Jorku, jednocześnie gromadził fundusze na bardzo szczególny ośrodek medytacyjny w odludnych górach Arizony. Postanowił wydzierżawić kawałek ziemi od mormońskiego ranczera z miasta St. David, by stworzyć miejsce, gdzie mógłby medytować z dala od reszty świata. Roach nazwał to obozowisko jurt Uniwersytetem Diamond Mountain, choć formalnie ani nie był to uniwersytet, ani nie znajdował się w górach. Kampus zorganizowano w szerokiej dolinie między odległymi grzbietami górskimi. Niemniej wyjazd tam był dla Roacha czymś bardzo istotnym i bardzo starannie dobierał tych, którzy mieli mu towarzyszyć. Wybrał nieliczne uczennice: Christie McNally, Ani Pelmę, mniszkę, która nadzorowała Iana, kiedy razem pracowali nad ulotkami reklamującymi Three Jewels, i jeszcze dwie kobiety: Susan Howler (nazwisko zmienione) i mniszkę Trisangmę. Cel był wznioślejszy niż przeobrażenie się w istotę boską. Mieli medytować w całkowitym milczeniu przez trzy lata, trzy miesiące i trzy dni, próbując w ten sposób osiągnąć bezpośrednie postrzeganie pustki. Roach chciał doświadczyć tej samej błogości, która na dwadzieścia minut ogarnęła go ponad dwadzieścia lat temu, kiedy przygotowywał herbatę dla swego nauczyciela.

Roach obiecywał, że kiedy wróci z odosobnienia, podzieli się swoim wglądem i przekaże swym wyznawcom nowe tantryczne nauki, Ian zgłosił się na ochotnika – miał wykonywać różne prace wokół ośrodka i dostarczać medytującym żywność i inne zaopatrzenie. Dzięki temu zapewniał sobie bliskość swego nauczyciela, chociaż w tym czasie Roach nie mógł kierować jego praktyką.

Był to sprzyjający moment, żeby zniknąć. Zbliżał się koniec tysiąclecia i ludzie na całym świecie mieli nadzieję, że kolejna epoka przyniesie jakąś zmianę. Odosobnienie miało się zacząć w marcu 2000 roku i od tego czasu Roach zamierzał się wycofać z życia publicznego. Jedynym wyjątkiem miały być trzy niezwykłe i piękne ceremonie, podczas których miał przerwać milczenie, by opowiedzieć swym wyznawcom, czego się nauczył.

Wyjazd ten nazywano Great Retreat [Wielkim Odosobnieniem] i być może był to pierwszy z wielu tak intensywnych programów medytacyjnych organizowanych w Stanach. W Tybecie niezliczeni mistrzowie spędzali długie lata na medytacjach w odludnych jaskiniach, dążąc do oświecenia. Roach planował odosobnienie w klimatyzowanej jurcie. Musiał jedynie znaleźć ochotników takich jak Ian, którzy zajęliby się zaspokajaniem jego wszelkich ziemskich potrzeb, tak by mógł się skupić na przeobrażaniu swojego umysłu w samotności.

By zgromadzić fundusze na ten program, Roach planował ostatni objazd z wykładami dookoła świata, Ian zgłosił swój udział, zanim zdążył się zastanowić, skąd weźmie pieniądze na bilety. Poza nim było jeszcze ponad trzydziestu innych chętnych gotowych jechać z gesze.

Przez większość tej podróży dzielił łóżko z Beatrice Steimer, Niemką, którą poznał na jednym z wykładów Roacha. Steimer była artystką i joginką, cechowała ją stanowczość i nieco sztywny sposób bycia typowy dla wielu ludzi z Europy Północnej. Te cechy w pewien sposób równoważyły niespokojną naturę Iana.

Próbując zyskać względy Roacha, Ian starał się zadbać o wszelkie wygody swego guru. Mistrzowi nie zawsze smakowały pikantne hinduskie potrawy, więc sporo miejsca w bagażu Iana zajmowały swojskie produkty takie jak makaron z serem w proszku, płatki śniadaniowe czy popcorn do przygotowania w mikrofalówce. Zabrał także precelki, chipsy, ciastka i słodycze, które miały w razie potrzeby poprawić Roachowi humor.

Pierwszym przystankiem w ich podróży był niewielki Himalajski Ośrodek Medytacji Buddyjskiej. Dzięki tej instytucji, znajdującej się na Thamelu, w turystycznym getcie Katmandu, nieprzebrane masy europejskich turystów z plecakami uzyskiwały łatwy dostęp do przyspieszonego kursu buddyzmu. Rankiem za kilka rupii nepalskich mogli wysłuchać wykładu na temat pustki, a potem pójść na cheeseburgera albo posłuchać nepalskiego zespołu grającego w barze amerykańskie covery rockowe.

Ośrodek był głównym miejscem rekrutacji do FPMT – Fundacji na rzecz Zachowania Tradycji Mahajany, która prowadziła klasztor Kopan, gdzie zarówno Ian Thorson, jak i Christie McNally studiowali niegdyś buddyzm tybetański. Było to idealne miejsce do gromadzenia funduszy na Wielkie Odosobnienie. Roach wykładał tam na temat natury karmicznych ziaren i możliwości uzyskania dostępu do ostatecznej rzeczywistości dzięki medytacji. W St. David w Arizonie, położonym wśród skalistych dolin między górami Dragoon i Chiricahua, kilkudziesięciu uczniów stawiało jurty dla swojego nauczyciela i innych, którzy mieli tam medytować w odosobnieniu. Roach opowiadał słuchaczom o tym, jakie cuda mogą wyniknąć z tysiąca dni medytacji w milczeniu. W ośrodku miały panować ścisłe zasady. Uczestnicy nie będą nawet widywać się nawzajem. Sama nieruchomość otaczającego krajobrazu pomoże im przekroczyć zasłonę pustki, FPMT po cichu pozwoliła Roachowi gromadzić fundusze na ten projekt, chociaż zasadniczo nie zezwalali na to, by goszczący u nich nauczyciele zbierali pieniądze na cele niezwiązane bezpośrednio z fundacją.

Po pięciu dniach wykładów grupa podążyła dziurawą szosą ze stolicy Nepalu do świętego miasta Bodh Gaja. Była to podróż w przeciwnym kierunku niż ta, którą Ian odbył wiele lat wcześniej. Pojechali na południe, przez granicę w Birgańdź i do Indii, by wysłuchać trwających dziewięć dni wykładów Dalajlamy, które miały wprowadzić ludzkość w nowe tysiąclecie.

Chociaż Bodh Gaja symbolizuje dla większości buddystów osiągnięcie ostatecznego oświecenia, reszta stanu to jeden z najbardziej skorumpowanych i pełnych przemocy rejonów Indii. Bihar, gdzie nadal rządzą feudalni posiadacze ziemscy zwani *thakur*, nigdy nie ziścił swojego marzenia o demokracji. Na drogach grasują uzbrojeni bandyci, szukający okazji, by obrabować niczego niespodziewających się podróżnych. Ale mimo to tysiące ludzi przybywają do Biharu, by słuchać nauk Dalajlamy. Roach starał się wykorzystać to, że będzie tam mnóstwo ludzi – jego wykłady miały się odbyć kilka dni później w miejscowym ośrodku FPMT zwanym Root Institute.

Cudzoziemcy, którzy z trudem słuchali napuszonych tłumaczeń wykładów Dalajlamy przez radio, chętnie posłuchają amerykańskiego gesze objaśniającego buddyjskie pojęcia prostą angielszczyzną. To, że Roach zaplanował swoje wykłady tuż po wystąpieniach Dalajlamy, mogło sugerować, że uważa się za równego najwyższemu przywódcy tybetańskiej tradycji. Otoczony murem ośrodek Root znajduje się tuż za miastem, Ian wyładował bagaże gesze z wynajętego SUV-a marki Tata Sumo i zaniósł je do prywatnych pokojów mistrza. Świta Roacha zajęła większość pozostałych pokojów.

Każdego dnia mocno mieszana grupa zachodnich buddystów Roacha udawała się do drzewa bodhi – które, jak się uważa, pochodzi bezpośrednio od pierwotnego drzewa, pod którym siedział Budda, gdy osiągnął oświecenie – siadała na dywanikach i słuchała wykładów Dalajlamy po tybetańsku. Kiedy Jego Świątobliwość kończył mówić, uczniowie Roacha zapraszali każdego, kto się tylko nawinął, na wykład swojego guru na temat *Sutry Diamentowej*.

Trudno było nie zauważyć, że McNally i Roach stali się nierozłączni. Gdziekolwiek szedł mistrz, ona szła tuż za nim, dźwigając czarną torbę z nieporęcznym ówczesnym laptopem. Rzekomo pracowali razem nad tłumaczeniem skomplikowanych tybetańskich manuskryptów. Stała się jego przyboczną i stanowczo egzekwowała ustanowione przez niego zasady. Czasem brała kogoś na stronę i dawała mu ostrą reprymendę. Była surowa, a jej obecność onieśmielała. Kiedy Roach korzystał z łazienki na parterze, McNally stała pod drzwiami. Zmieniała także sposób mówienia. Melodia zdań typowa dla dziewczyny z Los Angeles zmieniła się w mieszankę składni angielskiej i tybetańskiej. Jak zauważył jeden z uczniów, brzmiało to tak, jakby próbowała parodiować mistrza Yodę. Czasem, gdy Roach zmęczył się wykładami, dwudziestosześcioletnia McNally zastępowała go i mówiła o pustce.

Anthony Simmons, łysiejący dyrektor Root Institute, który prowadził dla FPMT niezliczone programy medytacyjne, uważnie przyglądał się wyjściom i powrotom Roacha. Roach nosił szaty gelugpów, tej samej szkoły co Dalajlama, z której wywodzili się również założyciele FPMT. Simmons spodziewał się więc, że Roach będzie przestrzegał tradycyjnych reguł obowiązujących mnichów, przekazywanych z pokolenia na pokolenie od czasów Buddy. Najważniejsze z nich dotyczą stosownego stroju i powstrzymania się od aktywności seksualnej.

Jednak co rano słyszał, jak Christie McNally wymyka się z pokojów gesze i na paluszkach wraca do siebie. Simmons uznał więc, że Roach i McNally sypiają ze sobą. Dla świeckich buddystów seks nie był problemem, ale Simmons obawiał się, co to będzie, gdy wyjdzie na jaw, że wschodząca gwiazda amerykańskiego buddyzmu złamała ślub celibatu.

Simmons nie wiedział, co ma sądzić o Roachu, uważał jednak, że goszczenie kogoś takiego jak on może postawić FPMT w złym świetle. Ale mógł jedynie złożyć raport na temat możliwych naruszeń zasad osobom z otoczenia lamy Zopy Rinpoczego, założyciela FPMT. Rozeszły się plotki, że Roach swobodnie traktuje nauki

Buddy – albo że McNally podczas odosobnienia spędzi ze swoim nauczycielem sam na sam więcej czasu, niż to zapowiadał Roach, Ian z kolei był wpatrzony w swego nauczyciela i przekonany, że w tym, co inni uznają za dziwne zachowanie, powinno się widzieć kolejną lekcję dharmy.

W podróży uczestniczył także Matthew Remski z Toronto, młody człowiek praktykujący jogę, który wysłuchał ponad dwustu wykładów Roacha. Remski obserwował, jak McNally i Roach migdalą się po cichu, ale nie martwiło go łamanie staroświeckich tradycji. Roach tworzył nowy buddyzm i być może ta religia potrzebowała nowych zasad. Remski podczas podróży przez Indie wielokrotnie jadł z Ianem posiłki i był tak samo pod urokiem filozofii Roacha. W hostelu jedli razem cienki dal, ale Remski nie miał poczucia prawdziwego kontaktu z Ianem. Rozmawiali o filozofii, lecz Ian był wyjątkowo mało zainteresowany tematami wykraczającymi poza ostateczną prawdę, której poszukiwał. Zdaniem Remskiego ten uczeń Roacha, ze zmierzwionymi włosami i nieprzytomnym spojrzeniem, sprawiał wrażenie, jakby miał jakiś problem neurologiczny. W czasie wykładów Ian mimowolnie wzdrygał się w spazmie ekstazy – kolana mu podrygiwały, oczy uciekały w głąb czaszki. Nie było to nic niezwykłego, na wykładach Roacha w pierwszym rzędzie siedziało zwykle mnóstwo ludzi wpadających w stany ekstatyczne. W liście opublikowanym w internecie[13] Remski napisał, że Ian przejawiał „gwałtowne i objawiające się drgawkami *krija* – spontaniczne wybuchy wewnętrznej energii, podczas których wyginał kręgosłup, odrzucał głowę do tyłu, gwałtownie wciągał powietrze, miał czkawkę, skomlał albo szczekał”. Większość uczniów uznawała to za znak otwartości na kundalini – energię libidinalną, która jak nauczają jogini, jest esencją kreatywności. Albo jego ciało fizyczne łączyło się z ciałem subtelnym, albo też coś bardzo niedobrego działo się z umysłem Iana.

Z Bodh Gai Roach i jego świta ruszyli w kierunku plaż i kurortów Goi. Stamtąd skręcili na południe, do klasztoru Sera Mey w stanie Karnataka, ośrodka szkoły, z której wywodził się gesze. Roach, być

może świadomy tlących się napięć, czujnie obserwował swoich uczniów. Wydał zarządzenie na piśmie, napisane kapitalikami, w którym zabronił osobom ze swojego otoczenia rozmawiać z mnichami z Sera Mey bez jego bezpośredniego nadzoru. Nie wolno im było nawet poruszać się samodzielnie po terenie klasztoru.

Osada tybetańskich uchodźców niedaleko Majsuru, gdzie znajduje się Sera Mey, jest uważana przez władze indyjskie za obszar o ograniczonym dostępie i podróżnicy z Zachodu zwykle potrzebują specjalnego pozwolenia, żeby się tam dostać, jednak ostrzeżenie dotyczyło wszystkich uczniów Roacha, niezależnie od tego, czy załatwili sobie pozwolenie, czy nie. Komunikat był jasny: kiedy dotrą do Sera Mey, albo będą się trzymać we własnym gronie, albo ryzykują, że zostaną usunięci z otoczenia Roacha, być może na zawsze. „Bądźcie dobrymi bodhisattwami i dla dobra innych, którzy przybędą w przyszłości, ściśle przestrzegajcie zasad”. Najpierw apel o współczucie, na koniec groźba: „Jeśli ktokolwiek z uczniów złamie te zasady, gesze Michael poinformuje miejscową policję oraz władze indyjskie, że ta osoba nie należy do naszej grupy, żeby nie tworzyć zagrożenia dla innych uczniów”.

Ian był już w Sera Mey podczas własnej podróży dookoła świata. Roacha poznał właśnie dzięki rekomendacji tamtejszego przeora, a nawet przywiózł stamtąd do Howell brązowe figurki i kadzidełka w podarunku. Ale od zasad nie było wyjątków. Codziennie dojeżdżał na wykłady autobusem razem z białymi turystami. Nie wspominał o tym zakazie w listach do rodziny, ale starannie przechował ostrzeżenie od Roacha razem z innymi notatkami z tamtego okresu. Po dwunastu dniach wykładów wsiadł do samolotu do Nowego Jorku. Po powrocie zamierzał oświadczyć matce, że jest gotów podjąć jedno z najważniejszych zobowiązań w swoim życiu. Chciał się stać bodhisattwą i był przygotowany do tego, by złożyć śluby, przez które publicznie zobowiązałby się do podążania drogą oświecenia, wybierając jednocześnie Roacha jako swojego lamę serca.

Minęło zaledwie sześć dni od powrotu Iana do Nowego Jorku do chwili, gdy stawił się przed niewielką grupą zgromadzonych w East

Village, by potwierdzić swój status bodhisattwy. Kiedy Kay usłyszała tę wieść, była bardzo poruszona, ale poczuła także ulgę.

– Przynajmniej nie zamierzał zostać mnichem – wspomina teraz z gorzkim uśmiechem.

Złożenie ślubów bodhisattwy oznaczało, że choć Ian na całe życie zwiąże się z Roachem, przynajmniej nie założy tak jak on mnisich szat i nie ogoli głowy.

Ale mogło to być tylko chwilowe odroczenie. Razem z mężem zaczęła obmyślać plan wyrwania syna z rąk Roacha.

Wiedziała, że Ian jej nie posłucha, jeśli powie mu wprost, co myśli, potrzebowała więc czegoś, co przemówiłoby do jego intelektu. Potrzebowała dowodów. Musiała się stać detektywem poszukującym skaz w obietnicy oświecenia. Do małej sali wykładowej zabrała ze sobą niewielki magnetofon, który schowała pod kołonotatnikiem i włączyła podczas wykładu.

Udawała, że szkicuje twarz Roacha, żeby Christie i Mercedes nie zauważyły magnetofonu i go nie skonfiskowały. Obie kobiety krążyły między rzędami słuchaczy, by mieć pewność, że wszyscy zachowują się stosownie podczas ceremonii. Chociaż nie była to inicjacja tantryczna, spotkanie i tak odbywało się potajemnie. A Kay sądziła, że zapis nagrania może się przydać komuś, kogo poprosi o pomoc w wyrwaniu Iana z tej grupy.

Roach zasiadł na scenie, powitał tych, którzy mieli zamiar złożyć śluby, i oświadczył, że jeśli ktokolwiek z zebranych pragnie złożyć ślubowanie, także może to zrobić. Uroczystość miała być radosna, ale publiczność siedziała w pełnym powagi milczeniu.

– Takie śluby składa się tylko raz, okej? Obowiązują, dopóki się ich nie rozwiąże, albo do śmierci. Można o nich zapomnieć, ale nie można się ich wyrzec, dopóki formalnie się ich nie rozwiąże albo dopóki ktoś nie umrze.

Świadomość, że jest to zobowiązanie na zawsze, sprawiła, że jednemu z nowicjuszy zadrżał głos, gdy zapytał, co się stanie, jeśli złamie jedno z pomniejszych ślubowań.

Roach uśmiechnął się i postanowił odpowiedzieć, używając znanej metafory. Sięgnął za pazuchę i wyciągnął swoją ulubioną pomoc naukową – czarny długopis. Na dany znak do podium podbiegła ośmioletnia dziewczynka, po czym zaczęła chodzić na czworakach i szczekać jak pies. Zebrani roześmiali się, gdy podniosła ręce, tak jak pies unosi łapy, i zaczęła dyszeć. Wyciągnęła rękę po psi gryzak.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, uśmiechając się, gdy na sali zapanowała wesołość. – Jeśli będziecie przestrzegać tych ślubów, wasza karma zmusi was, byście inaczej spojrzeli na ten długopis.

Intencje są wszystkim, a śluby, które ustalają sposób zachowania na całe życie, mają wielką siłę.

– To niemożliwe, aby uczciwe działanie mogło spowodować jakiekolwiek problemy. To niemożliwe. To pierwsze prawo karmy. Nie można niczego stracić, przestrzegając ślubów. Musicie to zrozumieć. Jeśli jesteście uczciwi i ktoś was skrzywdzi, nie ma tu przyczyny i skutku. Jedyna przyczyna i jedyny skutek są takie, że jeśli będziecie przestrzegać ślubów, musicie osiągnąć cudowne rezultaty. A jeśli je złamiecie, skutki na pewno nie będą dobre – wyjaśnił. – Jeśli je złamiecie, nawet nieświadomie, zasiejecie w swym umyśle ziarno, które sprawi, że w przyszłym życiu ujrzycie siebie jako psa.

Nieprzestrzeganie innych, wyższych ślubów, na przykład mówienie złych rzeczy o nauczycielu dharmy, mogło sprawić, że uczeń wyląduje w buddyjskim piekle, gdzie demony będą smażyć go na rożnie przez setki kolejnych żywotów, dopóki jego karma się nie oczyści.

Roach surowo spoglądał na nowicjuszy. Potem gestem dał im znak, by wstali, Ian stał pośrodku grupy w swojej najlepszej koszuli. Na dany znak ugięli kolana i jak jeden mąż padli na twarz przed gesze. To był moment, gdy mieli całkowicie oddać się swojemu lamie.

– Złożymy śluby po tybetańsku; będziecie to traktować poważniej, jeśli będziemy mówić w obcym języku. Kiedy skończę, pstryknę

palcami, a wtedy będzie po ślubowaniu. Ta energia po prostu wejdzie w strumień waszego umysłu.

Gdy Roach uniósł palce do ust, na sali zapadła zupełna cisza. Zaczął czytać długi fragment po tybetańsku. Ian klęczał ze złożonymi rękami i z przymkniętymi oczami, wsłuchując się w wibrujący głos Roacha.

Słowa ślubowania wylewały się z jego ust niczym rzeka. Kiedy potok ucichł, Roach pstryknął palcami, a Ian głośno wypowiedział swoje imię.

Magnetofon na kolanach Kay zaterkotał i wyłączył się z kliknięciem.

6

Deprogramowanie

> Większość [członków sekt ezoterycznych] nie jest w stanie wyjaśnić, co im się przydarzyło. Wielu jednak opisuje to jednym bardzo obrazowym określeniem. „Coś we mnie pękło”, mówią, lub: „Rozpadłem się” – tak jakby ich świadomość była kawałkiem kruchego plastiku albo naciągniętej gumy. I rzeczywiście podobne wrażenie mają ich najbliżsi: rodzice, małżonkowie, przyjaciele i koledzy. Tym, którzy ich obserwują, wydaje się, że cała ich osobowość „pękła”, że z dawnej osoby wyłania się ktoś nowy, zupełnie różny i nie do poznania.
>
> Flo Conway, Jim Siegelman, *Snapping: America's Epideniic of Sudden Personality Change* [Pęknięcie. Amerykańska epidemia nagłej zmiany osobowości]

> Tajność jest zasadniczą cechą zarówno struktury, jak i metafizyki organizacji Roacha. Wiedza buddyjska była tajemna. Jego związek z McNally był tajemnicą. To, czy sypiali ze sobą, czy nie, także było tajemnicą. Wytyczne dotyczące rytuałów były tajne. Natura jego urzeczywistnień była tajemnicą. Tożsamość i miejsce pobytu wielu jego nauczycieli były tajne. Praktyki tantryczne były tajne. Wobec braku przymusu fizycznego tajność była głównym narzędziem władzy Roacha.
>
> Matthew Remski, Elephant Journal

Kay Thorson siedziała w pokoju syna, usiłując się zorientować w gąszczu trudnych do wymówienia pojęć buddyjskich: bodhisattwa, sansara, *samadhi*, *bodhiczitta*, pustka, lama, *rinpocze*. Wyglądało na to, że trzeba mieć doktorat, żeby się w tym połapać. Teraz, kiedy Ian przez swoje ślubowanie związał się z Michaelem Roachem, będzie musiała działać szybko, inaczej straci syna na zawsze.

Kiedy Ian wyszedł na jedno ze spotkań w Three Jewels, Kay ze swoim mężem Tomem przeszukali pudła z notatkami i różnymi materiałami porozrzucane w jego pokoju. Mieli poczucie, że Ian nie tyle zajął się medytacją, ile został poddany praniu mózgu. Ślubowania bodhisattwy, które nagrała, zobowiązywały go do

skrupulatnego notowania każdej myśli i każdego uczynku, Ian był zbyt zajęty przestrzeganiem dyscypliny narzuconej przez Roacha, żeby się zastanowić nad jej sensem. Gdy przekopywała się przez ten stos, jej uwagę zwróciła jedna pełna podkreśleń ulotka. Była to lista codziennych obowiązków, nie tylko obiecująca nagrody w przyszłości, ale też zawierająca groźby, na wypadek gdyby Ian przestał przestrzegać zasad.

Jej wzrok zatrzymał się na przykazaniu: „Musisz recytować ją codziennie, trzy razy w dzień, trzy razy w nocy. Jeśli tego nie dopełnisz, zaniedbanie stanie się poważnym występkiem [...]. Składam pokłon najpierw do lotosowych stóp Tego, który Trzyma Diament, Pana, Mojego Wspaniałego Lamy [...] przedmioty przede mną rozpływają się całkowicie w białym, czerwonym i błękitnym świetle, a potem stapiają się ze mną. Moje ciało i dobytek oddaję bez wahania”.

Przynamniej Roach nie mógł narzucić tych zasad bezpośrednio. Znajdował się wiele tysięcy kilometrów dalej i miał rozpocząć odosobnienie, które wyłączy go z życia na trzy lata. W jego kontroli nad Ianem teraz bardziej chodziło o nawyki, Ian słuchał taśm i w wolnym czasie wykonywał ćwiczenia. Zaczął rozmawiać z rodzicami o tym, że pragnie pojechać do Arizony i zacząć pracować jako członek personelu na terenie ośrodka Diamond Mountain. Gotowałby jedzenie dla Roacha i innych uczestników medytacji i dbałby o to, by mogli całkowicie skupić się na rozwoju duchowym, by nie musieli się zajmować uciążliwościami świata zewnętrznego.

Diagnoza Kay i Toma była jednoznaczna: ich syn trafił do sekty. Michael Roach to przywódca sekty.

Zadzwonili po radę do psychologa w Nowym Jorku. Stwierdził on, że najlepszym sposobem, by wydostać kogoś z sekty, jest poszukanie pomocy u ludzi, którzy poświęcili wszystko jakiejś grupie religijnej, a jednak zdołali się wyrwać. Podał Thorsonom nazwiska dwóch specjalistów od wychodzenia z sekt.

W latach osiemdziesiątych Patrick Ryan i Joe Kelly marzyli o lewitacji. Ćwiczyli unoszenie się w powietrzu na terenie rozległego

kampusu, wśród kopulastych, malowanych na kolor ochry budynków Maharishi University of Management, położonego na równinach stanu Iowa, a także w ośrodkach Medytacji Transcendentalnej (MT) w Filadelfii. Siedząc na poduszkach do medytacji, prosili hinduskiego boga Krysznę o jego boskie błogosławieństwo. W najstarszym tekście na temat jogi, *Jogasutrach* Patańdżalego, poświęcono cały rozdział pseudomagicznym siłom zwanym *siddhi*. Według tego starożytnego traktatu naprawdę oddani uczniowie mogą się nauczyć lewitować, stawać się niewidzialni, a nawet wchodzić w ciało innego człowieka. Nauczyciele medytacji transcendentalnej obiecywali uczniom, że pewnego dnia zawisną w powietrzu pośrodku sali. Z zewnątrz ta technika wydawała się niemal komiczna. Siedzieli w pozycji pełnego lotosu i pochylali się do przodu, aż byli zgięci w pasie niczym kobry. Następnie, wciąż ze skrzyżowanymi nogami, podrywali się i wyskakiwali na chwilę w powietrze. Podczas krótkiego wzlotu – zanim grawitacja zwyciężyła nad siłą ich wyskoku – wydawało im się, że są pozbawieni ciężaru. Oczywiście chwila ta nie trwała długo i spadali na wyłożoną matami podłogę.

Ryan i Kelly praktykowali przez niemal dziesięć lat, a tymczasem uniwersytet bogacił się na słonych opłatach za inicjacje i kursy. Kiedy okazało się, że cudowne zdolności są nadal poza ich zasięgiem, rozgoryczeni przyłączyli się do wniesionego przez uczniów pozwu przeciwko MT. Stali z transparentami przed ośrodkiem podczas przyjmowania nowych uczniowi przestrzegali potencjalnych kandydatów przed drogą duchową proponowaną przez MT. Władze Maharishi nazwały protestujących odszczepieńcami. Ci, którzy wnieśli pozew, odpowiadali, że przez cały czas istnienia ośrodka nie zanotowano w nim ani jednego przypadku lewitacji.

Margaret Singer, psycholog z Harvardu i autorka prac na temat technik kontroli umysłu, zeznawała na ich procesie i oświadczyła, że MT spełnia kryteria sekty. World Plan Executive Council, zarząd MT, wynajęła batalion prawników, którzy mieli jej bronić. Zamiast ciągnąć proces latami, Ryan i Kelly poszli na ugodę i odzyskali w ten sposób część pieniędzy wydanych na kursy w MT. Choć nie wygrali

procesu, dzięki temu, że złożyli pozew przeciwko MT, zorientowali się, że nie są jedynymi, którzy uważają, że zostali wykorzystani pod pozorem oświecenia.

Zaczęli uczestniczyć w zjazdach rozczarowanych poszukiwaczy duchowych, sięgnęli także po badania naukowe dotyczące sekt. Po niedługim czasie ludzie przychodzili prosić ich o pomoc w sprawie znajomych i krewnych, którzy prawdopodobnie zostali wciągnięci do sekt. Były to różne grupy: chrześcijanie, którzy uważali, że apokalipsa jest tuż-tuż, buddyści zdecydowani na przejście w nirwanę czy zwolennicy New Age wyznający poskładaną z dość przypadkowych kawałków teologię swobodnie przepływającej energii. Ale niezależnie od ideologii historie, na które natrafiali, były dość podobne. Uczniowie ulegali obietnicom. Ponieważ Ryan i Kelly doświadczyli tego na własnej skórze, rozumieli, co to znaczy zostać pochłoniętym przez dążenie do boskości. W latach dziewięćdziesiątych zaczęli pracować jako doradcy do spraw wychodzenia z sekt.

Nie byli pierwsi. Po serii dramatycznych wydarzeń, które zwróciły uwagę na apokaliptyczne ideologie, w Stanach Zjednoczonych zaczęła się rozwijać dziedzina deprogramowania, czyli technik uwalniania spod wpływu sekt. W latach sześćdziesiątych rewolucja kontrkulturowa zapoczątkowała dziwną falę nowych ruchów religijnych. Niektóre zostały sprowadzone z odległych krajów, inne były rodzime. Większość uważano za nieszkodliwe, dopóki w 1969 roku członkowie Rodziny Mansona nie popełnili serii zabójstw w imię apokaliptycznej wizji. Zwolennicy Charlesa Mansona zabili aktorkę Sharon Tate, wówczas ciężarną żonę reżysera Romana Polańskiego. Manson stał się ikonicznym przywódcą sekty, zdolnym przeobrażać zwyczajnych ludzi w psychopatów. Dziewięć lat później dziewięciuset dziewięciu zwolenników Jima Jonesa połknęło cyjanek w siedzibie Świątyni Ludu w Gujanie. Tuż przed zbiorowym samobójstwem wyznawcy Jonesa zamordowali amerykańskiego kongresmena Leo Ryana, który przybył tam, by poznać działania grupy.

Chociaż ogromną większość marginalnych grup religijnych można uznać za nieszkodliwą w porównaniu z grupami Jonesa i Mansona, ludzie, których najbliżsi nagle angażowali się w taką nieznaną organizację, obawiali się najgorszych scenariuszy. Z początku w deprogramowaniu używano drastycznych technik, analogicznych do radykalnych metod samych sekt. Ted Patrick, jeden z pierwszych specjalistów w tej dziedzinie, porywał członków sekt i przetrzymywał wbrew ich woli, dopóki nie nabrał przekonania, że wyzwolili się z religijnego warunkowania psychologicznego. Wywierał na swoich klientów presję psychiczną, wrzeszcząc na nich i podważając wszystko, co mówili. W końcu umysł takiego delikwenta się poddawał i jak twierdził Patrick, po prostu nagle taka osoba wracała do swojego dawnego ja, tak jakby ktoś wcisnął jej przycisk „*reset*". Jego ofiary nazywały go czarną błyskawicą. Metoda ta obróciła się przeciwko niemu, gdy sędziowie uznali, że dopuszczał się bezprawnego przetrzymywania, i Patrick kilkakrotnie lądował w więzieniu.

Kelly i Ryan mieli inne podejście. Zamiast o „deprogramowaniu" woleli mówić o „interwencji" i przekonywać swoich klientów, a nie poddawać ich terapii szokowej. Sądzili, że jeśli uda im się porozmawiać z Ianem, poruszą go ich historie, co pomoże mu dostrzec analogię do własnej sytuacji. Rezultaty, jakie uzyskują Kelly i Ryan, są mniej dramatyczne niż Patricka, lepiej też wyglądają z punktu widzenia sądu.

Kiedy Kay i Tom wezwali doradców do spraw sekt, Kelly i Ryan oceniali, że cały proces może zająć rok i będzie kosztował trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Rodzice Iana wyłożyli więc dziesięć procent i zaczęli wysyłać do nich nagrania, notatki i filmy z Roachem. Mieli wspólnie stworzyć plan przekonania Iana, by opuścił grupę z własnej, nieprzymuszonej woli.

– Tu nie ma prostych rozwiązań. Nie zjawiamy się nagle jak jacyś superbohaterowie w pelerynach, spece od deprogramowania, którzy załatwią to od ręki – opowiadał Joe Kelly ponad dziesięć lat po pierwszej interwencji.

Chociaż pierwsze spotkanie miało być krótkie, rodzina musiała jak najlepiej zrozumieć myśli Iana, by przygotować się na wszelkie argumenty.

– Chcemy, żeby ten dialog był pełen szacunku i żeby rodzina rozumiała, jak silny jest wpływ grupy na taką osobę, Ian poświęcił temu całe swoje życie. Kiedy ktoś wtrąca się w życie dorosłego człowieka, jest ważne, żeby podejść do niego z szacunkiem.

Rodzice Iana chcieli, żeby do interwencji doszło jak najszybciej, ale doradcy ostrzegali, że konieczne przygotowania mogą zająć nawet pół roku. Najważniejsze było, by pokazać Ianowi, że niezależnie od poziomu świadomości, który osiągnie, jego działania wciąż odciskają ślad w rzeczywistym świecie.

Żeby to zrobić, Kay i Tom mieli zebrać razem całą rodzinę i wszystkich przyjaciół Iana, by pokazać mu, ile dla nich znaczy. Więc podczas gdy Ian planował kolejne pobyty w ośrodku medytacyjnym i starannie pilnował przestrzegania ślubów, Kay rozesłała e-maile i listy do wszystkich jego znajomych, którzy nie byli związani z Diamond Mountain. Skontaktowała się z Saulem Kato i Mikiem Oristianem z bractwa studenckiego na Stanfordzie, wysłała listy i spisy lektur do jego dziewczyny z liceum Fernan dy Hannah oraz do dziadków Iana. Ustalili datę na lato, kiedy, jak spodziewała się Kay, Ian będzie najbardziej zrelaksowany.

Przez sześć miesięcy Ian nie miał pojęcia o tym, co knują rodzice, ale jego życie stało się prostsze. Rodzina się wycofała, więc mógł się czuć swobodnie. Korzystając z tej atmosfery przyzwolenia, przekonał rodziców, by pozwolili mu pojechać do letniego domku, który mieli w East Hampton, żeby medytować. W szczęśliwszych czasach rodzina wyjeżdżała tam, by surfować o poranku przy pobliskich plażach, więc zwykle domek zapełniał sprzęt plażowy i surfingowy. Ale przez ostatnie lata budżet rodzinny znacznie się zmniejszył. Koszt interwencji, nie mówiąc o czesnym za dwójkę dzieci na Stanfordzie, sprawił, że ich sytuacja była niepewna. Kiedy inwestycje Toma straciły na wartości, zostali zmuszeni do wystawienia domku na sprzedaż. Tymczasem stał pusty, a Ian poprosił o klucze.

Kiedy na dobre nastała wiosna, pięciu mężczyzn z Nowego Jorku wprowadziło się do domku. Zakleili okna szarym papierem i usunęli meble. Szafki i lodówkę napełnili prostym jedzeniem, tak żeby gotowanie nie zabierało dużo czasu, Ian przywiózł pudło białych kaset z nagraniami wykładów Roacha, po czym odcięli się od świata zewnętrznego. To był idealny kokon ciszy. Kiedy Ian wrócił stamtąd kilka tygodni później, miał szklisty wzrok. Kay zagryzła usta i przysięgła sobie, że latem to wszystko się odmieni.

Lipiec był w Nowym Jorku gorący i trudny do zniesienia. Znad prażonego słońcem Atlantyku napływały nad miasto fale parnego powietrza. Niosące wilgoć bryzy zastygały w betonowych kanionach wśród wieżowców. Właśnie w jeden z takich dni na Roosevelt Island Kay i Tom zaprosili Iana na obiad i spotkanie z kilkoma ekspertami od religii, którzy mogli go zainteresować. Kiedy wrócił z Three Jewels, przywitał się z Kellym i Ryanem i usiadł na kanapie obok siostry. Obecna była również jego babcia; ponieważ rodzicom Iana zabrakło pieniędzy na tę sesję, dołożyła się do kosztów.

Wszyscy byli przygotowani do tego spotkania – oprócz Iana. Czytali wykłady Michaela Roacha, zagłębiali się w coraz liczniejsze książki na temat mentalności sekt i kontroli umysłu.

– Mieliśmy nadzieję, że po prostu się z tego wyrwie i otrząśnie – wspominała Kay, która tamtego dnia niespokojnie zerkała na syna.

Ian siedział przed nimi ze zmierzwionymi włosami i słuchał, jak jego rodzina mówi mu o swoich obawach. Powiedzieli, że odsunął się od nich, że jego oddanie dla buddyzmu pochłonęło całą energię, jaką mógłby włożyć w realizację ambicji zawodowych. Martwili się także tym, że jest taki chudy, Ian z początku słuchał i odpierał ich pytania niczym gracz w tenisa, który odbija kolejne piłki na drugą stronę siatki. Kocha ich wszystkich. Jakby mógł nie kochać? Pocieszał ich i przekonywał, żeby się nie martwili o jego przyszłość – pewnego dnia zostanie nauczycielem dharmy i będzie zarabiał nauczaniem gromady własnych uczniów.

Kelly postanowił poruszyć punkty sporne, jakie być może istniały między Ianem a grupą. Musiał być jakiś sposób, żeby wbić klin

pomiędzy ucznia a jego lamę.

– Dlaczego ten gesze Michael wybiera do swoich inicjacji tylko najatrakcyjniejsze kobiety?

Wszyscy wiedzieli, że Roach i McNally są ze sobą blisko związani. Może nawet żyją ze sobą w tym ośrodku medytacyjnym na pustyni. Dlaczego ona nadawała się do specjalnych nauk, a Ian nie? Co McNally widzi w mężczyźnie starszym od niej o dwadzieścia lat? Dlaczego Roach na wykładach dla swoich wyznawców głosi celibat, podczas gdy najwyraźniej jego te zasady nie obowiązują?

Ian zaczerwienił się, słysząc te insynuacje. Kay i jego babcia zapytały, dlaczego nie widzi, że jest w tym sprzeczność. Dlaczego nie może przyznać, że motywy Roacha nie zawsze są kryształowe? Ian został przyparty do muru i zdawał sobie z tego sprawę. Zdławił w sobie gniew i przez chwilę wydawał się zagubiony. Następnie, bez żadnych wyjaśnień, zerwał się na nogi i popędził przez pokój do rozsuwanego okna, za którym było widać stary ceglany kościół. Szarpnął za aluminiową framugę i okno się otworzyło. A potem zeskoczył dwa piętra w dół na podwórko. Jego ojciec i siostra podeszli do okna i patrzyli, jak biegnąc, znika za rogiem ulicy. Kay nie ruszyła się z kanapy.

– Robił to już wcześniej. – Wzruszyła ramionami z cierpliwością matki nawykłej do dziwactw syna. Następnym razem będą musieli zamknąć okno.

Ian wrócił do domu wieczorem, ale ta ucieczka pozwoliła ustalić pewną regułę na następne trzy tygodnie rozmów. Jego rodzina naciskała, a gdy presja była za duża, Ian szukał drogi ucieczki. Kiedy więc przenieśli się z tymi spotkaniami do wynajętego domu w Montauk, chodziło między innymi o to, żeby nie pozwolić mu uciec tak łatwo.

Dom był także daleko od Three Jewels.

– Byliśmy w pobliżu plaży i wody. Takie miejsca zawsze miały na naszą rodzinę kojący i ożywczy wpływ – powiedziała Kay.

Rankami pozwalali Ianowi na codzienną medytację, pod warunkiem że obieca zostać i porozmawiać z rodziną.

Po prawie miesiącu spędzonym na plaży Ian, jak się wydawało, zaczął myśleć o tym, jak mogłoby wyglądać życie poza jego grupą.

Jeszcze tylko raz spróbował uciec. Wracali z plaży z deskami surfingowymi na dachu ich żółtego kombi i ktoś wspomniał o Roachu. Ian się zaczerwienił. Kiedy stanęli na światłach, otworzył drzwi od swojej strony i zaczął biec w przeciwnym kierunku na bosaka, ubrany tylko w szorty do surfingu. Kay zawróciła ciężkim samochodem i pojechała za nim. Nie miał dokąd pójść, więc niechętnie wsiadł z powrotem.

Całe to doświadczenie wytrąciło go z równowagi. Nigdy nie myślał o dharmie jako o czymś sekciarskim i był wstrząśnięty, że zdaniem rodziny zawędrował na takie manowce. Napisał list do Amber Moore, która kiedyś bywała w Three Jewels, a teraz pojechała do Arizony, żeby pracować przy obsłudze Wielkiego Odosobnienia. Odpowiadała za gotowanie dla Roacha i dostarczanie zaopatrzenia do jurt. To była praca, do której kiedyś zgłosił się Ian.

> To takie dziwne, że moja mama uważa, że jestem w sekcie. Tak samo tato i siostra. Rozmawiają ze mną łagodnie, jakbym był pacjentem psychiatryka, i przekonują mnie, że ludzie z aci nie mają złych intencji, tylko są zagubieni. Mój lama miałby być kimś pustym! [...] Uważam, że jeśli nawet cały świat nie kocha mojego lamy wielką miłością, to przynajmniej oni powinni go szanować i traktować jako pozytywną postać. Trudno postrzegać rodziców jako prawdziwe istoty, które naprawdę mają takie poglądy [...]. Beatrice dzwoni, a moja mama nie chce dać mi telefonu i kasuje wiadomości od niej. Czuję się trochę jak w dziwacznym obozie koncentracyjnym, gdzie kontrolują człowieka na każdym kroku. Zaczynam się czuć bardzo zagubiony. Moje dawne schronienia jedno po drugim rozsypują się w gruzy, tylko mój lama pozostaje nietknięty i idealny. Dokąd miałbym pójść, jeśli nie tam, gdzie byłbym blisko niego?

Fernanda Hannah, dziewczyna, z którą Ian chodził w liceum, była akurat w pobliżu. Kiedy Kay stwierdziła, że doradcy nie robią żadnych postępów, poprosiła ją, żeby podjechała autobusem do Hamptons. Fernanda przeczytała wszystko, co wysłała jej Kay, i martwiła się tym, jak Ian się zmienił.

Ian miał nadzieję, że wreszcie znajdzie w niej sojuszniczkę. Poszli razem na spacer i wtedy zwierzył jej się, że rodzina zmusza go, by dokonał wyboru między nimi a rozwojem duchowym. Rozmawiali o tym, czego się uczy, a potem zasnął, podczas gdy ona głaskała go po głowie. Cieszyła się, że znów się spotkali, i pozwoliła mu odpoczywać, dopóki nie zdrętwiała jej noga. Chcąc go przesunąć, wsunęła mu rękę pod głowę. Była lekka. Znacznie za lekka. Od kiedy przestał jeść, żeby skupić się na rozwoju duchowym, zaczęły mu zanikać mięśnie.

– Uniosłam jego głowę jednym palcem, taka była lekka. Kiedyś był przystojnym, wysportowanym surferem, a to, co teraz robił, kompletnie nie miało sensu – powiedziała.

Później tego wieczoru, gdy siedzieli razem w jego pokoju, przypomniała mu o tym, jak do siebie dzwonili i pisali przez te wszystkie lata podczas jego podróży. On był jej pierwszym chłopakiem, a ona jego pierwszą dziewczyną. Teraz zaproponowała, żeby znów się ze sobą przespali, sądząc, że może taki fizyczny kontakt pomoże mu dostrzec urodę świata.

– Ian nigdy nie miał problemów z seksem – powiedziała.

Dotknęła go, ale on odmówił i odsunął się na skraj łóżka. Powiedział, że ta energia jest mu potrzebna do medytacji. Czuła się zraniona i odrzucona. Następnego ranka Ian włączył kasetę z jednym z wykładów gesze Michaela. Słuchali razem.

Roach świergotliwym głosem perorował na temat konieczności oddzielenia się. Fernanda doskonale pamięta to nagranie.

– Powiedział, że aby w pełni być panem samego siebie i naprawdę siebie poznać, trzeba zabić swoich rodziców. – Urwała, a potem powtórzyła to swoim wysokim melodyjnym głosem: – Zabić swoich rodziców. Zabić swoich rodziców. Zabić swoich rodziców. To była metafora, chodziło o odcięcie pępowiny i zerwanie z przeszłością, ale on wciąż powtarzał „zabić”. To było straszne – powiedziała.

To przesłanie prawdopodobnie stanowiło aluzję do starego buddyjskiego alegorycznego pytania: „Co powinno się zrobić, jeśli na drodze do oświecenia napotka się Buddę?”. Prawidłowa odpowiedź

brzmi: „Powinno się go zabić”. Ostatecznie każdy uczeń musi odnaleźć własną drogę do nirwany i w końcu każdy budda staje się przeszkodą.

To, że Ian odepchnął Fernandę, mogło wynikać także z kwestii praktycznych. Od czasu podróży do Indii był mocno związany z Beatrice Steimer, kobietą, która w pełni akceptowała mistyczne aspekty swojej osobowości. Kay próbowała utrzymać ją z dala od syna, nie pozwalała mu rozmawiać z nią przez telefon.

Beatrice nie zawsze była tak zauroczona buddyjską dyscypliną jak Ian. Wołała bardziej egalitarne podejście do duchowości. Gardziła autorytetami i wołała bezpośredni kontakt z boskością. Talia kart tarota mogła być bramą do świata duchów, płomień mógł być przebłyskiem absolutu. Gdyby Beatrice wiedziała, że rodzina Iana chce zorganizować kolejną interwencję, ostrzegłaby go, ale teraz, kiedy została odsunięta, prosiła Kay, żeby pozwoliła jej przyjechać. Zbliżał się sierpień, gdy Kay w końcu się zgodziła.

Alexandra, siostra Iana, uważała, że Beatrice to wielka niewiadoma. Z jednej strony umiała mówić językiem Iana. Z drugiej mogła sprawić, że Ian zacznie bardziej pozytywnie myśleć o Roachu.

– Problem polegał po części na tym, że Beatrice lubiła mojego brata, nie tę grupę. Czułam, że zajmuje się tymi medytacjami tylko po to, żeby być bliżej niego. Miała do czynienia z różnymi grupami buddyjskimi, ale nie wywierały na nią wpływu, bo jest świruską. Problem z moim bratem polegał na tym, że jeśli już w coś wchodzi, to głęboko. Ja uczyłam się łaciny przez siedem lat, on wkuwałby dłużej. Jesteśmy zdyscyplinowani. Beatrice uratował jej brak dyscypliny.

Kiedy Beatrice wreszcie przyjechała, Fernanda wciąż była w Montauk. W ciągu kilku godzin zorientowała się, że obojętność Iana wobec niej wynika nie tyle z dążenia do zachowania duchowej czystości, ile z tego, że znalazł się już ktoś inny.

– Wpadli po uszy – wspominała z westchnieniem. – To było najgorsze, co się mogło zdarzyć.

Beatrice i Ian medytowali razem, połączeni dążeniem do ostatecznej prawdy. Fernanda ignorowała rzucane jej ukradkiem triumfalne spojrzenia Beatrice.

Gdy lato miało się ku końcowi, nie było jasne, czy Beatrice zniweczyła skutki interwencji, czy właśnie ją uratowała, Ianowi, rozdartemu między rodziną a swym lamą serca, brakowało trzeciego wyjścia. Beatrice stała się pewnego rodzaju kompromisem – mógł skupić energię na budowaniu stałego związku. Tak, mógł nadal poszukiwać prawdy z pomocą medytacji, ale nie musieli wracać do Roacha. Był to kompromis, który – jak sądziła rodzina Iana – powinien był się udać.

Kiedy zamknęli dom w Montauk i wrócili do Nowego Jorku, Ian napisał list do LaShaun: „Moja dawna dziewczyna i bliska przyjaciółka, z którą znamy się od dziesięciu lat, znalazła się w tym samym pokoju co moja obecna ukochana. Bardzo chciałbym poświęcić jej więcej uwagi. Fernanda była taka nieszczęśliwa. Słabo sobie radzę, kiedy mam obok siebie więcej niż jedną przyjaciółkę. Denerwuję się, bo nie wiem, jak mam je traktować”. Jego rodzina kupiła mu bilet na Florydę, by spędził tydzień z dziadkami od strony ojca. Jeszcze nie wiedział, że czeka tam na niego doktor Langone, kolejny doradca do spraw wychodzenia z sekt.

Targały nim sprzeczne emocje. Pragnął niezależności od rodziców i przyjaciół, ale też nie chciał całkiem ich stracić. Najbardziej ze wszystkiego pragnął jednak dojrzałej miłości, a nie resztek dawnego zauroczenia z czasów, gdy był jeszcze nastolatkiem.

> Nie wiem, dlaczego jeden człowiek miałby traktować drugiego jako kogoś niższego od anioła. Odnosiłem się do swoich buddyjskich przyjaciół w szczególny sposób, a rodzinę uznawałem za coś oczywistego. Ale robiłem to, jak to zwykle ja, tak intensywnie, że uznali, że zwariowałem. Odpowiedzialność. Naprawdę nie mam innego wyjścia, jak tylko dorosnąć. Muszę zostawić za sobą tego chłopca i czuję, że to będzie dobre i słuszne. Myślę, że znalazłem kierunek, w którym chcę się rozwijać. Pora na skok naprzód. To właśnie powinienem teraz zrobić.

Zanim Ian wsiadł do samolotu, rozmawiał ze swoim ojcem o różnych wersjach przyszłości. Może studia magisterskie? Studiowanie buddyzmu mogło dać mu poczucie spełnienia intelektualnego, pozwolić zagłębić się w filozofię religii, ale także zachować pewien dystans. Była to kusząca wizja dla nich obu. Przejrzeli katalog studiów magisterskich z religioznawstwa w całym kraju. Rozmawiali serdecznie, ale ta obiecująca rozmowa zmieniła się w kłótnię, ponieważ Ian poczuł, że ojciec próbuje kontrolować jego życie. Do samolotu wsiadł wściekły.

Kiedy odezwał się do Beatrice, postanowili, że powinni się przeprowadzić w jakieś neutralne miejsce. Ani Arizona, ani Nowy Jork się nie nadawały. Może powinien pojechać z nią do Niemiec i spróbować radzić sobie samodzielnie, poza zasięgiem wszystkich? Odnaleźć stabilizację, której, jak twierdziła jego rodzina, mu brakowało? Mógłby zacząć samodzielną karierę. Nie potrzebował Roacha. Nie musiał być aniołem. Potrzebował tylko jej.

Po roku Beatrice zaszła w ciążę.

7

Diamentowa teozofia

Nigdy wcześniej nie spotkałem prawdy, dla której byłbym gotów skłamać.

Stephen Batchelor, *Wyznania buddyjskiego ateisty*

Azja była odczytywana wielokrotnie i, przynajmniej z perspektywy historycznej, odczytywana błędnie.

Catherine L. Albanese, *A Republic of Mind and Spirit* [Republika umysłu i ducha]

Kay Thorson rozpostarła na stole kuchennym arkusz brązowego papieru pakowego i ułożyła pośrodku dwie książki Michaela Roacha, tak żeby leżały idealnie jedna na drugiej. Tego ranka splądrowała pudło z notatkami Iana i zabrała z niego próbki zadań domowych z ACI oraz listy tybetańskich słówek. W te papiery zapakowała płytę CD z nagraniem wykładu Roacha na temat natury pustki. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie głosu mnicha. Całość dała się znakomicie owinąć w szary papier, równiutko zagięte rogi przypominały idealnie posłane szpitalne łóżko. Kiedy wszystko było starannie i ciasno zapakowane, a ona nabrała pewności, że paczka się nie rozleci, odwróciła ją do góry dnem i wypisała na niej adres Uniwersytetu Michigan.

Dzięki interwencji Kay zyskała trochę czasu, Ian z dziewczyną Poleciał do Niemiec i był z dala od kogokolwiek z Three Jewels. Ale mimo to nie mogła się pozbyć uczucia, że to wszystko znów może legnąć w gruzach. Co się stanie, kiedy Roach zakończy medytacje w Arizonie i znów zacznie nauczać? Czy Ian wróci do jego organizacji? Musiała być przygotowana i chciała mieć amunicję, coś, co przemówi do intelektu jej syna.

Paczka była przeznaczona dla profesora studiów buddyjskich i tybetańskich Donalda Lopeza. Dwa lata wcześniej Lopez napisał książkę zatytułowaną *Prisoners of Shangri-La* [Więźniowie Shangri-

La], podważającą niektóre z wyobrażeń ludzi Zachodu na temat Wyżyny Tybetańskiej. Kay miała nadzieję, że Lopez będzie w stanie jej powiedzieć, czy to, czego uczy się Ian, to rzeczywiście buddyzm. Lopez odpisał niemal natychmiast:

> Rozstrzygnięcie, czy te doktryny i definicje znaczą w Nowym Jorku XXI wieku to samo, co znaczyły niegdyś w Lhasie, to kwestia nie tyle nauki, ile raczej wiary religijnej. Nie mogę tego rozstrzygnąć dla pani syna. Mogę jednak stwierdzić, że definicje, których uczy się pani syn, to nie odwieczna mądrość, tylko owoc bardzo burzliwej i kontrowersyjnej historii. Istnieje ogromna rozpiętość w interpretacji doktryny buddyjskiej, zarówno pomiędzy odłamami buddyzmu tybetańskiego, jak i wewnątrz nich. Sama treść doktryn jest niekiedy wręcz mniej interesująca niż historia tego, w jaki sposób się kształtowały.
>
> Donald Lopez, 27 września 2000 roku

W trakcie swoich poszukiwań autentycznego przesłania Buddy Kay zaczęła odkrywać zawiłą historię interpretacji religijnej. W przypadku Tybetu wszystko zaczęło się, kiedy w v wieku pewien mnich przytroczył sobie do pleców kilka zniszczonych rękopisów i przeniósł zalążek buddyzmu przez Himalaje. Tekst napisany w sanskrycie miał być darem na znak pokoju, ale król Tybetu był zbyt pochłonięty niekończącymi się kampaniami wojennymi przeciwko swym chińskim sąsiadom, żeby zwrócić uwagę na księgi. Nieprzetłumaczone dokumenty butwiały na półce przez ponad sto lat, aż do dnia, gdy wielki monarcha Songcen Gampo natrafił na nie w swych archiwach i nakazał uczonym przetłumaczyć kilka stron, by przekonać się, czy księgi mają jakąkolwiek wartość. kierował się wyłącznie ciekawością, ale słodycz słów Buddy przemówiła do niego przez wieki. Zapragnął dowiedzieć się więcej, a iskra jego ciekawości zapoczątkowała pożar.

Przez następne tysiąc lat Tybet wyprawiał do Indii niezliczonych wysłanników, by studiowali w klasztorach, tłumaczyli święte teksty na tybetański i wracali z nabytą wiedzą do rodzinnego kraju. Być może ogromne malownicze pustkowia Tybetu same w sobie skłaniały do medytacji. Niezależnie od przyczyny głód buddyzmu w tym kraju był nieporównywalny z popularnością tego nurtu w Indiach.

Tybetańczycy zapełniali pałace i biblioteki księgami, każdy tekst był starannie zapisywany na osobnych kartach, owijany w jedwabny brokat i układany na półce. Przez wieki księgi stały się dla elity rodzajem waluty, cenniejszej niż pieniądze czy inne przedmioty. Teksty te zawierały świętą wiedzę – rodzaj boskiej pępowiny łączącej ich z samym Buddą.

Niepiśmienni pielgrzymi ze wsi okazywali swój szacunek dharmie, obchodząc dookoła budynki, gdzie przechowywano księgi. Mieli nadzieję, że samo przebywanie w pobliżu świętych tekstów zapewni im lepsze odrodzenie. Ci, którzy byli dość odważni, by wyruszyć w trudną podróż do Indii i wrócić pełni ezoterycznych nauk, stawali się bohaterami w rodzaju Davy’ego Crocketta oraz Lewisa i Clarka na amerykańskim zachodzie.

Dla słabo wyposażonego podróżnika oblodzone szczyty i bezdenne przepaście Himalajów stanowią przeszkodę niemal nie do pokonania. Góry w każdej chwili mogą się przebudzić do życia, zrzucając na wędrowców śmiertelnie groźną lawinę i grzebiąc nieszczęśników w lodowym piekle. Gdy pielgrzymi minęli już to szczególne zagrożenie, musieli zejść ponad trzy kilometry niżej, a potem wędrować nękanymi przez bandytów drogami tam, gdzie lodowate góry przechodziły w pogórze. Dalej ich podróż wiodła przez skwarną i wilgotną równinę Gangesu, gdzie byli narażeni na choroby, nieustanny upał oraz ataki tygrysów w dżungli.

Szczęśliwcy, którym udało się pokonać te naturalne przeszkody i którzy docierali do świętych miast, nie uznawali ich za gościnne. Hinduscy mnisi prowadzący najstarsze klasztory buddyjskie okazywali cudzoziemcom najwyżej przelotne zainteresowanie.

Pełni nadziei pielgrzymi musieli dosłownie błagać rektorów uniwersytetów, by pozwolili im rozpocząć studia, bo tylko w ten sposób mogli spróbować przyswoić sobie starożytne księgi w języku pali i sanskrycie. By podjąć się tego zadania, przybysz musiał najpierw nauczyć się sanskrytu, a przedzieranie się przez obce słownictwo każdej księgi mogło zająć lata. Jeśli nie istniały odpowiedniki, uczeni musieli wymyślać nowe tybetańskie słowa, by

wyjaśnić ezoteryczne pojęcia. Tłumacze ręcznie kopiowali hinduskie archiwa i spisywali własne wersje tekstów na liściach palmowych.

Większość pielgrzymów zginęła po drodze. Inni postanowili zostać i samodzielnie kontynuować swoje studia. Ale na tych nielicznych, którym udało się wrócić do ojczyzny, czekały nagrody godne królów. Uczniowie przychodzili tłumnie, by ich słuchać, a skrybowie rozsyłali kopie przekładów do najdalszych zakątków tybetańskiego imperium. Jeśli zechcieli, tłumacze, naginając dharmę do własnych celów, mogli mieć kontrolę nad sprawami ekonomicznymi i politycznymi całego kraju[14].

Byli czymś więcej niż łącznikami między Indiami a Tybetem; mieli aktywny wpływ na kształt buddyzmu przeniesionego na grunt ich ojczyzny. Gdy Tybetańczycy zaczęli się interesować słowami Buddy, tradycja literacka buddyzmu w Indiach była już dojrzała i rywalizowały ze sobą różne szkoły. Niektóre nauki uważano za pochodzące bezpośrednio od Buddy, inne powstały dużo później i pochodziły od słynnych nauczycieli, którzy mieli własną wersję oświecenia. Aby podróż była warta trudu, tłumacze wyszukiwali teksty, o których ich rodacy jeszcze nie słyszeli – im rzadsze, tym lepiej. Sutry nauczające imperatywów etycznych nadawały się dla przeciętnego odbiorcy, ale tłumacze zorientowali się, że prestiż zyskają dzięki tekstom tantrycznym.

Współcześni uczeni badający oryginalne rękopisy nie byli zaskoczeni, gdy odkryli, że przekłady, które przetrwały tysiące kilometrów podróży niesione na grzbietach mnichów, nie zawsze są wierne tekstom źródłowym[15]. Niektóre dzieła pojawiające się w Tybecie były zasadniczo refleksjami mnicha z jego podróży, ale wszystkie udawały święte księgi pochodzące ze starożytnego źródła. Ronald Davidson, profesor pracujący w Nowym Jorku, który poświęcił większość swojego życia badaniu przekładów ksiąg ze średniowiecznego Tybetu, stwierdził, że w wielu przypadkach uczeni zajmujący się tantrą swobodnie czerpali ze źródeł niebuddyjskich, w tym od rozmaitych hinduskich mistyków, magików i joginów, których spotykali podczas swoich podróży. W miarę jak tłumacze

przywozili coraz dziwaczniejsze teksty, buddyzm tybetański zwrócił się ku temu, co egzotyczne. Popularność zyskały między innymi opowieści o siddhach, oświeconych mistrzach obdarzonych magicznymi mocami.

Problem autentyczności był w średniowiecznym Tybecie równie istotny, jak obecnie, kiedy buddyzm tybetański zyskał zasięg globalny. Czy autentyczność oznacza niepodważalny związek ze starożytnym źródłem mądrości? Albo czy coś może być autentyczne, jeśli jest efemeryczne i oparte na doświadczeniu? Być może najlepiej jest ujmować te problemy jako napięcie między tym, co przetrwało próbę czasu, a tym, co sprawia, że mamy poczucie łączności z duchowym ideałem. W każdym razie te pisma religijne przeorały średniowieczny Tybet niczym morena lodowca. W ciągu ponad tysiąca lat buddyzm zmienił relacje Tybetańczyków z ich otoczeniem i zbudował symboliczny świat duchowy. W miarę jak tradycja rozgałęziała się i rozdzielała na kolejne nurty, buddyzm tybetański rodził toczące się przez pokolenia zażarte spory i kontrowersyjnych przywódców.

W XIV wieku zażywny mnich o imieniu Dolpopa włożył szpiczastą czerwoną czapkę sakjów i rozpoczął debatę na temat natury oświecenia, wciąż żywą we współczesnym życiu religijnym. Dolpopa przez całe życie podróżował głównie po południowym Tybecie i Nepalu, spotykał się z mnichami pustelnikami i przeczesywał ich księgozbiory. W 1333 roku konsekrował największą stupę w Tybecie, w zielonej dolinie między łagodnymi wzgórzami, gdzie lubił wykładać, siedząc na alabastrowym podwyższeniu. Do tego czasu większość buddyjskich uczonych wyznawała pogląd, że wszystko we wszechświecie podlega nieustannym przemianom – nawet samo oświecenie. Dolpopa uznał to za bzdury. Owszem, wiele rzeczy jest zmiennych, ale funkcjonują fundamentalne zasady działania wszechświata obowiązujące niezależnie od czasu i miejsca.

Dolpopa nauczał, że istnieje czysta ostateczna rzeczywistość, solidna jak skała. Co więcej, jądro doświadczenia przepływa z jednego życia do drugiego. Mnich użył hinduskiego słowa „atman”

na określenie czegoś, co chrześcijanin mógłby nazwać duszą. Osiągnąć oświecenie to znaczy zrozumieć prawdziwy mechanizm wszechświata. Każdy oświecony stanie się w rezultacie nieomylny, ponieważ będzie w stanie pojąć rzeczywiste karmiczne konsekwencje każdego czynu.

W całych Himalajach rozgorzał zażarty spór. Sława Dolpopy rosła, w swej skromnej dolinie nauczał tysiące uczniów o naturze czasu i rzeczywistości. Zakurzeni pielgrzymi i zwykli ludzie znosili na jego cześć girlandy i rzeźby z masła. Instytucje, które zostawił po sobie, zgromadziły bogactwa godne królów i przez jakiś czas polityczne i militarne centrum Tybetu przeniosło się na południe.

Wahadło zaczęło się wychylać w przeciwnym kierunku sześć lat przed śmiercią Dolpopy w 1361 roku, kiedy w pewnej dolinie znanej z uprawy cebuli urodziło się wyjątkowe dziecko. Chłopiec nazywał się Dże Congkhapa. Ludzie szeptali, że jest wcieleniem Atisi, jednej z pierwszych osób, które przywiozły buddyjskie teksty do Tybetu. W wieku dwudziestu czterech lat Dże Congkhapa został wyświęcony na mnicha sakja, z tej samej tradycji co Dolpopa. Wszyscy w Tybecie spodziewali się, że zostanie jednym z najważniejszych nauczycieli swoich czasów.

Congkhapa poświęcił się całkowicie studiowaniu ślubów zakonnych i znaczenia rygorystycznego porządku społecznego. Stał się znany jako wielki reformator, a jego największy sprzeciw budziło dziedzictwo Dolpopy, które chciał obalić. Congkhapa dowodził, że nie istnieje nic takiego jak ostateczna rzeczywistość; nawet pojęcie pustki było samo w sobie pozbawione znaczenia. Żaden człowiek nie może oczekiwać, że kiedyś połączy się z boskością. Zdaniem Congkhapy w buddyzmie chodziło o proces odkrywania, a nie o osiągnięcie ostatecznego celu. To przesunięcie oznaczało, że nikt nie mógł twierdzić, iż zbliżył się do ostatecznej prawdy bardziej niż ktokolwiek inny. Każdy człowiek jest omylny, a wartość danego mnicha sprowadza się ostatecznie do tego, jak starannie przestrzegał ziemskich zasad, które pozostawił Budda. Congkhapa przekonywał

więc swoich uczniów, by pokładali wiarę raczej w trwałych instytucjach niż w mistycznych wglądach.

Był twórcą szkoły, która szybko stała się najważniejszym i najpotężniejszym odłamem buddyzmu tybetańskiego. Gelugpowie postanowili się odróżnić od innych zakonów, nosząc żółte czapki wygięte do przodu nad czołem. Zbudowali w Lhasie Potalę, pałac o tysiącu komnat, i uznali Dalajlamę za swego władcę. Po jakimś czasie Lhasa stała się najpotężniejszym miastem Tybetu. Gelugpowie stworzyli armię i zawzięcie zwalczali nauki Dolpopy[16].

Zgodnie z popularnym wyobrażeniem Tybet jest rodzajem medytacyjnego raju, pełnego miłujących pokój mnichów i kontemplacyjnych dysput. Jednak w wysokich Himalajach wojna była częstym gościem. Przez wieki tybetańskie armie maszerowały między klasztorami, brutalnie tłumiły powstania i obalały samozwańczych wodzów.

Do pewnej słynnej potyczki doszło, kiedy król Cangu, patron karma kagju – kolejnego nurtu buddyzmu tybetańskiego – w 1642 roku podważył władzę Piątego Dalajlamy i zaczął plądrować klasztory gelugpów na południu Tybetu. Dalajlama wysłał emisariuszy do Guszri-chana, potomka Czyngis-chana, który panował w Mongolii, by prosić go o pomoc. Chan był lojalny wobec gelugpów, więc on i jego mongolska konnica uderzyli na Tybet niczym gorący wiatr. Przebili się przez wojska Cangu i zabili tysiące mnichów. Kiedy chan przybył do Lhasy, oddał cześć Dalajlamie, po czym odjechał do Mongolii, wioząc łupy ze zrabowanych klasztorów. Konflikty zbrojne wybuchały jeszcze co najmniej siedem razy, zanim w 1950 roku Tybet najechali Chińczycy.

Charyzma przywódców znika z czasem w cieniu samych instytucji, Dolpopa i jego nauki raczej nie znalazły poczesnego miejsca w historii buddyzmu. Jego imię wspomina się obecnie najczęściej w kontekście przegranej debaty z Congkhapą – czegoś, co z historycznego punktu widzenia nie mogło się wydarzyć. Ale napięcie podobne do tego między Dolpopą a Congkhapą można dostrzec w każdej wierze, która dąży do uzasadnienia swojego

istnienia. Co jest ważniejsze: dążenie do bezpośredniego połączenia z boskością czy budowanie czegoś na ziemi? A jeśli ktoś doświadcza kontaktu z absolutem, czy jest ponad wszelką ziemską krytyką?

Napięcie to zostało poddane ważnej próbie trzydzieści sześć lat po śmierci Congkhapy. Urodzony na terenie obecnego Bhutanu, przypominający cherubina lama Drukpa Kuniej, stał się znany dzięki nauczaniu dharmy za pomocą czubka swojego penisa. Seksualna strona nauk tantrycznych nie była w Tybecie niczym nowym, nierzadko słyszało się też historie o lamach nadużywających swojej władzy i wykorzystujących uczniów. Kuniej jednak doprowadził tantrę do ostatecznych granic. Był, jak sam się określał, szaleńcem, który nie miał żadnego szacunku dla tradycji ustanawianych przez instytucje. Zamiast tego upijał się w sztok, pisał sprośne wiersze i robił dzieci zarówno kobietom świeckim, jak i mniszkom. Jako utalentowany mówca przekonywał wszystkich, od wysokich lamów po zwykłe panny, że poddając się jego woli, podążą drogą oświecenia. Jego wiersze wykpiwały pisma Buddy. Często drwił z tego, w jaki sposób buddyści podobno szukają schronienia w Buddzie. Kuniej namawiał, by zamiast poddawać się dharmie, oddali cześć jego penisowi:

Przyjmuję schronienie w zwiędłym chuju starego wieśniaka, zwiędłym u podstawy, opadającym jak martwe drzewo;

Przyjmuję schronienie w sflaczałej piździe starej baby, nie do przebicia, zapadłej, podobnej do gąbki;

Przyjmuję schronienie w męskim Piorunie młodego tygrysa, dumnie wzniesionym, obojętnym wobec śmierci;

Przyjmuję schronienie w kobiecym Lotosie, wypełnionym kołyszącymi się falami szczęścia, wolnym od wstydu i zahamowań[17].

To, że Kuniej nie został zakuty w dyby, rozszarpany przez tłum ani nie był włóczony końmi, jest świadectwem jego umiejętności perswazji. Stał się ludowym bohaterem i na długo zapadł w pamięć głównie dzięki zdolności czynienia cudów. Ponieważ nie było

instytucji, która mogłaby uznać go za autorytet, dowiódł swych mocy duchowych, demonstrując *siddhi*.

Według jednej sławnej opowieści Kuniej sikał z dachu pałacu na oczach tłumu. Zanim jednak żółty strumień moczu rozbryznął się na ziemi, mistrz, zapewne z figlarnym uśmiechem, wciągnął go z powrotem do penisa. Nic więc dziwnego, że odcisnął ślad na miejscach, które odwiedzał, gdzie nauczał i gdzie uwodził kobiety. We współczesnym Bhutanie na ścianach niezliczonych budynków i klasztorów widoczny jest jego symbol. Przedstawia wielki fallus, z którego nabrzmiałej purpurowej żołędzi tryska nasienie. Niekiedy sperma ścieka groteskowo po ścianie, na cześć idei, że związki seksualne mogą być drogą do oświecenia. Ludzi nieprzygotowanych na taki obrazek w świątyni często aż zatyka na ten widok.

Kuniej i inni podobni do niego święci byli adeptami czegoś, co współcześnie jest nazywane wiedzą szaloną. W tego rodzaju naukach ludzie folgują swym namiętnościom i obalają tabu, by głosić głęboką prawdę. Georg Feuerstein, buddyjski uczony i zwolennik jednego ze współczesnych następców Kunleja, napisał, że „w oczach świata Kuniej jest radykałem, ekscentrykiem albo anarchistą – szaleńcem. Samo jego istnienie podważa ustalony porządek. Żyjąc tak, jak żyje [...] nie czuje potrzeby żadnego samoograniczenia. Całe jego życie to wzniosły symbol, nieustanna demonstracja tego, że ograniczenia, jakie przyjmuje »zwykły człowiek«, to tylko neurotyczne strategie, które mają stworzyć pozory stabilności i porządku w nieustającym przepływie zdarzeń, jaki składa się na egzystencję fenomenalną”.

Być może Kuniej korzystał także z buddyjskiego terminu *„upaja"*, co tłumaczy się jako „zręczne środki”. Chociaż w naukach Buddy można dostrzec logiczny porządek, stworzone przez niego zasady muszą funkcjonować w świecie polityki, wojny, oszustwa i niesprawiedliwości i nie zawsze jest wskazane idealne przestrzeganie wszystkich ślubowań. Ktoś świadomy może więc traktować buddyjskie reguły z pewną swobodą, dopóki robi to „zręcznie”. Kunlejowi mogło ujść na sucho gwizdanie na widok księżniczek i córek wodzów, ponieważ przekonał je, że łamie zasady dla ich dobra.

Osiągnął najwyższy poziom oświecenia, musiały mu zatem zaufać, że wie, co jest dla nich najlepsze.

Buddyzm tybetański ulegał tym samym słabościom i nadużyciom władzy, które pojawiają się w niemal każdej innej religii w takim czy innym momencie, kiedy doświadczenia mistyczne zyskują pierwszeństwo nad tradycją. W buddyzmie – pełnym szaleńców, reformatorów, szarlatanów, konfliktów i fundamentąlizmu – nigdy nie można było mówić o pojedynczym jednorodnym nurcie; istniało wiele nurtów odzwierciedlających konkretne momenty historyczne. Nic dziwnego, że spory toczące się w średniowiecznym Tybecie wciąż pojawiają się we współczesnych wizjach Himalajów.

Zachodnia fascynacja Tybetem mogła mieć wiele przyczyn. Starożytni kupcy wieźli przyprawy, tkaniny i idee drogą morską lub Jedwabnym Szlakiem. Opowieści, które docierały ze Wschodu, były pełne zmyśleń i przesady, tak samo jak wtedy, gdy pierwsi tybetańscy tłumacze wracali z Indii. Średniowieczne wizje dalekich krajów opierały się w dużej mierze na fantastycznych opowieściach, doprawionych zaledwie szczyptą faktów. Spoglądając na Wschód, Europejczycy wyobrażali sobie krainy zamieszkane przez mantykory, smoki i ludzi z oczami i ustami na piersi zamiast na głowie. Najbardziej absurdalne wyobrażenia z czasem się rozwiały, ale Wschód zachował mistyczną aurę nieodkrytej tajemnicy.

W wiekach XVIII i XIX Europejczycy mieli kolonie na całym globie. Ustanawiane przez nich w najdalszych zakątkach ziemi marionetkowe rządy skutecznie pozyskiwały ogromne bogactwa, z których dochody lokowano w zachodnich bankach. Cały ten proces był pełen przemocy, rasizmu i ostatecznie zakończył się klęską, ale wtedy także po raz pierwszy w historii większość świata została podporządkowana jednej wizji ekonomicznej i filozoficznej. Europejczycy lubili sobie wyobrażać, że „cywilizują” planetę. Kiedy akurat nie zajmowali się budową linii kolejowej albo wojną w Indiach, niektórzy z brytyjskich, niemieckich, rosyjskich i amerykańskich urzędników i misjonarzy zgłębiali także święte azjatyckie teksty, by obmyślić bardziej przekonujące argumenty,

które skłonią tubylców do nawrócenia się na chrześcijaństwo. Przetłumaczono Biblię na lokalne języki, a w ramach tej wymiany kulturowej teksty religijne z całego świata docierały do Europy.

W połowie XIX wieku Niemiec Max Muller stał się jednym z najwybitniejszych pierwszych uczonych, którzy podjęli badania nad językami indoeuropejskimi[18]. Tłumaczył klasyczne teksty sanskryckie znalezione w archiwach Kompanii Wschodnioindyjskiej i udostępnił zachodnim odbiorcom *Rygwedę* i *Upaniszady*. Zainteresowania naukowe stworzyły grunt pod dzieła zafascynowanych Orientem pisarzy takich jak Rudyard Kipling, z którego książek wyłaniał się obraz Indii zamieszkanych przez zaklinaczy węży, przerażające bestie i mistycznych *swami*.

Gdy Brytyjczycy przejęli rządy nad kontynentem, odebrawszy je lokalnym władcom, byli zaskoczeni, że w istocie niewielu jego mieszkańców przejawia nadnaturalne zdolności. Nadal jednak panowało przekonanie, że tacy czarownicy istnieją, tylko po prostu są rzadkim zjawiskiem. Gdzieś w Azji muszą przecież żyć jogini praktykujący w jaskiniach i dokonujący niewytłumaczalnych rzeczy. Gdy Europejczycy na swych żaglowcach okrążyli ziemię i zdziesiątkowali rdzenną ludność Ameryki Południowej i Ameryki Północnej, pozostało tylko jedno miejsce, do którego ludzie Zachodu wciąż nie przeniknęli.

Jeszcze pod koniec XIX wieku tylko bardzo nielicznym udawało się dostać do Tybetu. Jego granic strzegła słaba armia, ale Himalaje były wystarczająco groźne, by utrzymać z dala wszystkich poza najbardziej nieustraszonymi podróżnikami. Kiedy cały świat został już zbadany, Tybet stał się ostatnim miejscem pozostawionym wyobraźni.

W tym samym czasie, gdy Kipling pisał ze swojej placówki w Indiach, Ameryka po wojnie secesyjnej przechodziła własną duchową reformację. Niespotykana dotychczas liczba ofiar konfliktu sprawiła, że wiele osób zaczęło podważać istnienie chrześcijańskiego Boga. Czy dobrotliwy Stwórca pozwoliłby na tyle cierpienia w świecie? W okresie nazywanym wielkim przebudzeniem pobożni

ludzie dążyli do osobistych spotkań z Bogiem, bez pośrednictwa Kościoła. Ci o bardziej ezoterycznych skłonnościach poszukiwali wiary również poza kontekstem tradycji zachodniej.

Największy wpływ spośród osób, które starały się skorzystać na tym nowym zainteresowaniu Zachodu religiami Azji, wywarła rosyjska mistyczka *madame* Helena Bławatska. Jako zaledwie siedemnastolatka poślubiła czterdziestoletniego mężczyznę, ale ten związek szybko jej obrzydł. Ukradła więc konia i uciekła na zachód do Europy. Przez następne dziesięć lat obracała się w rozwijającym się środowisku spirytystów, reklamując się jako jasnowidz i medium. Podróżowała do Egiptu i zanurzała się w cieniu piramid. Pochylona nad kryształową kulą nawiązywała kontakt z mrocznymi siłami, a przy tym wyglądała dokładnie tak, jak zwykle wyobrażamy sobie wróżbitkę. W 1873 roku wyjechała do Nowego Jorku, gdzie zaczęła rozgłaszać, że została wprowadzona w tajemne nauki tantryczne przez buddyjskich mistrzów z Azji. Słowo „tantra” wciąż było nowe dla Amerykanów i budziło coraz powszechniejszą wiarę w tajemne moce.

Podczas jednego ze swoich seansów w Vermoncie *madame* Bławatska poznała wybitnego prawnika i bohatera wojny secesyjnej pułkownika Henry’ego Steela Olcotta. Połączyli siły i założyli Towarzystwo Teozoficzne, którego misją miało być „wspieranie badań nad religiami i naukami świata, ukazywanie wartości dawnej literatury azjatyckiej, a także badanie ukrytych tajemnic natury oraz fizycznych i duchowych sił uśpionych w człowieku”.

Zgodnie z wykładnią teozoficzną każda religia ma dostęp do pewnego rodzaju uniwersalnej prawdy. Bławatska i Olcott uważali, że niezależnie od tego, czy mówi się o Bogu, boskości, czy uniwersalnej duszy, można nawiązać kontakt z czymś, co Kant nazwał dziedziną noumenów. Systematycznie (a w wielu przypadkach niesystematycznie) porównując przekonania w różnych religiach, mieli nadzieję odkryć prawdę o Bogu w taki sam sposób, jak archeolodzy odkrywają starożytne cywilizacje. Zamierzali porównać starożytne zwoje hinduskie z przepowiedniami Majów i

żydowską kabałą; liczyli na to, że znajdą ukryte jądro mądrości wspólne dla wszystkich tych pism.

To połączenie racjonalizmu z okultyzmem okazało się niebywale popularne wśród intelektualistów amerykańskich i europejskich. W 1879 roku Bławatska i Olcott przenieśli się do rezydencji mojew Madrasie (inaczej Ćennaju) w Indiach i zaczęli gromadzić pieniądze na przetłumaczenie tylu hinduskich i tybetańskich tekstów, ile tylko się da. Zdaniem ówczesnych uczonych i poszukiwaczy duchowych teozofowie działali w najbardziej stabilnej instytucji, która mogła sfinansować logistyczne wsparcie ich pracy.

Bławatska, korzystając ze swych wcześniejszych doświadczeń w charakterze medium, nawiązała kontakt z grupą boskich filozofów – nazwała ich mahatmami, czyli wielkimi duszami – żyjących w odległych jaskiniach na Wyżynie Tybetańskiej. Każdego ranka mahatmowie wysyłali jej pisane ręcznie liściki i zostawiali je w wiklinowym koszyku w jej sypialni.

Setki listów, które otrzymała w ten sposób przez lata, złożyły się ostatecznie na manifest zwany *Doktryną tajemną*. W ciągu pierwszego tygodnia od publikacji sprzedano ponad tysiąc egzemplarzy, później jeszcze przez kilkadziesiąt lat był to bestseller. Uczeni i autorytety religijne spoza kręgów spirytystycznych często traktowali jej objawienia z pogardą. W końcu było dużo prawdopodobniejsze, że kiedy nikt nie patrzył, sama wkładała listy mahatmów do koszyka.

Mimo to starania Towarzystwa Teozoficznego, by udostępnić azjatyckie teksty religijne masowemu odbiorcy, miały ogromne znaczenie. Jak pisze historyczka Catherine Albanese, „»Tajemna doktryna« Azji stała się źródłem pojęć i konstrukcji myślowych dla powszechnego dyskursu metafizycznego. Wymazano w nim szczególny azjatycki kontekst historyczny, a uniwersalizujący potencjał pojęć takich jak reinkarnacja, karma i ciało subtelne został wielokrotnie wzmocniony. Można uznać, że w całym ogólnoamerykańskim projekcie metafizycznym końca XX wieku i

XXI wieku nadal pobrzmiewają wątki i pojawiają się wizje Azji, których źródłem jest dzieło Bławatskiej”.

Innymi słowy, wyobrażona na nowo Azja Bławatskiej przemówiła do amerykańskiego znużenia nowoczesnym światem. Ukształtowała gramatykę ruchu New Age, którą obecnie uznajemy za oczywistą. Teozofowie sfinansowali pierwsze tłumaczenia *Tybetańskiej Księgi Umarłych*, *Jogasutr* Patańdżalego i różnych gnostycznych ewangelii, a także popularne przekłady *Bhagawadgity*, *Upaniszad* oraz *Księgi Drogi i Cnoty*.

Podobnie jak w przypadku tłumaczy tybetańskich, którzy w średniowieczu przywozili księgi z Indii, przekłady teozoficznych tłumaczy zawierały ich własną interpretację koncentrującą się na doświadczeniach zmysłowych. W 1920 roku Bławatska już nie żyła, ale Towarzystwo Teozoficzne rozrosło się i liczyło ponad czterdzieści pięć tysięcy członków na całym świecie. Ich wpływ nadal jest niemal nie do pominięcia przy jakimkolwiek projekcie mającym związek z duchowymi tradycjami Azji.

W 1904 roku Himalaje nie były już taką nieprzezwyciężoną przeszkodą jak kiedyś, jakby dla przypomnienia, że Brytyjczyków interesuje nie tylko hinduska literatura, pułkownik Francis Younghusband najechał Tybet na czele oddziałów liczących niemal trzy tysiące doświadczonych żołnierzy. Tybetańskich granic próbowali bronić żołnierze uzbrojeni tylko w ładowane od przodu muszkiety i amulety ochronne. Brytyjczycy odpowiedzieli ogniem z broni automatycznej.

Dalsza kampania rozegrała się według wypróbowanego w koloniach schematu masakry i pacyfikacji, który miał się stać równie dobrze znany pokonanym bojownikom z Wyżyny Tybetańskiej, jak wcześniej Apaczom i Zulusom. Podczas pierwszej potyczki w ciągu czterech minut zginęło ponad siedmiuset Tybetańczyków. jeden z podpułkowników dowodzący baterią karabinów maszynowych maxim pisał: „Miałem tak dość tej jatki, że kazałem przerwać ogień, choć generał rozkazał walić, ile wlezie. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał strzelać do wycofujących się ludzi”. Można

też przeczytać doniesienia korespondenta „Daily Mail”, który został ranny w tej bitwie jako jeden z nielicznych Brytyjczyków: „Stało się to, co niemożliwe. Modlitwy, amulety i mantry oraz świętość ich świątobliwych mężów nie zdały się na nic. Szli z pochylonymi głowami, jakby opuszczeni przez własnych bogów”. W lipcu tego samego roku Brytyjczycy wkroczyli do Lhasy i zmusili Tybet do zapłaty dużej rekompensaty, założyli tam też placówkę handlową.

Przez ponad dwieście lat Lhasa stosowała politykę ścisłego izolacjonizmu. Kiedy jakiś cudzoziemiec przedostał się przez granicę, przedstawiciele tybetańskich władz uprzejmie odprowadzali go z powrotem przez Himalaje. Okupacja brytyjska zakończyła izolację. Po tym, jak Younghusband pokonał Tybetańczyków w nierównej walce, ówcześni podróżnicy mogli się zwrócić bezpośrednio do władz brytyjskich po rzadko udzielane, ale formalnie możliwe do uzyskania pozwolenie na wjazd.

W praktyce jednak Brytyjczycy starali się utrzymać Tybet w izolacji, ponieważ służył jako idealny bufor między ich władzami w New Delhi a nieustanną ekspansją Chińczyków na Zachód. Nieliczni Brytyjczycy stacjonujący w Lhasie byli urzędnikami mało zainteresowanymi czymś więcej niż relacje między rządami. Odrzucali setki podań o pozwolenie na wjazd, dopóki w 1937 roku urodzony w Arizonie Theos Bernard dzięki magii dyplomacji oraz dużej ilości gotówki otrzymał zgodę. Był pierwszym Amerykaninem, który postawił stopę w Tybecie.

Wujem Theosa był Pierre Bernard, lepiej znany jako Oom Omnipotent [Oom Wszechmogący], który twierdził, że jest tantrycznym joginem. Cieszył się szaloną popularnością i zdołał otworzyć sieć tantrycznych klinik w Clevelandzie, Filadelfii, Chicago i na Manhattanie. Oom jest chyba najlepiej znany z tego, że powiązał tantrę – słowo odnoszące się do tajemnych świętych nauk – z mistycznymi doświadczeniami seksualnymi. Jak to często bywa z guru, którzy zeszli na złą drogę, w 1910 roku został aresztowany przez policję po tym, jak dwie nastolatki oskarżyły go o porwanie i nakłonienie do niewoli seksualnej.

Theos Bernard próbował się zdystansować od szemranej reputacji wuja, ale najwyraźniej był ulepiony z podobnej gliny. Miał nadzieję znaleźć w Tybecie teksty objaśniające seksualny aspekt nauk tantrycznych. Gdyby je zdobył, jako ich strażnik mógłby się stać wpływowym nauczycielem. Zamierzał też zbić majątek na objeździe z odczytami o tej podróży.

Przez ponad pół roku podróżował przez Tybet, robiąc tysiące zdjęć i kręcąc setki metrów filmu jedną z pierwszych kamer filmowych. Zwiedził pałac Potala i wynajął ważnych lamów, którzy odprawili złożone ceremonie, by mógł je sfilmować. Kiedy rok później wrócił na Zachód, wystąpił publicznie w szkarłatnych szatach i żółtej czapce mnicha ze szkoły gelug. Choć w Lhasie był bardzo krótko, oświadczył „Daily Mail”: „Jestem pierwszym białym lamą – pierwszym człowiekiem Zachodu, który stał się kapłanem w tybetańskim klasztorze; pierwszym człowiekiem spoza Tybetu, przed którym odkryto buddyjskie tajemnice, nieznane nawet wielu lamom”.

Przez następne dziesięć lat jeździł po Ameryce, głosząc, że Dalajlama uznał go za reinkarnację świętego Padmasambhawy z VIII wieku, który rzekomo był najważniejszym nauczycielem w całej religijnej historii Tybetu. Amerykańska publiczność chętnie temu przytaknęła. Jego portret pojawił się na okładce „Family Circle”, wówczas jednego z najpopularniejszych czasopism na świecie. Założył obecnie nieistniejący Instytut Jogi i opublikował bestseller *Penthouse of the Gods* [Rezydencja bogów], w którym opisał swoje przeżycia z podróży.

Kilka lat później Uniwersytet Columbia przyznał mu doktorat w dziedzinie religioznawstwa za jego badania nad tybetańską tantrą i hinduską jogą. Po jakimś czasie zyski z odczytów spadły, a kiedy jego majątek zaczął się kurczyć, Theos w 1947 roku wrócił do Indii z zamiarem odnalezienia kolejnych zagubionych ksiąg.

Nie zważając na bieżącą sytuację polityczną, rozpoczął poszukiwania w północnych Indiach, ogarniętych walką o niepodległość. Po II wojnie światowej Wielka Brytania była na krawędzi niewypłacalności, a brytyjskie kolonie w Azji przestały

przynosić zyski. Zarazem ogromnie popularny pokojowy ruch pod przewodnictwem Mahatmy Gandhiego podważył założenie, że Indie należy „cywilizować” za pomocą brytyjskiego kolonializmu. Brytyjczycy postanowili więc zrezygnować z kontroli nad Indiami.

Planowali podzielenie kolonii na dwa odrębne kraje, według linii podziałów religijnych. Indie miały być zasadniczo hinduistyczne, a Pakistan głównie muzułmański. Kiedy przedstawiciele obu tych grup z wielkim trudem usiłowali się przedostać na odpowiednie terytoria, cały region ogarnęła pożoga przemocy. Zginęło ponad milion ludzi, a uzbrojone w miecze bojówki masakrowały całe pociągi uchodźców próbujących uciec przez nową granicę. Bernard zaplątał się w ogień tego konfliktu, gdy myszkował w pobliżu starych buddyjskich klasztorów. Najprawdopodobniej został zastrzelony gdzieś u podnóża Himalajów. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Bernard jest swego rodzaju archetypem wielu zachodnich guru i mnichów, którzy od tamtej pory wracali z Tybetu, twierdząc, że posiedli wyjątkową duchową wiedzę. Odziany w tradycyjne szaty, promieniował autentycznością, a w Ameryce było bardzo niewielu ludzi, którzy wiedzieli o Tybecie wystarczająco dużo, by móc wątpić w jego oświecenie. Niemniej jednak bez osób takich jak Bernard i Bławatska religie Wschodu nigdy nie zyskałyby miejsca w zbiorowej wyobraźni. Kampanie wojenne podobne do tej poprowadzonej przez Younghusbanda być może doprowadziłyby do zagłady buddyzmu tybetańskiego jako prymitywnego, pogańskiego albo po prostu mało istotnego wyznania, gdyby nie to, że uczeni w Europie dali się porwać romantycznym wyobrażeniom na jego temat.

Później Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza najechała Tybet i zmusiła Dalajlamę wraz ze świtą liczącą setki mnichów do udania się na wygnanie do Indii. Zdjęcia dokumentujące ten exodus ukazały się w gazetach na całym świecie i wzbudziły powszechne współczucie. To wygnanie w 1959 roku oznaczało koniec nadziei na autonomię Tybetu, ale także zmusiło zubożały rząd Dalajlamy do szukania wsparcia u zachodnich sojuszników. W przeciwieństwie do innych zmarginalizowanych grup etnicznych zmiażdżonych stalową pięścią

Chin Tybetańczycy mieli coś, co zjednywało im społeczność międzynarodową: swoją duchowość: Z tego powodu niedługo potem pojawiło się dużo więcej ludzi Zachodu, którzy dostąpili oświecenia.

W tym samym czasie, gdy buddyzm tybetański zaczynał zyskiwać popularność wśród poszukujących wiedzy transcendentalnej odbiorców na Zachodzie, w Ameryce narodził się nowy nurt filozoficzny zwany New Thought [Nowa Myśl]. Na początku XX wieku wydawało się, że w Ameryce wszystko jest możliwe. Trudy i niedostatki związane z wojną secesyjną zatarły się już w pamięci, a nowe wynalazki, takie jak elektryczność i coraz liczniejsze samochody, pozwoliły ludziom oglądać świat w taki sposób jak nigdy wcześniej. Noc stawała się dniem za jednym naciśnięciem przełącznika. Dzięki postępowi w medycynie można było leczyć choroby, które niegdyś oznaczały wyrok śmierci. Wraz z tą falą optymizmu pojawiły się wielkie fortuny amerykańskich przedsiębiorców. Magnaci tacy jak Andrew Carnegie, Henry Ford, John Rockefeller i Frank W. Woolworth, którzy zaczynali niemal od zera, zbudowali ogromne fortuny. Ich sukces był potwierdzeniem amerykańskiego snu dla milionów, które wierzyły, że choć w niewielkiej części mogą go powtórzyć.

Ruch New Thought stworzył duchowe ramy wyjaśniające ziemskie sukcesy. Nurt ten pojawił się w formie przepisu na życie i stworzył nowy gatunek poradników. Jeszcze w 1906 roku spopularyzował pojęcie „prawo przyciągania” i główne przekonanie, że myśli mogą kształtować rzeczywistość. W 1908 roku Andrew Carnegie poznał młodego dziennikarza Napoleona Hilla i poprosił go, aby zrobił wywiady z najbogatszymi ludźmi w Ameryce, by poznać sekret ich bogactwa. Ten projekt zajął Hillowi ponad dwadzieścia lat, ale w 1934 roku opublikował *Myśl i bogać się*, książkę, która szybko stała się jednym z największych bestsellerów wszech czasów[19]. Hill pisał, że najbogatsi ludzie na ziemi mają prosty sekret: wizualizują sobie własny sukces i kształtują swoje emocje, by poczuć się tak, jakby już osiągnęli zamierzony cel. Według jego teorii życzenia działają w duchowym eterze jak magnes i mogą przyciągać

namacalne bogactwa. I odwrotnie, jeśli ktoś stale się martwi, że poniesie porażkę, przyciąga tylko porażki. Myśli o chorobie przyciągają choroby[20].

New Thought nadała amerykańskiemu optymizmowi nutę mistycyzmu. Według jednego z głównych założeń umysł jest siłą natury w taki sam sposób jak grawitacja. Myśli mogą sprawić, że ktoś się wzbogaci, leczyć choroby, złagodzić udręki starości, dzięki myślom można osiągnąć każdy mieszczący się w wyobraźni cel. New Thought ożywa co kilka lat – ostatnio w filmie telewizyjnym, a potem w światowym bestsellerze *Sekret*. Miliony ludzi, którzy przeczytali tę książkę, tworzyły z ilustracji wyciętych z czasopism kolaże przedstawiające swoje marzenia, przyczepiając na korkowych tablicach zdjęcia luksusowych samochodów, przyszłych kochanków, wizje szczęścia i zdrowia. Te tak zwane tablice marzeń to narzędzia służące do medytacji, które pomagają ludziom wizualizować swoje cele. Przypominają w tym tybetańskie thanki.

Kiedy Michael Roach udał się z Christie McNally na Wielkie Odosobnienie, powolny bieg historii stworzył już duchowy grunt dla jego nauk. Pokolenia poszukujących oświecenia oraz literatura poradnikowa sprawiły, że jego wersja buddyzmu tybetańskiego stała się możliwa do przyjęcia, a wręcz przekonująca.

> Przebywaliśmy razem
> W wielkim odosobnieniu, w stosowny sposób
> Z Panią, która jest emanacją
> Anioła Diamentu, Posłanniczką;
> Zmierzyłem się z koniecznymi trudnościami,
> By spróbować zakończyć dwa etapy
> Tajemnych nauk.
> A teraz także,
> By pomóc wyzwolić
> Ostateczną transformację
> W Diamentowe Ziarno,
> Czeszę włosy
> Tak samo jak Anioł,
> Noszę jej bransoletkę

I inne ozdoby
Wraz z moimi szatami

Michael Roach, fragment z *Letter to My Lamas* [List do moich lamów]

8

Zręczne środki

Miejsce odosobnienia ma być święte; to miejsce, gdzie można całkowicie porzucić świat zewnętrzny i wkroczyć w zupełnie nowe boskie królestwo.

lama Christie McNally, kwiecień 2012

Mongolskie jurty sterczały na arizońskiej pustyni niczym starożytne obozowisko albo marsjańska kolonia. Słońce prażyło rozpaloną równinę między łańcuchami gór Chiricahua i Dragoon, a gorące powietrze unosiło kłębiące się chmury pyłu. Płótno szarych kopuł łopotało na nieustannym wietrze, ale wystarczająco chroniło ich mieszkańców przed brutalnością pustyni. Na horyzoncie rysowały się dwa skaliste łańcuchy górskie, jednak były odległe – Uniwersytet Diamond Mountain miał górę jedynie w nazwie. W najbliższej okolicy rozciągała się płaska równina.

O zmierzchu i o świcie podobne do dzików pekari krążyły w pobliżu wyschniętych koryt strumieni i ryły wśród krzewów; ich wrażliwe ryje są w stanie wykryć wszystko, co nadaje się do jedzenia, w zasięgu setek metrów. Te wyposażone w ostre kły zwierzęta bardzo szybko odkryły stosy śmieci, które duchowi pionierzy zostawiali niezabezpieczone.

Z boku wzdłuż wyboistej drogi ciągnęły się pastwiska dla krów. Mormońscy ranczerzy niekiedy przepędzali zbłąkane bydło przez ogrodzenie z drutu kolczastego mimo ostrzeżenia, że na teren obozu zabrania się wstępu obcym. Zakaz wstępu na teren pierwszego uniwersytetu Michaela Roacha może byłby traktowany z większym respektem, gdyby ranczerzy pamiętali, że ich przodkowie, prześladowani z powodów religijnych, właśnie w tych okolicach znaleźli schronienie.

Ten mało znany epizod amerykańskiej historii dotyczy niewielkiej grupy mormońskich uchodźców, ich ucieczki z Missouri i założenia w 1846 roku pobliskiego miasteczka St. David. W owym czasie Stany Zjednoczone szukały spójnej tożsamości duchowej i radykalne grupy religijne łatwo wzbudzały poczucie zagrożenia.

Dokądkolwiek wyruszyli po tym, jak prorok Joseph Smith znalazł święte złote tablice, które przekazał mu anioł Moroni w Palmyrze w stanie Nowy Jork, mormoni napotykali opór ze strony miejscowych. Kiedy osiedlili się w Missouri, gubernator zebrał zbrojną milicję, by usunąć świętych w dniach ostatnich ze stanu. Zagroził, że ci, którzy zostaną, zginą. Jeden z wysokich kapłanów, David Patten, próbował stawić opór i walczyć, zamiast uciekać przed niesprawiedliwą przemocą. Patten twierdził, że jest w stanie uleczyć chorych i umierających. W pełnych pasji kazaniach opowiadał o swych osobistych spotkaniach z Kainem, upadłym synem Adama, który według niego został na ziemi, by niszczyć ludzkie dusze. Mówił też, że przemawia do niego sam Bóg, i wierzył, że zbliżające się zbrojne oddziały to tylko awangarda demonicznych sił kierowanych przez skorumpowane władze. Na czele niewielkiej grupy mormonów uzbrojonej w muszkiety i strzelby ruszył naprzeciw ludziom gubernatora i walczył z nimi w potyczce znanej jako bitwa nad Crooked River.

Mormoni spotkali się z miażdżącą przewagą wroga. Zaraz na początku potyczki Patten został postrzelony w jelita. Umarł w męce kilka godzin później – wraz z nim w mormonach umarła wola oporu. Ci, którzy przetrwali, uciekli na granicę z Arizoną w nadziei, że tam będą mogli swobodnie praktykować swoją religię. Założone przez siebie miasto nazwali St. David na cześć Pattena.

Roach, podobnie jak Patten, wierzył, że ma bezpośredni kontakt z boskością. Dążenie do duchowych wglądów było dla niego istotniejsze niż jakiekolwiek konwencje społeczne, było czymś, co mogło wykraczać poza samo życie. Czy to naprawdę takie dziwne, że potrzebował samotności, by otrzymać boskie przesłanie?

Jezus pościł na pustyni przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, zanim usłyszał głos Boga. Tak samo Mahomet. Najstarsze azjatyckie pisma wspominają o joginach, którzy latami mieszkali w jaskiniach, kontemplując nirwanę. Część chrześcijańskich zakonników i członkowie niektórych żydowskich wspólnot religijnych składają śluby milczenia. Tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy tybetańskich mnichów robią to samo. Wielkie Odosobnienie w St. David jawiło się jako coś szczególnego, choćby tylko z tego powodu, że była to pierwsza buddyjska medytacja tego rodzaju na amerykańskiej ziemi. Roach przygotowywał się do niej, od kiedy w 1995 roku zaczął nauczać tantry kilkoro wybranych uczniów.

Jako dwudziestolatek miał wizję, że jest o krok od oświecenia, i chciał je osiągnąć tak szybko, jak to możliwe. Przez całe życie widział, jak sam mówił, anioły pod postacią otaczających go ludzi. W ich tajemnym celu objawiała się ukryta maszyneria wszechświata. Wszystkim wątpiącym przypominał o swoim sukcesie w branży diamentowej jako dowodzie na skuteczność swojej metody. Karma wyjaśniała jego zdolność do zdobywania doczesnych bogactw. Wśród wyznawców rosło napięcie. Jeśli Roach będzie w stanie przeobrazić się w bodhisattwę, potem może pomóc im przejść tę samą drogę. Jednak spośród tysięcy jego uczniów tylko tym najbardziej odpowiednim pozwolono towarzyszyć w jego podróży. Były to same kobiety. Wszystkie atrakcyjne. Wyłącznie mające od dwudziestu do trzydziestu lat.

Uczestnicy odosobnienia postrzegali samych siebie trochę jak wielkich eksploratorów i odkrywców. Neil Armstrong jako pierwszy postawił stopę na Księżycu, Krzysztof Kolumb dotarł do Nowego Świata, a tych pięcioro miało wybrać się do odległych zakątków własnej psychiki. Najbliżsi im ludzie mogli być w pobliżu, mogli się nimi opiekować, przygotowywać jedzenie albo pisać do nich listy, ale nie wolno im było wejść do środka, żeby zobaczyć, co robi Roach i inni uczestnicy. Sympatię można było okazywać tylko na odległość. Dla Christie McNally udział w takim odosobnieniu był trochę jak przygotowania do śmierci. Próbowała to wytłumaczyć swoim

rodzicom, ale nie byli w stanie jej zrozumieć, jednak, jak powiedziała, popychało ją do tego nieprzeparte pragnienie i poczucie, że uczestniczy w czymś przełomowym.

Była to wiara, którą inni ludzie mogli popierać, a nawet poświęcić jej swoje życie. Amber Moore była jeszcze nastolatką, gdy zgodziła się wziąć na siebie rolę głównego opiekuna uczestników odosobnienia. W przeciwieństwie do większości ludzi w Diamond Mountain zaangażowanych w buddyzm na późniejszym etapie życia została wychowana w tej tradycji przez matkę, która złożyła śluby mniszki, kiedy Moore była jeszcze dzieckiem. Mimo swojego młodego wieku Moore, zanim przyjechała do Diamond Mountain, zdążyła poświęcić na poznawanie buddyjskich idei niemal tyle samo czasu co Michael Roach. Podczas gdy Roach podążał za tradycją Dalajlamy, czyli szkoły gelug[21], matka Moore należała do karma kagju, nurtu buddyzmu tybetańskiego kładącego nacisk na doświadczenia mistyczne. Była na tyle blisko związana z Ianem Thorsonem, że pisali do siebie listy nawet podczas jego zmagań w okresie interwencji.

Przed rozpoczęciem odosobnienia Amber spotkała się z Roachem w Nowym Jorku i poprosiła, by celebrował jej śluby celibatu. Na kursach ACI panowała wyraźnie erotyczna atmosfera, ale Moore czuła, że seks za bardzo ją rozprasza.

Ustalili termin ślubowania i umówiła się z Roachem w East Village. Kiedy przyszła, nie było go, więc poszła go poszukać na górze. Gdy weszła po trzeszczących schodach, znalazła Roacha i McNally, którzy czule masowali sobie nawzajem dłonie, patrząc sobie głęboko w oczy.

– Był to spory kontrast w stosunku do tego, co miałam zamiar zrobić – wspominała.

Gawędzili przez kilka minut, po czym Roach i McNally zeszli na dół i byli świadkami jej ślubów złożonych przed posągiem Buddy. Dla Moore to ślubowanie miało szczególne znaczenie, ponieważ przez następne trzy lata miała się zajmować właściwie wyłącznie opieką nad pięciorgiem uczestników odosobnienia w Arizonie.

Gdyby miała chłopaka, zabierałby jej część energii potrzebnej na bieżące zadania. Uważała, że to, co robi Roach, to wyłącznie jego sprawa.

Kilka tygodni później zamieszkała we własnej jurcie na pustynnej równinie porośniętej krzewami. Nie musiała przestrzegać ślubów milczenia tak jak inni uczestnicy odosobnienia, ale przez większość czasu czuła się dużo bardziej osamotniona. Wieczorami gwiazdy świeciły na ciemnym niebie jak miliony klejnotów. Codziennie miała długą listę obowiązków: w sklepie w mieście wybierała zdrowe produkty, potem je siekała i gotowała z nich pożywny posiłek, który mogła podać swoim podopiecznym. Każdego wieczoru padała zmęczona na materac i słuchała wycia kojotów w oddali. Co jakiś czas przy ścianie jurty szeleścił wąż. Kiedy myślała o zadaniach na następny dzień – drobnych naprawach, zakupach albo spełnieniu szczególnych życzeń dotyczących instrumentów rytualnych – czasem nagle zaczynała się zastanawiać, co by było, gdyby grzechotnik zatopił zęby w jej ciele. Wyobrażała sobie, że ma się wtedy uczucie, jakby człowieka przeszył rozpalony nóż.

– Próbowałam je łapać w środku nocy – opowiadała.

Węże są zimnokrwiste i dużo mniej chętnie gryzą po zmierzchu. Moore przywiązała sobie do cholew butów i do ramion metalowe paski służące do wzmacniania dachu, by ochronić się przed zębami węży, i tak uzbrojona próbowała je łapać pod małą platformą, na której stała jurta, sięgając tam zagiętym patykiem. Kij uderzał o murowane fundamenty, ale nigdy nie zaczepił o węża. Węże czekały przyczajone. Musiała albo się z nimi pogodzić, albo sprowadzić fachowca, żeby je wyłapał.

Gdy jej łowy nie odnosiły skutków, stawała w swoim prowizorycznym rynsztunku, wpatrywała się w niebo i oddychała głę- boko. W oddali słyszała ciężarówki sunące autostradą i głośną muzykę country.

– Świetnie się wtedy czułam – wspominała.

Do jej obowiązków należało dostarczanie jedzenia do każdej jurty. Obozowisko znajdowało się ponad kilometr dalej. Tak samo jak

każda inna osoba pod władzą Roacha Moore musiała przestrzegać mnóstwa różnych zasad. Nie wolno jej było odzywać się do żadnego z uczestników, mogli tylko wymieniać listy. Musiała unikać kontaktu wzrokowego i zakłócania ich medytacji wrażeniami ze świata zewnętrznego, więc zanosiła zapasy do pięciu jurt tak cicho, jak to tylko możliwe. Podczas pierwszej wizyty zorientowała się, że w jednej z jurt nikogo nie ma. McNally mieszkała z Roachem. Po tym, czego była świadkiem przy okazji swojej ceremonii ślubów, nie zaskoczyło jej to, ale też wiedziała, że plany były inne.

Życie ludzi, którymi się opiekowała, szybko weszło w ustalony rytm. Dzień zaczynał się od porannej medytacji i jogi, potem było lekkie śniadanie. McNally i Roach jedli płatki z jednej miski. Po południu znów medytowali, a potem, gdy zapadał wieczór, McNally tłumaczyła teksty z archiwum ACIP. Roach zaczął pracować nad swoją kolejną książką. Teksty, z których czerpali, mówiły o brutalnych i mściwych bóstwach. Ich gniew miał pomóc medytującym pokonać ignorancję i przeszkody, by osiągnąć oświecenie. Zgłębiali to, w jaki sposób okiełznanie energii seksualnej może wzbogacić ich stany medytacyjne. Mieli nadzieję przejąć cechy swoich boskich opiekunów, by móc postrzegać ludzi wokół siebie jako anioły. Moore, która dorastała w innej tradycji buddyjskiej, odnosiła się sceptycznie do tych działań.

Niemal dziesięć lat po tamtym odosobnieniu powiedziała:

– Większość lamów nie ma w sobie tyle pychy, żeby przeczytać jedną księgę i uznać: „Tak, już jestem gotów, by zacząć to robić, nie potrzeba mi żadnych dodatkowych nauk”. To znaczy nikt nie zrobiłby czegoś takiego. Nikt, kogo znam, poza gesze Michaelem. Choć każdy może przeczytać te księgi, nikomu nie przyszłoby do głowy, że naprawdę może działać bez specjalnego pozwolenia czy szkolenia.

Począwszy od 1995 roku ACIP zdigitalizowało dziesiątki tysięcy tybetańskich tekstów; wystarczyło kliknąć, by mieć dostęp do zebranej wiedzy tysięcy mistrzów. Oznaczało to, że uczestnicy medytacji w Arizonie mogą korzystać z jednej z największych na

świecie baz ezoterycznej wiedzy duchowej. Do wielu ze znajdujących się w niej ksiąg nikt nie zaglądał od setek lat.

Wcześniej przez dziesiątki lat teksty były trudno dostępne, a ludzie praktykujący buddyzm musieli słono zapłacić za wszelką wiedzę, dzięki której zyskaliby kontakt z mistrzami z przeszłości. W średniowieczu bywało, że mnich latami wędrował przez Himalaje, by odnaleźć jeden tekst, nad którym chciał medytować. Cyfrowa rewolucja, która dokonała się za sprawą Roacha, zmieniała relację między praktykującymi dharmę a poszukiwaną przez nich wyrafinowaną wiedzą. Było to Oświecenie 2.0, a jego duchowy potencjał okazał się ogromny. Roach i McNally czuli, że ta baza daje im przewagę, jakiej nie miał nikt wcześniej. Za jednym kliknięciem mogli otrzymać precyzyjne starożytne wskazówki w odpowiedzi na każde pytanie, jakie mogło się pojawić podczas trzyletnich medytacji.

Mistrzowie duchowi starożytnego Tybetu, którzy jako pierwsi praktykowali odosobnienie trwające tysiąc dni, pozostawili z tych praktyk bardzo nieliczne notatki. Można było znaleźć kolejność pokłonów, wskazówki dotyczące medytacji i recytowania mantr, które miały umożliwić określone rodzaje urzeczywistnień w świadomości medytujących. W buddyzmie tybetańskim objawienia te powinny się pojawiać nie w sposób przypadkowy, ale w określonej kolejności coraz głębszych i bardziej znaczących doświadczeń. W idealnej wersji działa to jak maszyna.

W końcu jednak dyscyplina przestaje mieć znaczenie, zaciera się granica między życiem wewnętrznym a praktykami pobożnego ucznia. Praktykujący po prostu istnieje. Zaczynając od obserwacji, jak powietrze wpływa do płuc i z nich wypływa, uczeń przez lata praktyki zyskuje rozumienie subtelnych energii przepływających przez główny kanał wiatrów i energii. Czas i dyscyplina pomagają pozbyć się ograniczeń wpojonych nam przez tradycję i społeczeństwo. Pozostaje tylko czysta esencja.

Jednym z najbardziej znaczących doświadczeń, których podobno doznają medytujący Tybetańczycy, jest „bezpośrednie postrzeganie pustki". Michael Roach twierdził, że osiągnął właśnie ten etap

oświecenia, kiedy przygotowywał herbatę dla swego mistrza w New Jersey. By to osiągnąć, należy zacząć od skupiania uwagi na jednym punkcie, tak by poczuć pustkę samego umysłu. Doświadczenie tej pustki rozwija się przez lata, aż w końcu osiąga się relatywistyczny stan, w którym wszystkie rzeczy są zasadniczo pozbawione jakiejkolwiek wartości. Dość łatwo to pojąć na poziomie intelektualnym. Filozofowie rozważali ten stan przez tysiące lat. Celem medytującego nie jest jednak wgląd intelektualny, tylko doświadczenie. Przepaść między poznaniem pustki a byciem pustką to rzeka, której większość ludzi nigdy nie przekroczy. Trzyletnie odosobnienie w Arizonie miało stworzyć otoczenie ułatwiające osiągnięcie tego stanu. Laboratorium pustki.

Sens tantrycznych tekstów często jest niejasny i podobnie jak w przypadku ostatecznej rzeczywistości, do której dążą praktykujący medytację, księgi nie wyjaśniają wszystkiego. Wśród buddystów tybetańskich panuje przekonanie, że kiedy uczeń poznaje nowy tekst czy technikę, nie wystarczy po prostu przeczytać słów na stronie, danej metody trzeba się nauczyć od nauczyciela, który doznał już prawdziwych urzeczywistnień. Buddyści opisują to zjawisko przekazywania wiedzy jako bezpośrednią więź między guru a uczniem. Guru sam był kiedyś uczniem innego nauczyciela, a ten rodowód ma sięgać aż do samego Buddy.

By zapewnić autentyczność nauk, każda porcja wiedzy jest przekazywana na trzy odrębne sposoby. Pierwszy to inicjacja, czyli *wang*, która pozwala przyszłemu uczniowi przyjmować nauki na poziomie duchowym w taki sam sposób jak chrzest, który oczyszcza duszę. Drugi sposób to przekaz ustny zwany *lung* – to samo słowo oznacza energię wiatru przepływającą przez ciało subtelne. Ostatni krok to tri, praktyczna znajomość nauk, w tym mantry, i codzienne praktyki, których uczeń musi przestrzegać. Te elementy stanowią zabezpieczenie przed teologicznym zejściem na manowce, co może się stać, jeśli ktoś postanowi nadać duchowym naukom nowy sens dla własnych celów. Kiedy zapytałem znawcę buddyzmu i dziennikarza Mattea Pistona, czy w ogóle można czerpać nauki z tekstu bez

inicjacji, powiedział mi, że jedynym wyjątkiem byłaby sytuacja, kiedy nowicjusz jest już w pełni oświeconą istotą.

– Można to zrobić, jeśli jesteś Wadżrajoginią. W takim przypadku to byłoby jak spojrzeć na swoje świadectwo urodzenia i powiedzieć: „To ja”. Inaczej to szaleństwo.

Innymi słowy, inicjacja uświęca bezpośredni związek z pierwotną boską inspiracją, a nie z potencjalnym szaleństwem ludzkich halucynacji.

Baza ACIP stanowiła archiwum w dużej mierze zapomnianych tekstów – wiele ksiąg nie było czytanych, od kiedy trafiły na zakurzone półki w Mongolii albo Petersburgu. Ogromna większość tantrycznych tekstów w archiwum ACIP to teksty, które nie były przekazywane. Choć to cenny materiał do badań naukowych, dla ucznia jest jak zamek bez klucza. By uzyskać do niego dostęp, konieczna jest łaska sił wyższych.

Boskie objawienie to delikatna sprawa w każdej religii. Bóg, czy jakakolwiek boska prawda, do której docierają wyznawcy, rzadko przemawia jednym głosem. Jednak wielkie religie dążą do stworzenia uniwersalnych edyktów. Zarazem mistycy karmią się indywidualnymi i szczególnymi objawieniami. W swojej książce *Pod sztandarem nieba* Jon Krakauer pisze o tym, że Kościół mormonów zmagał się z kwestią objawień od samego początku, po tym, jak prorok Joseph Smith zachęcił wyznawców, by czerpali wskazówki bezpośrednio od Boga. W ciągu kilku lat ta doktryna obróciła się przeciwko niemu. „Skoro Bóg mówi do każdego mormona, któż rozsądzi, czy objawienia najwyższego proroka są ważniejsze i prawdziwsze od innych? Prorok mógł łatwo stracić kontrolę nad wiernymi”[22], pisze Krakauer. Problem objawień przyczynił się do ponad dwustuletniego rozłamu w Kościele Świętych w Dniach Ostatnich. Z podobnych powodów doszło do reformacji oraz do powstania niezliczonych odłamów współczesnego chrześcijaństwa.

Przekaz ustny przyczynia się do spójności buddyzmu. Uważa się, że nieprzerwany łańcuch łączący kolejnych uczniów i nauczycieli ze słowami samego Buddy pozwala przekazywać nienaruszone jądro

prawdy. Mistrz może obserwować ucznia podczas mistycznych doświadczeń i pohamować go, jeśli zapędzi się za daleko.

Podczas Wielkiego Odosobnienia Roach miał dostęp do archiwum zapomnianej wiedzy, z którą nie mógł czuć się związany żaden inny wyznawca buddyzmu tybetańskiego. Uznał się za jej zarządcę i szafarza. Mógł albo pozostawić teksty jako uczone relikty utraconej mądrości, albo próbować wydobyć z nich tę mądrość dzięki własnej medytacji.

Jeśli więc czegoś nie rozumiał, starał się domyślić sensu na podstawie zebranej przez lata wiedzy. Rytm praktyk w ośrodku stworzył, czerpiąc obficie ze starych metod, a luki uzupełnił boską inspiracją i tym, co wynikało z medytacji uczestników. Ktoś z zewnątrz mógłby stwierdzić, że wszystko wymyślali na bieżąco. Roach uważał inaczej. Był przekonany, że prowadzą go anioły.

Ten pobyt na pustyni był dla niego sposobem, by połączyć duchowy świat medytacji ze zwyczajnym światem, w którym żył. Codziennie przywoływał w wyobraźni wizję Wadżrajogini i medytował nad zjednoczeniem z boginią. Czasem próbował ujrzeć siebie jako boginię, innym razem łączył się z nią w erotycznym uścisku. Granica między jego wizjami a zwykłym światem zniknęła, kiedy zdał sobie sprawę, że Christie McNally jest boginią. I to nie jakąś tam boginią, ale ziemską emanacją samej Wadżrajogini.

Ten przełomowy moment oznaczał, że zamiast uprawiać seks z boginią w wyobraźni, może robić to w rzeczywistości. Chociaż on nigdy nie nazywał tego seksem, Moore trudno było znaleźć inne określenie.

Roach i McNally przenieśli intensywność praktyki do swojego związku. Każda chwila była szansą, by stopić dwa umysły w jedno. Była to także szansa, by zjednoczyć ciała. Całymi godzinami wzmagali w sobie energię seksualną, najprawdopodobniej podczas pełnych potu praktyk, które nie kończyły się spełnieniem.

Chociaż nie możemy się dowiedzieć, co dokładnie Roach i McNally robili w zaciszu swojej jurty, wystarczy przejrzeć literaturę przedmiotu oraz wywiady z ludźmi praktykującymi jogę tantryczną,

by odtworzyć przynajmniej ogólne zarysy. Zgodnie z logiką tantry moment poczęcia wymaga zarówno fizycznego połączenia plemnika i jajeczka, jak i energetycznego zjednoczenia dwóch ciał subtelnych, do czego dochodzi podczas orgazmu. Te energie są tak potężne, że ich eksplozja daje początek zarodkowi[23]. Jeśli skieruje się ją na coś innego niż zapłodnienie, można ją wykorzystać do różnych celów. Kiedy dwoje ludzi biegłych w medytacji i jodze połączy swoje energie, zamiast wyzwolić tę siłę w momencie wytrysku – mającego związek z czakrą korzenia kontrolującą organy płciowe – może przekierować wewnętrzne wiatry, by doświadczyć momentu spełnienia przez czakrę korony na czubku głowy. W czasie stosunku praktykujący wizualizują sobie ostateczny cel. Tym celem może być zdobycie majątku, znalezienie miłości, jakiś twórczy projekt lub cokolwiek innego. Gdy energia tryska z ich czakr korony, nadaje projekcjom mentalnym te same twórcze siły, jakie dają początek nowemu życiu. Jeśli praktyka będzie skuteczna, zasiewa karmiczne ziarno, dzięki któremu życzenia się spełnią.

Codzienna praktyka medytacyjna Roacha i McNally obejmowała intensywne wizualizacje rozmaitych bóstw, ale najważniejsza była w nich bogini Wadżrajogini. Najprawdopodobniej wizualizowali ją sobie nad swoimi głowami, wypełniając jej kształt własną kosmiczną mocą twórczą. Ich celem było jednak coś wznioślejszego niż bogactwo. Chcieli, by bogini dała im transcendencję. Był to pełen potu i trudu duchowy proces. I z zewnątrz mniej więcej tak seksowny jak wizja łysiejącego faceta po pięćdziesiątce, który próbuje powstrzymać wytrysk podczas stosunku z dwudziestolatką.

Aby wzmocnić to doświadczenie, Roach zapożyczył symbole, które nosi bogini na thankach, i uczynił z nich część swojej tożsamości w świecie rzeczywistym. By przejąć kobiecą energię bogini, zaczął się ubierać w damskie stroje. Przestał strzyc włosy, nosił bransoletki i diamentowy kolczyk, który podkreślał jego kobiecość.

Powoli zaczęły się rozchodzić wieści o tym, że w ośrodku medytacyjnym dzieją się dziwne rzeczy. Chociaż Moore była jedyną

osobą mieszkającą na jego terenie na stałe, wpadali też inni ludzie, którzy pragnęli służyć swojemu lamie, wykonując drobne naprawy, pomagając w kuchni i mieszkając w pobliżu. Choć wiedzieli, że nie zobaczą medytujących na własne oczy, przybywali z całego świata, by ich wspierać i w ich obecności gromadzić karmiczne zasługi. Jeśli w trakcie wykonywania obowiązków dowiedzieli się o swoim lamie czegoś, co nie pasowało do ich wyobrażenia o całkowitym odosobnieniu, większość miała na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie rozsiewać plotek. Później jedna z osób, które rozważały złożenie ślubów przed Roachem, napisała anonimową notkę i umieściła ją w internecie: „Jeśli zbłądziłem myślą, że to niestosowne w przypadku mnicha i z pewnością bardziej stosowne dla dwudziestoośmiolatka, szybko zapiszę to w swoim notesie ślubowań jako naruszenie mojego czystego oglądu". Anonimowy autor tej notki pokazywał, jak między uczestnikami odosobnienia zaczęły powstawać rozłamy.

W samym ośrodku też dochodziło do rozdźwięków. Susan Howler miała długie czarne włosy i senne oczy. Wszyscy wiedzieli, że jest całkowicie oddana swojemu lamie. Było więc szokiem dla całej wspólnoty, kiedy opuściła ośrodek i odeszła, nie oglądając się za siebie. Przebywała tam przez półtora roku, a według oficjalnej informacji została odesłana ze specjalną misją. Nie chciała zdradzić, co się wydarzyło, ale ludzie, którzy byli z nią bliżej, pamiętają, że czuła się zdradzona przez Roacha, a swój gniew skierowała przede wszystkim na nauczyciela. W 2006 roku bloger na stronie Geshe Watch, jednej z wielu stron prowadzonych przez byłych uczniów Roacha, napisał, że Howler i inna uczestniczka medytacji w Arizonie powiedziały mu, że „[...] gesze Michael Roach, wyświęcony na mnicha, uprawiał seks z co najmniej czterema swoimi uczennicami zarówno przed odosobnieniem, jak i w jego trakcie. Obie twierdzą, że był to raczej zwyczajny seks, a nie żadna forma świętego obcowania, i że obejmował oglądanie pornografii, seks oralny i grupowy"[24].

Gdyby te zarzuty zostały potwierdzone, groziłoby to bezpośrednią konfrontacją Roacha z hierarchią gelugpów. Co pomyśleliby jego nauczyciele o prawdziwej orgii odbywającej się pod jego nadzorem?

Roach również miał poczucie, że traci grunt pod nogami, więc chciał zyskać wsparcie ze strony społeczności tybetańskiej. Niedługo przed świętami w 2003 roku wysłał list do kancelarii Dalajlamy w Indiach, a także do wielu innych wpływowych nauczycieli. Opublikował go również w internecie. Patrząc z perspektywy, list ten do tego stopnia nie uwzględniał ogólnej sytuacji, że nie ma wątpliwości, iż był pisany całkowicie szczerze.

W liście Roach prosił Dalajlamę, by napisał notkę okładkową do książki, nad którą pracował podczas pobytu w jurcie. Ujawnił także nieprawidłowości w swojej praktyce, mając nadzieję, że przywódca duchowy buddyzmu tybetańskiego zaakceptuje jego nieortodoksyjne działania. Twierdził, że uchwycił bezpośrednio naturę pustki i że pomogła mu w tym Christie McNally. Nazywał ją Diamentową Królową. Przyznał też, że zaczął się ubierać jak bogini, i domagał się, by doceniono jego osiągnięcia.

Dalajlama odmówił odpowiedzi, nie zgodził się także na wykorzystywanie swoich słów w materiałach reklamujących książki Roacha. Zamiast tego pismo krążyło w internecie i na listach oficjalnych komunikatów Dalajlamy. Jednak lama Zopa Rinpocze, założyciel FPMT, skomentował pismo Roacha. W otwartym liście zapytał, czy Roach był zdezorientowany tym, czego się dowiedział podczas odosobnienia. Może mnich w Arizonie uległ złudzeniom, zamiast osiągnąć wyższy stan świadomości. By to stwierdzić, zaproponował prosty test. Roach mógłby pokazać, na co go stać, demonstrując swoje zdolności przed publicznością, a biorąc pod uwagę podteksty seksualne, najlepiej za pomocą penisa. Ze względu na przyzwoitość Zopa zamiast angielskiego słowa *„cock”*, „kutas”, użył tybetańskiego słowa „wadżra” oznaczającego dosłownie „piorun”.

> Jeśli ktoś takim postępowaniem chce wzbudzić oddanie innych, potrzebny jest nie tylko zwykły cud. Trzeba dokonać szczególnego rodzaju cudu. Na przykład Szósty Dalajlama sikał ze szczytu Potali i tuż przed tym, zanim mocz uderzył w ziemię, wciągał go z powrotem do swej wadżry. Istnieje także historia o poprzednim wcieleniu Gonsara Rinpoczego, który wciągał

błoto swoją wadżrą. To tylko moja propozycja; nie wiem, co doradzą inni lamowie i guru.

Z wyrazami miłości i modlitwą Lama Zopa

To, czy Roach nadal kierował się starożytnymi naukami, czy po prostu improwizował własną ścieżkę duchowego rozwoju, to już problem czysto akademicki, ale transformacja miałaby wpływ na jego wyznawców. Mniej więcej co pół roku od czasu rozpoczęcia medytacji Roach i inni uczestnicy przerywali milczenie, by publicznie opowiedzieć o swoich doświadczeniach.

Podczas nieobecności Roacha wiele bieżących decyzji w Diamond Mountain podejmował specjalnie wyznaczony zarząd. Członkowie zarządu i sponsorzy byli ludźmi lojalnymi wobec Roacha i zgadzali się na odpowiedzialność, jaka wiązała się z tym, że ich nazwiska widniały w oficjalnych dokumentach związanych z organizacją. Nic dziwnego, że Diamond Mountain była pod pewnymi względami zorganizowana jak korporacja.

Pierwsza przeznaczona dla masowego odbiorcy książka Roacha *Diamentowe ostrze. Buddyjskie recepty na osiągnięcie sukcesu w biznesie i w życiu osobistym* stała się bestsellerem w ciągu pierwszych miesięcy od rozpoczęcia Wielkiego Odosobnienia. Tysiące ludzi na całym świecie pragnęło się uczyć od mnicha, który zrobił majątek na handlu diamentami. By chronić uczestników medytacji przed bodźcami z zewnątrz, zarząd, który nadzorował funkcjonowanie Diamond Mountain od strony administracyjnej, zorganizował spotkania dotyczące medytacji w sali podzielonej pośrodku wielką kurtyną. Uczestnicy odosobnienia usiedli po jednej stronie, zwykli słuchacze po drugiej. Susan Howler odmówiła udziału w tych wykładach, co członkowie zarządu uzasadnili tym, że wyjechała w pilnych sprawach duchowych. Kiedy przychodziła ich kolej, by przemówić na scenie, uczestnicy medytacji zakładali opaski na oczy, aby nie skazić swych umysłów bodźcami ze świata zewnętrznego. Tysiące ludzi oglądało ich na żywo w internecie, a kolejne tysiące ściągnęły sobie zapis spotkania. By potwierdzić osiągnięcia będące owocem trzech lat spędzonych w milczeniu,

Roach nadał tytuł lamy wszystkim kobietom, które uczestniczyły w tym przedsięwzięciu. McNally jako jedyna z nich zaczęła oficjalnie dodawać ten tytuł przed swoim nazwiskiem.

Ostatniego dnia, podczas wykładu kończącego spotkanie, lama Christie McNally weszła na scenę niczym anioł – jakim przedstawiał ją Roach. Miała na sobie śnieżnobiałe szaty, szal na szyi i wydawało się, że unosi się nad ziemią. Jej oczy przesłaniała złota opaska. Zaczęła wykład od krótkiej medytacji, a zelektryzowana publiczność czekała na jej objawienia.

Powiedziała, że zanim rozpoczęła medytacje, chciała znaleźć oświecenie. Chciała ocalić świat. Medytacje w odosobnieniu pozwoliły jej na głęboki rozwój i były długie chwile, kiedy udawało jej się osiągnąć ulotny cel, jakim jest skupienie na jednym punkcie. Pustka stała się niemal namacalna, otaczały ją anioły. Ale mimo tego wszystkiego najważniejsze, czego się nauczyła, było to, że jej lama miał moc. Zaczęła opowiadać historię – hipotetyczną, jak powiedziała, ale podejrzanie przypominającą obrazek z jej prywatnego związku z Roachem.

Poprosiła, by słuchający wyobrazili sobie, że ona i Roach siedzą przy ogniu pod gwiazdami, a w oddali grają pustynne świerszcze. W tym idyllicznym otoczeniu Roach poleca, by poddała próbie swoją wiarę. „Mój uczeń byłby w stanie włożyć rękę prosto w ogień”, powiedział. Christie ufała Roachowi, ale płomienie ją przerażały. Rozum mówił, że spaliłyby jej skórę, która zaczęłaby odpadać płatami, a ona cierpiałaby wielki ból. Odtworzyła rozmowę, jaką odbyła wtedy w myślach z samą sobą:

> Dlaczego miałoby to być coś dobrego? Posłuchać swojego lamy i włożyć rękę w ogień? Cóż, on jest doskonale nieomylną istotą, która darzy mnie taką miłością, że nawet nie jestem w stanie jej pojąć. Pragnie tylko, bym w tym życiu dostąpiła oświecenia. Pragnie jedynie, bym ujrzała pustkę na własne oczy.
>
> Więc przywołujesz swoją wiarę i wkładasz rękę w ogień. I co dziwne, twoja ręka się nie pali. Nie pali się. Siedzisz tam z ręką w ogniu, pośrodku płomieni, które się jej nie imają. Więc to jest praktyczna lekcja na temat pustki, prawda? To jest pustka zdolności ognia, by cię oparzyć. To jest

> pustka zdolności twojej ręki, by poczuć płomienie. To pustka twojej świadomości, że te dwie rzeczy się zetknęły. Ale to także cud – cud, który sprawiła twoja wiara. To wszystko. Dziękuję.
>
> lama Christie McNally, 20 kwietnia 2003 roku

Kiedy zeszła ze sceny i wciąż z opaską na oczach wróciła do oddzielonej kurtyną części namiotu, wśród publiczności słychać było szmer zdumienia, jaki wzbudziła ta relacja o cudzie. Czy odosobnienie było sukcesem? Czy Roachowi udało się to, co zamierzał? I McNally również?

By się tego dowiedzieć, buddyjski mnich T. Monkyi, nienależący do społeczności Diamond Mountain, przyjechał na wykłady na temat odosobnienia, aby przeprowadzić wywiad z Roachem i McNally. Czytał listy i sądził, że będzie mógł opublikować wywiad w magazynie poświęconym buddyzmowi. O ile wiem, artykuł nigdy się nie ukazał. Jednak liczący dwadzieścia pięć stron zapis wywiadu krążył w sieci. Zawiera on najbardziej przejrzystą relację, jaką Roach i McNally zdali po zakończeniu Wielkiego Odosobnienia. Był to prawdopodobnie ostatni nieocenzurowany wywiad, jakiego Roach udzielił prasie.

O samym mnichu wiadomo niewiele, ale jak można sądzić z zapisu wywiadu, był co najmniej równie dobrze zaznajomiony z teologią buddyzmu tybetańskiego, jak Roach. Rewelacje obojga przyjmował sceptycznie i pytał ich o zerwanie z tradycją.

Roach wyjaśnił, że łatwo byłoby się wdać w nieobyczajne szczegóły tantrycznego seksu i pominąć ważniejszą sprawę. Ostatecznie ta strona ich związku była raczej jak „uprawianie jogi przez cztery czy pięć godzin dziennie; to nie zabawa. I to nie żart. To radykalna próba stania się istotą, która przed śmiercią może służyć wszystkim żywym stworzeniom”.

Roach tłumaczył mnichowi, że przez całe życie błagał Wadżrajo ginię, by mu się ukazała. Chciał ujrzeć ją na własne oczy. Dotknąć jej. Od kiedy jako dwudziestolatek po raz pierwszy doświadczył pustki, skupił się na pragnieniu spotkania z boginią. Teraz, kiedy miał ją w swych ramionach, nie zamierzał wypuścić jej z objęć niezależnie

od tego, co myślą na ten temat buddyjscy hierarchowie na drugim końcu świata.

Dalej mówił tak:

> Przyznam szczerze, że ważniejsze jest dla mnie, by robić to, co wskazuje mi boska istota, niż martwić się o to, co inni mogą o tym pomyśleć. Gdyby wielu ludzi uważało, że jestem złym człowiekiem czy złym mnichem, czy nawet kimś zepsutym, byłoby to dla mnie mniej ważne niż czynienie tego, czego, jak czuję, pragnie ode mnie boska istota, nawet jeśli ktoś mógłby pomyśleć, że oszalałem. Nigdy w to nie wątpiłem. Myślę, że ważniejsze jest dla mnie osiągnięcie oświecenia i kierowanie się tym, co uważam za bezpośrednie boskie wskazówki, niż to, że będą mnie uznawać za złego człowieka.

Wielkie Odosobnienie zerwało hierarchiczną relację między Roachem a tybetańskimi duchownymi. Teraz kierowały nim anioły, więc już nie miał potrzeby zwracać się do Dalajlamy. Z lamą Christie u boku obiecał, że razem tchną nowe życie w buddyzm tybetański. Stworzą wiarę, która skruszy skorupę anachronicznej tybetańskiej tradycji i nada interpretacjom buddyjskich nauk nowy sens, przemawiający do współczesnej Ameryki.

CZĘŚĆ II

Święte miejsca

Budda i przewoźnik

Wody świętej rzeki Ganges biorą swój początek wysoko w Himalajach, gdzie śnieg gromadzi się w skalnych szczelinach prastarych gór. Gdy nadchodzi lato, śnieg topnieje i potężne strumienie wody spływają na równiny, rozpoczynając podróż, która nieuchronnie kończy się w morzu. Podczas roztopów przeszkodą dla wędrowców staje się sieć dopływów i strumieni płynących przez cały ten obszar. W czasach przed industrializacją oznaczało to niezły zarobek dla przewoźników. Dzięki kilku kłodom drewna i mocnej linie przeciągniętej nad trudnym do przebycia strumieniem człowiek taki zarabiał na utrzymanie, przewożąc podróżnych z jednego brzegu na drugi. Taka przeprawa mogła zająć sporo czasu w zależności od tego, jak wezbrany był strumień i jak stary i spracowany przewoźnik. Nierzadko więc po obu stronach rzeki spore gromadki ludzi czekały na swoją kolej.

Pewnego dnia, gdy Budda szedł wzdłuż jednego z takich wezbranych dopływów, natknął się na przeprawę promową i tłum czekających na łódź. Przewoźnik właśnie płynął na drugi brzeg. Budda usiadł więc i czekał. Po chwili dostrzegł siedzącego w pobliżu żylastego, starego ascetę o długich zmierzwionych włosach. Ryszi *był pokryty popiołem, na jego szyi wisiały długie sznury świętych koralików. Miał na sobie tylko przepaskę biodrową, a jego oczy płonęły wewnętrznym ogniem.*

Gdy ich spojrzenia się spotkały, ryszi *oświadczył, że jest wyznawcą wielkiego pana Siwy i przez ćwierć wieku praktykował umartwianie na jego cześć. Sypiał pod gołym niebem, wystawiony na wiatr i deszcz, i okrywał się popiołem zebranym ze stosów pogrzebowych. Codziennie odmawiał sobie przyjemności życia, by móc otrzymać boską nagrodę od swego pana. Budda zaciekawił się i zapytał, co* ryszi *otrzymał jak dotąd.*

Ten uśmiechnął się dumnie.

– Spójrz! – powiedział.

Zerwał się na nogi i podbiegł do wezbranej rzeki. Rzucił się do wody, ale zamiast zanurzyć się w jej nurcie, stąpał po jej powierzchni jak po twardej ziemi. Starzec przeszedł przez rzekę, a jego stopy nie wydały nawet plusku. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, spojrzał na Buddę i zachichotał. Budda nie mógł dokazać takiej sztuki.

Siedział więc na swoim brzegu, a jego spojrzenie było spokojne jak jezioro o poranku. Po jakimś czasie przewoźnik wrócił. Budda dał mu monetę, a stary człowiek przewiózł go na drugi brzeg. Ryszi *wciąż uśmiechał się szeroko, pewny, że Budda skłoni się przed nim i uzna Siwę za najpotężniejszego boga ze wszystkich. Ale Budda spojrzał na niego ze współczuciem.*

– Tyle czasu na marne! – stwierdził. – Po dwudziestu pięciu latach poświęceń zostałeś obdarzony mocą chodzenia po wodzie, ale po co? Mnie wystarczył pieniążek.

9

Święte miejsca

> Mądrość tkwi w miejscach. Jest jak woda, która nigdy nie wysycha. Człowiek musi pić wodę, żeby żyć, prawda? Trzeba też pić z właściwych miejsc. Trzeba pamiętać wszystko na ich temat. Trzeba poznać ich nazwy. Trzeba pamiętać, co się w tych miejscach działo dawno temu. Trzeba o tym stale myśleć. Wtedy twój umysł będzie się stawał coraz gładszy. Wtedy będziesz mógł dostrzec zagrożenie, zanim się pojawi.
>
> Dudley Patterson, jeździec plemienia Apaczów Chiricahua

> Apache Pass to najgorsze miejsce ze wszystkich. Zamordowano tam pięciu Indian, w tym mojego brata. Ich ciała powieszono i wisiały tak, aż zostały z nich tylko szkielety.
>
> Cochise, wódz Apaczów Chiricahua

Mormoński ranczer, właściciel terenu, na którym Roach i McNally założyli pierwszy Uniwersytet Diamond Mountain, chciał wymówić dzierżawę, bo potrzebował tej ziemi do własnych celów. Kiedy buddyści zakończyli trwające tysiąc dni odosobnienie na pustyni, delikatnie zasugerował, żeby znaleźli sobie inne miejsce. Przez jakiś czas para jeździła więc po świecie, dając wykłady na temat natury miłości i karmy i utrzymując się z datków swoich uczniów. Ale nie odpowiadało im takie życie w drodze.

Pragnęli nie tylko odzyskać to, co utracili, ale także założyć stałą siedzibę. Oboje marzyli o tym, by Diamond Mountain stała się uniwersytetem nie tylko z nazwy. Chcieli mieć kampus z college'em, gdzie wykładano by tantrę, domki do samotnej medytacji i ośrodki nauczania, w których kultywowano by duchowe dziedzictwo Roacha. Budynki byłyby energooszczędne i zaprojektowane tak, by wtapiały się w krajobraz, wykorzystywano by baterie słoneczne i instalacje do zbierania deszczówki. Mógłby to być raj na ziemi. Uniwersytet przetrwałby wieki.

Poszukiwania nowego miejsca zajęły pięć lat. Wreszcie w 2008 roku członkowie zarządu Diamond Mountain sfinalizowali przeniesienie prawa własności do działki położonej w odległości około stu trzydziestu kilometrów na wschód od St. David. Działka przylegała bezpośrednio do fortu Bowie, zrujnowanego garnizonu, który niegdyś stanowił bazę działań militarnych przeciwko Apaczom. Poprzedni właściciel nazwał tę posiadłość Bear Creek Ranch i miała ona pewne oczywiste zalety w porównaniu z pierwszą lokalizacją. Przede wszystkim na terenie działki rzeczywiście znajdowała się góra. Potężne skały osłaniały dolinę, dając jej prywatność, jakiej nie miał tamten otwarty teren. Kiedy buddyści przyjechali na miejsce, w pobliżu biło źródło wystarczające do napojenia stada bydła.

Licząca czterysta hektarów działka kosztowała milion sto tysięcy dolarów, które Roach zgromadził dzięki wykładom i datkom od zamożniejszych zwolenników. Christie McNally była zachwycona, że organizacja będzie rzeczywistym właścicielem działki, zamiast ją tylko dzierżawić. Te pieniądze były inwestycją w przyszły rozwój duchowości buddyjskiej w Ameryce.

Niewielkie wzgórze pomiędzy imponującymi górami dzieliło dolinę na dwa kampusy. U wlotu miały powstać budynki administracyjne będące wizytówką uniwersytetu. Rozpoczęto budowę świątyni, domu dla Roacha oraz wielu jurt i budynków socjalnych. Goście mogli rozbijać namioty po drugiej stronie koryta wyschniętego strumienia, biegnącego równolegle do głównej drogi dojazdowej. Żwirowy parking zapełnił się przyczepami kempingowymi cuchnącymi zwietrzałą kawą i ściekami – tam mieszkał personel pomocniczy. Dzięki pieniądzom i ciężkiej pracy wszystko to miało z czasem wyglądać lepiej.

Wewnętrzną część doliny zaplanowano zupełnie inaczej. Wyznawcy Roacha zaczęli tam budować osobne domki odsunięte od reszty kampusu. Były przeznaczone specjalnie do medytacji i miały jak najlepiej wtapiać się w krajobraz.

Po drugiej stronie oddzielonej doliny wznosi się strome żwirowe zbocze porośnięte kaktusami. Widać na nim jaskinie zostawione

przez poszukiwaczy złóż i szczeliny w skale. Tę górę buddyści nazwali Tara od imienia jednej z tybetańskich bogiń. Na jej szczycie nowi właściciele zawiesili sznur zielonych, żółtych, czerwonych i białych modlitewnych chorągiewek z tybetańskimi inskrypcjami. Tybetańczycy wierzą, że gdy wiatr łopocze tymi świętymi napisami, modlitwy o pokój i oświecenie fruną nad doliną. Ze szczytu widać także maszt w forcie Bowie, dobitne przypomnienie, że pierwsi mieszkańcy osiedlili się tutaj nie dzięki umowom czy transakcjom. Zanim przybyli tu buddyści, by stworzyć drugie wcielenie swojego uniwersytetu, jak sięgnąć pamięcią, ta ziemia zawsze była zdobywana przemocą. W pewnym sensie siły prowadzące do konfliktu mogły być równie stare jak ona.

Dwadzieścia siedem milionów lat temu niewielki stożek zakrzepłej magmy zebrał się w słabym punkcie skorupy ziemskiej i utkwił w ziemi niczym korek zaledwie trzy kilometry na południe od doliny, gdzie teraz mieści się Diamond Mountain. Przez niezliczone stulecia ruchy kontynentów i podziemne rzeki lawy wypychały ów korek, aż w końcu wystrzelił w eksplozji wulkanicznego popiołu i magmy, tysiąc razy silniejszej niż wybuch wulkanu Mount Saint Helens. Gorąca chmura przesłoniła słońce, pozbawiła światła rośliny w odległej Indonezji i Niemczech i na dziesiątki lat rozregulowała pogodę na całej planecie. Być może w tym właśnie momencie powstał krajobraz południowo-wschodniej Arizony.

Kataklizm wymazał wszelkie ślady tego, co było wcześniej. Niegdyś potężny szczyt górski zapadł się w jednej chwili, tworząc krater o średnicy dziewiętnastu kilometrów, w najgłębszym punkcie mający półtora kilometra głębokości. Popiół, który osiadł wokół miejsca erupcji, stworzył marsjański krajobraz. Przez następne eony wiatr, lód i palące słońce powodowały erozję miększych minerałów, pozostawiając tylko skały o nieprawdopodobnych kształtach. Iglice zastygłej magmy zwane *hoodoos*, przypominające starannie ustawione wieżyczki z kamieni, wznoszą się niekiedy na kilkadziesiąt metrów. We wnętrzu krateru tworzą cały las kamiennych filarów.

Rdzenne ludy, które pierwsze osiedliły się w pobliżu wulkanu, odkryły naturalną fortecę. Na bogatych w minerały równinach po obu stronach grzbietu można było uprawiać fasolę i kukurydzę. Gdy groziło im niebezpieczeństwo, prehistoryczni mieszkańcy chronili się w jaskiniach na zboczach i urządzali starannie zaplanowane zasadzki na intruzów, którzy nie znali terenu tak dobrze jak oni. Dla ludzi w Diamond Mountain naturalna osłona, jaką dawały formacje skalne, była zaletą ze względu na ich dążenia do urzeczywistnień. Strome ściany doliny sprawiały, że w ich życie mogli się wtrącać tylko najbardziej zdeterminowani przybysze.

Jedyne źródła, które wypływają na powierzchnię w górach Chiricahua, znajdują się na północ od wygasłego wulkanu w odległości około kilometra od siebie. Jedno, zwane Apache Spring, wypływa na terenie będącym własnością służb parku narodowego, pod fortem Bowie. Drugie, Bear Spring, z trudem wybija w sercu doliny medytacyjnej.

Dzięki wodzie kwitło tutaj wyjątkowo bujne życie jak na tę skalistą okolicę. Dla Apaczów, ludu zasadniczo wędrownego mieszkającego w pospiesznie kleconych kopulastych szałasach zwanych wigwamami, które można szybko zbudować, a potem rozebrać bez pozostawienia śladu, było to miejsce wyjątkowe. Dostęp do świeżej wody hamował ich pragnienie wędrówki. Dolina ze źródłami, którą stale zasiedlali, stanowiła jedno z najświętszych miejsc w ich kosmologii.

Najbardziej znaczącym i wojowniczym spośród pięciu czy sześciu głównych plemion Apaczów było plemię Chiricahua. Apache Spring znajdowało się w samym sercu łańcucha górskiego, gdzie ich przodkowie żyli od niepamiętnych czasów. Pod wodzą straszliwych wojowników, którzy wierzyli, że otrzymali boskie błogosławieństwo, czyli moc, Chiricahua zyskali sobie opinię ludu odpornego na trudy i wytrwale broniącego swej własności. Jak pisał antropolog Morris E. Opler, który większość swego życia poświęcił badaniu Apaczów, owa moc to „[...] potężna siła przenikająca wszechświat. Część z niej dociera do rąk ludzi”.

Niektórym Apaczom ta moc pozwalała leczyć choroby, a także znajdować wodę. Innym dawała siłę w walce. Obdarzeni nią wojownicy mogli wywoływać burze piaskowe, by zdezorientować wrogów i zatrzeć ślady swojej grupy, mogli też sprawić, że broń wrogów się ich nie imała.

Wszyscy Apacze wierzyli w moc, ale dla Chiricahua stanowiła ona esencję życiową. David Roberts, biograf wielu wybitnych wojowników Apaczów, napisał: „Ponieważ niejeden z nich miał jakiś nadnaturalny dar, Indianie z innych szczepów uważali wszystkich Chiricahua za czarowników".

Chociaż duchowość Apaczów i buddyzm tybetański mają różne korzenie, łączą je pewne podobieństwa, o których często wspominali Roach i McNally. Zarówno Apacze, jak i Roach wierzyli, że można rozwijać w sobie nadnaturalne zdolności, obie grupy miały też poczucie świętości niektórych miejsc w krajobrazie. Tybetańczycy wierzą, że dawni mędrcy mogli ukrywać tajemne nauki duchowe, zwane skarbami, gdzieś w otoczeniu – na przykład pisząc słowa Buddy na zboczu góry albo w chmurach, żeby późniejsi prorocy mogli je odkryć podczas medytacji. Jak stwierdził kiedyś antropolog Keith Basso, Apacze mawiają: „Mądrość tkwi w miejscach", mając na myśli to, że według wierzeń Chiricahua ziemia pamięta własną historię, a uważny obserwator może poznać przyszłe zagrożenia, przyglądając się krajobrazowi.

Gdyby ziemia, na której założono Diamond Mountain, miała pamiętać choć jedną datę, byłby to 5 lutego 1861 roku. To wtedy porucznik George Bascom, arogancki oficer Unii, który skończył West Point z przedostatnią lokatą, założył obóz w pobliżu Apache Spring. Przez ostatnie sto lat amerykańscy osadnicy prowadzili brutalną eksterminację i pacyfikację rdzennych ludów. Ta część Arizony dopiero od niedawna stanowiła terytorium amerykańskie, a Bascom chciał, żeby tutejsi Indianie zrozumieli, co znaczy amerykańska władza. Oficjalnie jednak przybył do Apache Spring, żeby porozmawiać z wodzem Chiricahua Cochise'em o zniknięciu chłopca Felixa Warda.

Cochise, dwukrotnie starszy od dwudziestopięcioletniego Bascoma, był muskularny i poruszał się z godnością męża stanu. Z jego uszu zwisały trzy mosiężne obręcze; zawsze był tak poważny, że nawet najbliżsi przyjaciele nie widzieli, żeby się uśmiechał. W geście dobrej woli Cochise przybył do obozu Bascoma wraz z bratem, żoną, dwojgiem dzieci i dwoma siostrzeńcami. Pochodzący z Kentucky oficer poczęstował ich kawą.

Podczas gdy wódz i żołnierz wymieniali uprzejmości, ludzie Bascoma cichcem okrążyli namiot i wycelowali strzelby w wejście.

Bascom, pewny swojej przewagi, oskarżył Cochise’a o porwanie Warda i zażądał, by oddał chłopca – inaczej będzie miał do czynienia z potęgą amerykańskiej armii. Wódz zachował spokój i wyjaśnił, że nic nie wie na temat najazdu na pobliskie ranczo – była to prawda; Ward odnalazł się dziesięć lat później i okazało się, że został wzięty do niewoli przez inne indiańskie plemię. Cochise obiecał, że pomoże porucznikowi odnaleźć zaginionego chłopca, ale deklaracja niewinności nie wystarczyła. Oficer oświadczył, że zatrzyma wodza i jego rodzinę jako zakładników, dopóki chłopiec nie zostanie uwolniony. W razie oporu jego żołnierze będą strzelać.

Cochise nie zastanawiał się ani chwili. Sięgnął po nóż i zerwał się na równe nogi. Jednym szybkim ruchem rozciął płótno namiotu i zanim Bascom zdążył dobyć rewolweru, wyskoczył przez otwór. Ruszył biegiem przez dolinę, uchylając się i klucząc wśród krzaków. Żołnierze posłali za nim pięćdziesiąt kul z pistoletów i strzelb. Kiedy dym opadł, zobaczyli Cochise’a wspinającego się żwawo po zboczu, utykającego tylko lekko na jedną nogę draśniętą pociskiem. Wszystko to stało się tak szybko, że kiedy wódz spojrzał w dół, okazało się, że w dłoni wciąż trzyma filiżankę z kawą.

Wyczyn ten jest zapisany w pamięci plemienia pod nazwą „przeciął namiot”. Osadnicy nazwali go „sprawą Bascoma”. Ta zdrada uruchomiła spiralę odwetu między Apaczami a ranczerami w Arizonie, która pochłonęła ponad tysiąc ofiar. Bascom powiesił brata Cochise’a na drzewie na Apache Pass. Zwłoki pozostawiono tam

jako ostrzeżenie dla wszystkich Apaczów stawiających opór. Ptaki rozdziobywały jego ciało, dopóki się nie rozpadło.

W zemście Cochise przysiągł, że zabije każdego ranczera, jakiego napotka – a skalisty krajobraz sprzyjał jego morderczym zamiarom. Zaczął napadać na rancza i karawany wozów na nowym terytorium, jego ofiary często ginęły zamęczone na śmierć. Rok po wybuchu tego konfliktu dowiedział się, że duży oddział żołnierzy będzie wyjeżdżał z garnizonu w Tucson, by wspomóc siły Unii w toczącej się na wschodzie wojnie secesyjnej. Ponieważ Apache Spring było jedynym źródłem wody w promieniu wielu dni jazdy, Cochise wiedział, że żołnierze będą musieli uzupełnić tam zapasy.

By stawić im czoła, zebrał tak liczne siły Apaczów, jakich nie zgromadzono nigdy wcześniej. Pięciuset wojowników ukryło się za skałami i w naturalnych jaskiniach na zboczu, wzdłuż Apache Pass i w dolinie obecnie należącej do Diamond Mountain. Indianie mogli obserwować powolny przejazd oddziałów dzięki kłębom kurzu, jaki wzbijały ich konie i wozy. Chmura pyłu była widoczna, jeszcze zanim na horyzoncie wyłonili się spragnieni żołnierze, ale Cochise kazał swym ludziom wstrzymać się z atakiem.

Odczekali więc, aż zbliżający się oddział znalazł się pięćset metrów od źródła, i wtedy otworzyli ogień. Od pierwszej salwy padło dwóch ludzi w niebieskich mundurach. Bitwa trwała trzy godziny, obie strony strzelały z ukrycia. Ludzie Cochise’a byli wyżej, wykorzystali też element zaskoczenia, ale wódz nie wiedział, co kryją dziwnie wyglądające wozy, które żołnierze przyciągnęli na linię ognia – Apacze nigdy wcześniej nie widzieli działa. Kiedy dwu nastofuntowe haubice ostrzelały ich pozycje, zginęło co najmniej dziewięciu wojowników. To, co miało być łatwym zwycięstwem, zmieniło się w pogrom. „Kiedy zaczęli strzelać do nas z armaty na Apache Pass, moi ludzie byli pewni, że czeka nas klęska”, powiedział później Cochise. Indianie uciekli, nie zaznawszy smaku zwycięstwa.

Z obawy przed kolejnymi podobnymi atakami Indian w 1862 roku wojsko zbudowało przy przełęczy fort Bowie. Niskie budynki z cegły suszonej na słońcu wychodziły od południa na źródła. Fort szybko

stał się bazą wszystkich operacji prowadzonych przeciwko Indianom w tej części Arizony. Cochise uciekł przez otwartą równinę do bastionu nieprzebytych formacji skalnych w miejscu zwanym teraz Twierdzą Cochise’a, ponad osiemdziesiąt kilometrów dalej. Stamtąd mógł urządzać jedynie niewielkie wypady i nigdy już nie zebrał tylu wojowników, by przeprowadzić kolejny bezpośredni atak na wojsko.

Opór jednak nie słabł i trwał przez kolejne dziesięciolecia w postaci narastającej serii mściwych ataków. Osadnicy z zimną krwią zabijali szamanów Apaczów, a tysiące zbuntowanych Indian schwytano i zamordowano. Nieliczni, którzy uciekli do niewielkich zakładanych od czasu do czasu rezerwatów, nie rezygnowali z partyzanckiej walki. W końcu Cochise umarł i zastąpił go samotnik Geronimo, jeśli nie jako wódz plemienia, to jako jeden z najbardziej szanowanych wojowników.

Geronimo był niskim człowiekiem o śniadej twarzy i twardych rysach. Nosił długie włosy, a szeroki nos nadawał mu ponury wygląd. Ważył około siedemdziesięciu siedmiu kilogramów, był przysadzisty i mocnej budowy. Na chyba najsłynniejszej na świecie fotografii przedstawiającej Indianina, zdjęciu wiszącym w szatni świątyni w Diamond Mountain, Geronimo klęczy, trzymając krótką strzelbę, a w jego spojrzeniu płonie gniew człowieka, którego plemię wyniszczono na jego oczach. Podczas gdy Cochise był dostojny i cierpliwy, Geronimo był impulsywny, często pijany i nieprzewidywalny. W latach młodości wybrał się w góry ponad fortem Bowie, gdzie rozmawiał z bogami, brał pejotl i zyskał moc, którą Apacze wzywali przeciwko wrogom. Objawił mu się wielki duch Ussen i przepowiedział, że Geronimo nie zginie w bitwie, ale też nie umrze na ziemi Apaczów. Wiele lat później Juh, również wielki wojownik, tak wspominał moc Geronima (według Davida Robertsa):

> Już z natury był odważnym człowiekiem, ale jeśli ktoś wie, że nie zginie w bitwie, czegóż ma się bać? Nie wiem, czy Geronimo kiedykolwiek powiedział swoim wojownikom, że chronią go nadprzyrodzone siły, ale oni byli przy nim w wielu niebezpiecznych sytuacjach i widzieli jego cudowne ucieczki, to, jak potrafił opatrywać rany i leczyć, wiedzieli więc, że Geronimo żyje tylko dlatego, że chroni go Ussen.

Ruch oporu pod wodzą Geronima był mniejszy, ale też bardziej zabójczy niż Conchise'a. Zebrał garstkę wojowników – kobiety i mężczyzn również obdarzonych mocą. Przez dwadzieścia osiem lat przemierzali obszar od północnego Meksyku do północnej Arizony, wciąż na wojennej ścieżce, co jakiś czas wracając do rezerwatu indiańskiego założonego przy Apache Pass. Co tydzień jego banda atakowała kolejne ranczo, karawanę wozów albo samotnego ranczera. Napadniętym rabowali amunicję i zapasy, gwałcili kobiety, mężczyzn zabijali. Niekiedy Geronimo torturował swoje ofiary. Bywało, że rzucał niemowlęta w powietrze i nabijał je na bagnet. To była jego zemsta za okrucieństwa wobec Indian. Gdy nieco się zestarzał i nabrał doświadczenia, wojownicy zobaczyli, że jego moc również dojrzała. Wydawało się, że ma zdolność odgadywania wydarzeń rozgrywających się wiele kilometrów dalej. Mówili, że jest w stanie przewidzieć posunięcia wroga.

W miarę jak rosła liczba ofiar, schwytanie Geronima stało się dla rządu USA priorytetem. Po zakończeniu wojny secesyjnej jedną czwartą sił, jakie zostały z armii, umieszczono na terytorium Arizony. Stan opanowało ponad pięć tysięcy żołnierzy. Wydawało się, że są wszędzie, ale Geronimo bez trudu im się wymykał. Żołnierze zainstalowali nowoczesny system telegrafów słonecznych – poprzednika telegrafu – by śledzić ruchy Indianina i go zabić. Ale Geronimo i jego oddział zaledwie dwunastu wojowników okazali się więcej niż równym przeciwnikiem dla ścigającego go wojska. Jego krwawa kampania trwała aż do 1886 roku – tak długi okres funkcjonowania poza prawem wydaje się dziś niemal niemożliwy. Ocenia się, że Geronimo zabił osobiście dwadzieścia pięć osób, ale zdaniem niektórych jego banda uśmierciła ich ponad pięćset. Kiedy skończył pięćdziesiąt siedem lat, poczuł się zmęczony odwieczną walką z białymi. Poddał się w Meksyku małemu oddziałowi żołnierzy i 2 kwietnia tego samego roku został przywieziony do fortu Bowie. Następnie odesłano go do rezerwatu, by dokonał żywota z dala od swojej ojczyzny.

Opowieści na temat Geronima i Cochise’a często krążyły wśród ludzi w Diamond Mountain. Czasem mieli wrażenie, jakby nowy uniwersytet kroczył szlakiem wytyczonym przez Indian, wnosząc życie duchowe na ich dawne ziemie. W 2007 roku, jeszcze zanim działka została ostatecznie kupiona, zarząd Diamond Mountain ogłosił, że organizacja zamierza naprawić krzywdy wyrządzone przez swoich przodków za pomocą specjalnej ceremonii.

Na oficjalnym blogu napisali: „Przez wiele pokoleń miejsce, które teraz zwiemy Diamond Mountain, było domem ludu Apaczów. Kiedy pojawiły się siły z zewnątrz, by usunąć tych ludzi, doszło do walk i rozlewu krwi. Na tej ziemi wydarzyło się wiele strasznych rzeczy, dlatego Diamond Mountain chce to naprawić i oczyścić to miejsce z tego, co się stało”. Sprowadzili szamana, by nadzorował ceremonię, i błagali duchy Apaczów, żeby przekazali uniwersytetowi opiekę nad tą ziemią.

Ponad sto lat od czasu walk z Indianami trudno zrozumieć, za co w ogóle przelano tyle krwi. Hrabstwo Cochise jest słabo zaludnione, nie może się pochwalić przemysłem czy szkolnictwem ani też sukcesami gospodarczymi. Dolina, którą od granicy Meksyku dzieli osiemdziesiąt kilometrów pustkowia i suchych łańcuchów górskich, leży na szlaku przemytu narkotyków. Przemytnicy noszą swój towar w plecakach, podróżują głównie nocą, a w jaskiniach i płytkich korytach strumieni widać ślady ich obozowisk. Kiedy natykają się na nich patrole straży granicznej i strażnicy parku narodowego, często dochodzi do gwałtownych konfrontacji, w których bywają ranni i zabici, ale zazwyczaj przemytnicy wolą się przemknąć niezauważeni. Stany Zjednoczone nie straciłyby wiele, gdyby zostawiły tę ziemię w rękach Apaczów.

Zamiast tego hrabstwo Cochise stało się siedzibą marginalnych grup religijnych, które chcą, by zostawiono je w spokoju, i którym nie przeszkadza życie na pustkowiu, jeśli tylko zapewnia im prywatność. Mormoni, którzy uciekli do St. David, znaleźli pociechę w jego pustce. Inni uznali prywatność za swoje prawo i podobnie jak Apacze byli gotowi strzec zagrożonej wiary z bronią w ręku. Po kilku

pamiętnych starciach między siłami porządku publicznego a radykalnymi grupami religijnymi miejscowe biuro szeryfa nie spieszyło się z interwencją w jakiejkolwiek sprawie mającej związek z religią.

Na południe od Sierra Vista, w odległości krótkiej jazdy samochodem z fortu Bowie samotnym odcinkiem drogi stanowej 92, straszący ogniem piekielnym kaznodzieja Asa Alonzo Allen kupił w 1958 roku tysiąc hektarów pustyni i nazwał to miejsce Miracle Valley, doliną cudów. Tysiące ludzi przyjeżdżało słuchać jego kazań, być świadkami uzdrowień i zyskać łaskę chrześcijańskiego Boga. Powstały tam siedziba głoszącej Dobrą Nowinę radiostacji, letni obóz i szkoła biblijna. Kongregacja uzyskiwała roczne dochody w wysokości ponad dwóch i pół miliona dolarów. Allen zmarł w San Francisco w 1970 roku z powodu komplikacji związanych z alkoholizmem, ale kampus istniał do 1978 roku. Potem czarna pani pastor, wielebna Frances Thomas z Chicago, przejęła większość działki. Jej organizacja stworzyła w Arizonie atmosferę prześladowania. Z obawy przed rasistowskimi atakami wielebna dała swoim ludziom broń, a posiadłość patrolowali strażnicy uzbrojeni w śrutówki.

Szeryf hrabstwa Cochise interweniował, by załagodzić jątrzący się spór, ale jak się wydawało, jedynie zaognił sytuację. Członkowie kongregacji wierzyli, że Bóg odpowiada zarówno za uzdrawianie, jak i za choroby, więc kiedy chorowali, polegali raczej na wierze niż na medycynie. (Roach także głosi, że wszelka choroba ma boskie źródło, podobnie jak wszelkie lekarstwo). W 1981 roku czworo dzieci w tej społeczności zachorowało i zmarło. Władze hrabstwa uznały, że tym zgonom można było zapobiec, gdyby członkowie wspólnoty podali dzieciom leki. Kiedy spróbowano zabrać stamtąd inne dzieci i umieścić je w państwowej placówce, sytuacja, już wcześniej niestabilna, zmieniła się w otwarty konflikt.

Pewnego ranka policja aresztowała dwóch członków kongregacji za zakłócanie porządku, ale wierni stwierdzili, że zarzuty były niesprawiedliwie, więc ubrali się odświętnie i zapakowali do

furgonetki, podobnej do tej, którą jeździła serialowa Drużyna A. Wieźli ze sobą bomby zrobione z dynamitu z tanimi minutnikami – mieli plan wybicia dziury w murze więzienia. Kiedy jechali szosą, w jednym z minutników doszło do zwarcia i dynamit eksplodował. Jeden mężczyzna zginął, a dwóch innych pasażerów zostało rannych i obsypanych kawałkami jego ciała. „Najgorsze w tej eksplozji było to, że musiałam przełknąć dwa spore kęsy brata Steviego”, powiedziała kobieta, która jechała furgonetką.

Aresztowano kilka osób, ale biuro szeryfa nie było w stanie uspokoić napięć między czarnym Kościołem a w większości białą społecznością. Potem, w październiku 1982 roku, ponad trzydziestu policjantów zjawiło się na terenie wspólnoty z zamiarem wręczenia mandatów niektórym jej członkom. Thomas przewidziała ten najazd i jej ludzie uzbroili się w kije, pałki i strzelby. Miejscowy fotograf uwiecznił potyczkę, do której potem doszło. Czarni członkowie Kościoła starli się z policją, która otworzyła ogień. Walka zakończyła się, kiedy zginęło dwóch członków Kościoła, w tym syn Thomas. Pięciu funkcjonariuszy zostało rannych, jeden z nich później zmarł. Zdjęcia ze strzelaniny trafiły na pierwszą stronę „New York Timesa”. Jesse Jackson i wielebny Al Sharpton przyjechali do hrabstwa Cochise i oskarżyli policję, że pogorszyła już i tak groźną sytuację.

Ta strzelanina to najbardziej pamiętna niechlubna historia w kronice biura szeryfa hrabstwa Cochise. Wciąż pracuje tam część policjantów, którzy brali udział w wydarzeniach sprzed trzydziestu lat, i z żalem wspominają zabitych kolegów. Pamiętają tę bitwę i nie są skorzy do wtrącania się do jakiejkolwiek grupy religijnej, która osiedla się w okolicy. Niezależnie od tego, jak osobliwe rzeczy działyby się w pobliskich wspólnotach, władze wolą raczej zostawić je w spokoju, niż ryzykować kolejną strzelaninę. Kiedy dziwna grupa buddystów tybetańskich pojawiła się w pobliżu fortu Bowie, szeryf postanowił nie powtarzać starych błędów i omijał Diamond Mountain z daleka.

W 2007 roku Roach i McNally wraz z szamanem Apaczów wspięli się na wzgórze nad terenem, który odtąd miał należeć do

Diamond Mountain. Gdy tylko ujrzeli dolinę, wiedzieli, że to idealne miejsce, ale jednocześnie nie chcieli naruszać jego duchowego dziedzictwa. Niegdyś z tego wzgórza żołnierze wypatrywali grup Indian. W szczelinach skalnych i na piaszczystej ziemi wciąż można było znaleźć łuski pocisków. Usiedli wszyscy razem i rozpalili święty ogień. Wrzucali do niego szałwię oraz inne pachnące zioła i śpiewali pieśni do boga Apaczów Ussena, prosząc, by pozwolił im mieszkać w dolinie. Ceremonia miała pomóc uzdrowić tę ziemię. Niektórzy opowiadają, że szaman wrzucił w ogień pieniądze: piętnaście tysięcy dolarów, żeby zapłacić za stulecia przemocy. Dźwięki pieśni i modlitw rozbrzmiewały w dolinie przez cały dzień aż do późnego wieczora. Kiedy uczestnicy ceremonii byli już bardzo zmęczeni, a ze świętego ognia zostały tylko żarzące się węgle, cała trójka zeszła z góry z nadzieją, że Ussen przyjął ich dar.

Kilkaset metrów dalej, w sercu przyszłej doliny medytacyjnej, od wieków wytryskiwało z ziemi Bear Spring. Jak tylko sięgali pamięcią ranczerzy, żołnierze czy wojownicy Apaczów, było to źródło życia w nieprzyjaznej dolinie, wypływające z tych samych podziemnych cieków, dzięki którym wciąż biło Apache Spring. Kiedy Diamond Mountain położyła fundamenty pod uniwersytet i przyspieszyła budowę ośrodka medytacyjnego, źródło zaczął wypełniać szlam. Strumień zmienił się w cienką strużkę, a po roku źródło wyschło. Zdaniem niektórych był to znak.

10

Dwanaście lat, pięć metrów

> Nie poślubiłam gesze Michaela dlatego, że go kochałam. A on nie poślubił mnie dlatego, że mnie kochał. Nie taki był charakter naszego związku. On był moim lamą. A ja byłam dla niego emanacją boskości.
>
> Christie McNally

Nie wiadomo, ile przyrzeczeń Christie McNally i Michael Roach złożyli sobie nawzajem w dniu ślubu. Przyzwyczajeni do przyjmowania ślubowań mnichów i ludzi świeckich, ślubowań tantrycznych i mnisich, które składały przed nimi setki osób, wierzyli, że im więcej zasad będą przestrzegać, tym będą doskonalsi. Jedno z przyrzeczeń było siłą rzeczy publiczne i nie istniało w literaturze buddyjskiej: od chwili ślubu mnich i jego żona mieli nigdy nie oddalać się od siebie na więcej niż pięć metrów. Dokądkolwiek udawał się Roach, McNally szła tuż za nim. W samolotach, kiedy jedno szło do toalety, drugie musiało czekać pod drzwiami, żeby nie zerwać duchowej więzi. Każde prywatne spotkanie, każda chwila słabości czy publiczne wystąpienie było próbą dla ich przyrzeczenia. Mieli nadzieję, że z dwojga staną się jednością. Była to miłość idealna, wbrew racjonalnym ograniczeniom ludzkich związków. Oboje wierzyli, że mogą osiągnąć doskonałość, a ciężka próba, czyli nieustanna wzajemna obecność, stanowiła inspirację dla ich słuchaczy na całym świecie.

Z obiektywnego punktu widzenia odnieśli sukces. Kiedy występowali we dwoje, mieli liczniejszą publiczność na wykładach i spotkaniach. Nauczali razem, a ich wzajemne zaufanie i szczerość wydawały się niczym otwarta brama do boskiego królestwa. Okazało się, że oświecenie nie musi być samotną misją, można zabrać ze sobą

duchowego partnera. Ludzie brali z nich przykład i medytowali w parach. Seks był jedną z praktyk duchowych.

Roach i McNally stali się celebrytami, gdy tylko zakończyli pierwsze Wielkie Odosobnienie. Dzięki sponsorom latali z Arizony do Nowego Jorku, a dokądkolwiek się udali – od Niemiec i Rosji po Singapur i Meksyk – na spotkania z nimi przychodziły ogromne tłumy. McNally ubierała się w długie, białe powiewne szaty; nauczali razem, siedząc na tronach na podwyższeniu w wynajętych kościołach, w salach konferencyjnych i w budynkach należących do Asian Classics Institute na całym świecie. Udzielali porad dotyczących związków opierających się na prawie karmy. Razem pisali książki i podtrzymywali relacje z bogatymi sponsorami, którzy pragnęli duchowego potwierdzenia, że skandalicznie wysokie zyski to znak dobrej karmy.

Mała księgarnia Three Jewels na Manhattanie przestała pasować do wizerunku, który chcieli stworzyć. Ich grupą docelową nie byli już hipsterzy, zachwyceni stylowymi sfatygowanymi stolikami i krzesłami ze śmietnika – zamiast tego wynajmowali sale w ekskluzywnych spa i eleganckich studiach jogi kierujących swoje reklamy do zestresowanych ważniaków z Wall Street. Podczas jednej z podróży na wschód pojechali taksówką na Uniwersytet Columbia, gdzie gwiazdą był specjalista od Tybetu Robert Thurman. Jako mistrz ceremonii w czasie pierwszego koncertu na rzecz wolności Tybetu, najsłynniejszy tłumacz *Tybetańskiej Księgi Umarłych* i bliski przyjaciel Dalajlamy naukowiec mógł przydać wiarygodności duchowej drodze Roacha.

Jeszcze wiele lat później Thurman złościł się na wspomnienie tego spotkania. Był przekonany, że odstępstwa Roacha są nie tylko zniewagą dla jego własnej wiedzy i kwalifikacji, ale też poważnym zagrożeniem dla społeczności buddystów tybetańskich. Opowiadał mi przez telefon podniesionym tonem:

– Powiedziałem mu: „Nie można być mnichem i mieć dziewczynę. W oczywisty sposób złamał pan śluby”. Odpowiedział na to, że nigdy nie miał genitalnego kontaktu z drugim człowiekiem.

Zwróciłem się więc do niej z pytaniem, czy jest człowiekiem, czy nie, Zapadła znacząca cisza, po czym odpowiedziała: „Mogę być, czymkolwiek mój lama zapragnie, ponieważ on pojął pustkę”. – Uczony zastanowił się chwilę, po czym westchnął i dodał: – Oni już wtedy popadli w psychozę.

Ale słuchaczy Roacha najwyraźniej nie obchodziło to, że nie przestrzega on zasad gelugpów. Z ich punktu widzenia był albo reformatorem, który zrywa z anachronicznymi tradycjami, albo, jeśli nie mieli pojęcia o buddyzmie tybetańskim, bezpośrednim łącznikiem z mądrością Buddy. Mercedes Bahleda była jedną z najbliższych asystentek Roacha i McNally od czasów, kiedy Asian Classics Institute był zaledwie serią darmowych wykładów w parkach na Manhattanie. Rewoltę Roacha postrzegała jako działanie feministyczne.

– Nie mógł dać swoim młodym uczennicom tego, czego potrzebowały, więc świadomie postanowił wypełnić tę pustkę, przenosząc swoje dziedzictwo na Christie, która dzięki niemu stała się pierwszą na świecie kobietą noszącą tytuł lamy – powiedziała.

To prawda, że kobietom było szczególnie trudno znaleźć sobie miejsce w tybetańskiej hierarchii. Klasztory były zasadniczo patriarchalnymi instytucjami i nawet uzyskanie wyświęcenia na mniszkę wymagało ogromnego wysiłku[25].

Pierwsze Wielkie Odosobnienie było takim sukcesem, że Roach i McNally zaczęli planować kolejne, które miało się rozpocząć przed końcem dekady. Podróżując po całym świecie z wykładami na temat swoich wglądów w funkcjonowanie boskiego wszechświata, obiecywali, że ich uczniowie będą teraz mogli studiować tantrę pod ich kierunkiem. Po siedmiu latach najlepiej przygotowani będą mogli się udać na odosobnienie na pustyni, w udoskonalonym ośrodku medytacyjnym. Miało to być drugie Wielkie Odosobnienie, czasem zwane także Odosobnieniem dla Pokoju. W ten sposób mieli ocalić świat.

Dla Roacha karma była nie tylko czymś, co działa przez kolejne wcielenia, ale też czymś, co może się ujawnić w ciągu miesięcy, a

nawet dni. Oboje sprowadzili rachunek karmy do kilku prostych zasad. Twierdzili, że najpewniejszym sposobem, by znaleźć w tym życiu prawdziwą miłość, jest obdarzenie miłością kogoś samotnego, a wtedy idealny kochanek po prostu stanie w progu. Jeśli cierpisz na przewlekłą chorobę, najlepszym sposobem, by wyzdrowieć, jest pomóc komuś innemu wrócić do zdrowia. By zdobyć wielki majątek, musisz jedynie wesprzeć kogoś w jego interesach. W karmie według Roacha przyczyna nie miała już związku ze skutkiem, jego uczniowie mieli w sobie samych widzieć przyczynę swojego powodzenia lub niepowodzenia, a wszystko zależało od intencji.

Takie przesłanie było ogromnie atrakcyjne dla ludzi bardzo bogatych, którzy odkrywali, że ich sukces w życiu doczesnym jest znakiem karmicznego błogosławieństwa. Jedną z najwybitniejszych osób pozyskanych przez Roacha był Michael Gordon, twórca globalnej marki kosmetyków Bumble and Bumble. Gordon, z pochodzenia Brytyjczyk, był fryzjerem z ambicjami i w ciągu trzydziestu lat jego biznes rozrósł się od jednego salonu w RPA do jednej z najbardziej rozpoznawalnych na świecie marek produktów do pielęgnacji włosów. Firma uzyskiwała roczne przychody w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów. W 2006 roku Gordon sprzedał swoje udziały w firmie za trzydzieści milionów dolarów. Później zwrócił się ku sprawom duchowym i przekazał Roachowi fundusze na serię wykładów na temat nauk Dże Congkhapy, które ten miał wygłosić w Jivamukti Yoga School w Nowym Jorku.

Później wspólnie z Roachem i McNally napisał książkę *Karmic Management: What Goes Around Comes Around in Your Business and Your Life* [Karmiczne zarządzanie. Jakie ziarno, taki plon w biznesie i w życiu], w której wyłożyli zasady gwarantujące sukces finansowy.

We wstępie Gordon pisał: „Trafiłem na karmiczne zarządzanie przez przypadek, a kiedy się o nim dowiedziałem, zastanowiłem się nad swoją dotychczasową karierą biznesową i zdałem sobie sprawę, że przez cały czas dokładnie to robiłem – teraz już wiedziałem, dlaczego odniosłem taki sukces”. Gordon przypisywał swoje szybkie

wzbogacenie się jednej karmicznej chwili, kiedy to poczuł silną więź emocjonalną łączącą go z jego pierwszą pracownicą – czarną kobietą, którą zatrudnił jako pomocnicę w salonie.

W odruchu szlachetności postanowił nauczyć ją myć włosy jak profesjonalista. Najpierw więc położył ręce na jej głowie i sam umył jej włosy. „Gdzieś w głębi – pisze Gordon w *Karmic Management* – czuję, że ten drobny akt pomocy światu był pierwszym ziarnem, z którego miał wyrosnąć sukces Bumble". Doświadczenie, jakim było przekazywanie swoich umiejętności kobiecie znajdującej się na znacznie niższej pozycji i na dodatek po drugiej stronie podziałów rasowych, zapadło Gordonowi w pamięć. Stało się symbolem jego zdolności do pokory, dzięki której mógł wyobrazić sobie sukces agresywnej ekspansji B&B na światowych rynkach. Firma odniosła sukces, ponieważ sam Gordon był dobrym człowiekiem – więc wszechświat sprzyjał jego uczuciom i zamiarom. Roach, McNally i Gordon zaczęli wspólnie wykładać i założyli stronę internetową rozpowszechniającą idee karmicznego zarządzania.

Okazało się, że bogacze tylko czekali na taką filozofię. Po niedługim czasie dyrektor konglomeratu naftowego w Kijowie poprosił Roacha i McNally, by nauczyli go swoich metod. W zamian przekazał ACI hojne datki, które przeznaczono na budowę ośrodka Diamond Mountain.

Choć karma Gordona mogła się wydawać czysta, w 2012 roku urząd podatkowy aresztował go pod zarzutem oszustw podatkowych. Jak wynika z aktu oskarżenia, informator, który przez wiele lat pracował u Gordona, twierdził, że w czasie, kiedy wspólnie z Roachem i McNally pisał on książkę na temat karmicznego zarządzania, jednocześnie „aktywnie poszukiwał sposobów, by ukryć pieniądze przed urzędem podatkowym, w tym między innymi wysyłał pieniądze za granicę, żeby nie płacić podatków od tych dochodów". Zamiast zapłacić, co należy, Gordon domagał się jeszcze zwrotu podatku w wysokości trzydziestu dziewięciu tysięcy dolarów. Chociaż sprawa nadal się wlecze z powodu kolejnych poręczeń i odwołań, kilka tygodni po aresztowaniu Gordona strona na temat

karmicznego zarządzania dyskretnie zniknęła z internets podobnie jak wiele świadectw jego współpracy z Roachem[26].

Kiedy Ian Thorson przeprowadził się z Beatrice Steimer do Niemiec, wydawało się, że nastała nowa epoka spokoju. Był całkowicie pochłonięty tym związkiem. Zajmowali razem małe mieszkanko niedaleko linii kolejowej, w bloku z wielkiej płyty w dawnej dzielnicy żydowskiej, w pobliżu muzeów i galerii, może przyjemniejszej niż dzielnice dookoła. Steimer miała za kilka miesięcy urodzić dziecko, a Thorson brał każdą pracę, która pozwoliłaby im związać koniec z końcem. Dzięki jednemu z krewnych zdobył zlecenie na tłumaczenie książek naukowych na angielski. W niektóre dni zakładał krawat do pogniecionej koszuli i jechał do dzielnicy biurowców ze stali i szkła, gdzie uczył ludzi z kadry kierowniczej, chcących doskonalić swój angielski. Stephen Lindberg, który zlecił Ianowi gromadzenie materiałów do książki, pamięta, że Thorson niechętnie wspominał o czymkolwiek mającym związek z buddyzmem. Oboje jeździli czasem do ośrodków medytacyjnych, ale Ian starał się utrzymać tę część swojego życia w tajemnicy przed rodziną w Stanach. Thea Steimer urodziła się w listopadzie 2001 roku z czuprynką falujących ciemnych włosków.

Po roku Ian napisał list do swojej byłej dziewczyny Fernandy Hannah, próbując wyjaśnić, jak to się stało, że pozwolił, by medytacja bez reszty zawładnęła jego życiem.

> Wykorzystywałem dyscyplinę i medytację, by dotrzeć do miejsca, w którym wcale nie chciałem się znaleźć [...] więc od jakiegoś czasu zastanawiam się, dlaczego w ogóle zacząłem medytować. Chciałem zbliżyć się do innych, a nie oddalić, i nie sądzę, żebym do tego wrócił, dopóki nie zrozumiem, gdzie popełniłem błąd i jak go naprawić. Nie mogę wyjaśnić dużo więcej, ale w buddyzmie i moich nauczycielach nie ma niczego złego, tylko że to, co z tym robiłem, robiłem bezmyślnie. Wykorzystywałem medytację, żeby się dobrze poczuć, a nie żeby zbliżyć się do innych. Trudno to było wychwycić, złapać siebie na tym, że wpadałem w ten przyjemny stan nawet podczas rozmów z ludźmi. To, co robiłem, to wcale nie był buddyzm, byłem po prostu samolubny.

Związek między nimi na nowo ożywiły e-maile, listy i rozmowy przez telefon – oboje żałowali, że dzieli ich Atlantyk i tak trudno im się spotkać.

Dopiero w 2003 roku, kiedy Roach zakończył odosobnienie i razem z McNally zatrzymał się w Berlinie podczas swojej trasy, ta stabilność zaczęła się chwiać. Firma Bumble and Bumble zorganizowała tam cykl wykładów i dzięki swoim kontaktom pomogła zapełnić salę, zwróciła się też do Steimer w sprawie tłumaczenia, Ian nie widział się z Roachem kilka lat, ale chłonął jego wykłady jak wodę na pustyni. Kiedy mieli okazję porozmawiać na osobności, Christie McNally dostrzegła jego euforię i zapytała, czy nie mógłby znów pojechać do Arizony, żeby filmować budowę nowego kampusu Diamond Mountain. Razem z Roachem zamierzali przygotować materiały do kursu online i sfilmować wszystkie swoje wykłady, potrzebowali więc jego pomocy. To była epoka e-dharmy, a uczniowie mieli ściągać sobie wykłady Roacha bezpłatnie: w ten sposób miliony ludzi wysłuchają jego słów i odmienią swoje życic.

McNally nęciła go także zapowiedzią nowych nauk tantrycznych. Po zakończeniu Wielkiego Odosobnienia ona i Roach zaczęli czerpać z nowych zasobów wiedzy tajemnej. Była to kusząca oferta, ale Steimer nie chciała znów się przeprowadzać. Było kiepsko z pieniędzmi, a sukces nie nadszedł tak szybko, jak Ian się spodziewał.

To spotkanie znów wytrąciło go z równowagi. Byłoby mu dużo łatwiej poszukać świata, który chciał ujrzeć, niż żyć w tym obecnym.

Niedługo po tym, jak Ian odnowił kontakty z Roachem, Fernanda pojechała do Barcelony na staż w dużej firmie architektonicznej. Kiedy zaproponowano jej wizytę w fabryce w Berlinie, skorzystała z okazji i między spotkaniami umówiła się z Ianem. Była ciekawa, jak zmieniło go rodzicielstwo. Postanowili spotkać się w muzeum. Fernanda stanęła w kącie i przyglądała się twarzom mijających ją ludzi, czekając na błysk rozpoznania. Wreszcie Ian wyłonił się z tłumu, pchając przed sobą wózek. Ruszyła w jego kierunku, żeby przytulić swojego dawnego ukochanego, a potem pochyliła się, by

wyjąć Theę z wózka, ale kiedy spojrzała na dziecko, mina jej zrzedła. Dziewczynka była brudna, jej szarawe ubranka wyglądały tak, jakby nosiła je przez tydzień. Od takiego brudu można dostać odleżyn.

Fernanda pamiętała jeszcze z Nowego Jorku, że Ian czasem stronił od mycia, ale teraz zaczęła na niego krzyczeć, że „nie może tak samo postępować z Theą". Ian tylko wzruszył ramionami. Odkąd zostali rodzicami, między nim a Beatrice nie układało się już tak dobrze i ze wstydem przyznał, że żłobek, do którego chodzi Thea, kilka razy odesłał ją do domu, bo była zbyt brudna. Fernanda wracała ze spotkania, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Iana i kim on wówczas będzie.

Ian najwyraźniej przechodził kolejną metamorfozę. Był bardziej pobudzony niż kiedykolwiek wcześniej. Beatrice powiedziała, że kiedy się złościł, często wyładowywał swój gniew na przedmiotach w jej mieszkaniu, rzucał szklankami i walił ręką w ścianę.

Dzięki spotkaniu z McNally i Roachem Thorson znów nawiązał kontakt z ogromną siecią uczniów, którzy zapisywali się na kursy przez stronę Asian Classics Institute. Mieszkanie w Berlinie stało się bazą dla uczniów ACI przejeżdżających przez Niemcy. Kiedy się pojawiali, Ian życzliwie rozkładał im materace na podłodze i dawał klucze.

W 2004 roku Deborah Bye, drobna, jasnowłosa prawniczka z Australii, poznała Iana przez swojego nauczyciela jogi, Ian był zajęty, planował wycieczkę za miasto z Beatrice i Theą, więc powiedział Bye, że może się zatrzymać na kilka dni w ich mieszkaniu. Była to wielkoduszna propozycja. Bye dobrze się bawiła – umawiała się ze znajomymi na kawę i wracała późno.

Pewnego wieczoru, gdy wróciła, w mieszkaniu paliły się światła. Kiedy włożyła klucz do zamka, Ian usłyszał hałas, zerwał się na nogi i gwałtownie otworzył drzwi. Bye stała oszołomiona, bo nie rozumiała, co zrobiła źle, podczas gdy on wrzeszczał na nią, że ma się wynosić. Kipiał wściekłością, twarz miał czerwoną, oczy mu płonęły. Zaczęła pakować swoje rzeczy, ale Ian był bezlitosny. Złapał

walizkę i wyrzucił ją na korytarz. Błagała go, żeby jej nie poganiał, ale nie ustępował.

Thea płakała gdzieś w głębi mieszkania, a Ian złapał starszą od siebie Deborah za włosy i zaciągnął ją na szczyt stromych schodów. Bojąc się, że może ją kopnąć, zasłoniła głowę i skuliła się na ziem i. „Krzyczałam przerażona. Nie miałam pojęcia, co zrobi. Bałam się, że może mnie zabić – napisała później w zeznaniu złożonym berlińskiej policji. – To było tak, jakby znienacka coś w nim pękło”, Ian wyrzucił walizkę za drzwi i uderzył Deborah w plecy, po czym został jej fioletowy siniak.

Deborah Bye wyjechała z Berlina następnego wieczoru. Nie mogła pojąć, skąd ten nagły atak. Beatrice nie chciała rozmawiać na temat tego wydarzenia, nie wiadomo więc dokładnie, co spowodowało zmianę w osobowości Iana poza tym, że życie w Berlinie okazało się nie takie proste, jak myślał. Idealny świat, który sobie wyobrażał, nie pasował do rzeczywistości, w której trzeba w nieskończoność zmieniać brudne pieluszki.

Jest jednak jasne, że ten konflikt był impulsem dla Steimer, która zażądała, by Thorson się wyprowadził. Zanim Bye postanowiła złożyć zeznania na policji, Ian już planował wyjazd do Diamond Mountain. Propozycja McNally, by pomógł budować przyszłość dharmy w Ameryce, była po prostu zbyt kusząca. Zawiódł jako ojciec i jako partner. Być może Diamond Mountain była jedynym miejscem, gdzie by go zaakceptowano i gdzie jego życie mogło nabrać sensu.

Zapiski Iana z jego życia zaczynają zanikać w momencie powrotu do Ameryki, tak jakby nagły przypływ agresji wymazał chęć do zapisywania swoich myśli, Ian przestał pisać, nie interesowały go już rozmowy z rodziną czy z dawnymi przyjaciółmi, jego własna historia zaczęła się stapiać z krajobrazem i nieustannym strumieniem ludzi pojawiających się w Diamond Mountain. Był tylko jednym z wielu wolontariuszy, którzy odpowiedzieli na apel, jaki wygłaszali Roach i McNally podczas swoich wykładów, i przybyli do Arizony. Bankierzy inwestycyjni, pielęgniarki, prawnicy, potentaci branży nieruchomości, muzycy i budowlańcy wzięli urlop, by na ochotnika

budować jurty, budynki i świątynie, które pewnego dnia miały się stać siedzibą Diamond Mountain.

Z początku niewiele tam było, ale budowniczowie mieli wizję całości. Teren ośrodka był podzielony na dwie doliny. Bliżej wejścia miało stanąć kilka niewielkich jurt i osiedle przyczep przeznaczone dla gości, jednopiętrowy budynek obok parkingu służył jako świątynia podczas różnych ceremonii i wydarzeń organizowanych przez grupę.

Za świątynią uczniowie składali ofiary w postaci gorzkiej czekolady, kamieni szlachetnych i błyskotek na dużej białej stupie w stylu tybetańskim. Po drugiej stronie piaszczystej drogi w tak zwanym Jamyang House mieściły się kuchnia, gdzie trzymano zapasy i stała przemysłowa lodówka, a także biura, w których zajmowano się bieżącymi sprawami administracyjnymi. W wolnym czasie ochotnicy posadzili niewielki ogród i przygotowali miejsce do odpoczynku, gdzie mogli się zrelaksować podczas krótkich chwil wytchnienia. Wejście do doliny było otwarte dla osób z zewnątrz, ale serce całego ośrodka znajdowało się dużo dalej.

Nieco wyżej na zboczu mieścił się Lama House, gdzie mieszkali Roach z McNally, kiedy byli na miejscu. Piaszczysta droga przecinająca teren rozwidla się kilkaset metrów od kuchni: na prawo jest wejście, z którego korzystają strażnicy parku, żeby dostać się do budynków administracyjnych fortu Bowie. Wjazdu do samej doliny medytacyjnej strzeże zamknięta brama po lewej, na której szczycie przybito dwa kowbojskie buty.

McNally chciała, żeby drugie Wielkie Odosobnienie było ambitniejsze niż pierwsze. Zamiast tylko kilku jurt na pustej działce w ośrodku w pobliżu fortu Bowie miało się znajdować kilkadziesiąt energooszczędnych, zasilanych słońcem i samochłodzących się budynków. Stałe zabudowania na terenie Diamond Mountain mogłyby pomieścić mnóstwo medytujących i zapewnić im opiekę mieszkającego niżej stałego personelu złożonego z ochotników, którzy ślubowali zadbać o wszelkie potrzeby uczestników odosobnienia. Roach i McNally zamierzali wyprowadzić na pustynię

czterdzieścioro ludzi w poszukiwaniu bezpośredniego doświadczenia pustki. Bez problemu znaleźli osoby gotowe za to zapłacić.

By sfinansować budowę, McNally prosiła każdego kandydata na uczestnika odosobnienia o pokrycie kosztów budowy domku. w którym miał mieszkać. Po zakończeniu odosobnienia domki miały przejść na własność Diamond Mountain jako darowizna dla ośrodka. Najskromniejszy domek kosztował około dziesięciu tysięcy dolarów, była to gliniana chatka z kopulastym dachem, trochę podobna do tych, w których mieszkał Luke Skywalker na planecie Tatooine. Koszt wystawniejszych domków, zapewniających rajskie warunki, dochodził do trzystu tysięcy. Ochotnicy tacy jak Ian wraz z kilkoma budowlańcami pracowali nad tymi projektami przez kilka lat, podczas gdy Roach i McNally przygotowywali duchowych poszukiwaczy od strony filozofii i nowych technik medytacyjnych.

W odległości dwudziestu pięciu kilometrów piaszczystą drogą od Diamond Mountain leży miasteczko Bowie. Niegdyś był to ośrodek turystyczny, obecnie większość miasta jest w stanie stałego rozkładu. Porzucone hotele pokryte graffiti osiadają na fundamentach. Znaczna część ludności mieszka w przyczepach, tak jakby mieli zamiar wyjechać w każdej chwili. Przyczepa Michaela Brannana stoi obok sklepu spożywczego z pustaków, w którym można kupić głównie meksykańskie piwo. Siedząc przy składanym stoliku obok ołtarzyka pełnego zdjęć Michaela Roacha w opasce na oczach podczas wykładów wygłaszanych w trakcie pierwszego odosobnienia (jest tam także jedno zdjęcie Dalajlamy), Brannan otwiera piwo i wciska do środka ćwiartkę limonki.

Ma pięćdziesiąt jeden lat, długie włosy i skórę ogorzałą od pracy na słońcu. Z dumą wypina pierś, gdy opowiada, że był jednym z pierwszych ludzi, którzy na ochotnika budowali jurty dla ośrodka medytacyjnego. Przyłączył się do Roacha w pierwszej dekadzie XXI wieku i przez siedem lat był ochotnikiem w pełnym wymiarze godzin. Ponieważ pociągały go skomplikowane dyskusje filozoficzne, został prowadzącym debaty na tematy buddyjskie. W czasie tych dyskusji uczniowie ustawiają się w długich rzędach i

wykrzykują do siebie tezy z filozofii tybetańskiej, czasem klaszcząc i pokrzykując dla podkreślenia swoich słów. To stara tradycja zapoczątkowana w klasztorach w Tybecie, która pozwala uczniom doskonalić biegłość w dharmie. Zadaniem Brannana było pilnowanie, żeby argumenty uczniów były zgodne z logiką buddyjską.

Teraz, kiedy już nie chodzi regularnie do Diamond Mountain, ma mieszane uczucia do swojego nauczyciela. Z jednej strony bardzo mu się podoba to, w jaki sposób buddyzm porządkuje wszechświat, ale z drugiej obawia się, że Roach jest tak pochłonięty własnym rozwojem duchowym, że zapomina o wszystkim innym.

– Przez dwa lata mogłem chodzić na dobre wykłady o sutrze, zanim gesze Michael skupił się na tantrze. Jestem za to wdzięczny – mówi Brannan ze szczerym uśmiechem.

Przesunięcie punktu ciężkości na nauki tantry martwiło Brannana, ponieważ teraz dyskusje dotyczyły nie tyle tego, jak uczynić świat lepszym miejscem, ile tego, jak zbliżyć poszczególnych ludzi do oświecenia. Gdy Roach zaczął się pojawiać z McNally u boku, w Brannanie zrodziła się wątpliwość co do jego osądu. Christie nigdy nie pracowała nigdzie poza jego organizacją i chociaż miała w niej mnóstwo obowiązków, łatwo było dostrzec, że woda sodowa uderzyła jej do głowy.

– Nazywał ją Wadżrajoginią! Możesz sobie wyobrazić, że twój mąż i guru zaczyna cię uznawać za boginię? – pyta Brannan.

Co istotniejsze, kiedy McNally mówiła, wykłady były rozwodnione, tak jakby Roach się wycofywał.

– Czasami wydawało mi się, że kiedy ona przemawia, on tylko patrzy nieprzytomnym wzrokiem – mówi Brannan.

A jednak większość uczniów wołała zmysłowość nauk tantrycznych od refleksyjnych sutr. Sid Johnson, długowłosy muzyk z Kanady, który przybył do Bowie z żoną, także skłócił się z grupą.

Chociaż przyjechał po prostu po to, żeby za darmo studiować filozofię, okazał się kompetentny i na tyle dyspozycyjny, że Roach zaproponował mu, by wszedł do zarządu Diamond Mountain, johnson pomagał budować pierwszy kampus w St. David i mógł

doradzać ochotnikom w trakcie budowy. Nie zawsze uważał się za buddystę, ale podobało mu się towarzystwo i lubił eksperymentować z technikami, które jak miał nadzieję, pomogą mu wieść pełniejsze życie.

W 2005 roku johnson siedział w wypełnionej ludźmi sali wykładowej; Roach i McNally byli na scenie. Mówili na temat oddania dla guru – ich wzajemne oddanie było oczywiste – ale niekiedy uczniom trudno było pojąć ideę, że każde polecenie guru to potencjalna lekcja. Roach wykrzyknął, że odkąd McNally została jego partnerką duchową, stała się także jego lamą i on jest gotów zrobić cokolwiek, o co ona go poprosi.

– Czyli gdyby Christie powiedziała, że ma się przebić nożem, zrobiłby to bez wahania – wspomina johnson, parafrazując wykład.

Z tymi słowami Roach zerwał się, wziął z ołtarza mały rytualny sztylet i wbił go sobie w dłoń.

– Wbił go naprawdę mocno! Christie krzyknęła: „Nie!”, a my wszyscy wyciągnęliśmy szyje. Patrzyliśmy, jak McNally wyrywa nóż z jego ręki, Roach zaczyna jęczeć i płakać, a ona go uspokaja.

To wszystko było bardzo teatralne, ale krew polała się naprawdę. Uczniowie, którzy podziwiali tę parę, traktując ją jak wzór, tygodniami głowili się nad tym wydarzeniem. Czy jeśli twój lama cię o to poprosi, masz się zranić? jakie są granice bezwarunkowego oddania? johnson uznał to za szczeniacką zabawę, która wymknęła się spod kontroli. Inni nie byli tacy pewni.

Ceremonie w Diamond Mountain zwykle miały teatralny charakter. Był to taki rodzaj działań na pokaz, jakie nie zdarzają się w bardziej zamkniętych klasztorach w Indiach. Nawet w tym w New jersey, gdzie nauczał Khen Rinpocze, panowała atmosfera większej powściągliwości, rytuały przypominały raczej chrześcijańską mszę niż entuzjastyczne ceremonie baptystów. Inicjacje, które w klasztorze tybetańskim w Dharamsali mogły mieć postać trwających całe popołudnie recytacji, tu stały się widowiskami mającymi natychmiast wzbudzać emocje. Roach chciał, by jego uczniowie czuli dharmę, a

nie tylko ją rozumieli. A tajemnice wokół tantry sprawiały, że wszystko robiło się tym bardziej ekscytujące.

Niedługo po tym, jak Roach wbił sobie nóż w dłoń, Johnson wraz z osiemdziesięcioma innymi osobami wziął udział w ceremonii inicjacyjnej przed buddyjskim bóstwem tantrycznym o byczej głowie zwanym Jamantaka (lub Wadżrabhadżrawa). jego imię znaczy dosłownie „ten, który pokonał śmierć”.

Ceremonie trwały cztery dni i każdego dnia starsi uczniowie, głównie kobiety, które brały udział w pierwszym trzyletnim odosobnieniu, wygłaszali wykłady. Kulminacją była dla każdego ucznia prywatna ceremonia z udziałem gesze Michaela i lamy Christie, podczas której zyskiwał ostateczną moc mającą mu pomóc pokonać śmierć. Johnson był spięty, kiedy z opaską na oczach wszedł do pomieszczenia. Gesze Michael poprosił, by położył się na ich łóżku. Johnson to zrobił, a Roach i Christie zaczęli masować jego czakry, począwszy od głowy, a skończywszy na penisie.

– Nie jestem pewien, kto rozpiął mi spodnie, ale to miała być część błogosławieństwa – wspomina Johnson.

Kiedy skończyli, usiadł – wciąż z opaską na oczach – i poczuł na swoich ustach usta McNally. Zaczęli się całować.

– Jest taka faza inicjacji, w której twój lama powinien okazać ci swoje wsparcie, a jak naucza gesze Michael, to, co dzieje się w święcie metafizycznym, powinno się także wydarzyć w świecie realnym – mówi Johnson.

Kiedy skończyli, chichotali jak dzieci łamiące zakazy na obozie letnim, tak żeby nikt się nie dowiedział. Dziesięć minut później polecili, by weszła do nich żona Johnsona.

Allison Dey także była wolontariuszką w Diamond Mountain i podobnie jak Johnson wcześniej przez ponad dziesięć lat pracowała z Roachem i McNally. Studiowała tantrę z Roachem, ale wołała wyobrażać sobie jako swego partnera duchowego anioła, niż wchodzić w interakcje z żywą osobą podczas medytacji. Była to właściwa metoda – właśnie tego uczą ortodoksyjni Tybetańczycy

zamiast praktyki z partnerem. Ale Roach wołał kłaść nacisk na inny rodzaj medytacji.

– Miałam szczęście, że nie zostałam wciągnięta w żadną dziwną sytuację – wspomina – zanim nie dowiedziałam się czegokolwiek o tantrze. Wiedziałam, że podczas zaawansowanych praktyk nauczyciel może poprosić cię do pokoju. To, co wygląda na praktykę seksualną, ma poruszyć twoje wewnętrzne energie. – Mimo to, jak powiedziała, była otwarta na taką możliwość, gdyby to miało jej pomóc w rozwoju duchowym.

Praktyka z udziałem partnera miała swoje pułapki nawet dla Roacha i McNally. Jako droga na skróty do oświecenia skłaniała uczniów do sięgnięcia w złożone rejony własnej psychiki, ale skutki wizualizacji często przenosiły się na prawdziwe życie. McNally i Roach medytowali, wyobrażając sobie swoich idealnych anielskich partnerów podczas seksualnego zjednoczenia. McNally wizualizowała sobie Roacha jako idealnego anioła. Okazało się jednak, że Roach pozwalał swoim myślom błądzić. Skupił się na „innych kobietach, które postrzegał jako anioły", wspominała wiele lat później McNally w wywiadzie z Niną Burleigh, dziennikarką „Rolling Stone". Według Dey i innych informatorów mających okazję słyszeć sprzeczki tych dwojga Roach kontemplował w. wyobraźni dziewczynę, z którą spotykał się jako szesnastolatek[27]. Przynajmniej jeden informator twierdzi, że była to ta sama kobieta, której wizerunek wywołał wzburzenie duchowieństwa w Howell w New Jersey, kiedy Roach umieścił jej portret na okładce książki *Preparing for Tantra*. Inni informatorzy opowiadali o kolejnych kochankach na boku, które Roach nazywał aniołami, przynajmniej na czas krótkich spotkań. Jak to było możliwe z McNally najwyżej pięć metrów od niego, trudno sobie wyobrazić.

Roach pragnął, by świat rzeczywisty bardziej przypominał ten z jego wizji. W świątyni w położonej niżej dolinie zarząd Diamond Mountain organizował przyjęcia zwane *ceczu* obficie skrapiane rytualnie pobłogosławionym alkoholem i zachęcał uczniów do łamania społecznych tabu. Według Ekan Thomason, która zapisała

się na kursy tantryczne, Roach czasem pojawiał się w kobiecym przebraniu.

– Był ubrany jak dziewczynka z podstawówki, miał na sobie spódniczkę – wspomina.

W swoim uwielbieniu dla bogini Roach miał nadzieję nawiązać kontakt z własnym kobiecym aspektem i zachęcał innych mężczyzn, by szli w jego ślady. Thomason zamówiła dla niego z japońskiej strony przeznaczonej dla transwestytów podarunek w postaci damskiej bielizny zaprojektowanej z uwzględnieniem męskiej anatomii.

Sprzeczności w wizerunku Roacha – z jednej strony konserwatywnego i autentycznego mnicha na objeździe z wykładami, z drugiej ubierającego się niezgodnie z płcią buntownika – sprawiały, że uczniowie byli bardziej skłonni zaakceptować sprzeczności w jego naukach. Podczas gdy dążyli do zdobycia ekskluzywnej wiedzy, łamanie tabu zniechęciło niektórych do Diamond Mountain. Ci, którzy zostali, mieli poczucie przynależności do tajnego klubu budującego więź na tym, co zakazane.

Chociaż Roach potrafił wyjaśnić uczniom swoją szczególną drogę duchową, bez aprobaty Dalajlamy zawsze mogły się pojawiać pytania, czy jego nauki to rzeczywiście buddyzm, czy też jego natchniona boczna linia. Roach zamierzał więc spróbować uzyskać błogosławieństwo Dalajlamy, znów udać się do Indii i nauczać pod bokiem Jego Świątobliwości – w himalajskim mieście Dharamsala.

Doroczna przemowa Dalajlamy przyciąga dziesiątki tysięcy wyznawców buddyzmu. Zwykle wygłasza on swój wykład w literackim tybetańskim, zrozumiałym jedynie dla najlepiej wykształconych cudzoziemców. Uczestnicy słuchają więc jego przemów przez małe radyjka dzięki tłumaczom, którzy trochę jak w ONZ na żywo przekładają słowa Jego Świątobliwości na różne języki. Wykłady Roacha od dawna przyciągały słuchaczy tym, że mówił o dharmie po angielsku, zaplanował więc wykład w Tibetan Institute of Performing Arts, mniej więcej półtora kilometra od miejsca, gdzie miał przemawiać Dalajlama. Plan był podobny jak w

Bodh Gai na początku nowego tysiąclecia. Gdyby się udało, byłaby to niewybaczalna obraza, tak jakby członek kongresu przemówił, zanim prezydent wygłosi swoje orędzie.

Plan się jednak nie powiódł. Według jednego z informatorów Dalajlama pił właśnie herbatę, kiedy dotarła do niego ta wiadomość. Filiżanka zadrżała mu w dłoni, po czym razem ze spodkiem roztrzaskała się na podłodze. Zanim Roach zdążył dojechać do Indii, biuro Dalajlamy wydało publiczne oświadczenie zabraniające mu w ogóle wizyty w Dharamsali. List zaadresowano do wielebnego Roacha, co było znacznie poniżej jego kwalifikacji akademickich i w obraźliwy sposób podważało prawomocność tytułu gesze.

Zażądano też, by Roach dowiódł swoich duchowych urzeczywistnień.

> Jeśli osiągnął Pan drogę rozumienia, jak twierdzi Pan w swoim liście, powinien Pan być w stanie zademonstrować niezwykłe moce i dokonywać cudów, tak jak dawni siddhowie. Tylko wówczas wyznawcy buddyzmu tybetańskiego będą mogli uwierzyć w Pana słowa.
>
> Tenzin Gejcze Tethong, sekretarz Jego Świątobliwości Dalajlamy, 24 maja 2006 roku

Chociaż ani Roach, ani McNally nigdy nie dokonywali publicznie żadnych cudów, różni uczniowie z Diamond Mountain utrzymywali, że doświadczali w ich obecności rzeczy nadprzyrodzonych. Jedna z uczennic Roacha, która wołała zachować anonimowość, twierdziła, że podczas jednego z *ceczu* widziała, jak Roach i McNally przechodzą przez ścianę świątyni, łamiąc reguły czasu i przestrzeni. Patrzyła na to z otwartymi ustami. McNally uśmiechnęła się do niej dyskretnie i dała jej czapkę z daszkiem z logo ACI. Są też inne relacje – Sid Johnson pamięta, że kiedy robił zakupy dla Diamond Mountain w Tucson, zaparkował starą furgonetkę na zboczu i odszedł. Gdy się odwrócił, zobaczył, że hamulec ręczny puścił i furgonetka zaczyna się staczać. Jechała w stronę ruchliwego skrzyżowania, kiedy nagle znikąd pojawił się przed nią jakiś człowiek i zatrzymał ją gołymi rękami. Johnson patrzył zdumiony, jak ten człowiek – albo zjawa – wpycha załadowany pojazd z powrotem na górę, po czym odchodzi bez słowa.

Johnson i inni świadkowie rzekomych cudów są krytycznie nastawieni do wielu rzeczy, które wydarzyły się w Diamond Mountain. ale też nie potrafią znaleźć innego wyjaśnienia swoich doświadczeń. Czy to była boska interwencja, czy po prostu umysł płatał im figle? Diana Alstad, która wraz z Joelem Kramerem napisała książkę *The Guru Papers: Masks of Authoritarian Power* [Dokumenty guru. Maski autorytarnej władzy], wyjaśnia zjawisko tych doświadczanych cudów na poziomie psychologicznym: „Ludzie mogą przekonać samych siebie, że widzieli wiele rzeczy, które w istocie są jedynie projekcjami ich własnego umysłu”. Jej zdaniem uczniowie przekazują guru swoją energię mentalną, a ten im ją oddaje, mniej więcej tak samo jak na wielkich koncertach rockowych, kiedy zespół i publiczność czują nawzajem swoją energię. Tylko że w przypadku guru tę energię interpretuje się w kategoriach duchowych, a czasem w kategoriach cudów.

To uspokajające wyjaśnienie, ale uznanie takich historii po prostu za halucynacje też nie jest takie proste. Sid Johnson wątpi w słuszność filozofii Roacha, ale nie podważa własnych doświadczeń.

– Nie umiałbym nazwać tego inaczej niż cudem – wyznaje.

W oryginalnych *Jogasutrach* Patańdżalego jest zawarte twierdzenie, że takie rzeczy są możliwe tylko dzięki wielkiemu oddaniu, ale kultywowanie owych mocy nie sprawia, że człowiek od razu zbliża się do najwyższej prawdy. Nawet jeśli Roach mógł przechodzić przez ściany lub nie dopuścić do wypadku samochodowego, czy to automatycznie oznacza, że był idealny pod innymi względami?

Niezależnie od mocy nadprzyrodzonych zdaniem Alstad bliska relacja McNally z Roachem zmieniła ją głęboko i prawdopodobnie trwale: „Roach przejął jej umysł albo ona mu go oddała. To właśnie robi wyznawca: poddaje się”.

Ale poddanie się McNally mogło trwać tylko dopóty, dopóki własne aspiracje duchowe Roacha nie zaczęły rzutować na ich związek. Kiedy Michael medytował, wyobrażając sobie inne kobiety niż jego żona – publicznie nazwana przez niego boginią – narażał na

szwank wieczną miłość, którą oboje chcieli promieniować. Było to o jedną sprzeczność za dużo.

W 2009 roku, kiedy krystalizowały się ostateczne plany drugiego Wielkiego Odosobnienia, McNally miała dość. W wywiadzie dla „Rolling Stone" wyjaśniła, że powiedziała Roachowi: „»Słuchaj, ja już nie mogę. Albo bądź wiernym partnerem, tak jak głosisz – ciałem, mową i umysłem – albo zacznę się zachowywać tak samo jak ty«. Odpowiedział, że taka była sytuacja, w którą weszłam, i że nie ma zamiaru się zmieniać. Krótko mówiąc, zaczął odsuwać się ode mnie i popychać mnie w stronę Iana".

Zerwali ze sobą, co było dużym wstrząsem dla całej wspólnoty. Niektórzy uczniowie rozpaczali, tak jakby rozwiedli się ich rodzice. Ekan Thomason początkowo zamierzała wziąć udział w drugim Wielkim Odosobnieniu i pod kierunkiem McNally na własny koszt zbudowała sobie domek, ale po rozstaniu tej pary zaczęła się wahać.

– Czułam się tak, jakby wszystko, czego nauczał o wiecznym duchowym partnerstwie, rozpadło się na kawałki – powiedziała.

Niewierność Roacha odbiła się na wspólnocie, rozpadały się pary, które z zewnątrz wyglądały na solidne jak skała.

– Wiele osób po prostu wymieniło się partnerami – wspomina Michael Brannan.

W tym, oczywiście, lama Christie McNally.

Po tym, jak Roach przez dwanaście lat przekazywał McNally sekrety swej duchowej ścieżki, przekonał się, że dużo łatwiej jest stworzyć boginię, niż ją obalić. Gdy okazało się, że może spędzić trzy lata w jurcie w pobliżu swojej byłej żony, przekazał McNally zarządzanie ośrodkiem, jakby w ramach umowy rozwodowej. Miała wziąć na siebie rolę przywódczyni medytacji, podczas gdy Roach miał się zadowolić tytułem przywódcy duchowego *in absentia*. Ich rozstanie było trudne do pojęcia dla uczniów, którzy wcześniej słuchali przemów wychwalających wieczną miłość. Rozpad ich pozornie idealnego związku podkopał wiarę wielu osób. Jednak ponieważ w swoich naukach tantrycznych Roach często podkreślał

akceptację dla sprzeczności, niektórzy uznali, że owo rozstanie to po prostu kolejna lekcja. Allison Dey, jedna z sześćdziesięciu osób, które pozostały na terenie ośrodka, wzrusza ramionami.

– Oni byli zbyt intensywni. Moim zdaniem rozstanie wyszło im na dobre.

Roach, bynajmniej nie zniechęcony do związków, najwyraźniej nie przejmował się tymi roszadami partnerów – wykorzystał to jako okazję do namaszczenia nowej kasty członków na stanowiska kierownicze i zaaranżowania nowych małżeństw duchowych wśród swoich wyznawców. Eric Brinkman, były wojskowy, który znalazł się w otoczeniu Roacha w 2003 roku po tym, jak trafił na darmowe nagrania jego wykładów w internecie, przez siedem lat studiował tybetańską logikę, tantrę i filozofię. Był gotów pogłębić swoje zaangażowanie w organizację, składając śluby mnisie. Podczas ceremonii, w której zmienił imię na Ningpo, a ubrania na czerwone szaty, Roach oświadczył, że zamiast ślubować celibat, Brinkman potrzebuje duchowej towarzyszki. Zamaszystym gestem wskazał Mercedes Bahledę, która od dawna była jego asystentką. Poprosił ją, by weszła na scenę i stanęła obok właśnie wyświęconego mnicha. Kilkadziesiąt obecnych na ceremonii osób zawołało jednym głosem, że „Mercedes i Ningpo są jednym”[28].

11

Ian i Christie

> Nie wstydźmy się. Celem naszej praktyki duchowej jest osiągnięcie stanu czystej rozkoszy. Można to nazwać niebem albo oświeceniem, albo wyzwoleniem. Ale mowa tu o ciągłej, nieskrępowanej radości.
>
> lama Christie McNally, Ian Thorson, *Two as One: A Journey to Yoga* [Dwoje jak jedno. Podróż do jogi]

Niewielka drewniana łódka płynęła równolegle do białej piaszczystej plaży. Medytacyjny spokój, który tak cenili sobie właściciele kurortu, zakłócał odgłos motoru, zapowiadając przybycie lamy Christie McNally i Iana Thorsona. Jaskrawożółte litery wymalowane na drewnianej tablicy wiszącej nad przystanią głosiły: „Sivananda Retreat Center".

Ten ośrodek *wellness* w sercu Bahamów przyciąga międzynarodową klientelę, spragnioną wykładów o ajurwedzie, jodze, świętej sztuce i medytacji. Ośrodek, osadzony w tradycji popularnej hinduskiej mistyki, która przyczyniła się do popularyzacji jogi na Zachodzie, proponuje połączenie duchowości New Age z wakacjami na egzotycznej karaibskiej wyspie. Ludzie tutaj są młodzi, modnie ubrani, często zamożni i piękni. Urlopowicze zapisują się na zajęcia jogi na plaży i sączą starannie przygotowywane owocowo-ziołowe napary, które mają zrównoważyć ich energie, Ian i Christie przyjechali tutaj, by wspólnie wykładać na temat wiecznej miłości, konieczności medytacji oraz tego, jak można wykorzystać jogę, by wzmocnić swój związek. Każdego poranka w czasie pobytu, tak jak codziennie, odkąd zostali parą, McNally i Thorson medytowali, siedząc twarzą w twarz, wpatrzeni w wieczność ukrytą w oczach partnera. Po rozgrzewce przechodzili do szczególnego rodzaju jogi, wymyślonej, żeby zacieśniać więzi w parach. Polegała na naciąganiu kończyn partnera i wykorzystywaniu ciężaru własnego ciała, by

ostrożnie pogłębić jego pozę. Oboje nosili jednakowe naszyjniki ze srebrnymi symbolami nieskończoności, ciasno opinające szyję, oraz diamentowe kolczyki. Wydawało się, że McNally w pewnym sensie przeżywa na nowo relację z Roachem, tylko tym razem to ona była guru.

Pewnego popołudnia postanowili się wybrać na spacer do bujnego lasu na pobliskiej wyspie. Wsiedli do łodzi i popłynęli na silniku przez krystaliczne błękitne wody. Gdy kapitan wysadził ich na brzegu, poszli we dwójkę do lasu, jaskrawo ubarwione zimorodki i papugi śmigały wśród gałęzi, a zdziczałe świnie ryły na plaży. Podobne do dżakfrutów dojrzałe owoce tamaryndowca zwisały ciężko, na czubkach palm widać było pękate orzechy kokosowe. Gdy tak wędrowali przez gąszcz bez wyraźnego celu, szedł za nimi płowy pies. Był to zwierzak z rodzaju tych, które trzymają się ludzi, mając nadzieję na resztki jedzenia, ani dziki, ani domowy, żywiący się tym, co akurat od kogoś dostanie. Jak to zwykle psy, spoglądał na nich prosząco.

Po jakimś czasie ścieżka zrobiła się kręta. Wiedzieli, że mają jeszcze czas, by dojść do przystani i złapać łódkę na wyspę Nassau, gdzie znajdował się ośrodek, ale w którąkolwiek ścieżkę skręcili, wydawała się oddalać ich od celu. Kręcili się tak, a tymczasem słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi, Ian próbował odnaleźć drogę, dezorientowały go jednak kolejne skrzyżowania ścieżek. Christie nie czuła się w lesie tak pewnie jak on, ale ufała, że jej partner zdoła wybrnąć z tej sytuacji.

Ian martwił się, że będą musieli spędzić noc sami w dżungli, narażeni na żywioły i owady, zamiast cieszyć się swoim towarzystwem w tropikalnym raju. Nie wzięli za dużo jedzenia, a w miarę jak zaczęło się robić coraz później, ogarnął ich strach. Pies szedł za nimi przez większość dnia, ale gdy nadszedł zmierzch, uznał, że

nie ma co liczyć na smaczne kąski, i potruchtał w kierunku przeciwnym do tego, w którym szli. Z braku innych pomysłów Ian zaproponował, żeby pójść za nim.

Pies doskonale orientował się w swoim terenie i bez problemu znalazł drogę. W ciągu pół godziny byli z powrotem na przystani, gdzie czekał na nich kapitan łodzi, gotów zawieźć ich do spa. Gdyby ten pies nie poszedł za nimi, Ian i Christie musieliby zostać na wyspie, przestraszeni i samotni. Thorson uznał to za znak. Pies był na swój sposób ich aniołem stróżem – przewodnikiem, który wyprowadził ich z ciemności.

W ciągu pięciu lat Ian wrósł w rytm codziennego życia Diamond Mountain. Od czasu powrotu z Niemiec prawie nie miał kontaktu z rodziną w Nowym Jorku – zamiast tego bez reszty pochIan iały go praktyki zalecane przez jego dwoje lamów. Ponieważ nie przeszkadzało mu nic z zewnątrz, mógł medytować przez wiele dni bez przerwy albo wędrować po suchych wzniesieniach wokół fortu Bowie. Dawało się zauważyć, że często jest w pobliżu domu swoich nauczycieli – był pod ręką, gdyby McNally i Roach potrzebowali go w jakiejkolwiek sprawie.

Po miesiącu od przyjazdu z Niemiec poznał joginkę w okularach Annę Wheeler. Całe ramiona miała pokryte tatuażami, jeden z nich, zwracający uwagę wizerunek Indianki w tradycyjnym stroju, nadawał jej wygląd buntowniczki. Zrobiła magisterkę z *gender studies* na Uniwersytecie Stanowym San Francisco i dużą uciechę sprawiało jej rozbrajanie ukrytych patriarchalnych stereotypów. Zauroczona naturalnym wdziękiem Iana i jego filozoficznym umysłem, niemal natychmiast zaszła z nim w ciążę. To była wpadka; oboje rozważali, czy decydować się na poważniejszy związek. Roach nauczał, że aborcja to ciężki grzech, więc to rozwiązanie nigdy nie było brane pod uwagę.

Chociaż Wheeler dostrzegała w Thorsonie coś szczególnego, nie miała złudzeń co do tego, że jest troskliwym ojcem. Według wielu informatorów Ian po powrocie z Niemiec wciąż miał problemy z panowaniem nad atakami buzującego w nim gniewu. W czasie jednej z kłótni popchnął Wheeler na drzwi, tak że się przewróciła i obawiała

się o bezpieczeństwo dziecka. Wyplątała się więc z tego związku i w 2007 roku urodziła syna Devę w szpitalu w Nowym Jorku.

Thorson miał też inne kobiety – były to przelotne fascynacje – aż w końcu związał się z Nicole Vigną, masażystką mieszkającą we wspólnocie hippisowskiej w Sonomie. Vigna niechętnie przyznawała, że Ian przejawiał skłonności do przemocy, które popsuły jego związki ze Steimer i Wheeler. Podziwiała, że potrafi żyć, nie dbając o siebie; pamiętała, że zdarzyło mu się spać na kocu w jednym z pustych koryt strumieni przecinających dolinę. Nie obawiał się nagłych powodzi, buszujących pekari ani nielegalnych imigrantów wędrujących nocami przez okolicę.

– Ian był wolnym duchem – stwierdziła z czułością.

Potem, kiedy Roach i McNally się rozstali, wszystko się zmieniło. Thorson i Vigna pojechali samochodem do domu Ekan Thomason poza terenem ośrodka – niewielkiego gospodarstwa z cegły suszonej na słońcu, stojącego wśród formacji skalnych Dragoon Mountains. Po drodze zaczęli się kłócić, Ian wiedział, jakiej pragnie partnerki. Zostawił Vignę u Thomason ze śpiworem i z plecakiem. Sam pojechał piaszczystą drogą do głównej szosy, wzbijając chmurę pyłu, a obie kobiety przez całą noc rozmawiały o tym nagłym zerwaniu. Vigna wydawała się zdezorientowana. Powiedziała Thomason:

– Och, wiesz, wszystko się tam pozmieniało. Lamowie nie są już razem i śpią każdy w swoim pokoju.

Gdy następnym razem Thomason zobaczyła Thorsona, tańczył z McNally na jednej z zakrapianych alkoholem imprez w głównej świątyni.

To, że około 2010 roku Iana zaczęto widywać z boginią, nie wzbudziło takiej sensacji, jakiej można było się spodziewać w rozgadanej, skupionej do wewnątrz społeczności. Nie wszyscy lubili Iana, ale decyzja Christie, by uczynić go swoim partnerem, była dla ludzi z jakichś względów zrozumiała. Przez większość dorosłego życia uczył się pod okiem Roacha i był osobistym asystentem McNally od czasu, kiedy zamieszkał w ośrodku po powrocie z

Niemiec. Co więcej, wyglądała z nim na kochającą się parę dużo bardziej, niż gdy była z Roachem.

Roach był wówczas po sześćdziesiątce, miał zakola niczym zatoki podczas odpływu, na czubku głowy lśniła łysina. Lubił żartować, że włosy wypadły mu ze zgryzoty z powodu losu tybetańskich uchodźców, ale gdy stał obok energicznej i dojrzałej kobiety młodszej od niego o dwadzieścia lat, wyglądał jak mężczyzna dotknięty kryzysem wieku średniego, który na nowo przeżywa utraconą młodość, Ian był zupełnie inny: smukły i umięśniony dzięki zdrowszej diecie i codziennym ćwiczeniom jogi. Ciemne kręcone włosy spinał w kucyk, jego uśmiech był zaraźliwy. Co więcej, gdy związał się z Christie, jego niemal nieustanne medytacje nie tworzyły bariery, tak jak w przypadku Beatrice i Fernandy. Praktykowali razem. Podróżowali razem, Ian nie miał już kłopotu z pogodzeniem świata medytacji z rzeczywistością, ponieważ celem obojga był ten sam stan wspólnej błogości. Kiedy więc McNally zaproponowała, żeby nigdy nie odchodzili od siebie dalej niż kilka metrów, Thorsonowi łatwo było złożyć takie przyrzeczenie.

Później, w niepublikowanym zapisie wywiadu przeprowadzonego przez Ninę Burleigh w 2013 roku, McNally wspominała, że podczas gdy związki zwykle przechodzą typową drogę, na której ekscytacja zmienia się w komfort i zadowolenie, w ich przypadku tak się nie stało: „Nigdy żadne z nas się nie odsuwało, nigdy nie czuliśmy niepokoju czy nudy, każde z nas było ulubieńcem tego drugiego. Każdego dnia odkrywaliśmy w sobie coś nowego. I byliśmy bardzo szczęśliwi”. Żyli swoją praktyką i namiętnością.

Roacha, niegdyś nierozłącznego z McNally, złościł ten najwyraźniej idealny związek, tak jak złościłby każdego wzgardzonego kochanka. Na jednym ze zdjęć z tego okresu siedzi na ziemi w koszuli z logo Spiritual Gangster[29] i patrzy, jak tamci dwoje ćwiczą razem jogę. Obiektyw uchwycił jego uśmiech pełen spokojnego bólu. Zarządowi Diamond Mountain oświadczył tymczasem, że nie zrzeknie się kontroli nad swoimi duchowymi wyznawcami. W obawie, że Thorson może próbować przejąć część

jego władzy, próbował wprowadzić zarządzenie zakazujące członkom zarządu dyskutowania o sprawach administracyjnych z partnerami.

„Nie byliśmy mile widziani w towarzystwie gesze Michaela i grupy, jaką wokół siebie zgromadził. Dał jasno do zrozumienia, że to są jego zebrania i jego uczniowie i że mamy się trzymać z dala. Samo wejście do budynku czy zejście na dół zaczęło być problemem. W końcu gesze Michael opuścił ten dom i przeniósł się do budynku obok. Uczniowie musieli więc wybierać, do którego domu iść. My mieliśmy swoje zebrania, on miał swoje. Było to bardzo niewygodne", pisała McNally[30].

Nie wiadomo, co się działo za tymi zamkniętymi drzwiami. Jest jednak pewne, że McNally nie tylko weszła w nowy związek. Przygotowywała się, by w swojej praktyce duchowej podążyć w nowym kierunku. Podczas gdy Roach, jakkolwiek było to kontrowersyjne, nadal nosił szaty tybetańskiego mnicha, McNally zaczęły pociągać nauki pochodzące z innych tradycji.

Wiedziała, że drugie Wielkie Odosobnienie, które miało się rozpocząć już za rok, będzie sprawdzianem dla niej jako przywódczyni duchowej. Choć stała się sławna jako głosicielka mądrości Roacha, teraz, żeby traktowano ją poważnie, musiała stworzyć własną szkołę. Kiedy zakończy drugie Wielkie Odosobnienie, będzie miała na koncie prawie siedem lat medytacji w milczeniu, a to było coś, czym niewielu buddystów – nawet w Tybecie – mogło się pochwalić. Razem z nią na pustynię chciało pójść trzydzieści osiem osób, a ona pragnęła przekazać im coś wyjątkowego. Odpowiedź znalazła poza buddyzmem tybetańskim, w kulcie hinduskiej bogini Kali.

Archiwa cyfrowe Asian Classics Input Project zawierają tłumaczenia starych hinduskich rytuałów inicjacyjnych przywiezionych zza Himalajów przez mnichów. Można się zastanawiać, czy takie tłumaczenia pasują do tradycji buddyzmu tybetańskiego, ale McNally utrzymywała, że Kali odpowiada tybetańskiej bogini Magsormie, a może nawet samej Wadżrajogini.

Kali nie jest zwykłą członkinią hinduskiego panteonu. Chociaż jej kultowi poświęcono kilka ważnych świątyń, w tym słynną Dakszineśwar w Kalkucie, większość hinduistów wzywa jej imienia tylko w kontekście przemocy lub wojny. W Kalighat, być może najsłynniejszej świątyni tej bogini, wyznawcy codziennie składają jej w ofierze prawie setkę kóz, których głowy ścina się jednym ruchem miecza[31]. Chociaż jej imię oznacza „czarna”, zwykle przedstawia się ją z błękitną skórą i krwistoczerwonym językiem wyłożonym na brodę. Nosi naszyjnik z ludzkich czaszek, a w siedmiu ze swoich ośmiu rąk trzyma zakrwawioną broń. Z ostatniej ręki zwisa odcięta głowa jednego z jej wrogów. Na wizerunkach często tańczy nad trupem pokonanego boga.

W XVIII wieku brytyjscy kolonialiści spopularyzowali przesadzone historie na temat wyznawców Kali, których nazwano thugami (od czego pochodzi angielskie słowo *„thug”*, zbir). Thugowie byli bandytami, którzy porywali niczego niepodejrzewających podróżnych na mało uczęszczanych drogach i składali ich w ofierze bogini w zamian za magiczne moce. Nieliczni hinduiści obeznani z praktyką tantry – zwykle zupełnie inną niż tantra buddyjska – niekiedy zwracają się do Kali ze względu na kobiecą siłę duchową zwaną *siakti*. Ofiary składane bogini działają jak umowy – jeśli podarujesz jej coś, czego pragnie, w zamian obdarzy cię łaską. Choć chętnie przyjmuje zapłatę w postaci ofiar ze zwierząt, nade wszystko woli ludzką krew. W średniowiecznych Indiach liczni królowie składali jej w ofierze dzieci przed bitwą w zamian za zwycięstwo. Chociaż bywa nieokiełznana, dzika i groźna, wydaje się, że McNally chciała włączyć ją do swej medytacji tantrycznej, by przyspieszyć własną podróż ku oświeceniu. W końcu jeśli Kali mogła pomóc wygrać wojnę, dlaczego nie mogłaby poprowadzić człowieka ku nirwanie?

W październiku 2009 roku McNally zasiadła na tronie w budynku na szczycie góry, nazywanym Kopułą Lamy na Diamentowej Górze, trzymając w ręku samurajski miecz. Przysadzisty różowy budynek wyglądał jak skrzyżowanie igloo z jurtą – zamierzała w nim mieszkać

podczas odosobnienia. Cała gromada przyszłych nowicjuszy odzianych w specjalne szaty weszła gęsiego do głównej sali. Okazało się, że pomieszczenie jest ozdobione bronią – wokół wisiały miecze, karabiny, kusze, piły łańcuchowe i groźnie wyglądające narzędzia ogrodnicze. Nowicjusze wspominają, że dla większego efektu grozy zostali przed ceremonią „porwani” ze swoich kwater i zamknięci w drewnianej komórce. Ekan Thomason medytowała i odmawiała modlitwy, które zaleciła jej lama Christie; zanim wstała z ławki, McNally wskazała ją sztyletem.

– Kali żąda od ciebie czegoś więcej, żąda twojej krwi – powiedziała i przeciągnęła palcem po ostrej krawędzi noża niczym piękna i groźna piratka.

Ceremonia miała budzić przerażenie, ale reakcje uczestników były różne. Niektórzy uważali McNally za nieomylnego nauczyciela i mieli nadzieję, że mimo całej teatralności dowiedzą się więcej. Inni obawiali się, że Diamond Mountain zaczyna zbaczać na okultystyczne manowce.

– Nie rozumiałem tego – powiedział Scott Vacek, członek zarządu, który zaakceptował tę formę inicjacji, ale zbiło go z tropu jej znaczenie.

Cała ceremonia podzieliła zebranych. Niektórzy wyznawcy mający uczestniczyć w odosobnieniu zaczęli się obawiać, co będzie, kiedy zostaną zamknięci w dolinie z McNally jako przywódczynią. Thomason uważała, że ta ceremonia to zły znak, i wycofała się z listy uczestników odosobnienia.

Kali nadała nowy wymiar praktyce duchowej w Diamond Mountain, ponieważ pozwalała uwolnić tłumiony gniew i gwałtowną energię, którą niełatwo było wyładować w zazwyczaj spokojnym otoczeniu. Większość wyznawców próbowała żyć w dwóch światach naraz – tym zwykłym i tym nadprzyrodzonym – a obecność Kali pomagała stworzyć rytualne ujście dla dezorientacji, jaką niektórzy odczuwali, gdy te dwa światy się zderzały. Kali wiązała się ze śmiercią, z destrukcją, ohydą i rozkładem, więc spotkanie z nią podczas medytacji mogło pomóc niektórym ludziom pogodzić się z

tymi aspektami własnej egzystencji, Ianowi Kali mogła pomóc przenieść gwałtowne wybuchy, jakie zdarzały mu się w rzeczywistości, do świata symbolicznego, gdzie nikogo nie krzywdziły.

Wydawało się, że tak właśnie się dzieje. Poza światem tantrycznym McNally i Thorson podczas publicznych występów promieniowali zdrowiem fizycznym i doskonałością. Opracowali własną dynamiczną wersję jogi z partnerem, w której wykorzystywali ciężar ciała drugiej osoby, by bardziej się rozciągnąć. Potem, z pomocą mnóstwa kreatywnych ludzi, którzy pałętali się po kampusie ośrodka, stworzyli wyjątkowe świadectwo swojego związku – książkę zatytułowaną *Two as One: A Journey to Yoga*. Dzieło to, wydane na grubym błyszczącym papierze, składa się z czarno-białych zdjęć przedstawiających wpatrzonych w siebie czule Iana i Christie podczas różnych asan. Dochody z książki, sprzedawanej po dwadzieścia pięć dolarów, przeznaczono w całości na sfinansowanie zbliżającego się odosobnienia.

Na potrzeby sesji Ian ogolił całe ciało, zostawił tylko wąski pasek zarostu na twarzy. Już od pierwszej strony, na której nachylają się ku sobie ubrani w identyczną obcisłą czarną bieliznę, ich smukłe sylwetki tworzą elegancki kontrast z jasnym tłem, gdy przekomarzają się i całują w czułym uścisku. Ich twarze promieniują nie tylko radością z łączącej ich więzi, ale także radością życia.

Między zdjęciami przedstawiającymi ich pozy znajdują się inspirujące teksty o tym, jak potęga jogi może zmienić świat. Jeden fragment umieszczony obok fotografii, na której Ian pomaga Christie wykonać mostek, wyróżnia się na tle pozostałych.

> Nie chodzi o pozycję. Chodzi o najważniejszą decyzję dotyczącą zaufania, jakim możesz obdarzyć drugą osobę. Potem obserwujesz, jak twój umysł walczy zarówno z pokusą poddania się, jak i ze strachem. Twój partner jest na górze, swoim ciężarem wymusza skłon. Czy stawiasz opór, czy próbujesz się zabezpieczyć łokciami, czy też rozluźniasz się i pozwalasz, by przygiął cię tak mocno, jak tylko dasz radę? Czy odpychasz go, kiedy masz już dosyć, czy pozwalasz mu decydować?

Czego się boimy – trochę bólu – i co z tego? Jeśli przekroczysz ból, osiągniesz rozkosz.

Utraty kontroli?

Praktyka poddania się to praktyka lamy. Przez ten krótki czas na macie twój partner staje się dla ciebie przewodnikiem. Dajesz mu władzę, by ci pomógł.

Nie bądź mięczakiem! Im bardziej poddasz się swojemu partnerowi, tym bardziej stanie się on dla ciebie kimś, kto może cię poprowadzić właśnie tam, dokąd chcesz iść. Ta praktyka to coś większego niż was dwoje. To, co robicie razem na macie, może naprawdę rozejść się niczym fala i zmienić świat.

Więc bądź odważny i zabij w sobie strach, przed wszystkimi.

McNally już wcześniej poddała się swojemu kochankowi jako istota boska. Podczas pierwszego Wielkiego Odosobnienia, które zaczęło się ponad dziesięć lat wcześniej, Roach ogłosił, że Christie jest wcieleniem Wadżrajogini. Teraz mogła być tym samym dla Thorsona. Ich związek był zarazem boski i fizyczny i miał im przynieść błogość. Poddając się sobie nawzajem, mieli odsłonić i zaakceptować najciemniejsze zakątki psychiki tego drugiego. Przyrzekli sobie, że niezależnie od tego, co się będzie działo, nie przestraszą się tego, co odkryją.

Mimo trwającego rozwodu McNally i Roach wciąż regularnie występowali razem, by wspólnie nauczać podczas zakończenia siedmioletniego kursu tantry, po którym grupa miała być ostatecznie gotowa do rozpoczęcia trzyletniego odosobnienia. Ekan Thomason pamięta pełen napięcia wieczór, kiedy wszyscy zebrani słuchali, jak byli kochankowie opowiadają na scenie o tym, co spodziewają się znaleźć podczas swojej podróży. Spoglądając na swoją trzódkę, Roach zadał retoryczne pytanie:

– Jak myślicie, który z uczestników zerwie z siebie ubranie i będzie biegał nago po dolinie? Zawsze jest ktoś, kto umiera, i ktoś, kto wariuje w czasie trzyletniego odosobnienia.

Większość słuchaczy nie zapamiętała tej uwagi, ale Thomason zapadła ona w pamięć. Kilka tygodni później, podczas kontynuacji zajęć, McNally przyszła do sali w swoich białych szatach i czekała na

Roacha. Usiadła na scenie, spodziewając się, że jej lama pojawi się lada chwila. Cała sala czekała w milczeniu, czas mijał powoli. Godzinę później ktoś przyniósł wiadomość, że Roach „za radą swojego anioła” postanowił nie przyjść na wykład. McNally tego wieczoru wykładała sama, niewątpliwie zastanawiając się nad tym, któż to jest nowym aniołem Roacha.

Ktokolwiek to był, Christie nie mogła się doczekać chwili, gdy pozostawi to małżeństwo za sobą. Kiedy ona i Ian wrócili z Karaibów, kontynuowali swój objazd ze spotkaniami związanymi z książką – sprzedawali ją w eleganckich studiach jogi od Manhattanu po Japonię. Podróż ta była zarazem okazją, by pożegnać się z przyjaciółmi, z którymi nie będą mogli się kontaktować podczas odosobnienia. Nikogo nie zdziwiło, gdy ogłosili też, że zamierzają sformalizować swój związek. W pośpiechu postanowili, że wezmą ślub w pobliżu Montauk, szykownego nadmorskiego kurortu, gdzie Ian spędzał wakacje i surfował jako chłopiec.

Musieli tylko pokonać jedną przeszkodę prawną. Chociaż po pierwszym Wielkim Odosobnieniu Roach i McNally nie ukrywali swojego związku, prawie nikt nie wiedział, że rzeczywiście wzięli potajemnie ślub w Little Compton na Rhode Island. Ich rozstanie nigdy nie zostało załatwione od strony prawnej. Więc przed ślubem w Montauk McNally ponaglała byłego ukochanego, by złożył oficjalne papiery rozwodowe w sądzie hrabstwa Yavapai. W efekcie ugody McNally dostała czerwonego dodge’a durango, a Roach mały dom w Rimrock w Arizonie, gdzie miał zamiar spędzić emeryturę. Podzielili się też prawami autorskimi do rozmaitych książek, a Roach mógł teraz skończyć książkę, którą zaczęli pisać razem – *The Karma of Love*, mającą dać odpowiedź na sto najczęstszych pytań dzielących kochanków. McNally zrzekła się prawa do książki i pozwoliła, by Roach dokończył ją samodzielnie[32].

Podczas pospiesznych przygotowań do ślubu para zatrzymała się na Roosevelt Island u rodziny Iana. Był to dziwny układ, ale Kay uznała, że to szansa na odnowienie kontaktów z utraconym synem, Ian wykorzystał wizytę w Nowym Jorku, żeby spotkać się z dawno

niewidzianym przyjacielem ze Stanfordu, Saulem Kato. Przez te lata Kato poszedł drogą stanfbrdzkiego barona techniki. Założył i sprzedał z zyskiem kilka start-upów, po czym zrobił dyplom z neuronauk. Po wyjeździe Iana do Niemiec zupełnie stracili kontakt, ale zaproszenie na ślub dało im pretekst, żeby się spotkać.

Kato uśmiecha się szeroko, gdy wspomina, jak Ian przyszedł z Christie w białych szatach.

– Ian lubił wyzwania. Wcale mnie nie zdziwiło, że zgarnął temu guru jego główną laskę.

Kato wydawało się to dość szczeniackim osiągnięciem, ale w zbliżającym się odosobnieniu widział także okazję do badań, które mogłyby się przyczynić do rozwoju neuronauki. Zastanawiał się, w jaki sposób trzy lata milczenia i medytacji mogą zmienić mózg jego przyjaciela, poprosił więc Iana, żeby dał sobie zrobić rezonans magnetyczny, by później móc przeanalizować neurologię oświecenia. Czy uzyskaniu wyższej świadomości mogą towarzyszyć jakieś określone zmiany w mózgu? Ian zapalił się do tego pomysłu i pobiegł do domu, aby powiedzieć o tym matce.

Projekt był ambitny, a komplikacje logistyczne przytłaczające. Żeby poddać się rezonansowi w trakcie odosobnienia, Ian musiałby sobie zrobić kilka dni przerwy i pojechać do Tucson, a McNally ostrzegała, że taka przerwa zaburzy jego praktykę i że wyjazd z ośrodka nawet na kilka godzin to zły pomysł. Przedsięwzięcie nie doczekało się więc realizacji.

– Szkoda, że to się nie udało – mówił Kato, kiedy spotkałem się z nim w instytucie badawczym niedaleko San Diego. – Moglibyśmy naprawdę wiedzieć, co się działo z jego mózgiem.

Kay Thorson wciąż jest zawiedziona. Miała nadzieję, że Kato wykorzysta ten eksperyment jako swój wkład w rozwój nauki i być może wyjaśni neurologiczne przyczyny dążenia Iana do tego, co boskie.

Tydzień czy dwa później część rodziny Iana wybrała się na ślub do Montauk. Co zaskakujące, cała uroczystość była dość tradycyjna. McNally włożyła białą suknię ślubną z koronkowym welonem

opadającym jej na prawe oko, na szyi zaś miała podwójny sznur pereł. Stanęli na klifie nad morzem, a pastor odczytał im słowa przysięgi. Roach nie przyjechał, ale w ślubie uczestniczyła z setka gości. Druhny były ubrane na niebiesko. Siostra Iana Alexandra Thorson odmówiła udziału. Czuła, że już nie może się przejmować poczynaniami brata. Chociaż miała nadzieję, że jest szczęśliwy, wiedziała, że przepadł.

– No tak, wzięli ślub, a zamiast miesiąca miodowego wybierali się na trzyletnie odosobnienie – powiedziała. – Moim zdaniem w tym momencie było już po wszystkim. Miałam tego dosyć.

Po ceremonii goście wrócili do domów. Christie i Ian pojechali zaś do Diamond Mountain po raz pierwszy i ostatni jako małżeństwo.

12

Exodus

Ale jakże to mógł być wypadek, skoro to moja ręka trzymała nóż?

lama Christie McNally

Zima spadła na pustynię w Arizonie niczym młot. W ostatnią noc grudnia 2010 roku lama Christie i trzydzieścioro dziewięcioro uczestniczących w medytacji zebrało się razem w budynku świątyni wraz z przyjaciółmi i rodzinami. Wicher hulał w dolinie, unosząc pył i żwir. Ludzie zjechali się z całego świata: Wielkiej Brytanii, Australii, Izraela, ale większość uczestników odosobnienia była Amerykanami. Chociaż w sali panował tłok, nie zrobiło się na tyle ciepło, żeby mogli zdjąć zimowe kurtki. Niektórzy, by się rozgrzać, rozcierali ramiona, inni tylko uśmiechali się, dygocząc. Teren medytacji został ogrodzony, domki były gotowe, McNally ustaliła ostateczną liczbę uczestników, z setki ludzi, którzy byli gotowi podjąć to zobowiązanie, wybierając tylko tych najbardziej oddanych misji. Ten wieczór był słodko-gorzki – uczestnicy medytacji mieli zobaczyć swoje rodziny dopiero za tysiąc dni. Wiedzieli, że życie będzie się toczyło dalej bez nich, że stracą przyjaciół i ukochanych. Niektórzy zapewne musieli się zastanawiać, czy to przedsięwzięcie jest tego warte.

Christie McNally weszła na scenę, by wygłosić mowę pożegnalną. Miała trudne zadanie. Musiała przekonać zebranych, że ta misja to nie tylko samotna wyprawa wgłąb własnej psychiki, ale także żarliwa próba ocalenia świata. Jurty to laboratoria, a uczestnicy odosobnienia to tacy sami naukowcy jak ludzie, którzy skonstruowali bombę atomową. Wspólnie odkryją fundamentalne prawa wszechświata. Za trzy lata niektórzy z nich wrócą do świata jako bodhisattwowie.

Część osób z publiczności, które przyjechały pożegnać swoich przyjaciół, nie miała pojęcia o buddyzmie, więc żeby wyjaśnić, co właściwie mają zamiar zrobić, McNally zaczęła opowiadać fabułę filmu *Matrix*. Młody Keanu Reeves gra w nim Neo, programistę. Przypadkiem odkrywa on, że świat, w którym żyje – w którym wszyscy żyjemy – to w istocie symulacja tworzona przez serwery komputerowe wielkości wieżowca. Prawdziwy świat to przerażające postapokaliptyczne pustkowie, w którym ludzie są niewolnikami maszyn. Kiedy Neo odkrywa prawdziwą naturę programu komputerowego, który rządzi światem, uświadamia sobie, że może zmienić kod, tak żeby program był posłuszny jego woli. Zatrzymuje czas, zgina łyżki siłą umysłu i lata nad miastem niczym Superman. Tymczasem siły, którym zależy na podtrzymaniu iluzji – w osobach agentów w czarnych garniturach – podążają za nim krok w krok. Zdaniem McNally *Matrix* był doskonałą metaforą.

> Zastanawiałam się, w jaki sposób opowiedzieć wam o pustce. Ten film nieźle to pokazuje. Właściwie to byliśmy naprawdę zachwyceni, że nakręcili o nas film! Bo to właśnie próbujemy robić. Wszystkie starożytne teksty, które studiowaliśmy przez ostatnie sześć lat, mówiły o tym, że świat nie jest tym, czym się wydaje. To, co nas otacza, co uważamy za rzeczywistość, nie istnieje w taki sposób, jak sądzimy. Pochodzi z czego innego. Pochodzi od ziaren w waszych sercach. To coś jak wirtualna rzeczywistość, ale nie wyświetla jej żaden superkomputer, tworzymy ją my sami. To my projektujemy naszą rzeczywistość. A wynikają z tego zdumiewające rzeczy. Bo to znaczy, że możecie zrobić to samo co Neo. jeśli cokolwiek w świecie wam się nie podoba, możecie sięgnąć w głąb swojego serca i zmienić kilka rzeczy, a wtedy zmieni się świat. Podczas tego trzyletniego odosobnienia chcemy sprawdzić, czy nam się to uda.
>
> przemowa lamy Christie do rodzin uczestników odosobnienia, grudzień 2010 roku

Koordynatorzy odosobnienia zarejestrowali ten wieczór na wideo. Szpakowaty Scott Vacek sfilmował publiczność, po czym poprosił McNally, żeby wygłosiła jeszcze przemowę do donatorów. Od kiedy ośrodek zaczął gromadzić fundusze, zebrano prawie półtora miliona dolarów z datków, honorariów za wykłady McNally i Roacha oraz skromnych tantiem za książki. To wystarczyło, żeby otrzymać ziemię

na własność, ale utrzymanie ośrodka nadal było problematyczne. McNally poprosiła więc potencjalnych sponsorów o dolara dziennie na utrzymanie, tak by wolontariusze mogli zaopatrywać kuchnie i gotować im zdrowe posiłki.

Drugie Wielkie Odosobnienie było przemysłową wersją pierwszego – rodzajem fabryki oświecenia. Nazwali je Odosobnieniem dla Pokoju. Zgodnie z planem Diamond Mountain miała się stać jednym z najważniejszych ośrodków medytacyjnych buddyzmu tybetańskiego na półkuli zachodniej. Na zakończenie wieczoru wszyscy uściskali się i życzyli uczestnikom powodzenia, po czym, gdy słońce dawno zaszło już za górę, na której Geronimo ponad sto lat wcześniej rozmawiał z bogami, McNally poprowadziła uczestników w mrok. Thorson szedł u jej boku, niosąc trzy plastikowe torby z zapasami. Cienkie bawełniane szaty McNally furkotały na wietrze. Co ciekawe, przynajmniej na filmie nie widać, żeby dygotała.

Następnego ranka para obudziła się w swoim domku, zobowiązana przez wzajemne śluby milczenia. Z okien roztaczał się wspaniały widok na dolinę medytacyjną poniżej. Był to najwyżej położony budynek, więc każdy z uczestników odosobnienia mógł podnieść głowę i zobaczyć dom swojej nauczycielki. Gdyby mieli lornetkę albo teleskop, mogliby nawet zobaczyć, jak Ian i Christie w świetle poranka ćwiczą na ganku swoją akrobatyczną jogę. Takie położenie domu miało inspirować innych mieszkańców doliny i być sygnałem, że podczas swojej duchowej podróży nigdy nie będą samotni.

Chociaż uczestnicy nie mogli się do siebie odzywać, plan zajęć w Diamond Mountain nie wykluczał wspólnych działań. Po dwóch miesiącach intensywnej medytacji następowały dwa miesiące, podczas których uczestnicy mogli chodzić po terenie i spotykać się w milczeniu. Nikomu nie wolno było się odzywać, ale mogli przekazywać sobie wiadomości na piśmie oraz wysyłać listy na zewnątrz. Wcześniej uczestnicy poświęcili granice doliny podczas świętego rytuału i ślubowali ich nie przekraczać. Po tybetańsku takie

granice nazywają się *cam*, a zgodnie z logiką tantry są one czymś w rodzaju komory rezonansowej, która wzmacnia zbiorową energię duchową.

W przerwach między intensywnymi miesiącami uczestnicy realizowali tajne projekty. Wieczorem część z nich budowała wijącą się ścieżkę na szczyt góry wznoszącej się nad ośrodkiem, nazwanej przez nich Tara od imienia tybetańskiej bogini. Ścieżka wiodła wschodnim zboczem doliny, a potem przez tereny państwowe. W połowie drogi znajdowała się porzucona sztolnia, z której rozciągał się widok na ruiny fortu Bowie, wykorzystywana kiedyś przez żołnierzy Unii. Uczestnicy odosobnienia chowali kilofy i przybory rytualne w szczelinie, wraz z kilkoma drewnianymi deskami, na których w razie konieczności można było spać. W dzień ścieżka była widoczna z posterunku straży parku, więc pracowali wieczorami, żeby strażnicy nie przyłapał i ich i nie aresztowali za ingerencję w krajobraz parku narodowego. Co najmniej jedna z uczestniczek nagięła zasady i umówiła się z ukochanym na spotkanie w jaskini, żeby nie przyprowadzać go na święty teren.

Kiedy okoliczni strażnicy odkryli ścieżkę, byli zdumieni ilością pracy, jakiej wymagała. Mogli ukarać ośrodek grzywną w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, bo tyle kosztowałoby przywrócenie zbocza do pierwotnego stanu, ale pamięć o strzelaninie w Miracle Valley wciąż ciążyła na relacjach między władzami a marginalnymi grupami religijnymi w hrabstwie Cochise. Służba parku uznała więc, że pozwoli buddystom poprowadzić ścieżkę na szczyt góry, pod warunkiem że większość odwiedzających park nigdy się o niej nie dowie.

Jednak po niedługim czasie konflikt stał się nieuchronny. W marcu 2011 roku, trzy miesiące od rozpoczęcia odosobnienia, Christie i Ian zeszli z domu na górze, Ian z trudem kuśtykał drogą dzielącą dolinę, przyciskając do boku zakrwawiony materiał. Razem zapukali do drzwi pielęgniarki, która również uczestniczyła w odosobnieniu, i poprosili o pomoc. Spod tkaniny sączyła się krew, jak się okazało, z trzech ran po dźgnięciu nożem.

Nikt nie tłumaczył, jak do tego doszło, ale rany między żebrami i na ramionach Iana były na tyle głębokie, że mogło dojść do uszkodzenia organów wewnętrznych. Pielęgniarka odmówiła pomocy w obawie, że ma za małe umiejętności i że, co gorsza, może zostać uznana za współwinną przestępstwa. Ian i McNally, bojąc się, że jeśli pojadą do szpitala, sprawą zainteresuje się policja, wybrali inne wyjście: pokuśtykali do Renee Mirandy, która niechętnie opatrzyła rany i założyła precyzyjne szwy.

Rany miały pozostać tajemnicą, ale szeptane plotki o przemocy domowej zaczęły krążyć tak samo jak w przypadku romansów Roacha i jego różnych uczennic niemal dziesięć lat wcześniej. Do zamkniętej doliny wdarł się niepokój.

Pewnego dnia medytujący zobaczyli na horyzoncie czarny dym. Zbliżało się lato, słońce wyssało z ziemi całą wodę, koryta strumieni były suche, a wyschnięte jałowce mogły łatwo się zapalić. W czerwcu przez doliny przeszła fala ognia układająca się w kształt podkowy – był to jeden z wielu pożarów w Arizonie, które ogarnęły obszar o powierzchni niemal dwustu tysięcy hektarów. Redakcja „New York Timesa” wysłała reportera, który miał sprawdzić, jak uczestnicy odosobnienia mają zamiar poradzić sobie z pożarami. Dziennikarz rozmawiał ze Scottem Vackiem, który powiedział, że bierze pod uwagę ewakuację, ale tylko w ostateczności.

> – Widzą dym nad wzgórzami – powiedział Scott Vacek, jeden z opiekunów pracujących na terenie ośrodka i również praktykujący buddysta. – Wydaje się przerażająco blisko. Ale nie powiedzieliśmy im, że może będziemy musieli ich ewakuować. Uznaliśmy, że to bez sensu, bo wtedy byłby koniec medytacji. Nie byliby w stanie się skupić.
>
> „New York Times”, 17 czerwca 2011 roku

Niebo pociemniało od dymu, ogień dotarł na krawędź doliny, ale nie przekroczył granicy *cam*. Wydawało się, że to dzięki medytacjom i narzucaniu przyrodzie własnej woli udało się utrzymać ogień z dala. Ale to bliskie zagrożenie mogło też być przestrogą.

Dopiero w marcu 2012 roku McNally miała okazję wystąpić publicznie, tak samo jak podczas odosobnienia w St. David dziesięć

lat wcześniej, żeby ludzie z zewnątrz mogli sobie wyobrazić, co dzieje się podczas trzyletnich medytacji.

Na potrzeby tego spotkania kucharze, ochotnicy, jogini i medytujący postawili namioty na skalistym gruncie niższej doliny i zarezerwowali kilka pokojów hotelowych w pobliskim kowbojskim miasteczku Willcox. Podczas trzydniowej imprezy wygłoszono wiele apeli o datki, ponieważ zarząd ośrodka walczył o fundusze, które pozwoliłyby kontynuować odosobnienie. W głównej świątyni odbywały się darmowe zajęcia z jogi i medytacji kierowanej. Pospiesznie wyrównany parking zapełniła co najmniej setka samochodów, momentami w świątyni było tyle ludzi, że nie mieścili się w środku.

Podobnie jak wcześniej, uczestników medytacji oddzielała od reszty publiczności ciężka zasłona, a kiedy któryś z nich wchodził na scenę, miał opaskę na oczach i odzywał się nie swoim, odwykłym od mówienia głosem. Wydawało się, że niektórzy są zaskoczeni dźwiękiem własnego głosu. Wykłady prowadzone przez uczestników odosobnienia i personel trwały trzy dni. W kulminacyjnym momencie McNally, jak zwykle w białych szatach, wyłoniła się zza zasłony, uśmiechając się urzekająco spod żółtej jedwabnej opaski na oczach. Michael Roach nie pojawił się przez pierwsze dwa dni imprezy, ale wybrał się specjalnie na wykład swojej byłej żony. Dzięki internetowej transmisji jej słów mogli słuchać na żywo wyznawcy na całym świecie.

Z początku wydawało się, że wykład zapamiętają może najbardziej zaangażowani uczniowie – i że jest to kolejne wyjaśnienie tajemniczego mechanizmu karmicznych ziaren i jej własnego gorącego pragnienia, by bezpośrednio doświadczyć pustki. McNally wspominała swoje nauki pod kierunkiem Roacha i lata spędzone u jego boku, poczynając od pierwszego odosobnienia.

– Jeśli twojemu lamie nie podoba się to, co robisz, daje ci w łeb – powiedziała, po czym dodała: – Gesze Michael tak właśnie robił ze mną.

Był to początek wyjaśnienia, skąd wzięły się rany na ciele Thorsona.

Dla Christie i Iana odosobnienie stało się okazją, by zrozumieć przemoc na bardzo osobistym poziomie. Słuchacze kiwali głowami, przypominając sobie wybuchy Thorsona, a McNally stwierdziła, że kiedy oboje weszli już w rytm codziennych medytacji, w ich związku zaczęła narastać „agresywna energia”. Modlili się do bogini Kali o pomoc i zdali sobie sprawę, że aby zapanować nad tą energią, najpierw będą musieli wzmocnić swoje uczucia agresji i pragnienie przemocy, zamiast próbować zdławić płomienie. Zaczęli więc grać. McNally powiedziała, że przyjęła rolę Kali i uzbroiła się w nóż kuchenny, który dostała jako prezent ślubny. Czuła, jak energia bogini płynie przez jej ciało, kiedy próbowała zwizualizować sobie idealną agresję. Stała się gniewną boginią, a wtedy oboje przyjęli postawy bojowe i skupili umysły na czymś pomiędzy medytacją a gotowością do walki.

> Zmagamy się ze sobą niczym mistrzowie sztuk walki w milczeniu i napięciu. Waham się, czy w to wejść, czuję się niepewnie na tym placu zabaw. On podaje mi nóż, wielki nóż, i zaczyna mnie prowokować: „No dawaj”. Podeszłam do swojego partnera z tym nożem, bo to właśnie powinnam była zrobić. On powinien był mnie powstrzymać. Złapać mnie za nadgarstek, ale z jakiegoś powodu po prostu przestał walczyć. Nóż opadł i naprawdę wbił się w jego ciało. Z początku niczego nie zauważyłam. Ale potem on jakby złapał mnie w objęcia, a nóż przypadkiem znów zadał cios – przypadkiem, nie wiem. On pada na podłogę. Potem ona [Kali] odchodzi, zaczyna płynąć krew, upuszczam nóż.
>
> „Och, co ja zrobiłam?”
>
> Byłam przy zdrowych zmysłach, kiedy zaatakowałam swojego partnera nożem (dziwnie to brzmi). Wśród tej energii cały czas myślałam: „Nie wolno mi go zranić”. Myślę, że pewnie to ocaliło mu życie.
>
> Potem powiedziałam coś w rodzaju: „To był wypadek!”. Ale jakże to mógł być wypadek, skoro to moja ręka trzymała nóż? Spojrzałam na niego i zapytałam: „Co ty wyprawiasz? Dlaczego mnie nie powstrzymałeś? Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?”. Całe napięcie zniknęło, jego oczy były zupełnie jasne; spojrzał na mnie, jakby naprawdę cieszył się z tego, co zrobiłam.
>
> „Ufam ci”, powiedział.

> Zeszliśmy więc z naszej góry, żeby poszukać kogoś, kto zszyje mu rany. Rana była poważna. Potem, kiedy wróciliśmy do domu, wzięłam ten nóż [...] ten przedmiot nie mógł dłużej zostać w naszym domu. Więc odłożyłam go do pudełka, zapakowałam i odstawiłam do szafy na zewnątrz, bo nie chciałam, żeby był w pobliżu. Czułam mdłości za każdym razem, gdy na niego patrzyłam.

Poczucie rzeczywistości wróciło, kiedy zbladła wizja bogini Kali. „Święty kochanek” Christie był ranny, a jej było trudno pogodzić się z rolą, jaką odegrała. To jej ręka trzymała nóż, ale ona twierdziła, że wina za to wydarzenie leży gdzie indziej. Być może to nóż był winowajcą[33]. To, że Ian w decydującym momencie przestał się bronić, świadczy albo o skłonnościach masochistycznych, albo o pragnieniu igrania ze śmiercią, Ian podczas wykładu pozostał ukryty za kurtyną, nikt więc nie widział jego reakcji na te słowa.

Później, w tekście zatytułowanym „A Shift in the Matrix” [Zmiana w Matrixie], McNally tak pisała o tym wydarzeniu: „Mój ukochany uczył się być w związku z kimś, kto ma dużo większą moc niż on. Z początku to było trudne i czasami się załamywał”. Pisała, że wzywali boginię Kali. „Kiedy zdarzył się ten wypadek, mój ukochany powiedział, że to było jak wysłuchanie naszych modlitw”.

Sierra Shafer, dwudziestoparoletnia wyznawczyni z rudymi dredami do pasa, która niedługo wcześniej ukończyła Reed College, pamiętała, że wszyscy aż westchnęli z wrażenia, ale nikt nie wiedział, jak ma rozumieć przemowę McNally. Lekcje tantry często przeczyły zdrowemu rozsądkowi. Czy to tak bardzo różniło się od tej sytuacji, kiedy Roach polecił McNally włożyć rękę w ogień? Spojrzeli na Roacha, szukając wskazówek, ale on nie odezwał się ani słowem i szybko wyszedł.

Niektórzy uznali, że ta przemowa była częścią sprzeczki nowożeńców prowadzonej na oczach publiczności. Roach szukał odpowiedzi w medytacjach, prosząc o pomoc swoje anioły. Następnego dnia zorganizował publiczne spotkanie, podczas którego potępiono ten brutalny rytuał. Roach ogłosił zarządowi, że zamierza

odebrać swojej charyzmatycznej byłej żonie kontrolę nad wspólnotą[34].

Zarząd złożył doniesienie szeryfowi hrabstwa Cochise, dołączając fragment przemowy McNally. Dżigme Palmo, mniszka, która przynajmniej formalnie była odpowiedzialna za opiekę nad uczestnikami odosobnienia, martwiła się, co czeka Diamond Mountain, kiedy wieść się rozejdzie albo jeśli dojdzie do kolejnego podobnego incydentu.

– Sytuacja była trudna do zniesienia – powiedziała wiele miesięcy później. – Nie zdawaliśmy sobie sprawy, co się dzieje wewnątrz ośrodka.

Ponieważ nie wolno im było wchodzić na teren *cam*, niełatwo było się dowiedzieć, czego McNally naucza pozostałych uczestników. Zarząd skonsultował się z prawnikiem i wysłał pisma do McNally, domagając się niezwłocznie informacji na temat ewentualnej przemocy domowej i jej coraz bardziej chaotycznych decyzji. Wieści o aktach przemocy zaczęły się rozchodzić w społeczności, więc lepiej było zapanować nad wyznawcami we własnym gronie, niż pozwolić, by zajął się tym ktoś z zewnątrz.

Zarząd domagał się oświadczeń na piśmie od uczestników. McNally próbowała utrzymać kontrolę nad medytującymi, zabraniając im wszelkiej korespondencji ze światem zewnętrznym. Zakazała przesyłania jakiejkolwiek poczty i poleciła uczestnikom, by odmawiali kontaktu nawet ze swoimi rodzinami. Zarząd trzymał się słów Roacha jako duchowego dyrektora Diamond Mountain. Roach potępił McNally, mówiąc, że za daleko odeszła od istoty jego nauk, i nalegał, by zarząd jednostronnie pozbawił ją stanowiska przywódczyni odosobnienia oraz możliwości przebywania na terenie ośrodka.

Zarząd usunął z internetu zapis jej przemowy, zaczął też usuwać wszelkie zamieszczone online materiały z nią związane, tak samo jak wcześniej w przypadku Michaela Gordona i firmy Bumble and Bumble. Chcieli zatrzeć wszelki ślad związków McNally z Diamond

Mountain. Strony, na których dawniej dumnie prezentowano mnicha i jego żonę nauczających ramię w ramię, przestały działać.

McNally wyznała później jednemu z reporterów: „Gesze Michael powiedział innej grupie ludzi, że jestem niebezpieczna. Może dla niego”.

Scott Vacek i Rob Ruisinger, prezes zarządu, pojechali pick-upem przez dolinę, by dostarczyć wiadomość osobiście. Christie i Ian siedzieli w tym samym pokoju, który rok wcześniej był zalany jego krwią. Próbując wspólnymi siłami przygotować się na różne ewentualności, gorączkowo pisali do siebie liściki. Usłyszeli, jak koła półciężarówki zgrzytają na żwirze, a gdy wyjrzeli na zewnątrz, zobaczyli zbliżających się członków zarządu. McNally, która nie przywykła do niezapowiedzianych wizyt, mówiła, że wyczuła „złe intencje”. Oboje uciekli więc do łazienki i schowali się obok żeliwnej wanny. Mężczyźni pukali, ale ponieważ nikt im nie odpowiedział, wetknęli pod drzwi dwa listy. McNally tak później relacjonowała ich treść: „Zarząd zagłosował, już nie jesteś przywódczynią odosobnienia. Już nie jesteś duchowym dyrektorem Diamond Mountain. Masz godzinę, żeby opuścić teren ośrodka. W przeciwnym razie wezwiemy szeryfa i zostaniesz usunięta siłą. Szeryf już czeka”.

Wyjście z milczącej medytacji przypomina nieco powrót na powierzchnię po długim nurkowaniu; jeśli ktoś wynurzy się za szybko, może to być ogromny stres i wstrząs dla psychiki. Roach i zarząd wiedzieli, że zgodnie z właściwymi procedurami z takiego odosobnienia powinno się wychodzić stopniowo, ale bardziej obawiali się potencjalnych konsekwencji tej sprawy dla interesów ośrodka niż skutków dla Christie czy Iana.

Chociaż cały świat zewnętrzny sprzysiągł się przeciwko niej, milczenie w dolinie medytacyjnej wciąż dawało McNally pewną władzę. Jeśli jeszcze kogoś to obchodziło, nadal była przywódczynią w obrębie *cam*. Oboje z Ianem obeszli razem jurty uczniów i zorganizowali kampanię w postaci listów do zarządu, by zmusić go do zmiany zarządzenia. Większość uczniów biorących udział w odosobnieniu podczas przynajmniej jednej inicjacji uznała McNally

za swojego lamę. Sprzeciw wobec niej oznaczałby złamanie jednego z najważniejszych tantrycznych ślubowań. Nie musiała długo zabiegać o ich poparcie.

McNally, wspierana przez uczestników, oraz zarząd targowali się niczym kupcy na arabskim bazarze. Zarząd ostatecznie ustąpił i zaproponował, że pokryje koszty hotelu, wynajęcia samochodu, da jej dwa telefony na kartę oraz trzy tysiące sześćset dolarów w gotówce – jeśli tylko opuści ośrodek w ciągu pięciu dni. Może ona i Ian mogliby wrócić na Bahamy i tam prowadzić medytacje albo pojechać do ośrodków medytacyjnych w Kolorado lub Katmandu, gdzie z pewnością znajdą odbiorców swojej filozofii. Niezależnie od rozwiązania Christie miała jednak zostawić swoich uczniów w Diamond Mountain i przekazać duchowe przewodnictwo Michaelowi Roachowi.

McNally potrzebowała pomocy. Zwróciła się do mnicha, któremu nadała imię Chandra, oraz do byłego bankiera inwestycyjnego Akashy, ponieważ spodziewała się, że obaj będą lojalni wobec niej niezależnie od sytuacji. Obaj byli pracownikami obsługi w Diamond Mountain i mogli pomóc McNally i Thorsonowi zorganizować ich powrót do świata po opuszczeniu ośrodka. Chandra miał wytatuowane całe ramiona, zdaniem niektórych po to, by ukryć ślady dawnego uzależnienia od heroiny. Kiedyś był kucharzem w restauracji w Houston i nie zawsze oddawał pieniądze, które pożyczali mu inni uczniowie. Akasha urodził się w Indiach i zamieszkał w Nowym Jorku, gdzie próbował projektować modele ilościowe do przewidywania fluktuacji na giełdzie. Kiedy poniósł porażkę, wyjechał na pustynię, by prowadzić bardziej kontemplacyjne życie.

McNally poleciła swoim dwóm pomocnikom kupić zapasy na dłuższy pobyt na pustyni. Ona i Thorson potrzebowali sprzętu biwakowego i wszystkiego, co konieczne do życia w warunkach polowych. Skoro Roach nie pozwala im dokończyć trzyletniej misji na terenie Diamond Mountain, mogą kontynuować to, co zaczęli, mieszkając gdzieś w pobliżu.

Formalnie rzecz biorąc, święte linie *cam* wykraczały poza oficjalne granice działki należącej do Diamond Mountain. Święta pętla obejmowała obszar góry Tara, gdzie niegdyś wędrował Geronimo. Małżonkowie mogli tam żyć jak Indianie i wykorzystać świętą energię ziemi, żeby osiągnąć oświecenie. Gdyby im się udało, któż byłby gotów podważać ich przywiązanie do dharmy albo słuszność ich działań?

Akasha pojechał do ekskluzywnego sklepu turystycznego w Tucson i kupił za własne pieniądze sprzęt wart wiele tysięcy dolarów. Wszystko było superlekkie i supernowoczesne. Do wyposażenia na wypadek sytuacji kryzysowych dodał radiolatarnię, telefon satelitarny na baterie słoneczne oraz filtr do wody.

Szukając sojuszników, McNally spotkała się z Michaelem Brannanem, w którym nauki wygłaszane w Diamond Mountain od dawna budziły wątpliwości. W tym czasie Brannan miał obowiązek dostarczania świeżych warzyw do ośrodka, a jednocześnie medytował na własną rękę w przyczepie w Bowie. Usiedli razem i komunikowali się, przekazując sobie notatki na kartkach, rejestrowali więc jednocześnie swoje myśli w tamtym momencie.

Brannan przechowuje teraz te kartki niczym świętą relikwię. McNally budzi w nim zarazem uczucia opiekuńcze i smutek. Widać, że zazdrościł Ianowi Thorsonowi jego szybkiego awansu.

Rozmawiali, pisząc pospiesznie. McNally napisała, że postanowiła zacząć wszystko od początku. Sytuacja w ośrodku sprawia, że czuje się jak więzień i najchętniej wydostałaby się spod władzy Roacha. Nie spodziewała się, że zarząd tak mocno zareaguje na jej wykład, ale była pewna, że wyrzucają ją tylko tymczasowo i że jest to element większego planu. „Wszystko pójdzie doskonale, zobaczysz – napisała i dodała: – Odziedziczyłam po swoim świętym lamie [gesze Michaelu] styl działania, który zmusza ludzi do przekraczania najdalszych granic”. Winiła byłego męża, że dolewa oliwy do ognia i że przez niego ludzie boją się jej jako nauczycielki.

Z tych liścików przebija jednak również wyraźny strach, że ta decyzja może narazić ją na niebezpieczeństwo. „Teraz będę

medytować tylko z Ianem, nie będę mogła do nikogo uciec – jak mam się czuć bezpieczna?”, pytała. Określiła Iana jako „głęboko niezdyscyplinowanego i zepsutego”, ale powiedziała, że podczas odosobnienia zaczął się zmieniać na lepsze. Jeśli ludzie podejrzewają, że ona i Ian są wobec siebie brutalni, czy będą bezpieczniejsi, jeśli znajdą się sami w jaskini?

Na końcu listu McNally prosiła, by zostawił ją samą, żeby jej pomocnicy mogli się spotkać na osobności i porozmawiać o szczegółach jej następnego kroku. Tego wieczoru ona i Thorson wyruszyli na pustynię z niewielkimi zapasami w plecakach. Dwóch ludzi, którzy jako jedyni wiedzieli, dokąd się udają, przyrzekło nie wyjawiać nikomu celu ich wędrówki.

C Z Ę Ś Ć I I I

Ciemna noc duszy

Sutra samobójstwa

Przypowieść buddyjska

Budda nie tyle przetarł szlak do oświecenia, ile wpadł na nie przypadkiem. Poznać ostateczne prawa wszechświata to jedno, a umieć objaśnić je innym to zupełnie co innego. Okazało się, że jeśli chodzi o bycie nauczycielem, wciąż może się wiele nauczyć.

To był problem pedagogiki.

Od czasu, gdy osiągnął oświecenie, Budda intensywnie nauczał swej filozofii uczniów na terenach obecnego Nepalu i Biharu. Za jedną z największych przeszkód na drodze do oświecenia uważał to, że jego uczniowie byli tak przywiązani do swoich ciał, iż nie mogli pojąć subtelnej prawdy na temat śmierci i ponownych narodzin. Uznał, że kluczem do zrozumienia karmy jest uświadomienie im, że ich ciała są nietrwałe, jeśli będą w stanie zmierzyć się z nieuchronnością własnej śmierci, być może pojmą, że nawet śmiertelność nie ma głębszego znaczenia.

W tamtych czasach nie każde zwłoki były palone na stosie czy grzebane. Ciała zmarłych biedaków, przestępców i prostytutek gniły na odrażających polach zwanych kostnicami na przedmieściach każdego miasta. Tkwiły tam wystawione na działanie żywiołów i rozkładały się na widoku. W trupich oczodołach wiły się robaki, a z siedmiu otworów ciała sączyła się ropa.

Podczas pobytu w pewnym klasztorze Budda powiedział swoim uczniom, by poszli do kostnicy, nie tylko po to, by przyjrzeć się trupom, ale także po to, by spojrzeć na cmentarz jako na pewnego rodzaju klasztor. Polecił im medytować wśród rozkładających się zwłok i wyobrażać sobie własne ciała, które pewnego dnia będą gnić w grzęzawisku.

Pewny, że pojmą tę naukę, sam udał się na medytacje do pobliskiej jaskini, prosząc, by nikt mu nie przeszkadzał.

Mnisi postąpili tak, jak im polecił. Pomaszerowali do tego ohydnego miejsca i medytowali nad rozkładającymi się zwłokami. Nie osiągnęli jednak spokoju, który obiecywał im Budda. Zamiast wyzwolenia z więzów śmierci wielu mnichów poczuło, że ich własne ciała nie różnią się od trupów, które widzieli przed sobą, jeśli śmierć jest tak pewna, dlaczego nie przyjąć jej od razu? Po niedługim czasie mnisi pragnęli jedynie zrzucić doczesną powłokę i wkroczyć w następne życie. Może znajdą oświecenie po drugiej stronie?

Jeden z mnichów nie wytrzymał i zabił się, podrzynając sobie gardło. Inny poszedł w jego ślady. Po niedługim czasie nastąpiła plaga samobójstw. Codziennie trzydziestu mnichów odbierało sobie życie. Ci, którzy nie byli w stanie uczynić tego własnoręcznie, błagali o pomoc innych.

Zgromadzenie ogarnął ponury amok. Święci mężowie wybrali ucznia o imieniu Migalandika jako głównego kata. Za pomocą noża podrzynał im gardła. Najpierw zabijał tylko tych, którzy prosili o uwolnienie. Jednak potem zapragnął pomóc innym ludziom osiągnąć oświecenie, więc zaczął wędrować od klasztoru do klasztoru i zabijał mnichów podczas medytacji. Umierali w swoich izbach i w kostnicach. Buddyści witali go jako anioła śmierci.

Wiele miesięcy później Budda powrócił z jaskini i okazało się, że większość jego uczniów nie żyje, a dookoła leżą ich rozkładające się zwłoki. Nieliczni, którzy przeżyli, trzęśli się ze strachu i niedowierzania. Jeśli to miała być droga do oświecenia, jaki był cel? Pomocnik Buddy Ananda błagał swego nauczyciela, aby obmyślił inną metodę osiągania nirwany.

Tę opowieść można znaleźć w zbiorze Winaja *– tym samym zestawie nauk, który zawiera listę wszystkich ślubowań, jakie musi złożyć każdy mnich, by zostać wyświęcony. Starożytna opowieść nie wspomina o tym, jaka była reakcja Buddy, mówi jedynie, że zebrał pozostałych mnichów i kazał im natychmiast przestać medytować nad rozkładającymi się trupami. Ekskomunikował Migalandikę i przyznał ocalałym uczniom, że są inne sposoby, by uchwycić nietrwałość*

wszystkich rzeczy, niż tak bezpośrednia konfrontacja ze śmiertelnością.

Zamiast medytować nad zwłokami, jego wyznawcy mogli uchwycić nietrwałość, koncentrując się w milczeniu na rytmie własnego oddechu. Ta nowa technika stała się najpotężniejszą nauką Buddy i nadal jest to pierwszaforma medytacji, jaką nauczyciele przekazują początkującym uczniom.

Buddyści pamiętają o tej lekcji w kostnicy jako o jednej z nielicznych porażek Buddy. Był bodhisattwą i mistrzem praw karmy, ale nie był nieomylny.

Ta mało znana sutra o samobójstwie pojawia się tylko w dwóch palijskich tekstach i większość praktykujących buddystów może się nigdy z nią nie spotkać. Pozostaje ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwami, jakie czyhają na ludzi na drodze do oświecenia.

13

Choroba duchowa

Siddhi są piękne, ale nas ograniczają, bo *siddhi* to wytwór umysłu. Umysł czegoś c h c e. Chce osiągnąć to czy tamto. Po co? Żeby być z siebie dumny. To podbudowuje ego. To sprawia, że „ja" i „moje" rośnie. Samolubne pragnienia nie znikają. Jeśli dążysz do *siddhi* takich jak podróże astralne, jasnowidzenie czy jasnosłyszenie, pytam cię: dlaczego? Możesz powiedzieć: „Och, myślałem, że będę mógł pomagać ludziom". Moim zdaniem to wymówka. Chcesz pokazać, że coś potrafisz. Żeby być z tego dumny.

Sri Swami Satchidananda, *The Yoga Sutras of Patanjali* [Jogasutry Patańdżalego]

Nie jesteśmy istotami ludzkimi, które mają doświadczenia duchowe, lecz istotami duchowymi, które mają doświadczenia ludzkie.

Pierre Teilhard de Chardin

Amy Cayton nosi siwe włosy obcięte na pazia, z grzywką opadającą na twarz. Pracuje w małym biurze na drugim piętrze drewnianego budynku udającego styl Arts and Crafts. Ma doktorat z socjologii, ale udziela porad w sprawach małżeńskich, pomaga też uzależnionym od alkoholu, seksu, miłości i narkotyków.

Jeśli jest taka potrzeba, korzysta z hipnozy i ostrożnie zagląda w podświadomość pacjenta. Czasem sugeruje, że medytacja mogłaby pomóc ukoić niepokój, tak powszechny we współczesnym świecie. Uważa, że to dzięki buddyzmowi tybetańskiemu pojęła prostą prawdę, że każda żywa istota zasługuje na współczucie. Ale droga do tej prawdy nie zawsze była łatwa.

W 2002 roku recytowała mantry podczas trzytygodniowego wyjazdu medytacyjnego i coś zaczęło iść nie tak. W nocy przewracała się na łóżku, a w jej głowie kłębiły się wciąż te same niespokojne myśli. Przy śniadaniu czuła się nieswojo. W porze obiadu zaczęła mieć problemy z oddychaniem. Gdy pochyliła się nad wegetariańskim posiłkiem, poczuła, że nie może złapać tchu. Jakaś

kobieta położyła jej wtedy rękę na ramieniu i postawiła diagnozę, jakiej próżno by szukać w podręcznikach psychologii. Spojrzała na nią z niepokojem i powiedziała, że Amy ma *lung* – chorobę medytujących.

– Jestem osobą, która we wszystko angażuje się na sto dziesięć procent, i tak samo było z medytacją. Potem dopadło mnie *lung* i nagle wszystko zaczęło mnie drażnić. Złościłam się bez powodu albo wybuchałam płaczem. Zachodni lekarze nie mogli wyciągnąć żadnych wniosków z objawów fizycznych: problemów z oddychaniem i utraty pamięci. A potem pojawiło się wyczerpanie. Moim głównym problemem było wyczerpanie.

Ten dziwny zestaw niejasnych objawów mógł pasować do rozmaitych zaburzeń lękowych. Przestała jeść. Przestała spać. Jej pogarszający się stan wprawił ją w egzystencjalny dryf, który określała jako „stawanie się coraz intensywniej sobą”. Czuła się tak, jakby cechy jej osobowości się wzmacniały, złość zmieniała się w furię, szczęście w ekstazę, smutek w rozpacz, a im bardziej starała się skupić na narzędziu, które miało to wszystko naprawić – medytacji – tym bardziej to skupienie obracało się przeciwko niej. Zupełnie jakby zmieniła się w żywą karykaturę samej siebie.

Według liczących setki, jeśli nie tysiące lat systemów wschodniej medycyny ciało ludzkie składa się z dwóch podstawowych elementów. Fizyczne ja to kości, krew, mięśnie, nerwy i hormony. Ale jest też ciało subtelne, w którym krąży energia duchowa – *qi* po chińsku albo prana w sanskrycie – płynąc podobnymi do strumieni drogami zwanymi *nadi*. Zamiast jednej pompy podobnej do serca ciało subtelne ma siedem obracających się wirów nazywanych czakrami, dzięki którym energia ta jest w nieustannym ruchu. Ostatecznie przepłynąwszy przez ciało, uchodzi przez czubek głowy w boski eter. Jeśli ciało jest zdrowe, energia przepływa swobodnie, a prana przemieszcza się bez przeszkód od jednej czakry do drugiej. Ale po drodze wiele rzeczy może pójść nie tak. Kiedy jedna czakra przestaje się obracać, kanał może się zablokować albo cały system może zacząć źle działać. Niektórzy zaawansowani w medytacji

próbują świadomie wpływać na ciało energetyczne, tak by sprzyjało określonym doświadczeniom związanym z oświeceniem. Jeśli jednak nie są ostrożni, mogą pokierować energiami tak, że spowodują poważne szkody. *Lung* to jedna z takich przypadłości.

Cayton zwróciła się do lamy Zopy Rinpoczego, założyciela Fundacji na rzecz Zachowania Tradycji Mahajany (FPMT) – tej samej organizacji, która kierowała Root Institute w Bodh Gai i dzięki której Ian Thorson i Christie McNally mogli poznać buddyzm tybetański. Zapoznawszy się z objawami, lama zalecił intensywną kurację zgodnie z medycyną tybetańską. Doradził jej, by jadła bardziej odżywcze produkty i na jakiś czas przestała medytować. Po dłuższym czasie objawy ustąpiły.

Kiedy Cayton w pełni wróciła do zdrowia, lama Zopa poprosił, by napisała książkę o tym doświadczeniu i ostrzegła innych ludzi z Zachodu o potencjalnym zagrożeniu *lung*, które, jak powiedział, w pewnych przypadkach może mieć poważne skutki. Tybetańskie słowo *lung* oznacza dosłownie „wiatr” i odnosi się do chaotycznych przepływów energii przez ciało subtelne. Najpierw postanowiła zwrócić się do grup dyskusyjnych FPMT oraz forów internetowych, żeby poprosić ludzi, by opisali własne doświadczenia z *lung*. Napłynęło wiele odpowiedzi.

U niektórych objawy pojawiały się powoli, tak jak u Cayton. U innych było to jak porażenie prądem. W najpoważniejszych przypadkach ludzie dotknięci tym syndromem lądowali na oddziałach psychiatrycznych, bo nie byli w stanie oddzielić wizji w swojej głowie od rzeczywistości. *Lung* nie jest jedną określoną chorobą – objawy mogą być bardzo różne. Ale jedno jest pewne: im dłużej nieleczona, tym staje się poważniejsza. Pod tym względem, jak mówi Cayton, *lung* przypomina każde inne zaburzenie psychiczne.

FPMT wydała książkę Cayton w 2007 roku pod tytułem *Balanced Mind, Balanced Body: Anecdotes and Advice from Tibetan Buddhist Practitioners on Wind Disease* [Zrównoważony umysł, zrównoważone ciało. Anegdoty i porady praktykujących buddyzm tybetański na temat choroby wiatrów]. Ta stustronicowa książeczka

zawiera komentarze mnichów, którzy opowiadają o swoim zapale do nauczania zachodnich uczniów, kiedy przyjechali z Azji. Książka ukazuje konflikt kulturowy, jaki ujawniał się podczas medytacji w pierwszych latach działalności FPMT w Stanach. W latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy nauczyciele z Tybetu dopiero zaczynali docierać na Zachód, z początku byli pod wrażeniem błyskotliwości swoich studentów, a także zamożności i infrastruktury krajów zachodnich. Byli pewni, że ich nowi uczniowie będą przodować w praktykach duchowych.

Ale nie wszystko potoczyło się tak, jak się spodziewali. Nawet względnie proste praktyki duchowe nie udawały się, kiedy zachodni uczniowie borykali się z ezoterycznymi pojęciami. Najlepsi z nich wyznawali nauczycielom, że kiedy medytują przez dłuższy czas, ogarnia ich przemożny niepokój. Mieli dreszcze. Nie mogli spać. Dopiero gdy nauczyciele zorientowali się, że dziesiątki praktykujących mają podobne doświadczenia, uświadomili sobie, że coś jest nie tak z podejściem ich uczniów do medytacji. Okazało się, że ludzie Zachodu są niekiedy zanadto zdeterminowani i skupieni na osiągnięciu ostatecznego stanu duchowego. Podchodzili do medytacji jak do zadania o określonym celu. Jeden z komentarzy w książce Cayton ujmuje to zwięźle: „Ludzie, którzy medytują tylko po to, żeby złagodzić stres, albo którzy nie są zainteresowani osiągnięciem oświecenia, zapewne rzadko zapadają na *lung*. *Lung* dopada nas, ponieważ próbujemy coś zrobić, coś osiągnąć, zamiast po prostu się rozluźnić i pozwolić, żeby stało się to naturalnie”.

Praktykujący, którzy odpowiedzieli na prośbę Cayton, w większości byli już na drodze do wyzdrowienia. Mieli za sobą ciężkie przeżycia i chcieli doradzić innym ludziom w podobnej sytuacji. Ich rozwiązania były równie indywidualne, jak objawy. Jedni sugerowali, że trzeba odpocząć od medytacji i zamiast tego skupić się na jodze. Wielu doradzało zmianę diety. Próbowali też akupunktury albo modlitw do różnych bogów i bogiń. Zdaniem innych pomagają seks albo brandy. Albo abstynencja. Jedna kobieta napisała, że pokonała *lung*, dopiero kiedy zaszła w ciążę. Wspólnym wątkiem była zmiana

dotychczasowych zwyczajów. Wszyscy też zgadzali się, że kiedy już *lung* dopadło kogoś na dobre, dalsze medytowanie może jedynie pogorszyć jego stan.

Chociaż jej skrzynka e-mailowa zapełniła się świadectwami, Cayton nie obarcza odpowiedzialnością za tę epidemię samej medytacji: „Jeśli uczeń nie jest ostrożny, te techniki mogą pogłębić już istniejący problem. Właśnie dlatego jest niesłychanie ważne, żeby mieć wykwalifikowanego nauczyciela, który będzie nas prowadził i zaradzi problemowi, zanim wymknie się on spod kontroli”.

Lung to tylko jedna z wielu chorób, które powstrzymują ludzi na drodze do duchowej doskonałości. Inna, opisywana przez niektórych uprawiających jogę, to nagłe fale ekstazy i wściekłości, kiedy zaczynają doświadczać w swoim ciele nowych energii – nazywają to syndromem kundalini.

W 1975 roku jogin Gopi Krishna przyczynił się do spopularyzowania na świecie pojęcia kundalini dzięki swojej bestsellerowej książce *The Awakening of Kundalini* [Przebudzenie kundalini]. Zgodnie ze starożytnymi tekstami na temat jogi energia kundalini leży uśpiona w pobliżu podstawy kręgosłupa, w miejscu odpowiadającym najniższej czakrze. Jest to kobieca siła libidinalna, która w stanie uśpienia tkwi zwinięta wewnątrz struktury ciała subtelnego. U większości ludzi jest uśpiona, ale kiedy się budzi, wytryskuje w górę kręgosłupa niczym wąż i wylewa się czubkiem głowy, po drodze radykalnie zmieniając spojrzenie na życie danej osoby. Ludzie, których energia kundalini została obudzona za sprawą medytacji, jogi, traumatycznych przeżyć albo błogosławieństwa guru, często uważają to za jedno z najgłębszych i najpiękniejszych doświadczeń w swoim życiu.

Krishna pisał, że energia kundalini nie zawsze jest pozytywna: „Kiedy ta moc budzi się dzięki rozmaitym praktykom w ciele niedostrojonym do niej albo z natury niedojrzałym, może powodować straszne stany umysłu, niemal każdą postać zaburzeń umysłowych, od ledwie zauważalnych odchyleń do najokropniejszych form szaleństwa, stanów neurotycznych i paranoidalnych, megalomanii i,

przez dręczącą presję na organy rozrodcze, do wszechogarniającego pożądania, które nigdy nie zostaje zaspokojone”. Inni autorzy opisują nagle przebudzonych ludzi, którzy spontanicznie przyjmują głębokie asany albo obsesyjnie wykonują rytualne gesty zwane mudrami.

Donald Lopez, autor książek i profesor, do którego rodzice Iana Thorsona zwrócili się o pomoc, prosząc go o ocenę autentyczności nauk Roacha, pisał, że na Zachodzie medytację postrzega się zdecydowanie zbyt jednostronnie. „Gdzie podkreśla się to, że celem medytacji nie jest wywołanie stanu relaksacji, tylko raczej radykalne przeobrażenie czyjegoś postrzegania rzeczywistości?”, pisał w *Buddhism and Science: A Guide for the Perplexed* [Buddyzmie i nauce. Przewodniku dla zdezorientowanych]. Celem jogi kundalini i intensywnej medytacji niekoniecznie jest to, że ktoś będzie umiał lepiej się odnaleźć w rozmaitym otoczeniu społecznym; mogą one raczej spowodować drastyczne i niekiedy niepożądane zmiany. Lepiej traktować jogę i medytację jako coś potężnego albo przeobrażającego niż jako zestaw praktyk, dzięki którym w kimś mogą się dokonać jedynie zmiany na lepsze.

Naukowcy próbowali zrozumieć, co dzieje się podczas medytacji i jogi, co najmniej od 1970 roku, kiedy to Robert Keith Wallace, młody doktor na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Kalifornijskiego, zebrał grupę osób praktykujących medytację transcendentalną i podłączył je do urządzeń monitorujących, które sprawdzały poziom tlenu, tętno, wrażliwość na bodźce oraz wyniki EFG. Maszyny wykazały niemal natychmiastową poprawę, w tym lepszą wydolność sercowo-naczyniową i zmiany w częstotliwości fal mózgowych. Chociaż te wyniki obecnie nie wydają się niczym niezwykłym, wówczas były rewolucyjne. Wallace poddał swoje badania ocenie innych naukowców i opublikował wyniki w czasopiśmie „Science”. Było to pierwsze uznane badanie na temat medytacji w prawdziwym czasopiśmie naukowym. W ciągu kolejnych dwóch lat trafiło na okładki „Time” i „Scientific American” i w rezultacie wywołało lawinę badań naukowych nad stanami medytacyjnymi. Przez następne czterdzieści lat pojawiły się setki kolejnych.

Dyplom Harvardu oraz współpraca z najbardziej prestiżowymi placówkami medycznymi w kraju potwierdzają kwalifikacje Wallace’a. Z początku nie było jednak wiadomo, że Wallace, oprócz tego, że jest ambitnym naukowcem, był także założycielem i prezesem Maharishi University of Management w Iowa – światowego centrum medycyny transcendentalnej[35].

Medytacja transcendentalna jest czymś niezwykłym na tle hinduskich systemów medytacji, ponieważ niezmordowanie próbuje rozwijać zdolność lewitacji. W ośrodku w Iowa i w jego filiach na całym świecie ludzie praktykujący ten rodzaj medytacji siedzą po turecku i od czasu do czasu wyskakują w powietrze, próbując jednocześnie sprawić, by ich ciała stały się eteryczne. Jak na razie nie udokumentowano żadnego przypadku lewitacji. W 1985 roku grupa byłych praktykujących zebrała się, żeby podać Maharishi University do sądu za coś, co było w istocie fałszywą reklamą. Poświęcili wiele lat i wydali dziesiątki tysięcy dolarów na opłaty za kursy, ale nigdy nie osiągnęli nadnaturalnych zdolności, jakie im obiecywano. Większość osób, które złożyły pozew, ostatecznie poszła na ugodę, w tym dwóch doradców do spraw wychodzenia z sekt zatrudnionych przez rodziców Iana, by przekonali ich syna, żeby wydostał się spod władzy Roacha.

Niemal wszystkie badania nad medytacją są obciążone pewnego rodzaju błędem, jeśli chodzi o dobór próby i analizę danych. Pozytywne rezultaty przypisuje się praktykom medytacyjnym, podczas gdy negatywne zrzuca się na karb wcześniej istniejących warunków. W istocie niemal wszyscy badacze, którzy skupiają się na medytacji, sami z zapałem uprawiają medytację albo jogę. W wielu przypadkach badania powstają na zamówienie instytucji zajmujących się rozwojem duchowym.

Oczywiście medycyna zachodnia też ma swoje skrzywienia i odrzuca wyjaśnienia ezoteryczne. Konwencjonalni naukowcy pogardliwie podchodzą do koncepcji, że niewykrywalne ciało równoległe miałoby wyjaśniać zaburzenia zdrowotne. Nigdy nie udało się ostatecznie potwierdzić naukowo istnienia kanałów

energetycznych, a większość empirystów twierdzi, że dużą część zjawisk przypisywanych ciału subtelnemu można łatwo wyjaśnić metodami psychologii albo neuronauki. Być może to prawda. Jednak obecnie nawet najnowocześniejsze narzędzia specjalistów od neuronauk – rozmaite urządzenia do skanowania mózgu, kwestionariusze, EFG, rezonans magnetyczny i tomografia komputerowa – nie są w stanie pokazać związku między umysłem a ciałem. Nie ma sposobu, żeby zarejestrować myśl i odczytać ją na ekranie komputera albo wskazać, gdzie fizycznie znajduje się emocja. Możemy jedynie uznawać, że atomy i cząsteczki w jakiś sposób składają się na świadomość. To brakujące połączenie między ciałem a umysłem stanowi uciążliwy problem we współczesnej medycynie i neuronauce i zostawia otwartą furtkę dla rozmaitych interesujących, nowatorskich i niekiedy niedorzecznych wyjaśnień.

Każdy, kto próbował ajurwedy, reiki czy akupunktury – albo, jak twierdzą niektórzy, skorzystał z efektu placebo – miał do czynienia ze światem medycyny opartej na energii. Gdy gwałtownie wzrosła liczba przypadków syndromu stresu pourazowego wśród wracających z frontu żołnierzy, nawet wojsko zaczęło stosować akupunkturę w terapii zranionej psychiki weteranów. Wielu ubezpieczycieli pokrywa koszty terapii reiki albo wizyt u chiropraktyka. Skuteczność tych metod, przynajmniej w części przypadków, nie ulega wątpliwości.

Wciąż jednak za jeden z atutów medycyny alternatywnej czy energetycznej uważa się to, że zasadniczo nie wywołuje ona żadnych skutków ubocznych poza tym, że niekiedy ludzie sięgają po metody niekonwencjonalne, podczas gdy konwencjonalna terapia w wypadku danego schorzenia mogłaby uratować im życie. Bardzo niewiele osób podejmuje praktyki duchowe ze świadomością potencjalnych pułapek. A w przypadku pacjentów, którzy nie mają głębokiej wiedzy na temat przyczyn i terapii, rezultaty bardzo szybko mogą się okazać opłakane.

Jeśli pominąć potencjalne błędy, obecnie pobieżne wyszukiwanie hasła „medytacja” w PubMedzie, państwowym serwisie medycznym, daje niemal dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt pięć recenzowanych

prac naukowych na temat medytacji. Następne dwa tysiące pięćset zawiera termin „joga”. Wyniki wskazują, że praktyki te mogą być panaceum na niezliczone choroby znacznie wykraczające poza proste schorzenia kardiologiczne. Tymczasem według badania opublikowanego w 2014 roku w „JAMA Internal Medicine” spośród osiemnastu tysięcy badań cytowanych w literaturze medycznej tylko czterdzieści siedem miało grupę kontrolną i spełniało kryteria naukowe. Owe wyniki mówią nam dużo o tym, jak wielkie są nadzieje wiązane z medytacją w zestawieniu z tym. czego jesteśmy w stanie rzeczywiście dowieść.

Niemniej zainteresowanie naukowców jest coraz większe. Badacze podpinają mnichów do sprzętu diagnostycznego, by wykazać wzrost empatii i neuroplastyczności (zdolności mózgu do przystosowania się do nowych warunków). Inne badanie wykazuje, że więźniowie są w stanie lepiej adaptować się do restrykcyjnego otoczenia, jeśli medytują. Są też ludzie, którzy wydają się zdolni do kontrolowania siłą umysłu swojego ciśnienia krwi. Medytacja może nawet powstrzymać demencję w podeszłym wieku.

Z jednego z najnowszych badań w dziedzinie epigenetyki wynika, że medytacja może wręcz zmienić czyjś profil genetyczny. Badanie finansowane przez Deepaka Choprę dowodzi, że telomery, patykowate zakończenia chromosomów, które z wiekiem rozplątują się powoli i nieodwracalnie, można naprawić dzięki codziennemu ćwiczeniu umysłu. Jeśli te wyniki zostaną potwierdzone – Chopra jako znany guru medytacji jest tym żywotnie zainteresowany – mogłoby to oznaczać, że ludzie są w stanie znacząco przedłużyć sobie życie.

Dużo trudniej znaleźć wiarygodne badania, które choć określałyby, jakie mogą być niepożądane skutki medytacji. W 1999 roku australijskie czasopismo psychologiczne zaproponowało aktualizację do Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders IV (DSM-IV), to znaczy uzupełnienie go o zaburzenie nazwane psychozą wywołaną przez qigong, by opisać stan osób uprawiających medytację według tej chińskiej tradycji, które doznają

nagłych i poważnych zaburzeń psychicznych. Badanie przeprowadzone w 1984 roku przez Leona Otisa, psychologa z Uniwersytetu Stanforda, na pięciuset siedemdziesięciu czterech osobach uprawiających medytację transcendentalną, wykazało objawy zaburzeń psychicznych u siedemdziesięciu procent długotrwale medytujących. Specjaliści od neuronauk odkryli, że po dłuższym czasie medytowanie może wywołać zmiany w składzie tkanki mózgowej i nawet krótkie sesje mogą spowodować znaczące fizyczne zmiany w strukturze mózgu danej osoby. Zwykle określa się to w kategoriach skutków pozytywnych.

Wszelkie zmiany, do jakich dojdzie podczas krótkich codziennych medytacji, mogą się jedynie pogłębić w czasie dłuższych sesji medytacji w odosobnieniu. Chociaż właśnie prowadzone są zakrojone na dużą skalę badania na temat potencjalnych niekorzystnych skutków takich sesji (jedno z nich prowadzi Willoughby Britton, specjalistka od neuronauk z Uniwersytetu Browna), jest jasne, że dla niektórych ludzi izolacja i psychiczna introspekcja mogą być zbyt intensywne. Niektórzy tracą kontakt z rzeczywistością albo popadają w stany psychotyczne.

Ponieważ nie wiemy, co naprawdę dzieje się na poziomie synaptycznym – istniejący sprzęt diagnostyczny jest zdecydowanie za mało precyzyjny, żeby przeanalizować mózg na tyle szczegółowo, by odróżnić procesy fizyczne od bardziej efemerycznych – najlepszym sposobem, aby zrozumieć negatywne skutki doświadczeń medytacyjnych, jest rozmowa z samymi medytującymi.

Meredith Sagan to nietypowy psychiatra – specjalizuje się w leczeniu duchowych zaburzeń lękowych i ma gabinet w mekce hippisów, mieście Santa Monica w Kalifornii. Własną podróż duchową rozpoczęła w 1992 roku w aśramie w Punie w Indiach, przyciągającym co roku dziesiątki tysięcy ludzi z Zachodu. Od tamtego czasu flirtowała z rozmaitymi ruchami związanymi z duchowością, chodziła na zajęcia z zen, żyła w komunie z szamanami z Ameryki Południowej i uczyła się nawiązywać kontakt z Wadżrajoginią u tybetańskiego lamy. Dzięki doświadczeniom z każdą

kolejną tradycją ezoteryczną zyskiwała nowy zestaw umiejętności i nowe doświadczenia transcendentalne, przygotowujące ją na kontakt ze światem duchowym, który wydawał się niemal na wyciągnięcie ręki.

Jej poszukiwania trwały dwadzieścia lat i jak opowiada, nieustannie dążyła do kolejnego kontaktu z tym, co boskie. Gdy miała już duże doświadczenie w medytacji, pojechała do Chiang Mai w Tajlandii, gdzie, jak się dowiedziała, działała grupa zwana breatharianami, którzy wierzą – i nauczają – że jest możliwe takie dostrojenie się do przepływu energii na świecie, żeby można było żyć wyłącznie powietrzem. Breatharianie rezygnują z jedzenia i rzekomo żywią się jedynie nektarem świata, dosłownie wysysając pranę z nieba.

Sagan postanowiła spróbować i w ten sposób, wraz z niedużą grupą innych ascetów, zanurzyła się w całkowitą ciemność. Chociaż pomieszczenie do medytacji znajdowało się na terenie ośrodka medytacyjnego, urządzono je tak, by przypominało wnętrze jaskini. Było tam zimno, wilgotno i kompletnie ciemno. Pełna deprywacja sensoryczna pozwoliła jej ignorować ciało, tak że mogła się skupić wyłącznie na swoim wewnętrznym świetle.

Po kilku dniach czuła jedynie przenikliwy ból z powodu dojmującego głodu, jej ciało rozpaczliwie domagało się jedzenia i pochłaniało ją od środka. Ale po jakimś czasie nawet te wrażenia przestały być istotne. Ból nadal był, ale jakby w tle. Czuła, że wznosi się ku wyższym sferom, aż w końcu doznała uwolnienia od ciała i poczuła ekstazę. Ogarnęła ją euforia.

Sagan czuła, że unosi się i wyfruwa z jaskini. Opisuje to doświadczenie jako zanurzenie w „wielowymiarowej rzeczywistości pustki”. Całymi dniami w euforii kontemplowała rozkosz wszechświata. Potem jej ciało zaczęło ją wzywać. Znów pojawił się ból wywołany głodem, przypominając jej, że jeśli nie powróci do rzeczywistości, będzie musiała zapłacić za to realną cenę.

Sagan, rozdarta między bólem a ekstazą, wiedziała, że ma wybór. Jej umysł nie był jej ciałem, ale wciąż był z nim powiązany. Czuła, że

może zerwać ten postronek i nadal odczuwać nieprzerwaną rozkosz. Jej ciało umrze, ale jej umysł nadal będzie wzlatywał. Albo może wrócić i na nowo potwierdzić posiadanie fizycznego ja. Decyzja była trudna, ale jakiś czas później wyszła chwiejnie z ciemności.

Breatharianizm poczynił spustoszenie w jej układzie pokarmowym. Gdy jej ciało walczyło o życie, system metaboliczny strawił mięśnie i wyściółkę żołądka. Szkody były realne i dopiero po kilku miesiącach mogła zacząć normalnie jeść.

Ale w trakcie bolesnej rekonwalescencji Sagan odnalazła coś, o czym nawet nie wiedziała, że tego szuka. Przez lata jej duchowych poszukiwań kompletnie rozsypały się jej relacje z rodziną i przyjaciółmi, poświęcone na ołtarzu wewnętrznej transcendencji.

– Byłam wielką joginką, umiałam medytować i osiągać stany wyższej świadomości i szczęścia, ale nie wiedziałam, jak utrzymać zdrowe relacje z ludźmi – wspomina. Doświadczenie ostatecznej rzeczywistości sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, czy to naprawdę takie istotne, czy świat jest, czy nie jest iluzją. – Na co ci wyższa świadomość, jeśli nie umiesz się dogadać z ludźmi? – pyta dzisiaj.

Zatem po dwudziestu latach eksperymentów duchowych Sagan wróciła do świata, żeby skończyć doktorat, i zaczęła pomagać osobom, które ugrzęzły w swoich duchowych zmaganiach. W literaturze psychologicznej znalazła opis zjawiska zwanego duchowym pójściem na skróty, dzięki któremu była w stanie przeanalizować znaczenie własnych epifanii.

Psychologia nie wypowiada się na temat ostatecznej prawdy jakiegokolwiek doświadczenia czy zdarzenia, ale może wiele powiedzieć na temat tego, jak działania jednej osoby wpływają na grupę. Dążenie do celów duchowych może być wygodną wymówką, by uniknąć konfrontacji z bolesnymi uczuciami, nieprzepracowaną traumą czy niespełnieniem zawodowym. Ale stawianie transcendencji ponad relacje z ludźmi to sposób, by będąc skupionym na sobie, jednocześnie sprawiać wrażenie troszczenia się o dobro innych. Psycholodzy tacy jak Sagan poddają więc deklaracje duchowe prostemu testowi: czy określone przekonania albo praktyki

przybliżają daną osobę do czynnego i pożytecznego życia, czy ją od niego oddalają?

Dla praktykujących nadmiernie skoncentrowanych na życiu wewnętrznym świat zewnętrzny zupełnie znika. Ograniczają bodźce zewnętrzne do tego stopnia, że widzą jedynie własny umysł. Innym sposobem na radykalne przeobrażenie ja wewnętrznego jest znaleźć się w zupełnie obcym otoczeniu, aby wyzwolić głębokie doświadczenia. Podobnie jak w przypadku hadżu czy chrześcijańskiej pielgrzymki podróż może być sama w sobie doświadczeniem duchowym.

Ludziom ukierunkowanym na doświadczenia duchowe przebywanie w otoczeniu wzbogaconym w symbole religijne może niezmiernie pomóc w ich praktyce. W epoce tanich podróży lotniczych coraz łatwiej wybrać się na drugi koniec świata do miejsc, gdzie niegdyś spacerowali Budda czy Kryszna. Aby dotrzeć do Indii lub Tybetu, nie trzeba już podejmować niebezpiecznej wyprawy przez góry czy spędzać wielu miesięcy na statku.

W 2010 roku do Indii pojechało blisko pięć milionów osiemset tysięcy ludzi, w tym około dziewięciuset trzydziestu tysięcy Amerykanów. Około jednej czwartej wszystkich turystów ma przynajmniej przelotny kontakt z hinduskim przemysłem duchowym – biorą udział w seminarium medytacyjnym albo wybierają się na taką czy inną pielgrzymkę religijną. Turysta ma do wyboru tysiące opcji: pilates z elementami jogi w pięciogwiazdkowym hotelu, intensywne pobyty medytacyjne łączące ajurwedę ze złożonymi naukami teologicznymi, może podziwiać starożytną architekturę świątyń albo pójść na spacer śladami Buddy. Wiele programów jest kierowanych specjalnie do ludzi Zachodu. Do niektórych miejsc takich jak aśram Osho w Punie osoby z paszportem indyjskim w ogóle nie mają wstępu. Pod pewnymi względami Indie to rodzaj duchowego placu zabaw, gdzie jest tanio i gdzie można skorzystać ze wszelkich inspirowanych religią programów. Można znaleźć oferty dopasowane do każdego budżetu – turysta z plecakiem może za dolara przenocować w domach gościnnych zwanych *dharamsala*

przy niektórych świątyniach hinduskich i sikhijskich, a zamożny podróżnik może zapłacić tysiąc dolarów za noc w ekologicznym spa.

Niektórych przyciągają opowieści o zdolnościach, jakie zdobywają intensywnie praktykujący – joginach, którzy potrafią lewi tować, przetrwać miesiącami pogrzebani żywcem albo roztopić wielkie połacie śniegu ciepłem swego ciała. Całkiem liczni guru twierdzą, że są w stanie wyzwolić podobne zdolności u każdego, kto pokłoni im się do stóp.

Chociaż nie każdy jedzie do Azji w takich celach, dążenie do ponadludzkich zdolności – razem z szokiem kulturowym, izolacją emocjonalną, nielegalnymi narkotykami oraz psychicznymi skutkami intensywnej medytacji – może wytrącić poszukujących z równowagi psychicznej. Wyjazd za granicę może być równie destabilizujący jak zanurzenie się w tantryczne malowidło. Z pozoru zrównoważeni ludzie budzą się pewnego dnia, twierdząc, że odkryli zaginiony kontynent Lemurię albo że nadchodzi koniec świata, albo że otworzyło się im trzecie oko. Większość z nich wraca do równowagi, ale niektórzy mają trwałe urojenia. Bywa, że znikają albo nawet giną.

Jonathan Spollen, dwudziestoośmioletni Irlandczyk o długich kasztanowych włosach, mówiący z delikatnym akcentem, znalazł się na życiowym zakręcie. Pracował jako korespondent zagraniczny; najpierw był reporterem w „Daily Star Egypt” w Kairze, a potem redaktorem działu zagranicznego w „The National” w Abu Żabi. W końcu podjął pracę jako redaktor „International Herald Tribune” w Hongkongu. Kiedy miał pod trzydziestkę, zaczął się zastanawiać, czy podoba mu się kierunek, w którym zmierza jego życie. W październiku 2011 roku, po rozstaniu z dziewczyną, kupił trochę sprzętu turystycznego, odesłał swój laptop do domu do Dublina i wsiadł w samolot do Katmandu. Stamtąd dotarł do Indii. Był tam już kiedyś u osiemdziesięcioletniego jogina o nazwisku Prahlad Dżani – który twierdził, że biegłość w starożytnych sztukach pozwoliła mu żyć bez jedzenia przez siedemdziesiąt lat – i wyjechał oczarowany tym krajem.

Tym razem Spollen przez kilka miesięcy wędrował przez kontynent z biegiem Gangesu. Najpierw był w Waranasi, najstarszej miejscowości w Indiach. Na początku lutego 2012 roku zadzwonił do swojej matki Lyndy, żeby jej powiedzieć, że zamierza przez dwa lub trzy tygodnie wędrować po Himalajach, w pobliżu Ryszikeśu, popularnego celu pielgrzymek i centrum jogi, miasta, gdzie beatlesi w latach sześćdziesiątych spotkali się z joginem Maharyszim Maheszem. Podobno powiedziała mu, żeby nie szedł sam, na co odparł, że w tym cała rzecz. „Chodzi o duchowość”, wyjaśnił.

Nigdy więcej się nie odezwał.

Nieco ponad trzy tygodnie od tej rozmowy jego zaniepokojeni rodzice zamieścili post na IndiaMike.com, forum dla ludzi z Zachodu podróżujących po subkontynencie. W poście było zdjęcie Spollena, szczegóły dotyczące jego ostatniego miejsca pobytu i prośba: „Prosimy, kontaktujcie się regularnie ze swoimi rodzinami. Nawet jeśli tego nie mówią, zależy im na Was i się martwią!”. Kilka dni później jego ojciec David poleciał do Ryszikeśu, żeby zorganizować grupę poszukiwawczą. W połowie marca lokalne władze znalazły paszport, plecak, śpiwór i pieniądze należące do Spollena nad wodospadem niedaleko wioski Patna, kilka kilometrów od Ryszikeśu. Ale tam ślad się urywał. Członkowie społeczności India Mike rozklejali plakaty o zaginionym na Banana Pancake Trail. sieci szlaków uczęszczanych przez turystów z plecakami rozciągającej się od Goi po Hanoi. Ale nie pojawiły się żadne nowe tropy.

W ciągu kilku miesięcy wątek zapoczątkowany wiadomością o zaginięciu Spollena urósł do ponad tysiąca siedmiuset postów. Niektórzy komentujący uważali, że zginął, podczas gdy inni spekulowali, że może postanowił wyrzec się dotychczasowego życia i nadal mieszka gdzieś w górach, sam albo w jakiejś zamkniętej sekcie. Wielu uważało, że cokolwiek się z nim stało, miało związek ze „sprawami duchowymi”.

To nie był pierwszy taki przypadek. Niektórzy wspominali Ryana Chambersa, dwudziestojednoletniego Australijczyka i poszukiwacza duchowego, który odwiedzał aśramy, po czym zniknął z Ryszikeśu w

2005 roku, zostawiając paszport, portfel i komórkę w pokoju hotelowym wraz z listem: „Jeśli zniknę, nie martwcie się. Nie umarłem, uwalniam umysły. Ale najpierw muszę uwolnić własny umysł”.

Byli też inni pielgrzymi, zwabieni przez lipną duchowość fałszywych guru, którzy wyczyścili ich konta bankowe, czasem nawet ich więzili. W marcu, kilka tygodni po zniknięciu Spollena, nepalska policja uwolniła trzydziestopięcioletnią Słowaczkę, przez dwa miesiące przetrzymywaną przez wyznawców człowieka twierdzącego, że jest wcieleniem Buddy. Neeru Garg, komendant policji z pobliskiego miasta Dehradun, mówiła o trwającym śledztwie dotyczącym zniknięcia Spollena: „Koncentrujemy się na aśramach i świętych mężach w okolicy”.

Historie takie jak przypadek Spollena brzmią jak wschodnie wersje wydanej w 1996 roku książki *Wszystko za życie*, opowiadającej o Chrisie McCandlessie, młodym podróżniku, który zmarł, próbując przeżyć samotnie na Alasce. Opowieści o upartych idealistach, których romantyczne wyobrażenia odległych krain skłoniły do podejmowania donkiszotowskich podróży, bardzo często kończą się tragedią. W kwietniu 2010 roku Spollen napisał dla „The National” relację z podróży i pobytu u rodziny w Kaszmirze, która mogłaby potwierdzić tę interpretację: „Najprostsze rzeczy stają się fascynujące – pisał. – Zauroczyło mnie ich życie. I co dziwne, czułem się częścią tego wszystkiego”. Przebywanie w obcym kraju najwyraźniej pobudziło w nim pragnienie duchowości. „On rzeczywiście bardzo interesował się sprawami duchowymi – zauważył na India Mike jego znajomy z college’u. – To nie wyjaśnia [...] dlaczego urwał się z nim kontakt, ale może być wskazówką, że poszukiwania są prowadzone we właściwym kierunku”.

Pod koniec kwietnia 2012 roku jego ojciec powiedział w wywiadzie dla irlandzkiej gazety, że podróż do Indii otworzyła mu oczy. „Czasem miałem wrażenie, że szukam kogoś zupełnie innego niż syn, którego znałem – stwierdził. – Nagłe odkrycie, że w jego życiu była cała sfera duchowa, o której właściwie nie wiedzieliśmy,

było zdumiewające”. Spollena nigdy nie odnaleziono, nie mógł więc wyjaśnić, w jakim stopniu zaangażowanie religijne rzeczywiście przyczyniło się do jego zniknięcia. Ale pasuje do profilu młodego gorliwego entuzjasty jogi, medytacji i myśli Wschodu, który zagubił się – albo nawet gorzej – na drodze do duchowego odkrycia samego siebie.

Nieprzerwany łańcuch ludzi Zachodu, którzy przez wieki byli świadkami cudów i znajdowali wewnętrzne spełnienie dzięki wyprawie na Wschód, sięga co najmniej Marca Pola. Czy to byli: Jonathan Spollen, Emily O’Conner, Amy Cayton, Ian Thorson, Christie McNally, Michael Roach, Theos Bernard, czy *madame* Bławatska, nie poprzestali po prostu na zmaganiu się na własną rękę z obcymi koncepcjami duchowymi. Wydaje się, że wystarczy pobyt w Indiach, by zyskać nowe poczucie własnego ja.

W przypadku gdy podróż wyzwala radykalną przemianę, taka psychoza ma nawet swoją nazwę: syndrom indyjski. W 2000 roku francuski psychiatra Regis Airault opisał go wyczerpująco w książce *Fous de 1’Inde* [Zwariowani na punkcie Indii]. Dzieli się w niej swoimi doświadczeniami jako psychiatry zatrudnionego w konsulacie w Bombaju, gdzie zajmował się mnóstwem swoich rodaków, których poszukiwania duchowe przybrały tragiczny obrót. „Działa tu pewna fantazja kulturowa – wyjaśnia. – [Syndrom indyjski] dopada ludzi z rozwiniętych krajów Zachodu, poszukujących przestrzeni kulturowej, która jest autentyczna i egzotyczna, gdzie zostały zachowane prawdziwe wartości. To tak, jakbyśmy próbowali cofnąć się w czasie”.

Od dawna wiadomo, że obce otoczenie może wywołać epizody krótkotrwałego delirium. W 1817 roku francuski pisarz Stendhal pisał o słabości, jaka ogarnęła go w zetknięciu z bogactwem sztuki Florencji. Sto pięćdziesiąt lat później psychiatra Graziella Magherini ukuła termin „syndrom Stendhala” (zwany też syndromem florenckim), miała bowiem do czynienia z pacjentami doświadczającymi oszołomienia i dezorientacji, a nawet halucynacji i

omdleń podczas wizyty w tym włoskim mieście, jak można przypuszczać, wskutek obezwładnienia jego pięknem.

Syndrom indyjski nie jest oficjalnie uznaną jednostką chorobową, ale wielu lekarzy uważa, że naprawdę istnieje. Jak mówi Kalyan Sachdev, ordynator Privat Hospital w New Delhi, jego placówka przyjmuje rocznie około setki pacjentów z Zachodu z urojeniami. Wielu z nich uprawiało jogę niemal całymi dniami.

– Joga ma stronę fizyczną i psychiczną, a ludzie czasami poznają je w niewłaściwej kolejności – mówi.

Spokojne osoby mogą się stać agresywne, nawet jeśli nie brały żadnych narkotyków. Jego terapia zazwyczaj jest prosta: trzeba najszybciej, jak się da, odesłać pacjenta do domu.

– Ludzie przychodzą do nas z ostrymi objawami psychotycznymi – wyjaśnia. – Ale wystarczy wsadzić ich do samolotu i wszystko jest w porządku.

Sunil Mittal, szef psychiatrii przy Cosmos Institute of Mental Health and Behavioral Sciences w New Delhi, opowiadał, że musiał wysłać policję po kobietę z Kalifornii, która odmawiała opuszczenia aśramu w pobliżu Ryszikeśu, mimo że skończyła jej się wiza. Jak mówi Mittal, co wieczór wykonywała tam na dziedzińcu taniec erotyczny dla joginów i często popadała w „stany transowe”. On też zalecił jej powrót do domu; gdy znalazła się w znajomym otoczeniu, wróciła do równowagi.

Często jednak bilet na samolot nie wystarczy. Airault, który ma gabinet w Paryżu, zajmował się niedawno bywałym w świecie, pozornie stabilnym psychicznie francuskim optometrystą po trzydziestce, który po wizycie w świętym mieście Puszkar zaczął mieć objawy manii prześladowczej. Według niego wszystko zaczęło się, kiedy wypił bhang lassi, napój z jogurtu zaprawiony haszyszem, który stanowi element wielu ekstatycznych rytuałów religijnych w Indiach. Z Puszkaru pojechał na wieś, a potem do Bombaju, gdzie znaleziono go bełkoczącego o tym, że Kościół scjentologiczny każę mu odciąć się od społeczeństwa. Po powrocie do Paryża dwukrotnie

znalazł się w szpitalu psychiatrycznym, a potem przez cztery lata nie chciał wychodzić z domu.

– Kompletnie oszalał, był w stanie delirium, psychozy wywołanej podróżą do Indii – powiedział Airault i dodał, że dzięki terapii stan mężczyzny poprawił się na tyle, że mógł podjąć pracę w sklepie odzieżowym. Psychiatra odrzucił sugestie, że podobne objawy mogłyby się pojawić u tego pacjenta, nawet gdyby nie wyjeżdżał z Francji. – Trzeba zrozumieć, że czasem ludzie wariują w Indiach dlatego, że ta kultura jest tak różna od naszej – mówi. – To nie znaczy, że są chorzy psychicznie.

Ojciec Jonathana Spollena wrócił do domu po kilku tygodniach w Ryszikeśu, ale on i jego żona nie zrezygnowali z poszukiwań i przez lata prowadzili stronę internetową oraz konto na Twitterze (@FindSpollen) poświęcone odnalezieniu ich zaginionego syna. Z czasem posty w wątku na forum India Mike pojawiały się coraz rzadziej, ale w czerwcu 2012 roku, po zniknięciu Spollena, jeden z komentujących wyraził przekonanie, że Irlandczyk „zaszył się gdzieś w Himalajach z jakimiś *sadhu* i świętymi w poszukiwaniu zbawienia duchowego” i wróci do rodziny, gdy już znajdzie to, czego szukał. Wszystko, co po nim zostało, to historie, które zamieszczał w internecie, i plakaty o zaginięciu rozlepione w Ryszikeśu. Są na nich dwa zdjęcia młodego Irlandczyka. Na jednym, podpisanym: „Rok temu”, jest uśmiechnięty i promienny, z kozią bródką, ubrany w koszulę i kurtkę. Na drugim z napisem: „Trzy miesiące temu” widnieje ten sam człowiek, ale znużony i mizerny, o zapadniętej twarzy i oczach bez wyrazu utkwionych w drogę, którą ma przed sobą.

Kiedy ktoś znika podczas pielgrzymki w obcym kraju albo traci równowagę psychiczną po intensywnym uprawianiu jogi czy medytacji, nieuchronnie nasuwają się dwa podstawowe wyjaśnienia: albo ten akurat człowiek jest podatny na zaburzenia umysłowe, albo to dana technika sprawiła, że oszalał. Genetyczne predyspozycje do schizofrenii często zaczynają się objawiać około dwudziestego roku życia, a intensywna introspekcja, szok kulturowy albo konieczność

psychicznej adaptacji mogą się stać bodźcem, który sprawi, że ktoś przekroczy granicę zdrowia psychicznego. Każdy z nas ma inną historię i bez zebrania dużej liczby dowodów trudno jest stawiać ostateczne diagnozy. Być może ludzie, którzy wybierają się do Indii, już stanowią pewną szczególną grupę. Być może do pewnego stopnia poszukiwanie ukrytych sensów życia niesie ze sobą ryzyko zerwania ze *status quo* i przybliża człowieka do porzucenia inaczej pozbawionej sensu egzystencji.

Jedno nie ulega wątpliwości: podczas gdy ktoś wybiera się na duchowe poszukiwania, życie toczy się dalej. Meredith Sagan siedziała w ciemnej jaskini, żywiąc się tylko praną, i zdała sobie sprawę, że życie daje jej wybór. Mogła pozostać w stanie ekstazy, tam, gdzie relacje z ludźmi przestają mieć znaczenie, albo wrócić do społeczeństwa i porzucić doświadczenia transcendentalne – niezależnie od tego, jak realne. Sagan wybrała życie. Ale niektórzy postanawiają inaczej.

14

Śmierć na zboczu góry

> Tuż przed tym, jak odeszliśmy do naszej pustelni pod niebem, mój ukochany i ja usiedliśmy na skalistym zboczu opatuleni w śpiwór, patrzyliśmy na dolinę medytacyjną i zastanawialiśmy się, co będzie dalej.
>
> Christie McNally, „A Shift in the Matrix”
> 19 kwietnia 2012

Na długo zanim unioniści pokonali Geronima i zakończyli ostatnią z wojen z Indianami, zanim hiszpańscy konkwistadorzy przemierzyli tę pustynię konno, jeszcze zanim Apacze uznali to skaliste pustkowie za swoją ziemię, przodek Indian Pueblo ukrył wielki gliniany garniec pełen ziarna w samotnej górskiej jaskini znajdującej się obecnie na terenie południowo-wschodniej Arizony. Garnca nikt nie znalazł, więc stał tam sobie, wystawiony na bezlitosny skwar i tysiąc kolejnych zim, aż w końcu pewnego dnia pękł przy dnie, a jego zawartość się rozsypała. Gdyby ziarna wcześniej nie zbutwiały, z pewnością chętnie pożywiłyby się nimi ptaki i gryzonie. Kilka z nich może by wykiełkowało, ale przytłoczyłyby je kolczaste kaktusy, juki, agawy i bylice, lepiej przystosowane do kamienistego podłoża. Z tysięcy nasion, które znajdowały się w garncu, może jednemu albo dwóm udało się wyrosnąć. Gdyby zapytać Iana Thorsona, dlaczego niektóre ziarna zgniły, podczas gdy inne wyrosły, być może odpowiedziałby, że ich losy nie są przypadkowe. Tak jak wszystkie inne istoty ziarna rozwinęły się albo przepadły zgodnie ze swoją karmą. Tak samo karma zdecyduje o losie Iana tutaj, w ramionach jego żony lamy Christie McNally.

Kiedy znaleźli ten garniec, uznali, że wygnanie z ośrodka w dolinie poniżej łączy ich z długą i brutalną historią Apaczów, których przemocą wygnano z ich ziemi. Wiele tygodni zajęło Ianowi

znalezienie właściwego miejsca, gdzie mieli spędzić pozostałe im jeszcze dwa lata odosobnienia, a ten garniec był znakiem.

Przenieśli się nocą, tak żeby nikt ich nie zobaczył. Nieustannie sprawdzali, czy w dolinie nie widać świateł reflektorów przeczesujących okolicę i czy ich kryjówka nie została odkryta. Tylko dwóch ludzi wiedziało, że wciąż są na terenie ośrodka. Kilka tygodni wcześniej McNally wysłała do zarządu list z fałszywym planem. Napisała, że ona i Ian wyjadą z doliny samochodem i zatrzymają się w hotelu, dopóki nie odzyska równowagi. Podstęp mógł się powieść tylko dzięki jej dwóm pomocnikom.

Akasha i Chandra nosili ceglaste mnisie szaty i obaj przyrzekli McNally, że pomogą jej zatrzeć ślady, choć Chandra cały czas wykonywał swoje normalne obowiązki w kuchniach i budynkach administracyjnych tuż poza wewnętrzną doliną. Akasha na prośbę McNally przyleciał do Arizony z Nowego Jorku i czekał na jej polecenia w pobliskim hotelu. Zamazał adres na rachunku z hotelu i przedstawił go zarządowi, żeby uzyskać zwrot kosztów.

Przygotowanie doliny, tak by można było tam zamieszkać, zajęło McNally niemal osiem lat i pochłonęło ponad milion dolarów. Była dumna z tego, czego udało jej się dokonać, i na początku odosobnienia złożyła przyrzeczenie, że pozostanie w świętych granicach *cam*. Ale dokończenie misji na pustkowiu miało być próbą dla jej wiary. Chandra obiecał, że w miarę możliwości będzie uzupełniał im zapasy, jednak komórka, którą dał Christie, często traciła zasięg. Związany tajemnicą, był zmuszony przemykać się do McNally i Thorsona, tak żeby nikt nie zauważył, i szukać ich małego obozowiska przy świetle gwiazd.

W ciągu pierwszego roku uczestnicy medytacji pracowali niestrudzenie, budując ścieżkę obok porzuconego szybu kopalni, a potem aż na szczyt góry Tara, ponad dwa tysiące czterysta metrów nad poziomem morza. Ścieżka wiła się wzdłuż granicy terenu należącego do Diamond Mountain oraz terenów państwowych zarządzanych przez Bureau of Land Management. Na szczycie buddyści rozciągnęli sznurki z jaskrawymi flagami modlitewnymi,

każda z nadrukowanymi tybetańskimi mantrami, które miały pomagać wszystkim żywym istotom w dążeniu do oświecenia. Christie i Ianowi udało się w jakiś sposób wtaszczyć po tej ścieżce wiele plastikowych pojemników z ryżem basmati, garnki, rytualne bębny oraz śpiwory.

Pierwsze kilka nocy spędzili w namiocie ustawionym tak, by był niewidoczny z fortu Bowie. Pogoda o tej porze roku wydawała się nieprzewidywalna, więc niewielu turystów odwiedzających stary fort schodziło z głównych szlaków, żeby zapuścić się na okoliczne pustkowie, Ian i Christie mieli zatem dość miejsca, by pozostać w ukryciu, pod warunkiem że nikt nie przyjdzie ich szukać. Ale namiot stanowił w najlepszym razie tymczasową ochronę przed żywiołami. Na pustyni po zmroku robi się zimno, a uderzenia wiatru bywają tak silne, że cała krucha konstrukcja może się zawalić. Poza tym łopoczący tropik nie pozwalał im zasnąć przez całą noc.

Christie nie przywykła do tak surowych warunków, Ian jednak niegdyś z upodobaniem włóczył się po skalistych łańcuchach górskich Tybetu i był niezmożonym eksploratorem grzbietu Chiricahua. W trakcie poszukiwań stałego schronienia stał się więcej niż równy swojej żonie. Była jego przewodniczką duchową, ale tym razem to on miał znaleźć konkretne rozwiązanie. Mógł wybrać mały porzucony szyb kopalni. Sięgał prawie dziesięć metrów w głąb zbocza, a budujący ścieżkę trzymali tam narzędzia. Christie i Ian mogli w nim spędzić kilka nocy, ale wiedzieli, że w końcu ktoś ich znajdzie. Potrzebowali lepiej ukrytego miejsca.

Ian wspinał się więc po głazach i brązowych skałach, szukając lepszego schronienia. W szczelinach znajdował pozostałości po wojownikach Apaczów i żołnierzach. Łuski nabojów, potłuczone butelki i metalowe elementy dobrze się zachowały w suchym powietrzu. Pewnego ranka zostawił Christie w tyle i zszedł ze szczytu. Przeszedł po gołoborzu, a potem szedł między podobnymi do włóczni liśćmi agawy, omijając grzechotniki. Wreszcie w zagłębieniu między dwiema łagodnymi graniami znalazł coś, co mogło być idealnym miejscem.

Jaskinia była rozpadliną w zboczu góry. Po pradawnych mieszkańcach zostało w środku ubite klepisko. Pęknięty garniec stał tam spokojnie jeszcze od czasów, zanim w Arizonie pojawili się Europejczycy. W tym sensie jaskinia okazała się błogosławieństwem. Czarne plamy sadzy z dawnych ognisk przypominały o czasach Geronima. Oboje czuli, że spośród wszystkich pobliskich jaskiń ta jest szczególna.

„Byliśmy pewni, że jaskinia, w której nocujemy, musiała należeć do wodza, i że reszta członków plemienia miała nieco mniej luksusowe siedziby. W każdym razie było jasne, że nikt tam nie mieszkał od czasów Apaczów", napisała McNally w liście do „Rolling Stone". Myliła się o co najmniej pięćset lat. Archeolog z Arizona State Museum, który badał garniec, twierdzi, że gładka szara angoba powlekająca naczynie wskazuje na jeszcze dawniejsze pochodzenie. Najprawdopodobniej należało ono do Hohokamów&–Indian Pueblo, których Apacze wygnali z doliny.

Jaskinia była na tyle duża, że Ian mógł się wyprostować na wysokość swoich ponad stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. W środku wystarczyło miejsca na rozłożenie posłania i stworzenie nadającej się do życia, chociaż ciasnej, przestrzeni mieszkalnej. Znaleźli też drugą niewielką rozpadlinę skalną, ukrytą za wątłym dębem, jakieś piętnaście metrów niżej. Trzymali tam dodatkowe zapasy. Ogólnie rzecz biorąc, uznali, że jest to odpowiednie miejsce, by zrealizować w nim plan równie elegancki, jak niebezpieczny: mieli mieszkać w tej jaskini, aż osiągną oświecenie.

Przez następne dwa miesiące ich schronienie było smagane deszczem, zasypywane śniegiem i prażone słońcem, tak że temperatura otoczenia dochodziła do czterdziestu trzech stopni Celsjusza. Ale pogoda nie zakłóciła ich codziennego rytmu medytacji. Christie porzuciła swoje ulubione białe szaty na rzecz nieprzemakalnych turystycznych szortów i koszulek. W tych górach trudno było o wodę, jednak Ian wymyślił sprytne rozwiązanie. Przykrył brezentem szczelinę nad wejściem do jaskini, tak aby rosa i deszczówka zbierały się na tkaninie i spływały do plastikowego

dzbanka. Woda była ziemista i brązowa, ale wydawała się do przyjęcia. Deszczówka i śnieg stały się dla nich boskim nektarem, zesłanym w odpowiedzi na ich modlitwy.

Było to w najlepszym razie niewielkie zwycięstwo. Mimo ich starań stawało się jasne, że nie są przygotowani na bardzo surowe i zmienne warunki Arizony. Jeśli uda im się przetrwać dwa lata, to tylko dzięki łasce. Byli jednak przekonani, że ich rozwijające się zdolności wystarczą, aby utrzymać żywioły z dala.

W Christie McNally wciąż buzował gniew z powodu tego, w jaki sposób Roach w trybie doraźnym pozbawił ją władzy. Chciała zwrócić się do swoich wyznawców i odpowiedzieć na zarzuty, że ona i Ian są szaleni albo niezrównoważeni, więc nabazgrała list na kartce z notatnika. W miarę pisania tekst rozrósł się do wykładu długości pięciu tysięcy słów, zawierającego natchnione odniesienie do ulubionego filmu Christie. Zatytułowała go „A Shift in the Matrix” i napisała, że jest to wykład, który ma „rozproszyć ciemności jasnym światłem”. Co ciekawe, w tym liście liczącym trzydzieści trzy strony Christie nazywała swego męża Ein – nowe imię na nowy początek.

Zdawała sobie sprawę, że wiele osób obawia się, że ich związek stał się pełen przemocy. Chciała jeszcze raz wyjaśnić, jak doszło do tego, że dźgnęła swego ukochanego nożem.

> Mój Ukochany uczył się, jak być w związku z kimś, kto ma dużo większą moc niż on sam. Z początku to było trudne i od czasu do czasu się załamywał. Dla mnie to była boska gra, naprawdę, ale dla mojego biednego męża te kryzysy okazały się druzgocące. Bo przecież ostatecznie jestem także jego lamą. Modliliśmy się więc razem do każdego, kto tylko mógłby nam pomóc, również do Kali.

Jej zdaniem Kali wysłuchała ich modlitw. To nie była walka – dźgnięcie nożem stanowiło raczej ostateczne katharsis, które wymazało resztki gwałtownej natury Iana. Ten akt przemocy był w istocie wielkim cudem. Jego karma dojrzała, gdy bogini Kali pod postacią Christie trzykrotnie zadała mu cios. Wyszedł z tego jako ktoś lepszy i spokojniejszy.

Poświęcenie własnego ciała wskazywało, że Ian całkowicie poddał się jej autorytetowi jako lamy. Po tym wydarzeniu również Christie zaczęła widzieć w Ianie swojego boskiego nauczyciela.

> Jednym z najwyższych ślubów tantrycznych jest przyrzeczenie dotyczące tego, jak powinieneś postrzegać swojego lamę i jak się do niego odnosić. Kiedy jesteś z partnerem, staje się on twoim najwyższym lamą. Więc ja od wielu lat jestem lamą Eina, a ostatnio on także stał się moim lamą. Twój lama to bez wątpienia istota boska i twoim zadaniem jest stale walczyć z wszelkim pragnieniem, by postrzegać go jako istotę niższą. Powinieneś powierzyć nauczycielowi swoje życie i całkowicie mu się poddać.

Taktyka wzajemnego poddania się jest złożona, ale kiedy zamieszkali w swojej pustelni, była w tym także pewna romantyka. Nie tylko powierzyli sobie wzajemnie swój rozwój duchowy, lecz także polegali na sobie, jeśli chodzi o codzienną egzystencję, z którą musieli radzić sobie ramię w ramię. Świat zewnętrzny, poza tym małym schronieniem wśród skał, drwił z ich wyborów. Christie musiała zmienić takie postrzeganie. Twierdziła, że ma dostęp do prawdy, jakiej jeszcze nikt nie posiadł. „Osiągnęłam pewnego rodzaju świadomość i niczyje słowa ani działania tego nie zmienią”.

Mimo to napisała, że kiedy ich wyrzucono, zmusiło ją to, by spróbować pogodzić ziemską rzeczywistość ze światem duchowym; polityka Diamond Mountain śmierdziała złą ugodą rozwodową. Kiedy wieczna miłość McNally i Roacha nie przetrwała próby czasu, wstrząs, jakim było ich rozstanie, odbił się echem w całej społeczności. Za rozdźwięk między medytującymi winiła tantryczne żądze Roacha.

> Czułam, że ludzie zaczęli traktować praktykę tantry zbyt lekko – tymczasem to nie jest jakieś rekreacyjne ćwiczenie dla zabawy, to jest droga do oświecenia, szybka i bardzo niebezpieczna, jeśli korzysta się z niej niewłaściwie. Ludzie mają różne szalone pomysły, że może zaczną praktykować tantrę i mieć dziesiątki partnerów albo coś w tym rodzaju. Wchodzą w to z niewłaściwych powodów, źle z tego korzystają i dzieje im się krzywda. Albo uczciwie próbują praktykować, ale są niewłaściwie prowadzeni i ponoszą porażkę.

Zarzucała zarządowi ośrodka, że jest lekkomyślny; obawiała się, że ponieważ w takim pośpiechu pozbawili ją przywództwa, przez nich nie ukończy pozostałych dwóch lat medytacji. „Nie wyrzuca się kogoś prosto z głębokiej samotności w szalony świat. Nie dano nam czasu, żebyśmy mogli przygotować sobie nowe miejsce i tam kontynuować medytacje”, napisała.

Ten błąd byłby oczywisty dla każdego, kto przez ostatnie siedem lat uczestniczył w kursach ACI. Zanurzenie się we własnym wnętrzu jest jak nurkowanie w głębokim morzu – jeśli ktoś wynurza się zbyt szybko, krew wrze w żyłach i pękają przegrody w ciele. Umysł działa nieco inaczej. Dzięki milczeniu umysły medytujących mogą się rozwijać w nowych subtelnych kierunkach. Szczelne bariery wzniesione przez zarząd w dolinie poniżej miały ich chronić przed światem zewnętrznym. Tak szybkie wyrzucenie ich dwojga było niebezpieczne. I zarząd o tym wiedział.

Dlaczego, pytała, grozili, że wezwą szeryfa? Czy chcieli, żeby oszalała? Wygnanie jej nie różniło się od bezpodstawnych oskarżeń, które stały się zapalnikiem wojny z Apaczami. „Oskarżyli Apaczów o porwanie dziecka i to był początek trwającej siedemdziesiąt pięć lat wojny, która właściwie nadal się tli. Ta sama bitwa wciąż trwa. Ale może tym razem zrobimy to mądrze i uleczymy to miejsce na dobre”.

List kipiał od paranoi. W nocy słyszała głosy i kroki w pobliżu namiotu. Widziała, jak światła reflektorów przeczesują dno doliny. Ze swojego miejsca mieli na nią dobry widok; pisała, że kiedy razem z Ianem patrzyli ze szczytu urwiska, ludzie przeszukali ich dawny domek i zabili gwoździami drzwi, żeby nie mogli wrócić. Być może – zastanawiała się – chcieli znaleźć „kompromitujące zdjęcia pewnego mojego byłego przyjaciela”. Prawdopodobnie miała na myśli potajemne zdjęcia Roacha w kobiecym ubraniu, które nigdy nie wyszły na światło dzienne, ale krążyły plotki o ich istnieniu.

List kończył się w tonie pełnym nadziei, chociaż, co najistotniejsze, ujawniał także miejsce ich pobytu. Napisała, że siedzą z Ianem w swojej idyllicznej górskiej pustelni owinięci w śpiwór i spoglądają na ośrodek w dolinie. Było dla niej ważne, by medytujący

wiedzieli, że wciąż jest gdzieś ponad nimi. Wystarczyło, by unieśli głowy, żeby ją zobaczyć. Potem zastanawiała się, co czeka piękne i rozdarte konfliktami miejsce, na które patrzyła.

12 kwietnia Christie przekazała list jednemu ze swoich pomocników, być może Chandrze, który przyszedł do nich z zapasami. Dwa dni później Akasha zamieścił go w internecie, gdzie w jednej chwili skupił uwagę wyznawców lamy Christie. Ale moment triumfu trwał tylko kilka godzin – potem raj, który McNally i Thorson starali się zwizualizować, zaczął się obracać w gruzy.

Niemal zaraz po odejściu pomocnika McNally poczuła zawroty głowy i skurcze jelit. Z bólu zgięła się wpół, objawy szybko się nasilały. Wpełzła do jaskini i już po kilku godzinach była tak chora, że nie mogła się podnieść z posłania. Zaniepokojony Ian robił, co mógł, żeby poczuła się lepiej.

Wieczorem 15 kwietnia na ich obozowisko spadł lekki śnieg, który zgromadził się w brezentowym zbiorniku na deszczówkę. Pomocnik McNally, który zabrał list, nie przyniósł im wody, więc ta wilgoć była błogosławieństwem. Następnego dnia nieco się ociepliło i niewielka ilość wody z roztopionego śniegu spłynęła do ich trzydziestolitrowego zbiornika. Chociaż Akasha dał im filtr do wody przewidziany właśnie na tego rodzaju kryzysowe sytuacje, nie chcieli go używać. Ostatecznie woda to esencja życia, a oczyszczanie wody siłą umysłu – nawet biorąc pod uwagę chorobę McNally – wydawało się w granicach ich możliwości.

Czy to była dyzenteria, ameba, czy jakaś bakteria, choroba Christie zyskała więcej niż przyziemne znaczenie. „Ludzie w szpitalu przypuszczali, że mogliśmy się rozchorować od czegoś, co było w śniegu, ale nie sądzę. [...] Zachorowałam następnego dnia po tym, jak przekazałam list. Czy to przypadek? Może. Może nie. Tyle mogę powiedzieć”, pisała później. Chociaż nie rozwinęła tej myśli, jej zdaniem istniał związek między listem a jej chorobą. Jedyną osobą, która według jej mniemania miała moc sprowadzenia takiej choroby, był Michael Roach, jej lama, z którym związała się na całe życie. Czy to możliwe, że Roach zasiał karmiczne ziarno zemsty? Czy Roach i

zarząd przyczynili się do ich porażki nie tylko przez swoje zaniedbania, ale też przez złe zamiary?

Niezależnie od przyczyny jej choroby Ian był zaniepokojony. Zszedł piętnaście metrów do schowka, żeby przynieść stamtąd ostatnie zapasy wody. Nie zostało jej wiele – najwyżej dzbanek – a wniesienie jej na górę, chociaż odległość nie była duża, oznaczało ryzykowną wspinaczkę po żwirowym zboczu.

Christie, która nie mogła poradzić sobie samodzielnie, oddała swoje życie w ręce Iana, tak jak to wcześniej głosiła na niezliczonych wykładach. To jedyne, co mogła zrobić. Nie mieli antybiotyków, żadnych środków na biegunkę ani innych leków, Ian czuwał u boku żony i wspierał ją, jak mógł, swoją obecnością. Być może myślał o telefonie komórkowym i radiolatarni, które dał im Akasha, ale ze względu na swoją misję wzdragali się przed wezwaniem pomocy z zewnątrz. Jej karmą była choroba, a jego karmą – przywrócenie jej do zdrowia.

Stres nadszarpnął siły Iana. Przez ostatnie lata jego ciało przeszło wiele przemian. Rezygnował z jedzenia i chudł, a później znów jadł z apetytem. Kiedy mieszkali w dolinie poniżej, wyglądał prawie jak asceta czy breatharianin. Albo może jak anorektyk. Teraz żebra sterczały mu pod skórą jak szczeble, a ucieczka w góry tylko pogorszyła jego stan. Od czasu, kiedy tu zamieszkali, żadne z nich nie jadło świeżej żywności. Najsmaczniejszą rzeczą, jaką mieli w zapasach, była grochówka w puszce, a worek ryżu basmati był jedynie podstawowym wyżywieniem.

Później Christie wspominała: „Ian się mną opiekował. Mieliśmy wodę, ale nie za dużo, więc ją wydzielaliśmy – kilka misek dziennie, Ian mógł pójść i zdobyć więcej, ale nie chciał mnie zostawiać. Mogliśmy wysłać do kogoś SMS, ale Ian nie bardzo chciał, żeby ludzie wiedzieli, że tu jesteśmy. Poza tym, jak się przekonałam, nawet jeśli opisze się to miejsce, nadal jest niemal nie do znalezienia”.

Po blisko ośmiu dniach osłabiającej choroby Christie poczuła się lepiej. Dolegliwości zaczęły ustępować i powoli wracały jej siły, tak

że była w stanie chwiejnie wyjść z jaskini. Jednak kiedy tylko zaczęła stawać na nogi, u Iana pojawiły się te same objawy.

Odwodnienie łatwo zlekceważyć, a jego skutki mogą być bardzo poważne. W ciągu trzech lat w hrabstwie Cochise z powodu odwodnienia zmarło trzydzieści sześć osób. Wilgoć jest na pustyni na wagę złota, a jeśli do tego dojdzie jeszcze coś, co powoduje szybki ubytek płynów, na przykład giardioza, może się to skończyć śmiercią dużo szybciej niż w cywilizacji, Ian dowlókł się do posłania i leżał, dygocząc. Był słaby, ale nie chciał się poddać.

Christie nie radziła sobie w warunkach polowych tak dobrze jak on. Nigdy nie wędrowała po górach z namiotem. Sama świeżo po chorobie była za słaba, żeby przynosić wodę, tak by Ian mógł uzupełnić płyny – pozostawała więc tylko coraz wstrętniejsza woda z dna zbiornika.

Minął tydzień od ostatnich opadów śniegu, w zbiorniku znajdowało się pełno gałązek i śmieci. 20 kwietnia Ian był blady i wymizerowany. Jego wyschnięte usta popękały. To było frustrujące, ale za swoje fatalne położenie mógł winić jedynie siebie. Choroba stanowiła symbol jego własnej porażki; wiedział, że jedynym sposobem, by wyzdrowieć, jest pokonanie karmy, która ją spowodowała.

Od czasu, kiedy w Niemczech znów uległ wpływowi Roacha, Ian wyładowywał swoją agresję na kobietach. On i Christie kłócili się ze sobą podczas odosobnienia. Ale tutaj, na szczycie góry, skierował agresję do wewnątrz. Sprzeczali się o coś, a potem Ian walił się pogłowie rękami albo plastikowym prętem, który mieli w jaskini. Nękały go strach i poczucie klęski. Płakał bez łez. Atak wściekłości przerywały dopiero błagania Christie, żeby przestał.

Miał posiniaczone czoło. To nie była jego wina, że nic już nie miało sensu – prawa karmy nigdy nie działają w prosty sposób. Christie wiedziała, że choroba nigdy nie ma prostej przyczyny. Może to bakteria wywołała gorączkę, ale wszystkie okoliczności, za których sprawą infekcja rozwinęła się w jego ciele, wynikały z wcześniejszych czynów Iana. Karmiczna choroba była równie

niebezpieczna dla ich misji, jak choroba ciała. Zgodnie z ich kosmologią choroba nie zawsze jest czymś złym. Karmiczne nasiona dojrzewają tylko raz, więc każde cierpienie Iana pomagało oczyszczać negatywne doświadczenia z przeszłości.

Christie wiedziała, że kiedy Ian spoglądał na nią z jaskini gasnącymi oczami, pragnął jedynie ujrzeć ją jako anioła złożonego z czystego białego światła. Była jego ukochaną i nauczycielką, oświeconą istotą, która na własne oczy ujrzała naturę pustki. Cokolwiek miało się stać, oddał swój los w jej ręce. Był absolutnie przekonany, że postąpi właściwie.

Kiedy stracił przytomność, odpowiedzialność za jego ocalenie spoczęła wyłącznie na barkach Christie.

Miała do wyboru: albo użyć radiolatarni i pogodzić się z tym, że nie ma władzy nad losem, albo pomóc mężowi oczyścić jego karmę i wyrwać chorobę z korzeniami. Nie zastanawiała się długo. McNally widziała wściekłość i frustrację Iana i prosiła Kali, żeby zabrała go znad krawędzi śmierci, tak jak wcześniej ocaliła ją samą. Na okładce książki, którą miała ze sobą w jaskini, zamieszczono wizerunek wychudłej bogini trzymającej obciętą głowę. Książka leżała obok świętego bębna, którego używali do swoich rytuałów.

Dyzenteria to bezlitosna pani – w ciągu dwóch długich i ciężkich dni infekcja spustoszyła układ pokarmowy Thorsona. W wilgotnej jaskini z pewnością unosił się odór choroby. Jego fizyczne zasoby niemal się wyczerpały, balansował między życiem a śmiercią.

Czy wyzdrowieje tak jak ona? Czy też ta podróż go zabije? McNally modliła się, a potem zasnęła, podczas gdy Thorson dygotał pod warstwami koców, jego żebra i kości biodrowe sterczały pod skórą, na spierzchniętych ustach zastygła krew.

Rankiem 22 kwietnia 2012 roku Thorson się nie obudził. Modlitwy McNally nie zadziałały, a konsekwencje przeniknęły do jej rzeczywistości. Wciąż słyszała jego powolny, drżący oddech i martwiła się, że być może teraz już nie będzie w stanie mu pomóc. O szóstej rano włączyła radiolatarnię i wysłała do swoich przyjaciół i rodziny wcześniej nagraną wiadomość zawierającą namiary GPS.

Sygnał dotarł do satelity na orbicie geostacjonarnej, który przekazał go do centrum kryzysowego w Houston. McNally włączyła też komórkę i napisała SMS do Chandry znajdującego się w dolinie poniżej. Powiadomiła swojego pomocnika, że potrzebuje pomocy, bo Ian płytko oddycha. Co więcej, potrzebowała wybawienia od własnych decyzji.

W ośrodku Diamond Mountain wiadomość o zagrożeniu zjednoczyła wszystkich poczuciem odpowiedzialności. Pomocnik McNally powiedział Scottowi Vackowi, że ona i Thorson są w pobliżu i potrzebują pomocy. Ośrodek zorganizował grupę poszukiwawczą, która ruszyła w górę zbocza, by odnaleźć byłych przywódców odosobnienia. Renee Miranda, pielęgniarka, która kiedyś założyła Ianowi szwy, opuściła teren medytacji, żeby pomóc. Vacek zadzwonił na 911, a służby ratownicze poderwały śmigłowiec z pobliskiej bazy lotniczej.

Teren, który zapewnił Thorsonowi i McNally potajemną kryjówkę, utrudnił także ratunek. Zanim grupa poszukiwawcza do nich dotarła, wspinała się mozolnie przez sześć godzin. Miranda jako pierwsza zobaczyła przerażoną twarz Christie, Ian już wtedy nie oddychał. Jego twarz miała nienaturalny ciemnofioletowy odcień. Miranda zbadała mu puls i powiedziała swojej byłej nauczycielce, że Thorson nie żyje.

„Ta jedna chwila na zawsze pozostanie najgorszą chwilą w moim życiu”, napisała później McNally.

Godzinę później śmigłowiec przystosowany do górskich akcji ratunkowych przeleciał nad grzbietem i dotarł nad miejsce, gdzie leżał Thorson. Ratownicy mieli problemy techniczne, dlatego dotarli później niż grupa poszukiwawcza, która weszła pieszo. Miranda i Vacek użyli czerwonego śpiwora jako sygnału dla śmigłowca, żeby wskazać mu miejsce lądowania.

Ratownicy zjechali na dół w specjalnej uprzęży i wciągnęli McNally na pokład. Oficer zrobił liczne zdjęcia ciała Thorsona i zaczął notować szczegóły do raportu dla policji. Na zdjęciach Ian leży wdzięcznie z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby

odpoczywał. Ma piasek w oczach i ciemnego siniaka na nosie. Diamentowy kolczyk, który nosił na znak więzi z boginią Wadżrajoginią, błyszczy w jego prawym uchu, a złota obrączka ślubna oplata luźno palec, jakby miała zaraz spaść. Szeroko rozwarte usta zastygły, wydając ostatnie tchnienie.

McNally krzyczała do ratowników, żeby coś zrobili, chociaż w jaskini zastali już tylko zwłoki. Strażnik zanotował, że mówiła: „Myślałam, że mogą przywrócić go do życia”. Nie chciała, by rozdzielono ją z ciałem Thorsona, i walczyła z policjantami i przedsiębiorcą pogrzebowym, kiedy chcieli je zabrać.

Po autopsji stwierdzono, że przyczyną śmierci Thorsona było odwodnienie. Jego zwłoki ważyły zaledwie czterdzieści pięć kilogramów. McNally wracała do zdrowia w szpitalu w Willcox, gdzie starano się zaradzić skutkom odwodnienia. Gdy tylko poczuła się lepiej, pojechała do kostnicy, żeby siedzieć przy zwłokach Thorsona i trzymać go za rękę, by odprowadzić go w zaświaty.

Dwa dni później ktoś zapukał do drzwi Kay Thorson. Wyjrzała przez wizjer i zobaczyła dozorcę budynku, który z niespokojną miną przestępował z nogi na nogę. Kiedy otworzyła drzwi, wręczył jej numer telefonu do biura szeryfa w Willcox w Arizonie. Poczuła, jak ogarnia ją zgroza – wiedziała, że Ian ma kłopoty. Być może jest ranny.

Kiedy zadzwoniła do szeryfa Larry’ego Nolanda, jego słowa przepływały przez nią, jakby pochodziły z jakiejś odległej rzeczywistości. Nie miała żadnych wieści o synu, od czasu kiedy odszedł na pustynię, a teraz nagle spadła na nią lawina informacji. Napad z użyciem noża. Jaskinia. Za kilka dni pogrzeb.

Na prośbę Christie ceremonią żałobną zajął się Akasha. Kiedy zadzwoniła Kay, obiecał, że załatwi wszystko, co trzeba, żeby mogła przyjechać do Arizony. Wyruszyła w piątek, przyleciała do Tucson i przejechała przez dolinę między górami Dragoon i Chiricahua, gdzie Akasha zarezerwował dla niej pokój w nijakim hotelu przy autostradzie.

Trumna Iana stała w Westlawn Chapel, niskim domu pogrzebowym z prefabrykatów. Kay ubrała się w czarną sukienkę. Poza nią tylko jedna osoba z rodziny Iana brała udział w pogrzebie: jego dziesięcioletnia córka Thea przyleciała z Niemiec bez matki.

Trumna stała otwarta podczas ceremonii, co, jak powiedział przedsiębiorca pogrzebowy, wymagało odwagi, ponieważ Christie nie pozwoliła mu zabalsamować zwłok. Mętnie przypomina sobie McNally, która odczytała buddyjskie teksty i położyła na zwłokach białe jedwabne szale na znak błogosławieństwa.

Przeczytała krótki buddyjski tekst o doskonałości wiedzy, który Roach przetłumaczył dla niej wiele lat wcześniej. Tekst mówił o pustce śmierci.

> Nie ma niezrozumienia twojego świata. Nie można powstrzymać tego niezrozumienia i to samo odnosi się do twojej starości i śmierci i do powstrzymania tej starości i śmierci. Nie ma cierpienia. Nie ma źródła tego cierpienia. Nie da się powstrzymać tego cierpienia. Nie ma ścieżki do powstrzymania tego cierpienia.

Ten fragment był niemal nihilistyczny, ponury i niezrozumiały. Tak jak życie Iana skończył się zbyt szybko. Zdaniem Kay jej syn zasługiwał na coś więcej – kilka słów o Ianie takim, jakim go zapamiętała, a nie takim, jakim się stał.

Kiedy ceremonia się skończyła, Kay miała tylko jedną prośbę. Chciała zrozumieć, dlaczego jej syn postanowił tu przyjechać. Co takiego szczególnego było w Diamond Mountain? Chciała zobaczyć tę górę na własne oczy.

Kay poprosiła Akashę, który z kolei zwrócił się z prośbą do McNally, żeby pozwoliła jej odwiedzić ośrodek buddyjski. Do Diamond Mountain było tylko trzydzieści kilometrów, ale McNally kazała mu trzymać ją z dala. Akasha powiedział więc Kay, że to niemożliwe i że nie byłaby tam mile widziana. Kay poprosiła jeszcze raz, ale dostała tę samą odpowiedź. Nie zabiorą jej, nawet żeby popatrzyła na ośrodek z fortu Bowie.

– Wiedziałam, że kłamią, ale uznałam, że nie powinnam jechać tam sama – powiedziała.

Zamiast tego Kay skierowała się na niewielkie wzniesienie tuż za Willcox, z którego rozciągał się widok na położone na pustyni miasteczko. Jedynym charakterystycznym punktem na zboczu góry było gigantyczne białe W, sygnalizujące nazwę miasta każdemu podróżnikowi przybywającemu z pustyni. Nie tam chciała dotrzeć, ale miała nadzieję, że może to wystarczy, by przyjrzeć się krajobrazowi, który zainspirował Iana.

Wędrówka okazała się nadspodziewanie trudna. To, co z doliny wydawało się łatwym podejściem, z bliska było stromym stokiem. Pochylała się ciężko nad zboczem i co kilka metrów musiała się zatrzymać, żeby złapać oddech. Zajęło jej to cały poranek, ale kiedy wreszcie wdrapała się na szczyt, zobaczyła ciągnącą się aż po horyzont skalistą pustynię. Od zachodu potężne góry Chiricahua strzegły dostępu do Apache Spring. Grzbiet był nagi, miejscami wydawało się, że to stosy głazów spiętrzonych jeden na drugim. Było to bezlitosne pustkowie. Stała tam, czuła, jak wargi pierzchną jej na wietrze, i wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie wybaczyć ludziom, którzy odebrali jej syna.

Epilog

Pod osłoną białego parasola

> Można go zapytać [członka plemienia Zande o przyczynę czyjegoś samobójstwa]: „W jaki sposób ów popełnił samobójstwo?”, a on powie, że popełnił samobójstwo, wieszając się na gałęzi. Można również zapytać: „dlaczego popełnił samobójstwo?”, a on powie, że dlatego, iż rozgniewał się na swoich braci. Przyczyną jego śmierci było powieszenie się na drzewie, a przyczyną powieszenia się był gniew na braci. Jeżeli wówczas zapyta się go, dlaczego musiał powiedzieć, że na tego człowieka rzucono czary, skoro ten popełnił samobójstwo z powodu gniewu na swoich braci, odpowie, że tylko szaleni ludzie popełniają samobójstwo i że jeśli każdy, kto gniewa się na swoich braci, popełniałby samobójstwo, to niebawem na świecie nie zostałby już nikt, i że jeśli na tego człowieka nie rzucano by czarów, nie zrobiłby tego, co zrobił. Jeśli być upartym i pytać, czemu czary spowodowały, że ten człowiek popełnił samobójstwo, Zande odpowie, iż przypuszcza, że ktoś nienawidził go, a jeśli zapytać, dlaczego ktoś go nienawidził, informator powie, że taka już jest natura ludzi.
>
> Edward E. Evans-Pritchard, Czary, wyrocznie i magia u Azande. Wersja skrócona

Do jaskini, w której zginął Ian Thorson, nie prowadzi żaden szlak. Znajduje się ona gdzieś na żwirowym zboczu wznoszącym się nad doliną. Kiedy po raz pierwszy pisałem o tej historii, przez trzy godziny wspinałem się po stromym kamienistym zboczu, mijając

złośliwe kaktusy i juki o trujących kolcach. Ta wyprawa omal mnie nie zabiła. Kiedy skończyła mi się woda, doznałem czegoś w rodzaju ataku serca i ledwo ciągnąłem za sobą nogi. Przez resztę dnia dochodziłem do siebie po tej wspinaczce i rozmawiałem z kilkoma osobami spośród członków grupy przebywających w dolinie. Tego wieczoru wsunąłem się do namiotu, który rozstawiłem w suchym korycie jednego ze strumieni wokół Diamond Mountain. Noc była gorąca i bezwietrzna, więc zdjąłem tropik, żeby przez siatkowy dach móc widzieć niebo.

Ciemnogranatowy przestwór migotał milionem świetlistych punktów. Być może byłem po prostu wyczerpany po długim dniu, ale kiedy siedziałem tam, patrząc na niebo, zaczęło mi się wydawać, że kolory się zmieniają. Niebo z ciemnego stało się ciemnoróżowe, a wreszcie nabrało czerwonawego odcienia, jakby było czymś organicznym, obdarzonym własną wolą. Zastanawiałem się, czy to moje oczy płatają mi figle, może ich czopki i pręciki ułożyły się inaczej dzięki wyższej świadomości? Ale muszę przyznać, że rozważałem też, czy w Roachu jest coś więcej niż umiejętność robienia show. Ludzie w ośrodku poświęcali całe życie, próbując nagiąć świat materialny do swojej woli. Opisy *siddhi* pojawiają się w świętych tekstach od ponad dwóch tysięcy lat. Wielu moich informatorów twierdziło, że Roach potrafi czynić cuda, a teraz byłem na jego terenie, spisując opowieść, która raczej nie miała stawiać go w korzystnym świetle. Zastanawiałem się, co by to znaczyło, gdyby Ian zmarł nie z powodu ignorancji i dyzenterii, ale dlatego, że Roach zasiał złe ziarno w strumieniu jego karmy. Myśl była szalona, więc ją porzuciłem.

Od czasu mojego pierwszego artykułu na ten temat w „Playboyu” minęło dziewięć miesięcy. W tym czasie relacje ośrodka z mediami zmieniły się radykalnie. Teksty krytyczne wobec grupy ukazywały się w „Psychology Today” oraz na niezliczonych stronach internetowych i w tabloidach. McNally ujawniła się tylko raz, kiedy wysłała dziennikarzowi z „Rolling Stone” prawie sześćdziesięciostronicowy elaborat o swoim związku z Roachem. Członkowie grupy, którzy niegdyś entuzjastycznie korzystali z okazji, by poprawić wizerunek ośrodka, teraz zaczęli unikać zainteresowania mediów, które skupiały się na tantrycznym seksie, zaprawianych alkoholem orgiach oraz mrocznych rytuałach. Niemal wszyscy, którzy znali blisko Thorsona albo McNally, siedzieli cicho, być może na polecenie Roacha. Wewnętrzny krąg był zasadniczo niedostępny[36].

Zgodnie z mechanizmami opisanymi przez Dianę Alstad i Joela Kramera w książce *The Guru Papers* Diamond Mountain osiągnęła

ten etap marginalnych grup religijnych, na którym w poczuciu prześladowania ze strony społeczeństwa kierują się one do wewnątrz. Zarazem ich zasoby finansowe zaczynają się kurczyć i coraz trudniej im przyciągnąć nowych członków. Roach napisał do Fernandy Santos z „New York Timesa” i poprosił o publikację wyjaśnienia umniejszającego wagę śmierci Thorsona, uzasadniając to w ten sposób: „Od czasu ukazania się tego artykułu nasza organizacja dobroczynna – która jest jednym z głównych źródeł dochodu dla uchodźców z Tybetu – straciła wielu darczyńców”. Według Alstad i Kramera na następnym etapie tego rodzaju grupa zaczyna gromadzić zapasy broni i postrzegać krytykę z zewnątrz jako poważne zagrożenie. To mnie martwiło.

Zostało jeszcze wiele do napisania i wiedziałem, że będę musiał wrócić do Bowie w 2013 roku, kiedy pozostali uczestnicy medytacji mieli wyjść z doliny, by udzielić pierwszych nauk na temat odosobnienia od czasu śmierci Iana. (Wykłady takie zaplanowano mniej więcej co pół roku, miało się ich odbyć sześć podczas trzech lat). W tym samym czasie, kiedy Diamond Mountain, jak się wydawało, zaczęła się zamykać dla świata zewnętrznego, skontaktowało się ze mną mnóstwo członków zrażonych do organizacji. Wiele osób było złych na Roacha za jego własną wersję buddyzmu. Mnisi z FPMT, jednej z największych organizacji buddyzmu tybetańskiego na Zachodzie, napisali, że cieszą się, że prawda wyszła na jaw. Wielu byłych członków uważało, że do śmierci Iana przyczyniły się nie tylko surowe warunki, ale także czarna magia. Pisali do mnie między innymi mnisi z dawnego klasztoru Roacha, ludzie mieszkający niedaleko Diamond Mountain oraz była asystentka lamy Zopy w FPMT Karen Visser, która twierdziła, że ja i inni dziennikarze jesteśmy celem wojny duchowej[37].

Visser wytrwale pisała do dziennikarzy, do mnie wysłała ponad dwieście listów, mnóstwo ich otrzymali również inni reporterzy obserwujący upadek Diamond Mountain. Niedługo po tym, jak po raz pierwszy napisałem o Roachu w 2012 roku, zadzwoniła do mnie,

żeby mi powiedzieć, że najwyżsi lamowie w Sera Mey zaproponowali, że rzucą zaklęcie ochronne, które uchroni dziennikarzy i ich przyjaciół przed karmicznymi machinacjami Roacha. Odmówiłem z dwóch powodów. Po pierwsze obawiałem się, że to może niepotrzebnie wpłynąć na moją relację. A po drugie nie byłem skłonny sądzić, że ktokolwiek, nie mówiąc o Roachu, ma nadnaturalne zdolności. Visser była zaskoczona moją odmową, inni dziennikarze się zgodzili.

Pół roku później zacząłem pracować nad tą książką. Przyjąłem propozycję pobytu w domu pracy twórczej zwanym Ledig House na północy stanu Nowy Jork i zamierzałem tam napisać konspekt. Zakładałem, że będę miał mniej więcej rok na przygotowanie książki, a kiedy przyjechałem do Nowego Jorku, przede wszystkim napisałem e-mail bezpośrednio do Michaela Roacha, prosząc, by ponownie przemyślał kwestię rozmowy ze mną. Tłumaczyłem, że opisując życie Iana Thorsona, próbuję zarazem zrozumieć swoją byłą studentkę, która odebrała sobie życie w Root Institute w Bodh Gai, w tym samym miejscu, gdzie Roach wykładał na przełomie wieków i gdzie zaczął się jego romans z Christie. Napisałem: „Często łamałem sobie głowę nad śmiercią Emily, rozważałem, czy powinienem traktować ostatnie słowa, jakie zapisała w swoim dzienniku: »Jestem bodhisattwą«, jako prawdziwe objawienie duchowe, czy też jako oznakę szaleństwa. Być może były po trosze jednym i drugim”. E-mail pozostał bez odpowiedzi, więc mogłem się jedynie zastanawiać, co Roach sobie o nim pomyślał.

Po tym liście do Roacha wszystko w moim świecie zaczęło się rozpadać, z szybkością znaną pewnie Christie McNally, gdy wręczyła swojemu pomocnikowi list „A Shift in the Matrix”. Malowniczy teren domu pracy twórczej – miejsca, gdzie trzy lata wcześniej kończyłem swoją pierwszą książkę – stał się dziwnie złowrogi. Mój niewielki, pomalowany na szaro pokój z podwójnym łóżkiem był prostym pomieszczeniem do pracy, z biurkiem i szafą. Były tam dwa okna: jedno nad łóżkiem i drugie wychodzące na podjazd. Po jakichś dwóch dniach od wysłania e-maila do Roacha zauważyłem, że nad

moją poduszką często lata osa. Ponieważ nie lubię zabijać owadów, wstawałem z krzesła i wypędzałem ją za okno. Ale kiedy tylko zamknąłem okno, po dziesięciu–dwudziestu minutach pojawiała się kolejna. Nieustannie jakaś osa fruwała nad łóżkiem. Nigdy w żadnym innym miejscu w pokoju. Wykazywały się niebywałą wytrwałością. W ciągu dwóch tygodni pobytu pojawiło się ich ze trzydzieści–czterdzieści (albo była to jedna i ta sama niezmordowana osa, która wylatywała i wracała). Siadałem do pracy, a po chwili, gdy podnosiłem wzrok, widziałem patrzącą na mnie osę, którą niedawno wygoniłem.

W buddyzmie tybetańskim różne bóstwa często łączy się z obecnością zwierząt czy owadów. Na przykład bóstwo Dor dże Szugden, które Dalajlama nazywa „złym duchem”, podobno nasyła na ludzi pająki. Nie byłem pewien, czy osy reprezentują jakieś określone bóstwo, ale kiedy zaczęły się regularnie pojawiać, czułem coś, co mogę określić tylko jako obecność. Zacząłem też widzieć różne rzeczy kątem oka. Na przykład czarny podłużny kształt wielkości człowieka, przypominający dużą włochatą amebę, zawsze wydawał się obecny tuż obok. Kiedy wstawałem od biurka, żeby wyjść na zewnątrz, cień podążał za mną, wciąż tuż poza polem widzenia. Gdy się odwracałem, żeby na niego spojrzeć, znikał. Jego obecność właściwie mnie nie przerażała, ale czułem, że jest gdzieś w pobliżu.

Pisząc, zawsze zanurzam się głęboko w temat i teraz też wiedziałem, że muszę na tyle, na ile się da, zamieszkać w mentalnej przestrzeni własnych bohaterów. W tym celu przepisałem dziennik swojej byłej studentki Emily, zmieniając jej krągłe pismo na komputerową czcionkę. Podczas pracy słuchałem różnych wykładów Michaela Roacha dostępnych za darmo w sieci. Jednak to chyba nie był zdrowy sposób zapoznawania się z materiałami. Zaczynałem popadać w paranoję. Nieustannie pojawiające się osy szargały mi nerwy.

Z czasem zaczęło być coraz gorzej.

Czułem dziwne mrowienie u podstawy czaszki i jakiś ucisk, trochę jak przy zatkanych zatokach, tylko nie w tym miejscu. Pisanie było trudne. Kilka miesięcy wcześniej wysłałem mnóstwo podań o granty, które miały mi pomóc skończyć książkę – dostałem same odmowne odpowiedzi. Zajrzałem na konto i stwierdziłem, że cyberzłodzieje z Nigerii przejęli dane mojej karty kredytowej i nakupili w różnych krajach zielska za tysiąc dolarów. Kiedy zadzwoniłem do żony w Kalifornii, okazało się, że nie jest dobrze. Moje małżeństwo zaczęło się psuć. Oczywiście za żadną z tych spraw nie mogłem w racjonalny sposób obwiniać Michaela Roacha. Ale ostatecznie stałem się badaczem tego, co nieracjonalne. Wysłałem do Visser e-mail z wiadomością, że ponownie rozważyłem jej propozycję ochrony. Być może to wszystko to tylko pech i paranoja, ale wydawało mi się, że te zbiegi okoliczności przestają być przypadkowe, więc jeszcze odrobina szamaństwa nie mogła tu zaszkodzić.

Najbardziej martwiło mnie to, że zamierzałem pojechać na zbliżający się wykład w Bowie mniej więcej rok po śmierci Thorsona. Spotkanie miało się odbyć za kilka tygodni. Chociaż nie sądziłem, żeby Diamond Mountain miała się zmienić w Jonestown czy Waco[38], trudno było przewidzieć, jak niektórzy członkowie zareagują na zagrożenie dla ich społeczności. Jednym z najważniejszych ślubowań w różowych książeczkach, które nosili przy sobie ludzie w ośrodku, było przyrzeczenie, że będzie się chronić sanghę, co w sanskrycie oznacza społeczność religijną. Według wielu relacji podczas inicjacji Christie McNally, kiedy poleciła się opiece bogini Kali, w pomieszczeniu była broń automatyczna.

Oczywiście będą się modlić, żeby wszelki niekorzystny rozgłos, który mogłem spowodować, ustał. Wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek miałbym się znaleźć w duchowych tarapatach, to właśnie wtedy. Zgodziłem się więc kupić campę – rodzaj mąki jęczmiennej – w ofierze dla mnichów z Sera Mey. W zamian za to mieli przeprowadzić potężną ceremonię zwaną pudżą ochronną białego

parasola. Visser powiedziała mi, że zaklęcie stworzy stałą więź między mną a ich najwyższym lamą, bardzo starym i niesamowitym jegomościem Khensurem Rinpoczem Rabgą. Napisała: „To jest szamańskie zaklęcie ochronne, bardzo stara sprawa; część z tego jest starsza niż buddyzm. Sama tantra sięga paleolitu”. Uznałem to za wystarczające uzasadnienie wydania dwustu dziesięciu dolarów na ośmiu mnichów, którzy przez kilka godzin mieli recytować w moim imieniu zaklęcie ochronne.

Diana Alstad wyjaśniła mi kiedyś, że moc guru działa jak hipnoza – może wywrzeć na ciebie wpływ, tylko jeśli wcześniej wpuściłeś guru do swojej przestrzeni mentalnej. To koncepcja podobna do dawnych mitów o wampirach, które mogą wejść do czyjegoś domu, tylko jeśli zostały zaproszone. Choć antropolodzy raczej nie opisują tego, co może się wydarzyć w świecie bóstw, od dawna wiedzą, że magia może mieć realne skutki, nawet jeśli stojące za nimi przyczyny są czysto psychologiczne. Fetyszyzm i szamanizm zmieniają ludzkie zachowanie i mogą służyć do wyjaśniania złożonych struktur społecznych. Ktoś, kto sądzi, że rzucono na niego klątwę, może naprawdę doświadczyć ciągu negatywnych wydarzeń. Niezależnie od tego, co było przyczyną moich objawów – paranoja czy ukryty splot karmy – wiedziałem, że muszę wyrzucić Roacha ze swojej głowy. Więc wymyśliłem własną medytację. Nie miałem żadnej specjalnej metody, skupiałem się po prostu na zamiarze pozbycia się złego juju.

Gdy patrzyłem w okno, osa bzyczała mi nad głową. Oddychałem głęboko i spokojnie, wyobrażając sobie, że przy każdym wdechu moje ciało wypełnia pozytywne światło, a przy każdym wydechu pozbywam się czarnej mgły wpływu Roacha. Zacząłem bez wyraźnego powodu kołysać się na krześle. Niemal natychmiast poczułem falę energii płynącą z żołądka do głowy. Czułem się tak, jakby spadł ze mnie ciężar. Wdychałem pozytywną energię i wyrzucałem z siebie paskudztwo, które gromadziło mi się u podstawy czaszki. Poczułem ogromną ulgę. Kiedy zakończyłem tę medytację, usłyszałem sygnał, że przyszedł e-mail. Spojrzałem na ekran – wiadomość była od dziennikarki, która także pracowała nad

tekstem o Roachu. Pisała, że rezygnuje z tego projektu i że chce mi przesłać wszystkie notatki, bo może mi się przydadzą. Wydawało mi się, że przeszkody zaczynają znikać.

Zostały mi jeszcze dwa dni do wyjazdu do Diamond Mountain. Najpierw miałem polecieć samolotem do domu w Long Beach w Kalifornii, a stamtąd czekało mnie osiem godzin jazdy samochodem przez pustynię Sonora do niemal opuszczonego miasteczka Bowie. W znacznie lepszym nastroju poszedłem do kuchni porozmawiać z innymi pisarzami. Wśród nich był Robert Karjel, szwedzki wojskowy i autor książek, który pracował nad thrillerem opartym na swoich doświadczeniach w pilotowaniu helikopterów w różnych częściach świata. Powiedziałem mu, że zamierzam spędzić jakiś czas na terenie Diamond Mountain, a on zmarszczył brwi i poradził, żebym przedsięwziął środki ostrożności. Powinienem zawsze wiedzieć, gdzie jest wyjście, nieważne, gdzie siedzę. Powinienem zidentyfikować osoby w pomieszczeniu i mieć plan ucieczki. To była wojskowa abrakadabra, ale byłem mu wdzięczny za troskę. A potem powiedział coś, co mnie naprawdę zaniepokoiło. Poradził, żebym miał przy sobie nóż. Nie do samoobrony, bo jeśli ktoś zechce zrobić mi coś złego, kiedy będę spał w namiocie, i tak będę bezbronny. Nóż pożwoli mi przeciąć nylon i wstać.

Przypomniało mi to o sprawie Bascoma, albo inaczej o „przeciął namiot”, jak wspominają to Apacze, kiedy Cochise uniknął pewnej śmierci z rąk wrednego porucznika Unii. Cochise przeciął płótno namiotu i uciekł w te same góry, gdzie sto lat później McNally i Thorson mieli spędzić ostatnie wspólne chwile. Zastanawiałem się, czy będę musiał zrobić to samo co wódz. Powiedziałem Karjelowi, że będę miał przy sobie nóż, przynajmniej kiedy będę szedł spać.

Gdy wróciłem do pokoju, osy nie było. Niedługo potem pojechałem do hrabstwa Cochise. Po dotarciu do Long Beach wsiadłem do samochodu i jechałem przez niekończące się pustkowie porośnięte dostojnymi kaktusami saguaro i przez puste doliny. Po drodze odebrałem kolejny e-mail od Karen Visser. Mnisi skończyli

pudżę, a ona wysłała mi długą mantrę ochronną. Przeczytałem starożytne sylaby:

hrih benza krodha hadżagriwa hulu hulu hum phat

Spróbowałem powoli wymówić te słowa. Były obce i dziwne, ale powtarzanie ich pomogło mi uspokoić nerwy, kiedy pędziłem autostradą. Nauczyłem się ich na pamięć i powtarzałem je pół dnia później, kiedy znów jechałem długą piaszczystą drogą z Bowie w kierunku gór Chiricahua.

Zaparkowałem wśród kilkudziesięciu innych samochodów. Z boku stał ochroniarz ostrzyżony na jeża, w źle dobranym uniformie. Tkwił przy samochodzie z kabelkiem od słuchawek owiniętym wokół ucha. Pierwszą osobą, którą rozpoznałem, był Scott Vacek, człowiek, który stał się twarzą Diamond Mountain i był odpowiedzialny za bieżące *public relations*. Powiedział, że jestem mile widziany na tym wydarzeniu, a jego uśmiech wydawał się szczery. Ale czasy swobodnego dostępu do ośrodka najwyraźniej się skończyły. Członkowie tak zwanego wewnętrznego kręgu, którzy znali Thorsona, unikali mnie i marszczyli brwi, kiedy pojawiałem się w pobliżu. Uczestnicy mieli na sobie T-shirty z hasłem „Spiritual Gangster” i nerwowo przestępowali z nogi na nogę, kiedy widzieli, że robię notatki.

Nie czułem się tam dobrze, ale też nie miałem poczucia, że coś mi zagraża. To raczej oni obawiali się mnie i tego, co mogę napisać. Wieczorem białym minivanem przyjechał Roach. Mercedes Bahleda, ubrana w powiewną czarną suknię, szła z posępną miną przed swoim nauczycielem. Na mój widok wytrzeszczyła oczy. Roach, mijając mnie, spojrzał mi prosto w twarz, uśmiechnął się na powitanie i powiedział, że nie, nadal nie ma zamiaru ze mną rozmawiać.

Podreptaliśmy do świątyni i zasiedliśmy do zwyczajowych ceremonialnych sesji medytacji i kwiecistych dedykacji stanowiących element porządku dnia w Diamond Mountain. Przemowy wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Siedzieliśmy w sali przedzielonej sięgającą do ziemi kurtyną, a mówcy jeden po drugim rozwodzili się

nad banalnymi sprawami administracyjnymi. Zarząd zbierał fundusze na przybudówkę do kuchni i pomieszczenie dla uczniów.

Wcześniej tego samego wieczoru uczestnicy odosobnienia niepostrzeżenie wchodzili do sali osobnym wejściem. Siadali w milczeniu, do którego nawykli, i słuchali wykładu dharmy. Roach wszedł na scenę dokładnie rok i tydzień po śmierci Thorsona, ale nie powiedział nic na temat tej rocznicy, jego wykład był bliski apokaliptycznej wizji. Jak oznajmił, Diamond Mountain nie była jedynym zagrożonym miejscem; cały świat jest w niebezpieczeństwie.

> Pojawią się poważne problemy społeczne. Będą wojny, przemoc, głód, nie będzie dróg, transportu, asfaltu, nie będzie paliwa dla statków. Wszyscy inni są szaleni. Tylko wy jesteście normalni. Kiedy patrzę na ten uniwersytet, widzę coś zupełnie odmiennego od tego, co reprezentuje reszta. Jesteście jaśniejącym światłem świata. [...] Nie ma żadnych ograniczeń fizycznych ani politycznych, jeśli macie taki światopogląd, ponieważ jego źródłem są ziarna w waszym umyśle.

Wydawało się, że rośnie na scenie. Przez jego twarz przemknął wyraz gniewu, kiedy mówił o tym, że Diamond Mountain zyskała opinię niebezpiecznej sekty. W pewnym momencie wrócił do tego, jak ważne jest codzienne dbanie o ołtarz, by zachować skupienie umysłu.

> Stawianie ołtarza to nie jest coś hippisowskiego, to coś bardzo światłego; jesteście niezwykle inteligentni. Nie dbam o to, co mówią inni. Oni są szaleni. Będą żyć, a potem umrą, a ich życie nie będzie miało żadnego znaczenia.

Wykład Roacha był ostatni tego wieczoru; kiedy skończył, na dworze zrobiło się zupełnie ciemno. Poprosił osoby biorące udział w kursie tantry, żeby poszły z nim do domu lamy, ale wszyscy inni mieli wolne. Niektórzy zapakowali się do samochodów i pojechali do hotelu w Willcox. Większość nocowała na miejscu. Umyłem zęby we wspólnej łazience i powoli poszedłem do namiotu. Postawiłem go w korycie strumienia jak najdalej od świątyni i innych namiotów.

Był to mały namiot z supermarketu turystycznego REI, niby dwójka, ale tak naprawdę mieściła się w nim jedna osoba. Leżałem na plecach, rozmyślałem o wydarzeniach tego wieczoru i martwiłem się, co będzie, jeśli usłyszę chrzęst kroków na żwirze. Noc nie była cicha tak jak rok temu. Wicher wiejący w wąskiej dolinie łopotał cienkim materiałem namiotu, który chwiał się i giął od powiewów. Nagłe uderzenia wiatru sprawiły, że śledzie wysunęły się z piaszczystego podłoża i tropik trzepotał szaleńczo niczym flaga na polu bitwy. Gdy nylonowe płachty ocierały się o siebie, pod sufitem tańczyły iskry. Nóż miałem w pogotowiu, nie zapinałem też śpiwora, żeby w razie czego móc szybko wstać. Po długim czasie w końcu zasnąłem. Śnił mi się Michael Roach.

W moim śnie stałem jakby nad nim, na jakimś wzgórzu czy schodach, i patrzyłem w dół na niego. Szybował w górę, tak jakby jego stopy nie dotykały ziemi. Zbliżał się i próbował spojrzeć mi w oczy, miał złowrogą minę. Kiedy był jakiś metr ode mnie, tuż przed tym, jak nasze spojrzenia się spotkały, poczułem, że coś ciągnie mnie ku niemu. Tak jakby ktoś złapał mnie za koszulę i szarpnął. Nie mogłem oddychać. Czułem, że się duszę. Zanim się dotknęliśmy, udało mi się obudzić. Na zewnątrz szalała burza, namiot wydymał się pod naporem wiatru jak żagiel, dotykając mojej twarzy. Serce rytmicznie łomotało mi w piersi.

Wiele bezsennych godzin później niebo zrobiło się granatowe. Zbliżał się świt. Recytowałem mantrę i czekałem, aż niebo powoli się rozjaśni. Ten sen mną wstrząsnął.

Przez większość poranka wędrowałem po wzgórzach wokół doliny. Wspiąłem się na jeden okrągły szczyt, gdzie podobno Apacze spalili piętnaście tysięcy dolarów jako ofiarę, by oczyścić tę ziemię ze złych duchów. Na samej górze znalazłem pozostałości ogniska, ale nic więcej. Ze szczytu był dobry widok na otaczające góry i doliny. Usiadłem i czekałem, sądząc, że zobaczę uczestników odosobnienia schodzących z zamkniętej doliny powyżej.

Po jakiejś półgodzinie na ścieżce wiodącej z doliny, biegnącej równolegle do głównej drogi, pojawiło się dwoje ludzi w białych

strojach. Weszli do świątyni tylnymi drzwiami na poranne medytacje. Nie mogłem dostrzec żadnych szczegółów, widziałem tylko, że szli wolnym, miarowym krokiem. Kiedy przyjrzałem się zboczu, spuściłem głowę i mój wzrok padł na mały zielony przedmiot o cylindrycznym kształcie tkwiący obok kawałka granitu na ziemi tuż przy mnie. Sięgnąłem i wydobyłem mosiężną łuskę pocisku karabinka. Widniała na niej data 1878, co oznaczało, że został wystrzelony pod koniec kampanii, za której sprawą usunięto Apaczów z doliny. Przywykłem już do dostrzegania prawidłowości w wydarzeniach wokół mnie i zastanawiałem się, czy ta łuska leżała tutaj niezauważona przez sto trzydzieści lat właśnie po to, żebym ją znalazł. A może była po prostu okruchem z zapomnianej przeszłości, który tylko przypadkiem trafił do mojej kieszeni?

Zszedłem w milczeniu z pagórka i czekałem w sali, aż uczestnicy medytacji wyłonią się zza kurtyny. Milczeli od roku, a teraz po raz pierwszy mieli wydobyć z siebie głos. Przemawiało wiele osób: przywódca odosobnienia, który przejął tę rolę po McNally, a także ludzie, którzy niegdyś zasiadali w zarządzie. Większość była powściągliwa. Nikt nie podzielił się swoimi refleksjami na temat śmierci Thorsona.

Potem zza grubej zasłony wyszła na scenę Lobsang Gjelce – pięćdziesięciolatka w ceglastych szatach mniszki. Na oczach miała różową przepaskę. Zajęła miejsce na tym samym tronie, na którym zasiadała Christie McNally, kiedy opowiadała o tym, jak dźgnęła nożem swego męża. Mniszka mówiła ostrożnie i z namysłem, może z pewnym smutkiem. Czasem zerkała spod opaski na fiszki, które przygotowała sobie do przemowy.

Powiedziała, że w trakcie odosobnienia medytacja spowolniła jej postrzeganie świata. Podobnie jak McNally przed rokiem, Gjelce opisała swoje doświadczenia w kategoriach filmowych. Zaczęła postrzegać swój umysł jako coś w rodzaju kamery tworzącej obrazy świata – zarazem niezbędne i pozbawione sensu. Umysłowi najlepiej wychodziło organizowanie tych obrazów i tworzenie opowieści.

– Historia, która najbardziej nas fascynuje, to nasza własna historia. Ale czym ona jest? Czy jestem swoją własną historią? – zapytała. – Te projekcje są odpowiedzialne za mój świat fizyczny, ale też za świat mentalny. Widzę obrazki z samą sobą wchodzącą w interakcje ze światem. Naszym celem jest znaleźć powód cierpienia i bólu. Podczas odosobnienia próbuję zmienić te obrazy. – Potem zacytowała poetkę Muriel Rukeyser: – „Wszechświat składa się nie z atomów, lecz z opowieści".

Twarz Gjelce jaśniała wewnętrznym światłem. Słuchając jej słów, trudno było nie dostrzegać jej oderwania od rzeczywistości. Zarazem jednak wiedziałem, że w pewnym sensie ma rację. Przyjechałem tutaj, by opowiedzieć historię Iana Thorsona, a także, w jakimś stopniu, Emily O'Conner. Opowiadanie tych historii zmieniło mnie. Przejąłem ich cechy. Ich życie wpłynęło na moje postrzeganie świata. Czy to ważne, co było powodem mojego niepokoju: paranoja czy karma? Czy to ważne, że poczułem się lepiej, kiedy pomodliłem się w niezrozumiałym języku? Roach siedział na poduszce – naprzeciwko mówiącej, a ja myślałem o tym, że większość obecnych tu ludzi uważa go za człowieka będącego o krok od oświecenia. Ale też wiele osób w kraju uznało go za szarlatana, który manipuluje swymi wyznawcami dla własnych celów. Czy mógł być zarazem jednym i drugim?

Przypomniałem sobie o jedynym razie, kiedy Roach naprawdę się do mnie odezwał. Było to rok wcześniej, kiedy wracałem z Diamond Mountain do Los Angeles i zrobiłem sobie dzień postoju w Phoenix. Thorson zmarł zaledwie przed miesiącem i wspólnota wciąż nie mogła się otrząsnąć po tej stracie. Zszedłem z góry, zastanawiając się, jak to możliwe, że Christie McNally po prostu nie włączyła dzień wcześniej radiolatarni, by uratować Ianowi życie. Chciałem zapytać Roacha, co o tym sądzi. Tamtego wieczoru Roach wykładał *lamrim*. Był to ten sam zestaw tekstów, których słuchałem w Bodh Gai, zanim Emily odebrała sobie życie. Tego wieczoru wykład dotyczył uważności. Trwał trzy godziny, a kiedy się skończył, stanąłem w kolejce za pięćdziesięcioletnią Indianką z torebką od Louisa Vuittona.

Gawędziła z innymi czekającymi, przyglądając się naszyjnikowi z paciorków, który, jak miała nadzieję, pobłogosławi jej guru.

– Nie mogę uwierzyć, że poznam Oświeconego – powiedziała z przejęciem.

Kiedy przyszła moja kolej, stanąłem przed jego tronem w tym kościele epoki New Age i przedstawiłem się. Próbowałem sformułować pytanie o to, jak podchodzi do śmierci Thorsona. Roach odpowiedział:

– To było bardzo smutne wydarzenie, ale dlaczego ludzi nie ciekawią raczej moje nauki? Jeden człowiek umiera na pustyni i nagle wszyscy się interesują. Zamiast tego ludzie powinni mówić o dobrych rzeczach, które uczyniłem. – Potem odprawił mnie gestem

i obiecał, że odpowie mi na piśmie, chociaż wiedziałem, że nigdy tego nie zrobi.

To nie była satysfakcjonująca odpowiedź. Tak jakby Roach nie mógł poświęcić minuty, by zadumać się nad powagą tego, co się stało. Może dla niego było to kolejne karmiczne ziarno, które dojrzało, i historia nie kończyła się wraz z czyjąś śmiercią na pustyni. Może to był dopiero początek.

W marcu 2014 roku trzydzieścioro czworo pozostałych uczestników medytacji zeszło piaszczystą drogą, spędziwszy tysiąc dni na pustyni. Podeszli do bramy, do której przybito dwa kowbojskie buty, wyznaczającej najdalszą granicę *cam*. Zanim przekroczyli próg, rozstawili stolik i położyli na nim ciastka jako ofiarę dla duchów doliny. Gdy pochylili głowy, by się pomodlić, gwałtowny podmuch wiatru z wąwozu obsypał ich pyłem. Kiedy skończyli, z tłumu sympatyków wyłonił się Michael Roach i powitał ich bukietem róż.

Po trzech latach, podczas których uczestnicy odosobnienia medytowali nad wizjami idealnego świata, planeta nie wydawała się spokojniejsza niż wcześniej. Tego ranka przeczytałem wiadomość o dziennikarzach zastrzelonych w Afganistanie, kiedy relacjonowali przebieg kolejnej tury wyborów. Informowano też, że ekipy poszukiwawcze tracą nadzieję na odnalezienie samolotu rejsowego,

który zaginął gdzieś między Malezją a Pekinem. Zastanawiałem się, jak akolici Roacha przyjmą tego rodzaju wiadomości.

To była moja trzecia wizyta w dolinie i drugie spotkanie z uczestnikami medytacji. Ale przyjechałem nie po to, żeby ich posłuchać, tylko żeby zrozumieć miejsce, gdzie Christie i Ian mieszkali przez ponad rok, bo teraz teren był otwarty dla ludzi z zewnątrz. Trzeba było długo iść wzdłuż wyschniętego strumienia i koryta rzeki. Kiedy dotarłem do Lama House, gdzie Ian i Christie przez rok mieszkali podczas odosobnienia, luźne płytki z piaskowca na ganku przesunęły się pod moimi stopami. Po ich odejściu ktoś zamontował metalowe drzwi, żeby do środka nie wszedł nikt niepowołany. Po śmierci Iana zarząd postanowił porzucić to duchowe centrum odosobnienia i zamknąć jego sekrety za budzącymi złe przeczucia drzwiami.

W belkach podtrzymujących dach i ganek zagnieździły się termity. Z tarasu, na którym tamtych dwoje niegdyś ćwiczyło jogę, obłaziła farba. Kiedyś każdy uczestnik medytacji mógł zobaczyć ze swojego domku, jak Ian i Christie splatają ciała w tańcu miłości i oświecenia. Gdyby ktoś spojrzał dalej, na górę za doliną, ujrzałby grzbiet, na którym spędzili ostatnie dni razem.

Usiadłem na chwilę na huśtawce na ganku i zastanawiałem się, co może przynieść przyszłość. Christie McNally zniknęła i właściwie nie ujawniała się od śmierci Iana, udzieliła tylko jednego wywiadu. Krążyły plotki, że jest albo na Bermudach, albo w Nowym Jorku i planuje powrót. Niektórzy wciąż uważali ją za swojego lamę. Być może pewnego dnia powie coś więcej. Być może wciąż ma do przekazania jakieś duchowe lekcje.

Dalej w dolinie, w świątyni, Michael Roach podejmował chińskiego inwestora o nazwisku Ming Feng Wu, który przyleciał z Pekinu. Poznali się podczas jednego z objazdów Roacha po świecie i Wu obiecał kolejną dotację dla Diamond Mountain. Przyrzekł przekazać milion dolarów na nowy ośrodek dla uczniów, a Roach namawiał go, by dołożył się jeszcze do budowy drugiego ośrodka dharmy ACI w Sedonie, gdzie mógłby prowadzić kursy tantry.

Później tego wieczoru Wu wygłosił wykład na temat buddyzmu „tylko umysł” i tego, jak osiągnąć bogactwo dzięki mocy karmicznych ziaren. Skandale, które wstrząsnęły wspólnotą Diamond Mountain w Stanach, wywarły mniejszy wpływ na wizerunek organizacji na świecie. Na wykłady Roacha w Azji, Europie i Ameryce Południowej wciąż przybywały tłumy.

Zajrzałem przez okna domku, by zobaczyć miejsce, gdzie Christie i Ian igrali ze swoją karmą na ostrzu noża. Jak na porzucony budynek, wewnątrz było zaskakująco czysto. Diamond Mountain ogłosiła, że planuje wydzierżawić ten teren w najbliższych latach innym grupom religijnym, które chcą prowadzić własne medytacje w odosobnieniu. Roach snuje wizje, że być może ściągnie na kursy w Arizonie wybitnych biznesmenów, by uczyć ich, jak zapewnić sobie zamożność w przyszłości. Będą przyjeżdżać na kilka tygodni albo miesięcy, żeby zanurzyć się w pustce swych umysłów. Tylko najdociekliwsi dowiedzą się, co tu się wcześniej wydarzyło.

Uwagi na temat źródeł

Ta książka należy do literatury faktu. Podobnie jak w przypadku każdej próby zredukowania nieskończonej złożoności świata do słowa pisanego, jest także dziełem autora, z jego indywidualnymi skrzywieniami i ograniczeniami. Chociaż zazwyczaj podaję prawdziwe nazwiska, w kilku przypadkach uznałem, że powinienem chronić swoich informatorów, zmieniłem więc dane i dotyczące ich szczegóły. Są takie fragmenty, w których próbowałem przyjąć punkt widzenia konkretnej osoby podczas prywatnej modlitwy czy medytacji, co jest oczywiście niemożliwe, chyba że ktoś potrafi rozmawiać ze zmarłymi. W takich momentach rekonstruowałem to, jak mogłyby wyglądać określone praktyki, na podstawie uwag specjalistów, relacji uczniów, materiałów z kursów w Diamond Mountain oraz sugestii osób mających duże doświadczenie w medytacji. Kiedy cytowałem bezpośrednio słowa swoich informatorów z listów albo z nagrań, często decydowałem się na poprawianie błędów gramatycznych i mylącej wymowy, by tekst był zrozumiały. Zawsze jednak starałem się zachować intencje i sens danej wypowiedzi. Podjąłem pewne decyzje dotyczące stylistyki i mam nadzieję, że moi czytelnicy mi to wybaczą. Poniższe uwagi są próbą odtworzenia drogi, którą przeszedłem, by ta opowieść przybrała kształt książki.

Od autora

Dziennik Emily O’Conner, cytowany na stronach 11 i 271, to być może najbardziej przejmujący i zapadający w pamięć dokument, który jest w moim posiadaniu. Liczy tylko trzydzieści trzy strony i opisuje jej pobyt w Indiach od pierwszych chwil aż do ostatnich myśli i wrażeń. Trafił w moje ręce podczas policyjnego śledztwa

dotyczącego jej śmierci. Nigdy nie został opublikowany w całości i podejrzewam, że nigdy nie zostanie.

Prolog: Jaskinia

Przebieg ostatnich dni McNally i Thorsona w jaskini odtworzyłem dzięki relacjom bezpośrednim i z drugiej ręki. W wielu raportach policyjnych złożonych w hrabstwie Cochise oraz w raporcie z sekcji Iana jest mowa o licznych ranach na jego ciele, o tym, co jadł, o orientacyjnym czasie śmierci, można tam również znaleźć urywki rozmów między funkcjonariuszami a ludźmi, którzy tego dnia byli na górze. Kiedy na miejsce przybyli ratownicy, zrobili kilkadziesiąt zdjęć jaskini i ciała Thorsona leżącego z rękami skrzyżowanymi na piersi. Tekst McNally „A Shift in the Matrix”, opublikowany w internecie na Scribd.com, pozwala zajrzeć do jej umysłu na chwilę przed tym, jak zachorowała, i jest świadectwem niepokojącego poczucia paranoi przenikającego w tamtym okresie zamkniętą dolinę. Chandra, który zgodził się występować wyłącznie pod swoim tybetańskim imieniem, pomógł mi uzupełnić brakujące szczegóły na podstawie tego, co sam pamiętał na temat McNally z tamtego okresu.

CZĘŚĆ 1: OŚWIECONE UMYSŁY
Pierwszy bodhisattwa. Przypowieść buddyjska

Ta historia była opowiadana na różne sposoby dziesiątki, jeśli nie setki razy w buddyjskim kanonie i na wykładach w klasztorach na całym świecie. Podobnie jak w przypadku innych przypowieści w tej książce, jest to moja własna wersja.

1. Oświecanie Ameryki

Przepowiednia umieszczona jako motto rozdziału jest powszechnie przypisywana czcigodnemu tybetańskiemu mędrcowi Padmasambhawie. jednak jak zauważa Paul Hackett w swoim doktoracie obronionym na Uniwersytecie Columbia w 2008 roku, zatytułowanym „Barbarian Lands: Theos Bernard, Tibet and the

American Religious Life” [Barbarzyńskie kraje. Theos Bernard, Tybet i życie religijne w Ameryce], w najlepszym razie jest to parafraza słów Padmasambhawy. Wykorzystałem je jako motto, by podkreślić różnicę między naszymi wyobrażeniami na temat buddyjskiej mądrości a tym, co możemy potwierdzić. Czyli niewiele. Być może najprzystępniejszą i najlepiej napisaną publikacją na temat tego, jak wybiórczo pojmujemy tradycyjną kulturę tybetańską, jest książka Donalda Lopeza *Prisoners of Shangri-La*, na którą po raz pierwszy natknąłem się jeszcze podczas studiów. Ważną lekturą była dla mnie również książka Catherine Albanese *A Republic of Mind and Spirit*, opisująca zastanawiającą fascynację Ameryki mistycyzmem, a także *American Veda* [Amerykańska Węda] Philipa Goldberga. Mniej krytyczna wobec przenikania idei tybetańskich na Zachód jest książka Sogjala Rinpoczego *Tybetańska księga życia i umierania* z 1992 roku, stanowiąca wybitny współczesny przykład magicznych nauk buddyzmu tybetańskiego. Znakomitą relację z ucieczki Dalajlamy z Tybetu można znaleźć w jego autobiografii *Wolność na wygnaniu* albo w klasycznej książce Heinricha Harrera *Siedem lat w Tybecie*.

2. Pudło

Jak wskazuje tytuł tego rozdziału, niemal wszystkie informacje na temat wczesnej młodości Iana pochodzą ze zbioru materiałów, który przekazał swojej mamie, zanim wyruszył do Diamond Mountain. Oprócz tego, że korzystałem z licznych dzienników, kwitów, materiałówz kursów ACI, listowi rysowanych odręcznie map, miałem wielkie szczęście przeprowadzić wywiady z wieloma członkami rodziny Iana oraz przyjaciółmi z dzieciństwa, a niektórzy z nich przekazali mi swoją korespondencję z Ianem i podzielili się wspomnieniami z czasów, gdy był chłopcem. Przez wiele dni rozmawiałem w Nowym Jorku z jego matką Kay Thorson, jego babcią zwaną Gagi oraz jego siostrą Alexandrą Thorson. Spośród osób, które znał z liceum i studiów, spotkałem się z jego dziewczynami Fernandą Hannah i Ceren Osman, a także z Mikiem

Oristianem i Saulem Kato. Ezoteryczne dzieła wspomniane w tym rozdziale to między innymi niuejdżowski klasyk Jose Silvy *Metody kontroli umysłu* [przeł. A. Trofimow, Warszawa: Lotos, 1989] oraz książka Alexandry David-Néel, którą Ian czytał po drodze, ale nigdzie nie podaje jej tytułu. Jeśli jednak kogoś zainteresuje biografia David-Néel, polecam *Niezwykłe życie Aleksandry David-Néel* Barbary i Michaela Fosterów [przeł. E. Pankiewicz, Warszawa: Twój Styl, 2005].

3. Osobliwa prehistoria Michaela Roacha

Michael Roach z upodobaniem opowiada historię swojego życia; różne jej wersje można znaleźć na jego stronie, w książce *The Diamond Cutter* [Szlifierz diamentów] napisanej wspólnie z Christie McNally oraz w licznych listach otwartych publikowanych na ogólnodostępnych forach. Poza tym wiedzę na temat lat młodzieńczych Roacha oraz jego wyższych stanów świadomości czerpałem głównie z nagrań publikowanych na YouTubie i tekstów jego wykładów. Na licznych forach internetowych byłych harcerzy można znaleźć informacje na temat sekretnych rytuałów Zakonu Strzały. Pierwszy pracodawca Roacha Ofer Azrielant potwierdził szczegóły dotyczące jego zatrudnienia. Liczni informatorzy mówili mi o wewnętrznym konflikcie związanym z okładką książki *Preparing for Tantra* (co ciekawe, niektórzy zaprzeczyli, by cokolwiek takiego się wydarzyło). Książka Roacha *The Garden: A Parable* [Ogród. Przypowieść] to kolejna relacja z jego pierwszych spotkań z młodą kochanką, która, jak sobie uświadamia, jest zarazem boginią Wadżrajoginią. Amnesty International opublikowała raport na temat krwawych diamentów, a rolę Suratu w obrocie tymi kamieniami znakomicie przedstawia artykuł Jasona Mikliana *Rough Cut* w „Foreign Policy”. Christopher J. Chivers w przykuwającej uwagę historii kałasznikowa *The Gun* [Karabin] świetnie opisuje to, jak broń z dawnych sowieckich magazynów przedostaje się w ręce najbardziej osławionych grup militarnych na świecie.

4. Akolita

Opowieści Paldena Gjaco są dostępne publicznie, a jego pełne świadectwo można uzyskać z Office of Tibet (Tibetoffice.org), Szczegóły dotyczące Tibetan Freedom Concert zaczerpnąłem z relacji prasowych, wykorzystałem także własne wspomnienia – jako nastolatek oglądałem ten koncert na MTV. Inne relacje dotyczące popularności tej imprezy można znaleźć w książce Donalda Lopeza *Prisoners of Shangri-La*. Początki działalności Three Jewels odtwarzałem na podstawie relacji dawnych i obecnych uczniów ACI, a także opisów dostępnych w internecie; część z nich wciąż można znaleźć na stronie Michaelroachfiles.wordpress.com. Informacje na temat wczesnej młodości Christie McNally pochodzą z jej książki *The Tibetan Book of Meditation* [Tybetańska księga medytacji] oraz z wywiadów z wieloma jej kolegami ze studiów, głównie z Arą Babajianem. Informacje na temat zamordowania Renee Bahledy, matki Mercedes Bahledy, pochodzą z ówczesnych relacji w prasie: „The Daily Gazette” oraz „The Sun and Erie County Independent”. Kiedy zapytałem wprost, czy jej rodzice zostali zamordowani, Bahleda stwierdziła, że moja relacja „nie jest prawdziwa”. Gdy wysłałem jej wycinki prasowe, odpowiedziała: „Bez komentarza”. Słowa Christie McNally opisujące, co to znaczy wybrać sobie lamę, pochodzą z wywiadu przeprowadzonego przez T. Monkyi zatytułowanego *Interview with Geshe Michael Roach and Christie McNally* [Wywiad z gesze Michaelem Roachem i Christie McNally] z Wielkanocy 2003 roku. Michael Roach wygłasza swój wykład na temat pustki długopisu na niemal każdym publicznym spotkaniu. Chociaż nie mam zapisu oficjalnego wykładu inauguracyjnego, cytaty w tym fragmencie pochodzą z jego książki z 2013 roku *The Karma of Love* oraz z wykładu zatytułowanego „Using a Flamethrower to Cut Your Nails” [Obcinanie paznokci miotaczem ognia], który Roach wygłosił 31 października 1997 roku. Bardzo podobne cytaty można znaleźć w licznych zapisach wykładów publikowanych na stronie ACI Theknowledgebase.com. Notatki z

jego wykładów znalazłem także wśród zapisków Iana oraz w licznych listach do LaShaun Williams.

5. Programowanie

Na opis tego, jak Kay przygotowuje Ianowi śniadanie, złożyły się moje wspomnienia posiłków, które razem zjedliśmy, oraz jej relacje na temat tego, jak zmienił się Ian, odkąd zaczął uczęszczać na wykłady w Three Jewels. Opis osobistych doświadczeń medytacyjnych Iana powstał na podstawie relacji wielu obecnych i byłych uczniów Diamond Mountain, listów Iana, relacji Remskiego oraz nauczycieli tantry z innych szkół, w tym Sati Ah, joginki i osoby praktykującej tantrę z Long Beach w Kalifornii. Należy jednak zauważyć, że ponieważ medytacja ma charakter indywidualny, jest to jedynie moja próba zrozumienia zagadek umysłu Iana. Do pewnego stopnia opis ten rodzi zasadnicze pytanie o to, na czym polega *non fiction*. Albo, w tym przypadku, co to jest prawda. Jestem przekonany, że to prawdziwy opis, choć wkraczam w świat, którego nigdy nie byłbym w stanie poznać. Egzemplarze książki Roacha *The Book: Make Your Dreams Come True* są dostępne podczas większości jego publicznych wykładów oraz za darmo online. Anthony Simmons, potem dyrektor Root Institute, nie odpowiedział wprost na moje pytania, jednak jego opinie na temat Roacha można znaleźć na blogu przeciwników Roacha Michaelroachfiles. wordpress.com. Zapis uroczystości złożenia ślubów bodhisattwy Iana uzyskałem dzięki uprzejmości Kay Thorson.

6. Deprogramowanie

Motto tego rozdziału pochodzi z postu Matthew Remskiego na stronie Elephant Journal zatytułowanego *Psychosis, Stabbing, Secrecy and Death at a Neo-Buddhist University in Arizona*. Ten wpis wzbudził zainteresowanie mediów sprawą śmierci Iana Thorsona; autor ze znajomością rzeczy opisywał niezwykłe praktyki tantryczne, których Roach nauczał swych wyznawców. Książki *Snapping: America's Epidemie of Sudden Personality Change* autorstwa Flo

Conway i Jima Siegelmana oraz *The Guru Papers: Masks of Authoritarian Power* Joela Kramera i Diany Alstad to jedne z najważniejszych książek spośród literatury krytykującej sekty. Miałem okazję porozmawiać z autorami, do tych książek odsyłali mnie też wielokrotnie Kay Thorson oraz doradcy do spraw wychodzenia z sekt, z którymi pracowała, przygotowując interwencję. Poza wymienionymi źródłami większość opisów w tym rozdziale pochodzi z materiałów z archiwum Iana oraz z rozmów z naocznymi świadkami. Nie było do końca jasne, czy Ian rzeczywiście wyskoczył przez okno z mieszkania na Roosevelt Island – Kay Thorson niekiedy wspominała, że po prostu wyszedł tylnymi drzwiami, a Joe Kelly wyraźnie pamiętał, że jednak wyskoczył. W każdym razie wszyscy informatorzy byli zgodni, że interwencja mocno wytrąciła Iana z równowagi.

7. Diamentowa teozofia

Stephen Batchelor w książce *Wyznania buddyjskiego ateisty* opowiada o tym, jak przez wiele lat sam był buddyjskim mnichem w ramach różnych szkół buddyzmu. Przez jedno popołudnie rozmawiałem z nim na Skypie o jego wspomnieniach na temat Roacha z okresu, kiedy obaj studiowali w Dharamsali. Jego książka znakomicie ukazuje, jak mało wiemy o życiu Buddy po osiągnięciu przez niego oświecenia. Ten rozdział opiera się głównie na pośrednich źródłach historycznych, w tym na już wspomnianych pracach Donalda Lopeza i Catherine Albanese. Oczywiście każdy student antropologii zauważy wpływ klasycznego dzieła Edwarda Saida *Orientalizm* na omówienie wzajemnego przenikania idei między Wschodem a Zachodem, a także słynnej książki Nicholasa Dirksa *Castes of Mind* [Kasty umysłu] i jego analizy rozpowszechniania się języków indyjskich. Co interesujące, w opowieści o podróży tłumacza zatytułowanej *How Yoga Works* [Jak działa joga] Michael Roach przedstawił historię tłumaczenia tekstów tybetańskich w postaci fabularnej. Bardziej naukowe podejście można znaleźć w pracy

Ronalda Davidsona *Tibetan Renaissance* (cytowanej w tym rozdziale) oraz w artykule Douglasa Duckwortha *De/limiting Emptiness and the Boundaries of the Ineffable* [Wyznaczanie granic pustki i tego, co nienazywalne], W *Tibetan Renaissance* Ronald Davidson przedstawia bardziej wyczerpujący opis filozoficznych różnic między Dolpopą a Congkhapą:

> Zgodnie ze szkołą Dolpopy ostateczna rzeczywistość jest czysta i niezmienna. To noumenalny świat rzeczywistości metafizycznej, absolutna rzeczywistość, która jest „pusta" w tym sensie, że brak w niej wszystkiego innego – wszystkich nierealnych, nietrwałych zjawisk, które składają się na pogrążony w złudzeniach świat – ale ta ostateczna rzeczywistość nie jest pustką samą w sobie, stanowi niemożliwy do opisania grunt rzeczywistości [...].
>
> W tradycji gelugpów konsekwentnie utrzymuje się, że ostateczna prawda to zasadniczo jedynie nieobecność i nic więcej; nie powinno się jej traktować jak innej substancji. Według tej szkoły sama pustka jest pusta; nie ma więc realnej referencji i z pewnością nie jest to metafizyczna obecność, ponad i poza rzeczywistością fenomenów. Pustka oznacza po prostu nieobecność wewnętrznej egzystencji w każdym konkretnym zjawisku.

Istnieją setki znakomitych prac na temat pierwszych buddyjskich świętych i teoretycznych wywodów, które wpłynęły na kształtowanie się buddyzmu. Najbarwniejszą postacią przywołaną w tej książce jest zapewne tybetański święty i wielbiciel fallusa Drukpa Kuniej, o którym dowiedziałem się z książki Georga Feuersteina *Holy Madness* [Święte szaleństwo] oraz książki Keitha Dowmana *The Divine Madman* [Boski szaleniec]. Biorąc pod uwagę sprośność poezji Kunleja, całkiem możliwe, że tłumacz cytowanego w tym rozdziale wierszyka wstawił „piorun" i „lotos" na miejsce „kutasa" i „cipki", by nieco go ugrzecznić dla angielskich czytelników.

Tym, którzy chcieliby dowiedzieć się więcej na temat korzeni teozofii *madame* Bławatskiej, polecam wspomniane już książki Lo peza i Albanese albo dzieło Gary'ego Lachmana *Madame Blavatsky* [*Madame* Bławatska]. Statut Towarzystwa Teozoficznego zaczerpnąłem ze strony 50 książki Philipa Goldberga *American Veda*, a także z książki Albanese *A Republic of Mind and Spirit*.

Theos Bernard doczekał się dwóch wydanych niedawno biografii: autorstwa Paula Hacketta oraz Douglasa Veenhofa. Każdy z nich na podstawie tych samych faktów snuje kompletnie inną opowieść. Książka Hacketta, oparta na ponad dziesięcioletnich badaniach prowadzonych przez niego w ramach studiów doktoranckich na Uniwersytecie Columbia, to naukowa analiza działalności Bernarda – pokazująca, jak wielką rolę odegrał, jeśli chodzi o rozwój badań nad Tybetem, ale też wydobywająca jego szarlatanerię. Veenhof zaczyna od podziękowań dla Michaela Roacha oraz opiewa mistyczne zdolności i tantryczne nauki Bernarda. Kiedy się z nim skontaktowałem, odmówił wypowiedzi. Jak sugerowali mi liczni informatorzy, Michael Roach być może uważa się za reinkarnację Theosa Bernarda.

Bitwy o Wyżynę Tybetańską opisuje Peter Hopkirk w książce *Trespassers on the Roof of the World: The Secret Exploration of Tibet* [Intruzi na dachu świata. Potajemna eksploracja Tybetu],

8. Zręczne środki

Cytowany na początku wiersz Michaela Roacha Letter to *My Lamas* został pierwotnie zamieszczony na stronie Diamond Mountain, ale pospiesznie go zdjęto, kiedy pojawiły się kontrowersje. Jednak z internetu bardzo rzadko naprawdę coś znika, istnieją więc liczne błogi poświęcone dokumentowaniu wpadek Roacha i innych ważnych buddystów. Poświęciłem wiele godzin na lekturę materiałów zgromadzonych na Buddhism-controversy-blog.com oraz na Michaelroachfiles.wordpress.com. Amber Moore, Allison Dey i Sid Johnson opowiedzieli mi o swoich pierwszych medytacjach w odosobnieniu, podobnie jak wiele innych osób, z którymi rozmawiałem przy okazji podróży do Arizony i z powrotem. Susan Howler, jedna z uczestniczek pierwszych medytacji z udziałem Roacha i McNally, z początku zgodziła się ze mną rozmawiać, ale wycofała wiele swoich wypowiedzi, kiedy wspomniałem o opublikowanych na Geshewatch.blogspot.com zarzutach dotyczących domniemanych relacji seksualnych. Korespondencja Roacha z

Dalajlamą wciąż jest dostępna na oficjalnej stronie Jego Świątobliwości, ale odpowiedź lamy Zopy musiałem wydobywać z prawdziwych głębin internetu. W podobny sposób znalazłem oficjalny zapis nauk z pierwszego Wielkiego Odosobnienia w 2003 roku na stronie Diamond Mountain, który potem usunięto. Aż do dziś nie udało mi się zdobyć żadnych informacji na temat tajemniczego dziennikarza T. Monkyi, który rozmawiał z Roachem i McNally o ich doświadczeniach duchowych po zakończeniu pierwszego Wielkiego Odosobnienia, niemniej jestem wdzięczny temu, kto zachował pełen zapis wywiadu i zamieścił go w sieci.

CZĘŚĆ II: ŚWIĘTE MIEJSCA

Budda i przewoźnik

Tę przypowieść opowiedział mi po raz pierwszy holenderski guru i zwolennik doznań ekstremalnych Wim Hof. W tamtym czasie pracowałem nad innym tekstem dla „Playboya”, a on posłużył się tą przypowieścią, by wyjaśnić różnicę między cudami a własną duchowością. Przypowieść ta jest też przywoływana w powieści Somerseta Maughama Ostrze *brzytwy* [przeł. S. Bauman, Katowice: Awir, 1947] oraz w książce Edwarda Conze’a *Buddhism: Its Essence and Development* [Buddyzm. Istota i rozwój].

9. Święte miejsca

Motto tego rozdziału pochodzi ze strony 70 artykułu Keitha Basso *Wisdom Sits in Places* [Mądrość tkwi w miejscach], z którym po raz pierwszy zetknąłem się na seminarium magisterskim. Esej Basso zamieszczono w tomie tekstów antropologicznych *Senses of Place* [Poczucie miejsca], który uświadomił mi, na jak wiele sposobów różne kultury myślą o przestrzeni wokół siebie. Gdy zbierałem materiały do tego rozdziału, zagłębiłem się, być może zanadto, w religię i historię Apaczów i w ostatecznej wersji musiałem mocno okroić to, czego się dowiedziałem. Drugi cytat pochodzi z najlepszej jak dotąd książki na temat konfliktu władz amerykańskich z Indianami Chiricahua: Davida Robertsa *Once They Moved Like the*

Wind [Kiedyś mknęli jak wiatr]. Roberts z wdziękiem i precyzją opisuje życie Geronima i Cochise'a, a na tę książkę warto poświęcić leniwe niedzielne popołudnie. Pochodzi z niej większość cytatów dotyczących historii Apache Pass. Wiele zawdzięczam także antropologowi Morrisowi Oplerowi i jego pochodzącym z lat trzydziestych pracom na temat systemu wierzeń Apaczów, z których najbardziej znana to *An Apache Life-Way* [Życie Apaczów]. Informacje o geologii gór Chiricahua znalazłem w materiałach wydanych przez National Park Service. O strzelaninie w Miracle Valley dowiedziałem się najpierw od szeryfa hrabstwa Cochise Larry'ego Nolanda, który wspomniał o tym w związku ze śmiercią Iana. Jedyna książka, jaką udało mi się znaleźć na ten temat, to *Shootout at Miracle Valley* [Strzelanina w Miracle Valley] Williama Daniela. Skupia się na perspektywie policjantów, którzy brali udział w strzelaninie, brak w niej wypowiedzi członków kongregacji. O ofierze złożonej bogu Apaczów Ussenowi dowiedziałem się od Ekan Thomason, a także z zapisów w archiwach Diamond Mountain.

10. Dwanaście lat, pięć metrów

Cytowane jako motto słowa Christie McNally pochodzą z artykułu Niny Burleigh w „Rolling Stone" *Sex and Death on the Road to Nirvana* [Seks i śmierć na drodze do nirwany]; jak dotychczas jest ona jedyną dziennikarką, która rozmawiała z McNally po śmierci Iana Thorsona. W ramach korespondencji McNally przesłała jej swój niemal sześćdziesięciostronicowy manifest, a Burleigh hojnie przekazała mi jego fragmenty. Cytuję go w tym i w innych rozdziałach. Kiedy po raz pierwszy pisałem o tej historii, miałem wielki przywilej rozmawiać z tybetańskim uczonym i posiadaczem tytułu gesze Robertem Thurmanem przez telefon. Jego spotkanie z Roachem w biurze w Nowym Jorku w 2003 roku obrosło legendą wśród sympatyków Diamond Mountain – jako potwierdzenie, że w swoich naukach Roach stanowczo zerwał z tybetańską ortodoksją. W czasie, gdy powstawała ta książka, proces przeciwko Michaelowi Gordonowi, założycielowi firmy Bumble and Bumble, jeszcze się nie

zakończył, a Gordon pozostaje na wolności i prawdopodobnie przebywa w Nowym Jorku. Akt oskarżenia złożony przez urząd podatkowy został mi udostępniony przez ich dział *public relations*, a kiedy pojawiła się wiadomość o aresztowaniu, z rozmaitych stron Roacha zniknęły niemal wszelkie wzmianki o Gordonie. Książka, którą napisali razem, *Karmic Management*, jest wciąż dostępna na Amazonie. Odtworzenie okresu, który Ian Thorson spędził w Niemczech, okazało się reporterskim wyzwaniem. W tamtym czasie Ian niemal przestał się odzywać do swojej rodziny w Nowym Jorku, a gwałtowną zmianę jego osobowości wyjaśniają jedynie bardzo nieliczne zapiski. Jego dziewczyna Beatrice Steimer odmówiła dłuższych wypowiedzi, musiałem się więc opierać na relacjach nielicznych znajomych Iana z pracy, wspomnieniach Fernandy Hannah oraz długim raporcie policji berlińskiej. Dużo łatwiej było odszukać informacje dotyczące budowy Diamond Mountain – rozmawiałem przede wszystkim z członkami zarządu ośrodka, głównie byli to: Dżigme Palmo, Rob Ruisinger, Nicole Davis oraz Scott Vacek. Inni świadkowie powstawania ośrodka to: Michael Brannan, Ekan Thomason, Sid Johnson, Allison Dey oraz jeden informator, który pragnął pozostać anonimowy. O sympatii Roacha z okresu liceum słyszałem od trzech informatorów w Diamond Mountain, ale postanowiłem nie podawać jej nazwiska. Ostatecznie zdecydowałem również pominąć wiele innych niesprawdzonych informacji o romansach Roacha – w tym z dwudziestoletnią modelką z Nowego Jorku oraz mniszką – ponieważ nie byłem w stanie potwierdzić ich niezależnie i szczerze mówiąc, uważałem, że odwrócą uwagę czytelnika od istotniejszych spraw. Mercedes Bahleda i Eric Brinkman (Ningpo) udzielili mi razem długiego wywiadu, kiedy byliśmy w Phoenix, ale zapomnieli wspomnieć, że są małżeństwem. O ich zaaranżowanym związku opowiedziało mi wiele osób, które były świadkami ceremonii.

11. Ian i Christie

Kay Thorson zrelacjonowała mi historię wyjazdu Iana i Christie do Sivananda Retreat Center na Bahamach na podstawie słów Iana, który opowiadał jej o tym, gdy spotkali się przy okazji jego ślubu. Wielu ludzi w Diamond Mountain wypowiadało się o wcześniejszych związkach Iana, ale trudno było znaleźć jedną osobę, która przedstawiłaby spójną wersję okresu spędzonego przez niego w Arizonie. Ponieważ Ian przestał prowadzić notatki albo też większość z nich przepadła, w owym rozdziale odtworzyłem ten okres na tyle, na ile mogłem. Źródła, na których się opierałem, wymieniam w tekście, podawałem je też wśród źródeł do innych rozdziałów. Anna Wheeler, matka drugiego dziecka Iana, odmówiła wypowiedzi; jednak wiele osób bliskich Ianowi pozostawiło jakieś świadectwa w sieci. Dokumenty dotyczące rozwodu Roacha i McNally otrzymałem dzięki Yavapai County Courts, a ich świadectwo ślubu od Fernandy Santos z „New York Timesa”. Zdjęcia ze ślubu Thorsona i McNally są dostępne na stronie Flickr.

12. Exodus

By gromadzić datki na drugie Wielkie Odosobnienie, zarząd Diamond Mountain założył stronę Retreat4peace.org, na której umieszczono linki do blogów przyszłych uczestników medytacji oraz do nagrań z udziałem przywódców odosobnienia. Na jednym z filmów widać Thorsona i McNally odchodzących w ciemność po złożeniu ślubów milczenia. Inny film umieszczony na You Tubie to nagranie mowy pożegnalnej McNally zatytułowanej „Lama Christie’s Talk to Retreatants’ Families” [Przemowa lamy Christie do rodzin uczestników odosobnienia]. Udało mi się zdobyć wiele podobnych dokumentów, zanim usunięto je z sieci. Zrozumienie tego, jak doszło do dźgnięcia Thorsona nożem, było bardzo istotne dla celów tej książki, a cała przemowa McNally została niemal natychmiast usunięta z internetu i ma do niej dostęp jedynie kilka osób wysoko postawionych w hierarchii Diamond Mountain. Jednak po tym wydarzeniu zarząd poprosił Renee Mirandę, by złożyła oświadczenie na ręce szeryfa hrabstwa Cochise na temat tego, czego była

świadkiem. W tym raporcie znalazł się fragment przemowy McNally. Ktokolwiek ją spisywał, zanotował ją słowo w słowo, zachowując szczególną południowokalifornijską składnię McNally. Dla większej przejrzystości usunąłem z tego fragmentu co najmniej trzydzieści „tak jakby” oraz „yyy”. Chociaż nie mam zapisu reszty jej przemowy, rozmawiałem z wieloma świadkami, którzy pomogli mi odtworzyć tę sytuację. Od czasu śmierci Thorsona Diamond Mountain zamieściła w sieci wiele oświadczeń, w tym list otwarty autorstwa Michaela Roacha na stronie Diamondmountain.org, a także wiele sprostowań do relacji Matthew Remskiego ze strony Elephantjournal.com. W wątkach można przeczytać dwa–trzy tysiące komentarzy, które wciągają upartego badacza niczym niekończąca się królicza nora wewnętrznych sporów między buddystami. Odbyłem długą rozmowę z Akashą, pomocnikiem McNally, który pomógł jej przygotować ucieczkę w góry, a mnie odtworzyć kolejność wydarzeń. Michael Brannan był jedną z ostatnich osób, które widziały McNally, zanim odeszła (prawie miesiąc przed śmiercią Iana), i przekazał mi zapis ich rozmowy, zachowany dzięki złożonym przez McNally ślubom milczenia.

CZĘŚĆ III: CIEMNA NOC DUSZY

Sutra samobójstwa. Przypowieść buddyjska

Po raz pierwszy dowiedziałem się o tekście, który nazwałem sutrą samobójstwa, po śmierci swojej studentki Emily w Bodh Gai. Badacz buddyzmu, którego poznałem podczas studiów magisterskich, powiedział mi, że w czasach Buddy wielu uczniów popełniało samobójstwa. Przypowieść pochodzi z palijskiej *Winai*, pojawia się w historii Migalandiki. Najlepszą wersję, poza oryginalnym źródłem, można znaleźć w pracy naukowej Liz Wilson *Charming Cadavers* [Urocze zwłoki]. Inne wersje odnajdujemy w źródłach tak różnych jak „American Law Review” i rozmaitych pracach na temat etyki buddyjskiej. Chociaż większość wersji skupia się na tym, jak Budda uznał Migalandikę za „oszukańczego odstępcę” po serii morderstw, wydaje się oczywiste, że odpowiedzialność za śmierć wielu osób

ponoszą przynajmniej częściowo radykalne nauki Buddy. Należy zauważyć, że buddyści tybetańscy nadal nauczają praktyki zwanej *czöd*, polegającej głównie na medytacji nad rozkładającymi się zwłokami. Podobna praktyka zwana *aghori* jest powszechna wśród hinduskich ascetów. Formalnie rzecz biorąc, ta opowieść nie jest sutrą, bo tak określa się wyłącznie słowa samego Buddy; ponieważ jest zawarta w *Winai*, uważa się ją za późniejszy komentarz. Mam nadzieję, że czytelnicy wybaczą mi moje upodobanie do aliteracji.

13. Choroba duchowa

W tym rozdziale wyzwaniem było powiązanie rozpoznawania choroby duchowej w tradycjach medytacyjnych z wiarygodnymi badaniami naukowymi. Książka Amy Cayton *Balanced Mind, Balanced Body* była dla mnie punktem wyjścia, ponieważ stanowi próbę objaśnienia idei *lung* zachodnim odbiorcom. Oczywiście w literaturze ezoterycznej przypadki medytujących, którzy zeszli na manowce, pojawiają się co najmniej od czasów Buddy. Na Zachodzie relacje mające być przestrogą zaczynają występować dopiero po rewolucji hippisowskiej lat sześćdziesiątych. Książka Gopiego Krishny *The Awakening of Kundalini* to współczesny klasyk, jeśli chodzi o wskazywanie możliwych zagrożeń związanych z doświadczeniami z kundalini. W miarę jak pojawiało się coraz więcej ludzi z Zachodu zrażonych do wschodnich technik, coraz częstsze stały się procesy takie jak Kropinski przeciwko M. M. Yogiemu. Kiedy przeglądałem dokumenty procesowe, zdziwiłem się, ponieważ dostrzegłem tam nazwisko swojego wuja Keitha Wallace'a, co z kolei otworzyło raczej skrywany rozdział historii mojej rodziny. Badania Wallace'a łatwo znaleźć w archiwach czasopisma „Science", podobnie jak tysiące innych badań dotyczących medytacji, które pojawiły się po jego pionierskiej pracy. Bardzo obiecująco wyglądają badania prowadzone obecnie przez specjalistkę od neuronauk Willoughby Britton, której prace na temat problematycznych doświadczeń podczas medytacji można znaleźć na jej stronie

Brittonlab.com. Jej znakomite wykłady są dostępne na stronie Buddhistgeeks.com.

Zimą 2012 roku spędziłem wiele dni w laboratorium Britton na Uniwersytecie Browna, słuchając o jej głębokich, a niekiedy niepokojących doświadczeniach związanych z medytacją. W drugiej połowie tego rozdziału wykorzystałem własny artykuł opublikowany w „Details” *Death on the Path to Enlightenment* [Śmierć na ścieżce do oświecenia]. Przedstawiam w nim historie kilku poszukiwaczy duchowych, którzy zaginęli w Indiach. Artykuł z „JAMA Internal Medicine” to praca autorstwa Madhava Goyala i innych, *Meditation Programs for Psychological Stress and Well-being: A Systematic Review and Meta-analysis* [Programy medytacyjne a stres i samopoczucie. Systematyczny przegląd i metaanaliza badań]. Badania na temat psychozy spowodowanej qigong opisuje Beng-Yeong Ng w pracy *Qigong-Induced Mental Disorders: A Review* [Qigong jako przyczyna zaburzeń psychicznych. Przegląd badań]. Wreszcie psychiatra Meredith Sagan wyjaśniła mi pojęcie duchowego pójścia na skróty.

14. Śmierć na zboczu góry

Niemal dwa lata po śmierci Iana Thorsona wciąż zdumiewa mnie szary garniec z ziarnem, który on i McNally znaleźli w jaskini. Poświęciłem mnóstwo czasu, by dowiedzieć się więcej na temat.jego zastosowania i pochodzenia. Mike Jacobs, kurator zbiorów archeologicznych z Arizona State Museum, ostatecznie zidentyfikował go jako wytwór kultury Hohokamów albo Mogollonów. Obecnie znajduje się pod opieką Daniela McGrew, który pracuje dla Bureau of Land Management. Ustalenie ciągu wydarzeń, które doprowadziły do śmierci Thorsona, wymagało skonfrontowania oświadczenia McNally „A Shift in the Matrix” z obserwacjami meteorologicznymi prowadzonymi w forcie Bowie, raportem koronera oraz licznymi dokumentami policji, wywiadami z członkami zarządu Diamond Mountain, szeryfem Larrym Nolandem oraz pomocnikiem McNally Akashą. Ratownicy sfotografowali

wnętrze jaskini i ciało Thorsona, zanim je stamtąd zabrali. Dotarłem także do przedsiębiorcy pogrzebowego, który nadzorował ceremonię pogrzebową, i do zapisu jej przebiegu.

Epilog: Pod osłoną białego parasola

Ten rozdział postanowiłem rozpocząć cytatem z klasycznego dzieła Edwarda E. Evansa-Pritcharda *Czary, wyrocznie i magia u Azande*, by podkreślić, że nadnaturalne wyjaśnienia związków przyczynowo-skutkowych istniały w takiej czy innej formie od zarania dziejów. Od czasów Evansa-Pritcharda wiemy, że magiczne wytłumaczenia czasem działają – przepowiednie niekiedy zapowiadają przyszłe wydarzenia, a ludzi, którzy wierzą, że rzucono na nich klątwę, czasami prześladuje pech – ale nigdy nie wiadomo na pewno, czy przyczyna jest zewnętrzna i tajemnicza, czy przypadkowa, czy jest odbiciem ludzkiej psychiki. Do pewnego stopnia nie ma to znaczenia. W tym rozdziale przedstawiłem wyłącznie własne doświadczenia, przesiąknięte opowieściami i dokumentami związanymi z Diamond Mountain. O jego sensie niech rozstrzygnie czytelnik.

Podziękowania

W istocie żadna książka nie jest dziełem jednego człowieka. Miesiące trudu, poświęcenia i żmudnych poszukiwań poszłyby na marne, gdyby nie hojne wsparcie moich wydawców, agentów, informatorów i konsultantów. Przede wszystkim mam ogromny dług wdzięczności wobec rodziny Iana Thorsona, która życzliwie udostępniła mi jego wieloletnie zapiski. Kay Thorson poświęciła mi wiele godzin w gorące letnie dni w swoim mieszkaniu na Roosevelt Island i pozwoliła, bym zajrzał w jej życie rodzinne. Uznałem za stosowne przeznaczyć część tantiem z tej książki na wsparcie dalszej edukacji dwojga dzieci Iana.

Charlie Conrad z Gotham Books pilotował ten projekt od powijaków, a jego spokój i fachowość były dla mnie ogromnym wsparciem. Moja agentka literacka Laura Nolan pomogła mi zmienić rozwlekły konspekt w atrakcyjną propozycję wydawniczą. W Paradigm Katelyn Dougherty i Jason Yarn rozstrzygali niekończące się kwestie prawne. Moja agentka filmowa Judi Farkas pomogła mi ujrzeć swoich bohaterów z nowej perspektywy.

Nigdy nie pojechałbym do Arizony, gdyby nie telefon od mojego redaktora z „Playboya” Stephena Randalia pewnego popołudnia. Żadna redakcja w Nowym Jorku i San Francisco nie chciała tego tekstu, ale Stephen powiedział, żebym ruszał na wschód i przywiózł mu coś fantastycznego. Shane Singh, weryfikatorka, zadbała o poprawność wszystkich szczegółów. Ogromne podziękowania należą się Jessemu Ashlockowi, niegdyś z „Details”, za to, że przejrzał mój artykuł na temat choroby duchowej, oraz Colette Davidson, która rozmawiała z informatorem z Francji.

Przez wiele lat korzystałem ze wsparcia Schuster Institute for Investigative Journalism przy Brandeis University, gdzie jestem wykładowcą. Moi koledzy stamtąd: Florence Graves, Melissa

Ludtke, Claire Pavlik Purgus, Elizabeth Macedo i Neena Pathak wpłynęli na kształt różnych części tego projektu. Studenci z instytutu, w tym Michael Haskell i Zachary Reid, pomogli mi przekopać się przez pudło materiałów przekazanych przez rodzinę Iana Thorsona i ponownie sprawdzić kolejność wydarzeń. Poza tym Baptiste Jacquemet zaprojektował moją stronę internetową, a Karrah Beck poprawiła ją od strony graficznej.

Reporter często działa w warunkach ostrej rywalizacji, a dziennikarze gorączkowo poszukują ekskluzywnych informacji, ale w tym przypadku moje doświadczenia były zupełnie inne. Fernanda Santos z „New York Timesa” hojnie podzieliła się ze mną mnóstwem materiałów, do których nigdy nie dotarłbym samodzielnie. Nina Burleigh, autorka tekstu dla „Rolling Stone”, jako jedyna rozmawiała z McNally po śmierci Iana. Przekazała mi fragmenty zapisu tamtej rozmowy. Jennifer Beyer i Jesse Hyde napisali własne artykuły, do których mogłem się odwoływać. Z Anną Schecter z ABC wymienialiśmy się notatkami z naszych wizyt w Diamond Mountain.

Podobnie jak w przypadku mojej pierwszej książki, część tej także powstała w idyllicznym krajobrazie stanu Nowy Jork w domu pracy twórczej Ledig House. Piłem tam wino i rozmawiałem o literaturze z DW Gibsonem, Anną Moschovakis, Ramą Sangye i Mathilde Walker Clark, którym zwierzałem się z obaw przed ponowną wizytą w Diamond Mountain.

Miałem wielkie szczęście, bo mogłem rozmawiać na temat buddyzmu i współczesnych Indii z wieloma wielkodusznymi i cierpliwymi ludźmi. Wśród nich jest mój przyjaciel Jason Miklian – przeczytał wersję roboczą i przekonał mnie do skrótów, dzięki którym książka zyskała. Joginka, inwestorka na rynku nieruchomości i nauczycielka tantry Sati Ah, u której mieszkałem w Long Beach w Kalifornii, pomogła mi wzbogacić wiedzę na temat głębokich doświadczeń medytacyjnych i zapełnić białe plamy w moich wyobrażeniach tego, czego mógł doświadczać Ian Thorson. Padma Govin dan pomagała mi przez wiele lat w pracy nad tą historią i udzielała trafnych redakcyjnych porad, co powinienem wykorzystać z

pierwotnego artykułu. Mam wobec niej ogromny dług wdzięczności. Bardzo pomogli mi również: Daniel McNamara, Christine Karwoski oraz naukowcy Tenzin Bob Thurman, Paul Hackett, Matthew Pistono, Willoughby Britton, John Dunn, Meredith Sagan, Rachel McDermott, Amy Cayton, Diana Alstad, Joel Kramer oraz Stephen Batchelor.

Korzystałem także z mądrości i obserwacji wielu osób, które znały od środka działanie Diamond Mountain oraz zjawisko choroby duchowej. Swój udział w powstaniu tej książki mieli między innymi: Ekan Thomason, Michael Roach, Matthew Remski, Kay Thorson, Alexandra Thorson, Gagi, Fernanda Hannah, Saul Kato, Mike Oristian, Karen Visser, Susan Howler, Michael Brannan, Sierra Shafer, Tenzin Peljor, Nicole Vigna, Scott Vacek, Dżigme Palmo, mnisi z klasztoru Sera Mey, Gregory Tranchina z IRS, Claudia Engel, Colette Davidson, Jyotsna Singh, Amber Moore, LaShaun Williams, Gaya Police Thana, Joe Elder, Rick Ross, Patrick Ryan, Joe Kelly, Bill Zavatsky i Joel Guyton Lee.

Rad i wsparcia udzielali mi również inni pisarze i dziennikarze, którzy pomagali mi na różnych etapach. Podziękowania niech ze chcą przyjąć: Yudhijit Bhattacharjee, Brendan Koerner, Ransom Riggs, Graeme Wood, Jonathan Green, Sarah Spivack LaRosa, Brooke Hauser, Sarah Topol, Benjamin Skinner, Akash Kapur, Randy Dotinga, Erin Siegal McIntyre oraz E. J. Graff.

W czerwcu przyszedłem do swojej agencji w Nowym Jorku, prosząc o zeskanowanie kilku tysięcy dokumentów w ciągu zaledwie kilku godzin. Sara Schlievert, Dan Stebbins, Marissa Loil i Rebecca Henning rzucili się do pracy i należy im się znacznie więcej niż kilka ciastek, które przyniosłem im w podzięce. W Gotham Books miałem też szczęście korzystać z trzeźwych uwag i sugestii Matthew Martina, z pomocy redaktorki Joy Simpkins oraz koordynatorki Leslie Hansen.

Oczywiście moja rodzina także mnie wspierała podczas całego wariackiego procesu, jakim było pisanie tej książki: mama Linda Carney, Wilfred Carney, Joan Carney, Laura Carney, Allison Carney, Rosie Ettenheim, Sage Hopkins – kocham was wszystkich. Dziękuję

również Danowi i Marze Carneyom za to, że mogłem nocować u nich w Phoenix za każdym razem, kiedy zatrzymywałem się po drodze do hrabstwa Cochise.

Wreszcie szczególne podziękowania należą się Laurze Krantz, która wielokrotnie czytała najbardziej problematyczne rozdziały, aż w końcu uzyskały właściwy kształt. Spędziliśmy długi weekend z okazji 4 lipca w Idaho u jej rodziny, ślęcząc razem nad wersją roboczą, i nie pojechaliśmy na wycieczki, które sobie zaplanowaliśmy. Jej obecność rozjaśnia każdy mój dzień.

Słowniczek pojęć

ajurweda – starożytny system medycyny indyjskiej

Andin International – odnosząca sukcesy firma z branży kamieni szlachetnych, w której Roach pracował przez ponad dziesięć lat; obecnie jej właścicielem jest Warren Buffett

asana – pozycja w jodze, często wykonuje się ją w sekwencji

Asian Classics Input Project (ACIP) – projekt mający na celu zdigitalizo wanie i zachowanie tekstów tybetańskich, stworzony przez Michaela Roacha dzięki grantowi od Hewletta-Packarda

Asian Classics Institute (ACI) – instytut założony przez Michaela Roacha mający nauczać jego własnej odmiany buddyzmu tybetańskiego

atman – słowo oznaczające w hinduizmie jaźń lub duszę

Awalokiteśwara – tybetańskie bóstwo współczucia; dalajlamę uważa się za jego ziemskie wcielenie

bardo – stan pośredni między śmiercią a ponownymi narodzinami

***Bhagawadgita* –** indyjski poemat epicki, w którym bóg Kryszna rozprawia o naturze karmy i dharmy z wojownikiem Ardżuną

Bodh Gaja – wioska, w której Budda osiągnął oświecenie

bodhiczitta – umysł bodhisattwy, który buddyści próbują naśladować

Bodhisattwa – boska istota będąca o krok od oświecenia, która postanawia pozostać w świecie, by pomóc wszystkim czującym istotom także stać się bodhisattwami

bodhisattwa – ktoś pełen współczucia, kto pomaga innym

ciało subtelne – ciało duchowe składające się z wirów energii zwanych czakrami oraz kanałów zwanych *nadi*

Congkhapa (1357–1419) – założyciel szkoły gelug

czakra – wirujący krąg energii w ciele subtelnym

czittamatra – doktryna „tylko umysłu”, obecnie rzadkie buddyjskie przekonanie, że nie istnieje świat materialny; świat jest jedynie projekcją umysłu

czöd – medytacja nad rozkładającymi się zwłokami

dakini – bóstwo personifikujące żeński aspekt oświecenia, żeńską energię **dalajlama –** przywódca duchowy gelugpów i szerzej wyznawców buddyzmu tybetańskiego; obecny Dalajlama Tenzin Gjaco jest czternastym dalajlamą

dharma – nauka buddyjska

Diamond Cutter Institute – organizacja założona przez Michaela Roacha nauczająca wykorzystywania technik buddyjskich w celu osiągnięcia sukcesu w biznesie

Diamond Mountain – rozwijający się kompleks sal wykładowych i jurt służących do praktyk w odosobnieniu, założony na pustyni w Arizonie i stanowiący centrum organizacji Michaela Roacha

Dordże Szugden – zakazane tybetańskie bóstwo, które spełnia życzenia za wysoką cenę; gdy Dalajlama zakazał kultu Szugdena w 1996 roku, wyznawcy tego bóstwa zamordowali nauczyciela Dalajlamy w Dharamsali i od tego czasu relacje między obiema grupami są napięte

Drukpa Kuniej – kontrowersyjny tybetański święty, któremu rzekome oświecenie pozwala łamać wiele norm społecznych; doskonały przykład zastosowania *upaja*, czyli zręcznych środków

duchowy partner – partner bóstwa podczas praktyk tantrycznych

flagi modlitewne – kolorowe flagi zapisane modlitwami tybetańskimi, zwykle wieszane w pobliżu klasztorów albo na przełęczach górskich

Fundacja na rzecz Zachowania Tradycji Mahajany (Foundation for the Preservation of the Mahayana Tradition, FPMT) – największa organizacja głównego nurtu buddyzmu tybetańskiego na Zachodzie

gelug – najpotężniejsza i najbardziej znana szkoła buddyzmu tybetańskiego; naukę i wiedzę przedkłada nad doświadczenie religijne

gesze – najwyższy stopień naukowy w buddyzmie tybetańskim, odpowiednik doktora

guru – nauczyciel duchowy; tytuł często kojarzony z hinduizmem

hinajana – dosłownie „mały wóz”; nauka bliższa doktrynie i praktyce starożytnego buddyzmu

jab jum – pozycja zjednoczenia seksualnego lub kosmicznego w praktyce tantrycznej, równocześnie symboliczne przedstawienie bóstw w miłosnym uścisku

Jamantaka – tybetańskie bóstwo o głowie byka, zwane Niszczycielem nad Śmiercią

język palijski – martwy język z południowej Azji, w którym zapisano wiele wczesnych tekstów buddyjskich

joga – starożytne nauki hinduistyczne łączące umysł, ciało i oddech, by uzyskać doświadczenie duchowe

jogin, jogini – osoby praktykujące jogę

kagju – ezoteryczna tradycja buddyzmu tybetańskiego kładąca nacisk na odosobnienie i medytację

Kali – hinduistyczna bogini śmierci; jej imię dosłownie znaczy „czarna” **kamień mani –** kamień, na którym wyrzeźbione są buddyjskie modlitwy i wizerunki, często znajdowany w pobliżu klasztorów albo na przełęczach

karma – prawo przyczyny i skutku w hinduizmie i buddyzmie, zgodnie z którym działania z przeszłości po jakimś czasie determinują wydarzenia z przyszłości, zwykle przez wiele kolejnych żywotów

karmiczne ziarno – uśpiony karmiczny uczynek, który jeszcze nie dojrzał, by dać rezultat

Kryszna – hinduski bóg o błękitnej skórze, który w *Bhagawadgicie* wykłada Ardżunie naturę karmy i obowiązku

kundalini – kobieca energia duchowa znajdująca się u podstawy kręgosłupa; można ją obudzić dzięki medytacji

lama – tytuł nauczyciela duchowego w buddyzmie tybetańskim

lamrim – nauki wprowadzające w buddyjską drogę do oświecenia

lung – tybetańskie słowo oznaczające wiatr, również choroba niekiedy dopadająca medytujących, mogąca spowodować niepokój i w niektórych przypadkach psychozę

mahajana – dosłownie „wielki wóz”, późniejsza wersja buddyzmu praktykowana przez Tybetańczyków; celem wyznawców mahajany jest stanie się bodhisattwami, a nie osiągnięcie nirwany; jedna z trzech wielkich szkół buddyjskich

mantra – słowo, dźwięk lub zdanie powtarzane podczas medytacji, aby osiągnąć skupienie

momo – tybetański pierożek

mudra – gest symbolizujący ofiarę albo przywołujący określoną wizualizację

nadi – kanał energetyczny w jodze

natura buddy – uśpiony potencjał wszystkich czujących istot, który jeśli zostanie rozwinięty, wyzwoli je od cierpienia

ningma – najstarsza tradycja buddyzmu tybetańskiego **nirwana** – stan oświecenia, ostateczny cel praktyki buddyjskiej

om – dźwięk używany w medytacji lub modlitwie symbolizujący powstanie wszechświata

Padmasambhawa – znany także jako Guru Rinpocze, pochodzący z VIII wieku tybetański święty i wcielenie Buddy

prana – energia łącząca ciało subtelne ze wszechświatem

pudża – ceremonialna modlitwa

rinpocze – tytuł honorowy najwyższych lamów tybetańskich

Root Institute – główny ośrodek FPMT w Bodh Gai

Rygweda – najstarszy tekst hinduistyczny, napisany pomiędzy 1700 a 1100 rokiem przed naszą erą

rzeczywistość noumenalna – świat idei i działań duchowych, które nie są rzeczywistością materialną

sakja – buddyści „szarej ziemi”, główna tradycja buddyzmu tybetańskiego przed gelugpami

samadhi – najwyższy poziom skupienia w medytacji

samaja – ślubowania składane przez nowicjuszy

sansara – nieskończony cykl narodzin i śmierci, który może przerwać jedynie oświecenie

sanskryt – starożytny język, w którym powstała większość świętych tekstów hinduistycznych; ma podobne znaczenie jak dla katolików łacina

Sera Mey – klasztor gelugpów, którzy uciekli z Tybetu i odbudowali go w południowych Indiach; stanowi część wielkiego klasztoru Sera

siddhi – nadnaturalne zdolności osiągane dzięki medytacji lub jodze, opisywane w *Jogasutrach* Patańdżalego

Star in the East (SITE) – placówka edukacyjna założona przez Michaela Roacha łącząca nauki chrześcijańskie i buddyjskie, traktująca Jezusa jako bodhisattwę

sutry – teksty tworzące system dotyczący zasad etycznych i nauk kierujących zachowaniem buddystów, który każdy może studiować

tantra – tajemne duchowe nauki w buddyzmie i hinduizmie wymagające specjalnej inicjacji

Tara – żeński bodhisattwa, jedno z najważniejszych bóstw w buddyzmie tybetańskim

teozofia – ezoteryczny system przekonań powstały pod koniec XIX wieku łączący filozofię z teologią; jego celem jest odkrycie uniwersalnej boskiej natury dzięki poszukiwaniom przekonań wspólnych różnym religiom

thanka – rytualny wizerunek bóstwa malowany najczęściej na jedwabiu, o wielu tajemnych poziomach znaczenia

therawada – niekiedy mylnie nazywana hinajaną, czyli „małym wozem”, tradycja buddyjska skupiająca się na doskonaleniu własnej wewnętrznej natury buddy w celu osiągnięcia oświecenia; buddyści therawady nie dążą do tego, by być bodhisattwami, chcą natomiast osiągnąć nirwanę

Towarzystwo Teozoficzne – organizacja założona przez *madame* Bławatską, której zawdzięczamy przede wszystkim wiele tłumaczeń religijnych tekstów azjatyckich, dzięki czemu stały się dostępne dla świata zachodniego

umysł – ulotne myśli, uczucia i doświadczenia składające się na jaźń; nie należy go mylić z kłębkiem neuronów i szarych komórek stanowiących mózg

upaja – inteligentne albo skuteczne działania, za pomocą których ktoś, kto osiągnął wyższy poziom świadomości, może kierować uczniami na ścieżce duchowej; metody te, nazywane także „zręcznymi środkami", pozwalają nauczycielowi okłamywać uczniów, jeśli jest przekonany, że w ten sposób ostatecznie osiągną większe szczęście

wadżra (także dordże) – rytualny przedmiot, który symbolizuje zarówno piorun, jak i męski narząd rozrodczy; zwykle towarzyszy mu dzwonek, który jest symbolem esencji kobiecej

Wadżrajogini – diamentowa jogini, bóstwo reprezentujące jidama – jeden z trzech korzeni praktyki buddyjskiej wadżrajany

winaja – nauki buddyjskie spisane w języku palijskim określające reguły zakonne

Bibliografia

Prace naukowe

Albanese C. L., *A Republic of Mind and Spirit: A Cultural History of American Metaphysical Religion*, New Haven: Yale University Press, 2007

Basso K. H., *Wisdom Sits in Places* [w:] *Senses of Place*, eds. S. Feld, K. H. Basso, Santa Fe: School of American Research Press, 1996

Batchelor S., *Wyznania buddyjskiego ateisty*, przeł. B. Janczarska, R. Sudół, Warszawa: Czarna Owca, 2012

Broad W. J., *The Science of Yoga: The Risks and the Rewards*, New York: Simon & Schuster, 2012

Burleigh N., *Sex and Death on the Road to Nirvana*, „Rolling Stone", June 6,2013

Carney S., *Czerwony rynek. Na tropie handlarzy organów, złodziei kości, producentów krwi i porywaczy dzieci*, przeł. J. Ochab, Wołowiec: Czarne, 2014

—, *Death and Madness at Diamond Mountain*, „Playboy", April 2013

—, *Death on the Path to Enlightenment: Inside the Rise of India Syndrome*, „Details", October 2012

Cayton A. (ed.), Balanced Mind, Balanced Body: Anecdotes and Advice from Tibetan Buddhist Practitioners on Wind Disease, Portland, OR:FPMT Education Department, 2007

Conway F., Siegelman J., *Snapping: America's Epidemic of Sudden Personality Change*, New York: Stillpoint Press, 1995

Conze E., *Buddhism: Its Essence and Development*, Mineola, NY: Dover Publications, Inc., 2003

Czogiam Trungpa, *Wolność od duchowego materializmu*, przeł. K. Bazarnik, M. Przychocka, Kraków: Mudra, 2000

Krishna G., *The Awakening of Kundalini*, New York: Dutton, 1975

Lachman G., Madame Blavatsky: *The Mother of Modern Spirituality*, New York: Tarcher/Penguin, 2012

Lopez D. S. Jr., *Buddhism and Science: A Guide for the Perplexed*, Chicago: The University of Chicago Press, 2009

—, *Prisoners of Shangri-La: Tibetan Buddhism and the West*, Chicago: The University of Chicago Press, 1997

Luhrmann T. M., *When God Talks Back: Understanding the American Evangelical Relationship with God*, New York: Knopf, 2012

Miklian J., *Rough Cut*, „Foreign Policy”, January 2, 2013

Monkyi T., *Interview with Geshe Michael Roach and Christie McNally*, Info-Buddhism.com, Easter 2003

Ng B. Y., *Qigong-Induced Mental Disorders: A Review*, „Australian & New Zealand Journal of Psychiatry” 1999, Vol. 33, No. 2, s. 197–206

Opler M. E., *An Apache Life-Way: The Economic, Social, and Religious Institutions of the Chiricahua Indians*, Lincoln: University of Nebraska Press, 1941

Remski M., *Psychosis, Stabbing, Secrecy and Death at a Neo-Buddhist University in Arizona*, „Elephant Journal”, May 4, 2012

Rinpocze S., *Tybetańska księga życia i umierania*, przeł. A. Kozieł, Warszawa: EM, 1995

Roberts D., *Once They Moved Like the Wind: Cochise, Geronimo, and the Apache Wars*, New York: Touchstone, 1993

Said E. W., *Orientalizm*, przeł. W. Kalinowski, Warszawa: PIW, 1991

Satchidananda Sri Swami (transl.), *The Yoga Sutras of Patanjali*, Buckingham, VA: Integral Yoga Publications, 1978

Sweeney E. R. (ed.), *Making Peace with Cochise: The 1872 Journal of Captain Joseph Alton Sladen*, Norman: University of Oklahoma Press, 1997

Thurman R. A. F. (transl.), *The Tibetan Book of the Dead*, New Delhi: HarperCollins, 1998

White D. G., *Sinister Yogis*, Chicago: The University of Chicago Press, 2009

Wilson L., *Charming Cadavers*, Chicago: The University of Chicago Press, 1996

—, *Droga do wyzwolenia. Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary*, przeł. A. Wilga, Wołowiec: Czarne, 2015

Wilson L. (ed.), *The Living and the Dead: Social Dimensions of Death in South Asian Religions*, Albany: SUNY Press, 2003

Dalajlama XIV, *Wolność na wygnaniu*, przeł. A. Kozieł, Warszawa: Atlantis, 1993

Daniel W. R., *Shootout at Miracle Valley*, Tucson: Wheatmark, 2009

Davidson R. M., *Tibetan Renaissance: Tantric Buddhism in the Rebirth of Tibetan Culture*, New York: Columbia University Press, 2005

Desikachar T. K. V, *W sercu jogi. Ćwiczenia dla ciała i ducha*, przeł. K. Krzyżanowski, Gliwice: Helion, 2013

Dirks N. B., *Castes of Mind: Colonialism and the Making of Modern India*, Princeton: Princeton University Press, 2001

Dowman K., Sonam P. (transl.), *The Divine Madman: The Sublime Life and Songs of Drukpa Kunley*, Varanasi, Uttar Pradesh: Pilgrims Book House, 2000

Duckworth D. S., *De/limiting Emptiness and the Boundaries of the Ineffable*, „Journal of Indian Philosophy" 2010, Vol. 38, s. 97–105

Evans-Pritchard E.E., *Czary, wyrocznie i magia u Azande. Wersja skrócona*, przeł. S. Szymański, Warszawa: PIW, 2008

Feuerstein G., *Holy Madness: Spirituality, Crazy-Wise Teachers, and Enlightenment*, Chino Valley, AZ: Hohm Press, 2006

Goldberg P., *American Veda: How Indian Spirituality Changed the West*, New York: Three Rivers Press, 2010

Goyal M. et al., *Meditation Programs for Psychological Stress and Well-being: A Systematic Review and Meta-analysis*, „JAMA Internal Medicine" 2014, Vol. 174, No. 3, s. 357–368

Hackett P. G., *Theos Bernard, the White Lama: Tibet, Yoga, and American Religious Life*, New York: Columbia University Press, 2012

Harrer H., *Siedem lat w Tybecie. Moje życie na dworze Dalajlamy*, przeł. E. Waldeck-Kurtyka, Warszawa: Świat Książki, 1998

Hyde J., A *Death in the Desert*, „Psychology Today", November 5, 2012

Krakauer J., *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*, przeł. J. Dzierzgowski, Wołowiec: Wyd. Czarne, 2016

—, *Wszystko za życie*, przeł. M. Jakóbczyk-Rakowska, Warszawa: Prószyński i Spółka, 2008

Kramer J., Alstad D., *The Guru Papers: Masks of Authoritarian Power*, Berkeley: Frog, Ltd., 1993

—, *The Passionate Mind Revisited: Expanding Personal and Social Awareness*, Berkeley, CA: North Atlantic Books, 2009

Materiały ośrodka Diamond Mountain

Diamond Cutter, *Geshe Michael Roach's Sexual Conduct with Students*, Geshe watch.blogspot.com, July 7, 2006

McNally C., „Lama Christie's Talk to Retreatants' Families", Asian Classics Institute, 2010

—, *Letter to Nina Burleigh*, „Rolling Stone", May 20, 2013

—, „A Shift in the Matrix", Scribd, April 19, 2012

—, *The Tibetan Book of Meditation*, New York: Doubleday, 2009

—, Thorson I., *Two as One: A Journey to Yoga*, Tucson: Yoga Studies Institute, 2010

Roach M., „Answers to Questions from Friends", nieukończony tekst dla Fernandy Santos, 2012

—, *Diamentowe ostrze. Buddyjskie recepty na osiągnięcie sukcesu w biznesie i w życiu osobistym*, przeł. Z. Andruszkiewicz, Gdańsk: Czerwony Słoń, 2004

—, „Essays to Answer Questions from My Friends", Asian Classics Institute, 2012

—, *The Garden: A Parable*, New York: Doubleday, 2000

—, „The Goddess Code", Asian Classics Institute, September 2, 2005

—, *How Yoga Works*, Diamond Cutter Press, 2004

—, *The Karma of Love: 100 Answers for Your Relationship*, Diamond Cutter Press, 2013

—, An *Open Letter from Geshe Michael Roach*, „Elephant Journal”, April 26, 2012

—, „Using a Flamethrower to Cut Your Nails”, wykład w zaprzyjaźnionym domu modlitwy, New York City, October 31,1997

Roach M., McNally C., *The Eastern Path to Heaven: A Guide to Happinessfrom the Teachings of Jesus in Tibet*, New York: Seabury Books, 2008

—, *The Essential Yoga Sutra: Ancient Wisdom for Your Yoga*, New York: Doubleday, 2005

Roach M., McNally C., Gordon M., *Karmic Management: What Goes Around Comes Around in Your Business and Your Life*, New York: Doubleday, 2009

Veenhof D., *White Lama: The Life of Tantric Yogi Theos Bernard. Tibet’s Lost Emissary to the New World*, New York: Harmony, 2011

Przypisy

[1] Wyrazy pochodzące z sanskrytu i hindi podano w spolszczonej formie według zasad sformułowanych i używanych w czasopiśmie „Studia Indologiczne” (nr 1/1994). Ze względu na bardzo duży rozziew między zapisem słów tybetańskich a ich wymową i ze względu na popularny charakter publikacji nazwy tybetańskie podano w wersji spolszczonej i fonetycznie uproszczonej, utworzonej na podstawie transkrypcji angielskiej. Nazwy szkół buddyzmu tybetańskiego występują w dwóch wymiennie stosowanych formach: z przyrostkiem -*pa*, oznaczającym kolektywność, i bez niego. Ponadto w przeciwieństwie do zwyczaju pisania ich wielką literą (pod wpływem konwencji obowiązującej w języku angielskim) w niniejszej publikacji są pisane małą literą, np. gelugpa, kagju, sakja (przyp. red.).

[2] Często zmieniam nazwiska i różne detale, żeby chronić tożsamość opisywanych osób.

[3] Osobom nieznającym terminologii związanej z hinduizmem i buddyzmem może się przydać – z pewnością niedoskonały z naukowego punktu widzenia – słowniczek pojęć zamieszczony na końcu książki.

[4] Na tym etapie podróży Ian prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że podróżowanie indyjskimi drogami to próba wiary w coś, co w zachodniej literaturze nazywa się czasem karmiczną teorią jazdy samochodem. Niemal każdy, kto po raz pierwszy podróżuje po Azji Południowej, odczuwa grozę na widok chaosu panującego na drogach. Fragmenty dziurawego chodnika nie łączą się ze sobą, a na jezdni pierwszeństwo mają najcięższe maszyny. Autobusy spychają trzykołowe silnikowe riksze i białe samochody marki Ambassador na pobocze. Ustępują tylko potężnym i niemal zawsze pomarańczowym

ciężarówkom marki Tata, rozwożącym zaopatrzenie po kraju. W nocy kierowcy jeżdżą na długich światłach nie po to, by oświetlić drogę, ale by odstraszyć zbliżające się pojazdy. Kierowcy zazwyczaj zostają na moment oślepieni, kiedy mijają pojazd z naprzeciwka. To zupełnie normalne. Pasy bezpieczeństwa nie są konieczne. Wielu Hindusów wierzy, że wypadki to skutek nie warunków na drodze, stanu pojazdu czy zasad fizyki, jakim podlegają stal i guma. Wypadki to wydarzenia karmiczne.

Skutki są oczywiste dla każdego, kto miał okazję jeździć samochodem w Indiach: wydaje się, że śmierć zawsze jest o włos. Cudem indyjskich dróg jest to, że najczęściej ludzie docierają jednak do celu podróży bez szwanku. Samochody na kursie kolizyjnym skręcają w ostatniej chwili. Na poziomie abstrakcyjnym nie ma oczywistego wyjaśnienia, dlaczego jeden przedmiot zderza się z drugim. Podczas każdej podróży można zginąć dziesięć tysięcy razy. Jaka siła powoduje konkretną absurdalną kolizję? Wiara, że to karma jest ostateczną przyczyną wypadków, może stanowić szczególną pociechę, która pozwala się pogodzić z chaosem życia codziennego.

[5] W marcu 1996 roku Dalajlama ogłosił, że popularne bóstwo tybetańskiego panteonu Dordże Szugden jest „złym duchem” i że ktokolwiek nadal będzie go czcił, musi się wyrzec związków z Jego Świątobliwością. Większość Tybetańczyków poddała się temu bez dyskusji, ale grupa wiernych wyznawców Szugdena uknuła zemstę. W następnym roku zamordowali jednego z nauczycieli Dalajlamy, podrzynając mu gardło i dźgając go wielokrotnie w rytualne punkty na ciele po to, by ów mnich odrodził się jako niższa istota. Mordercy zabili także dwóch jego nieszczęsnych asystentów. W późniejszych latach wyznawcy Szugdena byli ekskomunikowani, gdziekolwiek się pojawili. W 2008 roku Dżampa Czogjal został pozbawiony stanowiska w Sera Mey za religijne wykroczenie, ponieważ nadal czcił Szugdena. Sprawa Szugdena pozostaje jednym z najbardziej fascynujących współczesnych konfliktów w społeczności tybetańskiej, ale niestety nie ma miejsca, by opisać ją w tej książce. Czytelnikom zainteresowanym średniowiecznymi korzeniami tego

konfliktu polecam artykuł Georges’a Dreyfusa, opublikowany w „Journal of the International Association of Buddhist Studies” w 1998 roku (Vol. 21, No 2), zatytułowany *The Shuk-den Affair* [Sprawa Szugdena].

[6] To stwierdzenie jest niezupełnie prawdziwe. Była jedna rzecz, której Roach nie mógł dać swojemu przyszłemu nauczycielowi. Diamenty są nieodłącznym symbolem dla buddystów na całym świecie, a szczególnie dla Roacha. W *Sutrze Diamentowej* Budda, rozważając naturę oświecenia, wykorzystał diament jako metaforę. Porównywał umysł do diamentu, który jest najtwardszą substancją na ziemi i zarazem idealnie czystą. Kiedy Roach ukończył Princeton, jeden z profesorów dał mu w prezencie samochód marki Thunderbird Roadster. Był to ostentacyjny prezent, dowód podziwu, jaki młody człowiek wzbudzał w otoczeniu. Ale zamiast jeździć tym samochodem, Roach natychmiast wymienił go na niewielki diament. Gdy jednak tamtego ranka spotkał się z Khenem Rinpoczem, nie mógł się zdobyć na rozstanie z tym szczególnym symbolem oświecenia.

[7] Rola Suratu w obrocie krwawymi diamentami nie zmniejszyła się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Na początku XXI wieku społeczność międzynarodowa wprowadziła tak zwany Kimberley Process, procedurę weryfikacji pochodzenia diamentów, żeby dało się prześledzić ich drogę aż do zarejestrowanych kopalni. Odpowiedni certyfikat miał potwierdzać, że kamień pochodzi z etycznego źródła. Ale system ten załamał się niemal natychmiast. Jak dowodził Jason Miklian w artykule *Rough Cut* [Ostre krawędzie], który ukazał się w „Foreign Policy” w 2013 roku, Surat pozostaje głównym ogniwem w procesie pozbywania się odpowiedzialności przez handlarzy diamentami.

[8] Gelug to największy i najbardziej znany odłam buddyzmu tybetańskiego, należy do niego również Dalajlama, chociaż formalnie nie jest przywódcą tej grupy (ten zaszczyt przypada przeorowi klasztoru Ganden).

[9] Nie należy mylić: z Asian Classics Input Project (ACIP) mającym na celu digitalizację tybetańskich tekstów; z Diamond Cutter Institute (DCI), gdzie kadra zarządzająca może zasięgnąć buddyjskich porad dotyczących powiększania majątku; ze Star in the East (SITE), która próbuje pogodzić filozofię chrześcijańską z buddyjską; ani też z Diamond Mountain University (DMU), który w końcu stał się głównym ośrodkiem działalności Roacha. Liczne założone przez niego organizacje nie mają żadnej spajającej je instytucji nadrzędnej oprócz być może jego własnej charyzmy.

[10] Podczas weryfikacji faktów przedstawionych w tej książce Mercedes zaprzeczyła, że brała udział w spotkaniach na początku działalności Three Jewels, że przez krótki czas spotykała się z Ianem Thorsonem i że jej matka została zamordowana. Stwierdziła, że opieram się na „marnych źródłach" i że to, co piszę, to często „kompletne wymysły". Kiedy pokazałem jej wycinki prasowe dotyczące zamordowania jej matki, odpowiedziała: „Bez komentarza".

[11] W społeczności tybetańskiej terminy „lama serca" [*heart lama*] i „rdzenny lama" [*root lama*] często są używane wymiennie.

[12] Wśród tych ślubowań jest zakaz gadania po próżnicy i plotek, powszechnie interpretowany jako zakaz mówienia czegokolwiek negatywnego na temat wspólnoty buddystów i medytujących. Dla mnie jako dziennikarza zakaz ten był źródłem wielu problemów, ponieważ buddyści – nawet ci krytycznie nastawieni do nauk Roacha – obawiali się złamania świętych ślubów, więżących ich z ogólniejszą buddyjską tradycją. Śluby mają charakter hierarchiczny; złamanie ślubów *samaja* (zobowiązań wobec społeczności) jest uważane za poważniejszy występek niż złamanie ślubów prawdomówności.

[13] Długi list Matthew Remskiego zamieszczony na stronie Elephant journal, zatytułowany *Psychosis, Stabbing, Secrecy and Death at a Neo-Buddhist University in Arizona* [Psychoza, napad z nożem w ręku, tajemnica i śmierć na neobuddyjskim uniwersytecie w Arizonie], to jedna z najpełniejszych relacji na temat ośrodka

Diamond Mountain. Remski, który przez wiele lat był członkiem tej grupy, wiedzę z pierwszej ręki łączy z beznamiętną analizą fachowego krytyka. Ten list poruszył wielu ludzi skonfliktowanych z Roachem i był pierwszym krytycznym przedstawieniem wydarzeń, które rozegrały się w Arizonie.

[14] Jak pisze Ronald Davidson w książce *Tibetan Renaissance* [Tybetański renesans], tłumacze stali się w Tybecie jednymi z najważniejszych uczestników polityki i przyczynili się do zjednoczenia różnych regionów kraju. „Podczas gdy rządy lokalnych władców były ograniczone geograficznie, wpływy tłumaczy rozpowszechniających dharmę rozciągały się na cały Tybet”.

[15] Problem ten nie ogranicza się do Wyżyny Tybetańskiej. Dziedzina zwana hermeneutyką dotyczy szukania łączników między specyficznymi znaczeniami. Problemowi przekładu Biblii poświęcono tony papieru. Ostatecznie właściwie nie da się zapobiec zmianom w tekście, kiedy przybiera on nowe formy w nowych kontekstach.

[16] Zdaniem niektórych uczonych filozofia Dolpopy poniosła klęskę z powodu nie tyle retorycznych zdolności Congkhapy, ile ówczesnej sytuacji geopolitycznej. Gdy gelugpowie zdobyli władzę, stworzyli potężne armie i przekonywali do swojej filozofii równie często siłą, jak argumentacją w debacie.

[17] Cyt. za: *Życie i nauki szalonego tybetańskiego jogina lamy Drukpy Kunleya*, przeł. J. Sieradzan, Kraków: Miniatura, 1989 (przyp. red.).

[18] Rodzina języków indoeuropejskich składa się z czterystu dwudziestu dziewięciu [ta liczba jest różnie ustalana – przyp. tłum.] odrębnych języków o wspólnym pniu. Choć istnieją rozmaite teorie dotyczące rozpowszechniania się języków na świecie, według jednej z najczęściej przyjmowanych hipotez pierwsi ludzie mówiący językami indoaryjskimi pojawili się na obecnych terenach Armenii około 4000 roku przed naszą erą. Lud ten, zwany Ariami, wcześnie udomowił konie i był w stanie rozpowszechniać swój język na terenie

rozciągającym się od Hiszpanii po wschodnie Indie. Zgodnie z hipotezą „inwazji aryjskiej” to właśnie dlatego niemiecki i sanskryt mają podobną strukturę gramatyczną. Ta teoria lingwistyczna stała się istotna, gdy nazizm dochodził do władzy, uzasadniała bowiem pojęcie rasy panów. W Indiach popularne jest przekonanie, że ludzie na północy kraju mają jaśniejszą skórę niż ludzie z południa, ponieważ pochodzą od Ariów. Kiedy pojawili się Ariowie, prawdopodobnie podbili ciemnoskóre ludy tubylcze mówiące w językach drawidyjskich. Niezależnie od tego, jak naprawdę przebiegał ten starożytny konflikt, te pierwsze próby naukowego opisu języków często skrywają ówczesne motywacje polityczne. Pełniejsze omówienie tego zagadnienia można znaleźć w książce Edwarda Saida *Orientalizm*.

[19] W momencie śmierci Hilla w 1970 roku *Myśl i bogać się* osiągnęło sprzedaż w wysokości piętnastu milionów egzemplarzy. Jego sukces przyćmiła głosząca mniej więcej tę samą filozofię książka Rhondy Byrne *Sekret*, która podobno sprzedała się w pięćdziesięciu sześciu milionach egzemplarzy na całym świecie.

[20] W tym sensie New Thought wydaje się pochodzić od kalwinistów, którzy wierzyli, że boża łaska objawia się w życiu ludzi predestynowanych przez niebiosa. Wynikająca z tego boska hierarchia sugeruje, że ludzie odnoszący sukcesy w życiu doczesnym zostali wybrani przez Boga.

[21] Istnieją cztery główne szkoły buddyzmu tybetańskiego: gelug, ningma, sakja i kagju. W różnych okresach historii te rywalizujące ze sobą nurty zyskiwały władzę religijną nad ogromnymi obszarami Tybetu. Od czasu do czasu dochodziło do wojny między różnymi odłamami, które próbowały wyeliminować konkurencyjne filozofie. Pod koniec XVI wieku gelugpowie z siedzibą w Lhasie zdominowali centralny Tybet. Każda szkoła ma inne wymagania wobec swoich wyznawców i duchowieństwa. Gelugpowie każą mnichom zrzucić szaty, jeśli chcą się oddawać tantrycznym praktykom seksualnym. Karma kagju jest dużo liberalniejsza.

[22] Jon Krakauer, *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*, przeł. J. Dzierzgowski. Wołowiec: Wyd. Czarne, 2016, s. 100 (przyp. tłum.).

[23] Współczesne techniki leczenia niepłodności, takie jak zapłodnienie *in vitro* czy przekazywanie komórek jajowych, które przeniosły moment zapłodnienia z sypialni do laboratorium, nieco komplikują energetyczną teorię poczęcia u człowieka. Jednak tajemnice świata energii mogą być zbyt subtelne, by kiedykolwiek dało się je objąć rozumem.

[24] W latach 2012–2013 kontaktowałem się z Howler, która kategorycznie stwierdziła, że wpisy na blogach i świadectwa z wielu innych źródeł to jedynie pogłoski. Napisała do mnie następujące oświadczenie:

> Gesze Michael i Christie mieszkali razem w prywatnej jurcie, każda z nas miała swoją jurtę. Spotykaliśmy się od czasu do czasu co drugi miesiąc, zawsze w grupie. Te kobiety to moje bardzo bliskie przyjaciółki już od 15 lat i nigdy nie słyszałam, by którakolwiek z nich mówiła czy sugerowała, że działo się coś dziwnego.
>
> Spośród nich dwie są mniszkami, nadal nauczają i praktykują medytacje buddyjskie, a dwie, w tym ja, to osoby świeckie, które utrzymują dobre relacje z gesze Michaelem i nadal zajmują się nauczaniem i popularyzacją nauk buddyjskich. Jestem przekonana, że żadna z nas nigdy nie wypowiadała się na temat jakiejkolwiek relacji seksualnej czy intymnej z gesze Michaelem, żadna z nas nie twierdziła też, że zostałyśmy skrzywdzone przez niego jako nauczyciela w jakikolwiek sposób.

[25] Budda wyznaczył mniszkom trzysta trzydzieści jeden ślubować, podczas gdy mnisi musieli przestrzegać jedynie dwustu dwudziestu siedmiu. Pierwsze kobiece szkoły buddyjskie sięgające czasów Buddy przestały istnieć w XV wieku, ale buddyści na całym świecie starają się wspólnym wysiłkiem je odtworzyć. W 2005 roku Dalajlama mówił w Dharamsali o tym, że trzeba zmienić praktykę święceń i dać mniszkom równy dostęp do tradycji, jednak wiele kobiet w hierarchii wciąż skarży się na to, że nie mają takich przywilejów jak mężczyźni.

[26] Według Dżigme Palmo, członkini zarządu Diamond Mountain, „Roach i Gordon nigdy nie utrzymywali bliskich kontaktów. Roach chętnie przypisywał współautorstwo osobom, które na to nie zasługiwały".

[27] Kobieta, o której mowa, odmówiła wypowiedzi.

[28] Zarówno Bahleda, jak i Brinkman zaprzeczają, że ich związek zaczął się w ten sposób. Bahleda napisała do mnie w e-mailu: „Nigdy tak nie było, to kompletne zmyślenie. Wiele osób, które brały w tym udział, będzie wiedziało, że podaje Pan fałszywe informacje, jeśli Pan tak napisze. Nikt z obecnych nie powiedział niczego takiego ani nie był o to proszony. To, co Pan napisał, śmieszy mnie. Gesze Michael Roach po prostu prowadził ceremonie wyświęcenia, nic nie wspomniał na temat partnerstwa”.

[29] Firmę Spiritual Gangster produkującą stroje do jogi założyło dwoje uczniów Roacha. Sprzedaje „inspirowane jogą ubrania z dobrymi wibracjami”. Krótka damska koszulka z logo firmy kosztuje czterdzieści pięć dolarów.

[30] Członkini zarządu Nicole Davis wyjaśniła w e-mailu: „McNally i Thorson nigdy nie przestali przychodzić na zebrania zarządu. Odbyła się dyskusja, czy Ian powinien uczestniczyć w zebraniach, skoro nie jest członkiem zarządu, ale nikt nie może odmówić udziału w zebraniu członkowi zarządu (a o ile wiem, gesze Michael Roach nie odmówił udziału Christie)”.

[31] Kali przyjmuje jednak nie tylko krwawe ofiary. Według Rachel McDermott, profesor na Uniwersytecie Columbia, hinduiści będący wegetarianami ofiarowują jej ogórki i mango, by zaspokoić jej pragnienie – z mojego punktu widzenia ukazuje to dobrotliwą twarz tego bóstwa: mniej Drakula, bardziej króliczek chrupiący marchewkę.

[32] Według dokumentów rozwodowych McNally i Roach złożyli wniosek o separację 21 września 2010 roku, dwa tygodnie przed ślubem McNally i Thorsona w Montauk. Sprawa została

sfinalizowana przez sąd dopiero i grudnia 2010 roku, co oznacza, że małżeństwo Thorsona i McNally nie było do końca legalne.

[33] Odwołując się do antropologii, ten rodzaj rozumowania można by uznać za echo fetyszyzmu, który przypisuje przedmiotom martwym różne moce. Na przykład powiedzenie „włos psa, który cię ugryzł", jak współcześnie nazywa się jedną z metod leczenia kaca, polegającą na tym, żeby następnego dnia wypić jeszcze trochę alkoholu, wywodzi się z dawnego przekonania, że najlepszym sposobem, by ustrzec się zakażenia po ugryzieniu przez psa, jest zjeść trochę jego sierści.

[34] Członkini zarządu Nicole Davis opowiada inną wersję tego, co się działo po przemowie McNally: „Gesze Michael Roach nigdy nie zgłosił zarządowi, że chce ponownie przejąć władzę. Po przemowie odbyło się długie zebranie zarządu i po wnikliwym rozważeniu wszystkich opcji podjęto decyzję".

[35] Wallace i ja jesteśmy potomkami sławnego w swoim czasie chirurga z Massachusetts Philemona Truesdale'a i jestem przekonany, że formalnie jesteśmy kuzynami drugiego stopnia, chociaż on jest ze starszego pokolenia i nazywam go wujem. Od czasu do czasu spotykamy się na Święcie Dziękczynienia i prowadzimy ożywione dyskusje na temat chorób serca, medytacji oraz potencjalnych związków między psychozami a dążeniami duchowymi. Każdy z nas na swój sposób jest rodzinną czarną owcą; być może to dzięki Wallace'owi we wczesnej młodości zainteresowałem się medytacją.

Pierwsza żona Wallace'a – nazwijmy ją Edna Wallace – była przez krótki okres w latach siedemdziesiątych popularną modelką z okładek czasopism. Urodziło im się dwoje dzieci, po czym się rozstali, ale oboje nadal aktywnie uprawiali medytację transcendentalną. Zgodnie z biuletynem autorstwa byłych członków MT, którzy wnieśli pozew przeciwko tej organizacji, Edna próbowała opanować sztukę lewitacji i frustrował ją brak postępów. 6 lutego 1984 roku uznała, że kobieta z jej grupy medytacyjnej wysysa z niej energię i przeszkadza jej unieść się nad matą.

Podjąwszy decyzję, wyszła z ośrodka, kupiła rewolwer i podczas następnej wspólnej sesji strzeliła do swojej rzekomej prześladowczyni. Na szczęście kobieta przeżyła. Kiedy ostatnio rozmawiałem ze swoim wujem, stwierdził, że było inaczej, niż zapisano w aktach sprawy. Edna nie znajdowała się w ośrodku Maharishi International University i nie została skazana, tylko poddano ją leczeniu psychiatrycznemu.

To, czy moja ciotka oszalała na skutek medytacji transcendentalnej, jest przedmiotem spekulacji. Niektórzy z moich krewnych mówią, że zawsze była trochę dziwna. Przywołuję tę historię, by podkreślić, że wiele badań dotyczących medytacji pochodzi z nieobiektywnych źródeł. Wyniki negatywne często zamiata się pod dywan jako nieistotne.

[36] W trakcie gromadzenia materiałów do tej książki wielokrotnie prosiłem kierownictwo ośrodka o ustosunkowanie się do rozmaitych kontrowersyjnych tez i dokumentów, na które natrafiłem. Michael Roach trzykrotnie odmówił rozmowy ze mną i odpowiedzi na mój e-mail. Kiedy skończyłem roboczą wersję książki, wysłałem Roachowi listę pięćdziesięciu pytań o szczególnie kontrowersyjne sprawy. Od jego osobistej asystentki Elly van der Pas, mniszki, której po wyświęceniu nadał imię Dżigme Palmo, i osoby o najdłuższym stażu w Diamond Mountain, otrzymałem następującą odpowiedź:

> Kiedy media zaczęły się interesować tym, co się wydarzyło na terenie federalnym obok ośrodka, przyjaciele znający się na mediach doradzili GMR, żeby nic nie mówił. On jednak czuł, że nie ma nic do ukrycia, i udzielił wielu wywiadów, głównie drogą e-mailową. Oczywiście był zaskoczony, kiedy jego słowa zostały wyrwane z kontekstu albo zignorowane, albo inaczej wypaczone, żeby zrobić z niego łajdaka, a opinie kilku byłych uczniów, którzy nic nie wiedzieli o sprawie, traktowano z taką samą powagą.
>
> Większość pytań, które pan przesłał, nie ma związku z historią Iana. Większość z nich to próba potwierdzenia tego, co wydaje się pogłoskami lub domysłami opartymi na pogłoskach albo jest nieistotne. Nie ma odpowiedzi – bo założenia są fałszywe. Proszę spróbować postawić się w jego położeniu. Pewnie próbowałby Pan przez jakiś czas wszystko wyjaśniać, ale jeśli to nie przynosi skutku, po co dalej marnować energię?

Ludzie będą myśleć, co będą chcieli. CM nic nie może na to poradzić, może jedynie nadal próbować działać pozytywnie, żeby w świecie działy się dobre rzeczy, i zakładać, że z tej próby nie może wyniknąć nic złego.

Elly van der Pas (Dżigme), 7 czerwca 2014 roku.

[37] Podczas studiów magisterskich z antropologii na uczelni w Madison w Wisconsin miałem okazję być studentem już nieżyjącego profesora Neila White heada, autora klasycznej książki *Dark Shamans Kanaima and the Poetics of Violent Death* [Mroczni szamani Kanaima i poetyka gwałtownej śmierci]. W dziele tym opisywał przerażający świat szamanów Kanaima, którzy za pomocą rytuałów przez wiele lat prześladowali i mordowali swoje ofiary. Lud ten wierzy, że wzbudzanie przerażenia u ofiar daje szamanom świętą moc jaguara. Whitehead pisał i często mówił na wykładach o swoich podejrzeniach, że podczas pracy terenowej w gujańskiej dżungli szaman rzucił na niego klątwę. Dopadła go choroba, której nie mógł wyleczyć żaden lekarz na Zachodzie. Był na skraju śmierci i z dżungli musieli go wynieść tragarze. Dopiero gdy spotkał innego szamana w Georgetown, ten dał mu gorzki wywar, po którym choroba ustąpiła. Whiteheada nieustannie fascynowała i czasem przerażała ta przygoda. Zmarł niespodziewanie, choć nie był jeszcze stary, kiedy pracowałem nad tą książką.

[38] Jonestown – osada sekty Świątynia Ludu w Gujanie, gdzie w 1978 roku dziewięciuset dziewięciu członków sekty popełniło zbiorowe samobójstwo; Waco – siedziba sekty Davida Koresha Gałąź Dawidowa, gdzie w 1993 roku zginęło około osiemdziesięciu osób (przyp. tłum.).

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75
mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa
redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa
tel./fax +48 22 621 10 48
agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,
zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl,
magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,
agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2016
Wydanie I